

Janet  
Dailey

**i Dumni  
wolni**

# Od autorki

Postaci występujące w powieści jak i ich losy są zmyślone, lecz tło, w którym rozgrywa się akcja, ma swoje odniesieni do historii. Takie fakty, jak batalie sądowe Czirokezów, nękanie ich przez strażników stanowych z Georgii, ośmioletnie wysiłki zmierzające do pokojowego załatwienia sprawy przesiedlenia i rozłam na dwa obozy: stronników wodza i orędowników traktatu przesiedleńczego zdarzyły się naprawdę. Prawdziwe są również opisy obozów (które dziś nazwano by obozami koncentracyjnymi), długa wędrówka Czirokezów na zachód okupiona cierpieniem i śmiercią, a także rozpad plemienia, jaki nastąpił w czasie wojny secesyjnej.

Główni bohaterowie są przedstawicielami wykształconej i za-  
możnej klasy indiańskiej, która istniała w tamtym okresie. Ich  
posiadłości, styl życia i rezydencje są typowe dla plantatorów  
z Południa. Za wzór posłużyły mi dwory wodza Vanna i majora  
Ridge'a w Georgii, a także rezydencja Murrellów w Oklahomie,  
do dzisiaj otwarte dla zwiedzających.

Czirokezi mieli własne pismo, konstytucję, kodeks praw, rząd  
i sądy. Wydawali nawet gazetę „Cherokee Phoenix”, drukowaną  
w dwóch językach: angielskim i czirokeskim. W pełni zasługują na  
miano jednego z tak zwanych Pięciu Cywilizowanych Plemion.

Właśnie im poświęcona jest ta powieść. Może dzięki niej  
będziemy mogli zrozumieć, dlaczego marsz na zachód nazwali  
Czirokezi „Szlakiem Łez”.

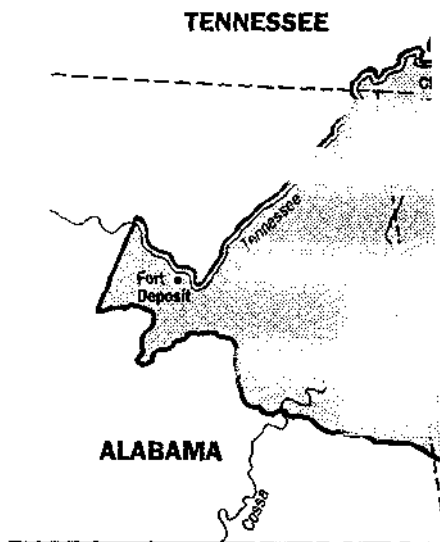
# *Część pierwsza*

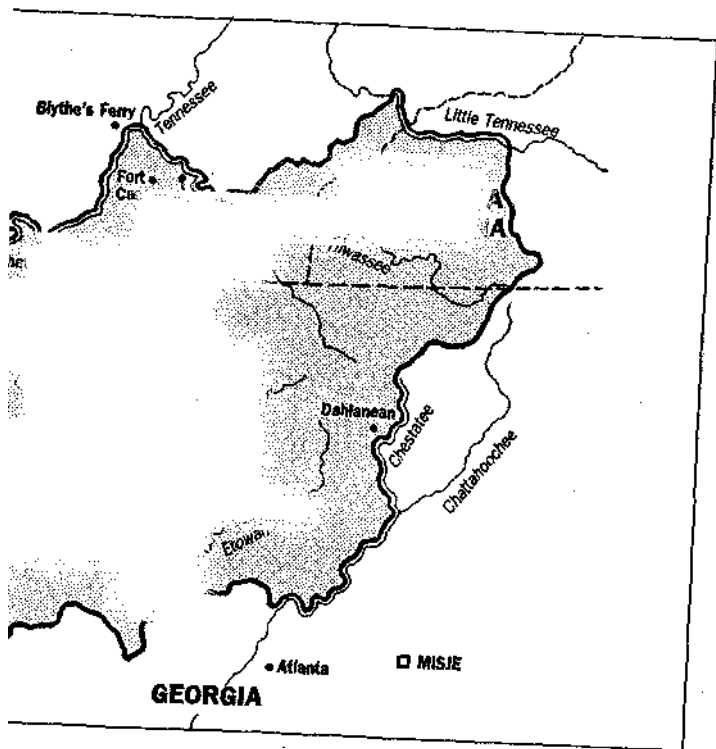


„Trzeba wzniecić wśród nich ogień. A kiedy na dobre rozgorzeje, ruszą z miejsca”.

*Prezydent elekt Andrew Jackson*

**TERYTORIUM CZIROKEZÓW  
PO 1820 R.**







*Terytorium Czurokezów.  
lipiec 1830*

**L**

Zachlapany błotem dyliżans zajechał przed zajazd Chestera. Na ganku czekało na jego przyjazd kilka osób. Byli wśród nich dwaj biali skromnie ubrani mężczyźni ze sztywnymi kołnierzykami, wskazującymi na stan duchowny, i dwaj dość dziwacznie ubrani Czurokezi. Mieli na sobie typowe dla białych spodnie, wpuszczone w długie, sięgające kolan skórzane buty, białe koszule ściągnięte w tali szarfą i zawoje z jasnokolorowego materiału na głowach.

Nieco z boku stała młoda dziewczyna o wyjątkowej urodzie i dumnej postawie. Odziana była w suknię koloru purpury i pasującą do niej jedwabną bluzkę, ozdobioną różami. Jej twarz okalały lśniące czarne włosy, rozdzielone pośrodku i zaczesane do tyłu, a rysy sprawiały wrażenie, jakby wyszły spod ręki mistrza. Pięknej pannie towarzyszył czarny służący.

Tempie Gordon przyjechała po nową nauczycielkę i śledziła z niecierpliwością ruchy woźnicy, który w jej mniemaniu z irytującą powolnością zszedł z kozła i człapiąc po błocie ruszył w stronę drzwi dyliżansu. Popędzała go w myślach, słyszała bowiem, że w pobliżu kręcą się strażnicy stanowi. Nie miało to znaczenia, czy była to naprawdę milicja stanowa, czy też jedna z licznych band maruderów, zwanych tu kurierami pocztowymi. Wiedziała, że źle wyszkoleni i niezdiscyplinowani strażnicy stanowi należeli do straży obywatelskiej powołanej do pilnowania porządku publicznej

go i często przekraczali swe kompetencje, terroryzując mieszkańców.

Powinna jak najszybciej zabrać stąd nową guwernantkę, pannę Elizę Hall, i natychmiast wracać do domu. Nie obawiała się o swe bezpieczeństwo, lecz raczej o matkę, która została sama z jej rodzeństwem. Myślała ze strachem, co by się stało, gdyby strażnicy zjawili się w Gordon Glen.

- Spring Place! - krzyknął woźnica, otwierając drzwi dyliżansu.

Jako pierwszy wysiadł młody misjonarz o pociągłej twarzy i chudej sylwetce. Wyglądał niczym nieporadny żreback na cienkich nogach. Odwrócił się i pomógł wsiąść następnemu pasażerowi. Była nim wysoka kobieta o pełnych kształtach, która zupełnie nie przypominała owych sztywnych żon misjonarzy, które uczyły Tempie w szkole w Brainerd. Spod lekko przekrzywionej budki wymykały się potargane blond sploty. Brązowy podróżny strój nosił ślady podróży. Zadarty podbródek świadczył o wewnętrznej energii-

Tempie patrzyła, jak młoda kobieta pokonuje trzy błotniste jardy dzielące ją od ganku zajazdu i podchodzi do Charliego, Niebieskiego Ptaka i Toma Morgana.

- Jestem Eliza Hall z Massachusetts - oznajmiła. - Miał tu na mnie czekać Will Gordon.

Tempie odwróciła się w stronę ubranego w liberię służącego.

- Zdaje się, że ta kobieta w brązowej sukni to nasza nowa guwernantka, panna Eliza Hall. Przyrowadź ją do mnie, Ike.

- Tak, panienko - odpowiedział, skłaniając głowę.

Młoda kobieta patrzyła ze zdumieniem na Czirokezów, którzy nie odezwali się słowem. Nie zauważyła podchodzącego do niej służącego.

- Bardzo przepraszam - odezwał się Ike, zdejmując kapelusz. - Czy panna Hall z Północy?

- Tak - odpowiedziała po chwili wahania, z trudem pojmując jego szorstką rozwlekłą mowę.

- Panienska Tempie czeka na panią.

Wskazał miejsce, gdzie stała Tempie, po czym dał znać, by nauczycielka szła za nim.

Kobieta rzuciła zdziwione spojrzenie chudemu misjonarzowi.

On również wydawał się zaskoczony, lecz dał znak, by poszła służącym, po czym sam podążył za nią.

- To wszystko, Ike. - Ruchem dłoni, obciążonej w rękawiczkę Tempie odprawiła czarnego służącego i zlustrowała nową gwer-nantkę wzrokiem pełnym ciekawości. - Zapewne panna Eliza Hall z Massachusetts?

- Tak, to ja - odparła zapytana, unosząc nieznacznie podbródek i patrząc na Tempie z równym zainteresowaniem.

Zobaczyła czarne jak onyks oczy, kruczoczarne włosy i *twanj-*czkę jasną i gładką niczym kość słoniowa. Zesztywniała instynktownie, nie przygotowana na spotkanie tak zjawiskowej piękności. Jej własna uroda zupełnie przy niej bladła. Natychmiast zaczęła szukać jakichś skaz w wyglądzie młodej dziewczyny. Znalazła je w dumnym ułożeniu głowy i nieco wyzywającym zachowaniem. Piękna panna wyglądała też na znacznie od niej młodszą; musiała mieć najwyżej szesnaście lat. Jako dwudziestolatka Eliza Hall uważała szesnastolatki za dziewczynki.

- Jestem Tempie Gordon. Ojciec został wezwany na niezwykle ważne spotkanie, dlatego nie mógł przybyć tu osobiście. Prosi panią o wybaczenie.

- Twoim ojcem jest Will Gordon? - zapytała Eliza zaskoczona.

- Tak.

- Powiedziano mi, że jesteście Czirokezami.

Jak zwykle bez zastanowienia powiedziała to, co myśli. Zdawała sobie sprawę z tego, że tylko nieliczni uważają szczerotę za cnotę, ale nie potrafiła zwalczyć tej słabości i dawno już się z nią pogodziła. W dodatku była bardzo zaskoczona wyglądem młodej dziewczyny i jej umysł domagał się wyjaśnień.

- Bo jesteśmy Czirokezami - oświadczyła Tempie z dumą i gniewem w głosie. Szybko jednak opanowała się, kryjąc swe uczucia pod maską chłodnej wyniosłości.

- Wybacz, ale zupełnie nie wyglądasz na Indiankę.

Eliza Hall ponownie omiotła wzrokiem elegancką suknię Tempie i nakrycie głowy. Spodziewała się zobaczyć ozdobioną paciorkami skórzaną sukienkę, mokasyny i długi czarny warkocz.

Tempie z trudem hamowała narastające w niej oburzenie. Miała ochotę odwrócić się plecami do tej kobiety, której słowa zdradzały



ignorancję, i odejść, lecz przyjechała tu w imieniu ojca. Wiedziała, że on nigdy nie odpowiedziałby grubiaństwem na taką uwagę.

- W naszych żyłach płynie krew Czirokezów, a nasze serca czują tak jak oni - posłużyła się słowami ojca, które zwykły wypowiadać w takich wypadkach, chociaż z mniejszym ogniem w głosie.

- Panna Hall z pewnością nie chciała nikogo urazić - odezwał się wysoki błdy misjonarz.

Tempie spojrzała na niego chłodno.

- Kim pan jest?

- Pastor Nathan Cole, przysłany tu przez Radę do Spraw Misji Zagranicznych w Bostonie. - Pochylił głowę z szacunkiem. - Pan Payton Fletcher prosił mnie, bym towarzyszył panie Hall w podróży i przekazał pod opiekę chlebobdawcy.

- Pańskie zadanie zostało wypełnione, pastarze. Dziękuję - powiedziała Tempie, po czym zwróciła się do guwernantki: - Czeka nas jeszcze godzina jazdy. Proszę pokazać, gdzie stoi pani bagaż, to polecę, by Ike załadował go na powóz.

Ruchem ręki wskazała na otwarty pojazd z parą kasztanów przywiązanych do poręczy na końcu ganku.

Eliza wskazała na kufer i walizę, po czym ze smutkiem na twarzy odwróciła się do wielbego Cole'a.

- Bardzo mile spędziłam czas w pańskim towarzystwie, pastarze. Będzie mi pana brakowało.

- A mnie pani.

Rozsądek podpowiadał jej, że nie powinna doszukiwać się w jego słowach jakiegoś ukrytego znaczenia. Raz już wzięta czyjaś uprzejmość za romantyczny afekt i potem cierpiała z tego powodu męki upokorzenia. Postanowiła wówczas, że nigdy więcej nie popełni tego błędu.

- Napiszę panu Fletcherowi, że dowiózł mnie pan na miejsce całą i zdrową.

- Mam nadzieję, że i ja doczekam się wiadomości od pani o tym, jak się pani podoba w nowej pracy. Byłbym wówczas spokojniejszy. — Uśmiechnął się nieśmiało, przez co jego chuda twarz nabrała dziwnego wyrazu. — Zna pani mój adres.

- Tak i nie omieszkam napisać.

Wymienili słowa pożegnania, po czym Eliza wsiadła do wyściełanego czarną skórą powozu i zajęła miejsce obok Tempie Gordon. Na jej znak Ike strzelił lejcami i pojazd ruszył z turkotem.

- Mówiłaś, że wasz dom znajduje się o godzinę drogi stąd?

- Tak. Jednak wczorajszej nocy spadł deszcz i rozmył drogę. Podróż może więc potrwać nieco dłużej - wyjaśniła sucho Tempie. Myśl o strażnikach stanowych nie dawała jej spokoju i uniemożliwiała prowadzenie swobodnej konwersacji.

Niebo wypogodziło się i nad górskimi szczytami rozciągał się czysty błękit. Wąska droga biegła skrajem szerokiej doliny obsianej kukurydzą. Zielone kolby kontrastowały z czerwoną glebą.

- Powiedziano mi, że mieszkacie na farmie. Ile ziemi ma twoja rodzina? — zapytała guwernantka.

- Ta ziemia jest własnością wszystkich Czirokezów. My tylko ją uprawiamy. Do nas należą jedynie budynki, zwierzęta i zbiory, które możemy sprzedawać. - Tempie spojrzała na Elizę Hall, zdając sobie sprawę z tego, że dla większości białych brzmi to obco. - Takie są nasze zasady, które trudno wam pojąć.

- Rzeczywiście różnią się od naszych - przyznała nauczycielka.

- Mówiłaś, że twój ojciec musiał wyjechać. Kiedy spodziewacie się jego powrotu? - zapytała po chwili.

- Mamy nadzieję, że za kilka dni. Jest członkiem rady plemiennej, ciała ustawodawczego na wzór waszej Izby Reprezentantów - wyjaśniła Tempie. - Zwołano ją, by omówić projekt ustawy, który ostatnio uchwalił wasz Kongres, zalecający przesiedlenie wszystkich plemion indiańskich na Zachód. Wasz prezydent, Andrew Jackson, przysłał list zapraszający delegację Czirokezów na spotkanie w jego domu w Tennessee w przyszłym miesiącu.

- Przesiedlenie? - powtórzyła Eliza zaskoczona.

- Nigdy nie przeprowadzimy się na Zachód - oznajmiła Tempie z naciskiem.

Ten projekt był nie do pomyślenia, zarówno dla niej jak i dla każdego Czirokeza. Te ziemie zawsze do nich należały. Od pokoleń pili wodę z płynących tu rzek i polowali w okolicznych lasach. W tej ziemi spoczywały kości ich zmarłych przodków. Tu stały ich domy. Żadne zachęty nie przekonają ich, by się jej wyrzekli. To właśnie Tempie wyjaśniła Elizie.

- Wasz rząd musi przestrzegać zawartego z naszym narodem traktatu. Nie może nas zmusić do oddania naszej ziemi, a my nigdy się jej nie wyrzekniemy.

- Czy twój ojciec będzie jednym z delegatów, którzy powiedzą to prezydentowi?

- On uważa, że nikt nie powinien tam jechać. Nie oddamy naszej ziemi, a Jackson przy tym się upiera.

Zapadła cisza i Tempie przeniosła uwagę na otaczający ich krajobraz. Zbliżali się właśnie do szerokiej łąki pokrytej gęstą trawą i dzikim kwieciami.

- Panienko. - Ike uniósł się na koźle i odwrócił głowę w jej stronę. - Przed nami widać jakichś jeźdźców. Wyglądają na strażników.

- Pod żadnym pozorem się nie zatrzymuj - poleciła Tempie.

- Ale oni jadą środkiem drogi.

- Rób, co mówię.

- Tak jest.

Trzech jeźdźców ściągnęło wodze wierzchowców i zatarasowało przejazd. Kiedy powóz podjechał nieco bliżej, Ike z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Nie ma jak ich ominąć, panienko.

- Popędź konie batem i jedź prosto na nich.

- Tak jest.

Oстрыm krzykiem i trzaśnięciem z bata zmusił rumaki do galopu. Powóz wyrwał gwałtownie w przód. Wciśnięta nieoczekiwanie w siedzenie Eliza chwyciła się poręczy dla utrzymania równowagi. Tempie nawet nie drgnęła.

Na widok rozpędzonego pojazdu jeźdźcy odskoczyli na boki; jeden na lewo, a dwóch na prawo. Kiedy konie wypadły na otwartą przestrzeń, mężczyźni dogonili powóz i jeden z nich wyrwał Ikemu lejce z rąk i szarpnął gwałtownie w tył, zmuszając konie do zatrzymania się.

- Uważaj, chłopcze — odezwał się drugi z napastników, przeciągając sylaby. - Omal ci się nie udało.

- Natychmiast puśćcie moje konie! - W głosie Tempie brzmiała wściekłość.

Eliza spojrzała na nią ze zdumieniem. Dziewczyna nie okazywała

zdenerwowania; była spokojna i pewna siebie. Jedynie oczy płonęły gniewem i za chwilę mogły pojawić się w nich błyskawice.

- Proszę, proszę, co my tu widzimy? - mruknął mężczyzna. - Toż to prawdziwa indiańska księżniczka.

- Powiedziałam, puśćcie moje konie - powtórzyła Tempie, nie zwracając uwagi na sarkazm w jego głosie i pożądlivy uśmiech.

- Tak się mówi do kogoś, kto wybawił cię z opresji? - droczył się napastnik. - Nie brzmiało to jak podziękowanie.

- Na pewno nie - poparł go kamrat.

- Jedno jest pewne, Cale, że ma wspaniały powóz — odezwał się trzeci mężczyzna. - I piękną parkę. Wspaniale dobrana. Moja pani świetnie by w takim powozie wyglądała.

- Taa. Powinieneś zrobić jej taki prezent.

Eliza czuła, że za chwilę zostaną okradzone.

- Nie, nie zabierzecie ich! — Tempie wyrwała czarnemu woźnicy bat z ręki i potrząsnęła nim ostrzegawczo.

Nagle rozległ się wystrzał. Eliza omal nie wyskoczyła ze skóry. Odwróciła się w stronę, skąd dobiegł huk, i zobaczyła dwóch mężczyzn na koniach, którzy właśnie wyłonili się z lasu rosnącego wzdłuż drogi. Jeden z nich trzymał w ręku dymiący jeszcze muszkiet. Ciemna karnacja, wydatne kości policzkowe i proste czarne włosy wskazywały na indiańskie pochodzenie.

- Polecono ci, byś puścił konie - powiedział nieznajomy zimnym tonem, leniwie przeciągając zgłoski, lecz w sposobie, z jakim celował bronią w trzech napastników, nie było nic leniwego.

- Zdaje się, że szukasz kłopotów, Indianinie - mruknął człowiek imieniem Cale.

- A ty chyba nie jesteś w stanie mi ich przysporzyć - odpowiedział nieznajomy z drapieżnym uśmiechem.

Na nogach miał ozdobione frędzlami buty sięgające aż do kolan. Muskularne uda opinały skórzane spodnie, a ciemnoniebieska myśliwska bluza nie kryła barczystych ramion. Wagę słowom przydawała jednak groźnie wyglądająca blizna na lewym policzku.

- Co robi muszkiet w rękach tego czarnucha? - zapytał Cale, wskazując na młodego Murzyna towarzyszącego nieznajomemu.

Dopiero teraz Eliza dostrzegła, że i on ma broń. - Nie powinno się dawać kolorowym broni do ręki.

- To mój muszkiet. Ale nie próbuj mu go zabierać, bo mógłby jeszcze wystrzelić.

Kolorowy jednak nie sprawiał wrażenia kogoś, kto nie umie obchodzić się z bronią.

- Chodź, Cale - powiedział napastnik trzymający dotąd lejce i odsunął się od powozu. — Wynosimy się stąd.

Mężczyzna machnął niechętnie ręką i spojrzął z ukosa na siedzącego nieruchomo na koniu Indianina.

- Jeszcze mnie popamiętasz - warknął i popędził wierzchowca.

Napastnicy odjechali. Eliza spoglądała w ślad za nimi, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

- Czy ci mężczyźni naprawdę chcieli zabrać powóz i zostawić nas na drodze?

- Naprawdę, panno Hall, i nic nie moglibyśmy na to poradzić. Ani teraz, ani później - odparła Tempie nieco tajemniczo, po czym zwróciła się w stronę odzianego w skórę mężczyzny. W spojrzeniu, jakim go obrzuciła, kryło się zadowolenie, duma i zaborczość. - Krucho by z nami było, gdyby nie pomoc Blade'a.

Blade. Cóż za niezwykle imię, pomyślała Eliza. Tymczasem Tempie powiedziała coś do Indianina w miejscowym języku.

- Panno Hall, przedstawiam pani Bladej Stuarta - oznajmiła Tempie.

Dodała jeszcze coś, czego Eliza już nie usłyszała, bo w tej chwili spojrzała na nią para błękitnych oczu, których intensywność pogłębiał jeszcze miedziany odcień skóry.

- Przykro mi, że po tak długiej podróży spotkało panią tak niegościnnie powitanie, panno Hall.

Dźwięk jego głosu wyrwał Elizę z odrętwienia. Zatrzymała przez chwilę wzrok na długiej poszarpanej szramie na policzku mężczyzny, po czym zapytała, przenosząc spojrzenie na Tempie:

- Kim byli ci ludzie? I dlaczego twierdzisz, że bezkarnie mogli ukraść powóz i konie?

- To byli strażnicy ze stanu Georgia, panno Hall - odpowiedział Blade za Tempie. - Oni uważają, że te ziemie zostały im dane przed laty przez wasz rząd. Kiedy w zeszłym roku odkryto w na-

szych górach, jakąś godzinę jazdy na wschód, złoto, Georgia uchwaliła prawo biorące w posiadanie cały ten obszar i zabraniające Czirokezom wydobywania kruszcu, a także świadczenia przeciw białemu człowiekowi. To pozwala każdemu mieszkańcowi Georgii panoszyć się po naszym terenie, kraść naszą własność i napadać na nasz lud bez obawy o karę.

- To nie może być prawda — zaprotestowała Eliza z oburzeniem i jednocześnie niedowierzaniem.

- Zapewniam panią, że tak właśnie jest — powiedział, po czym spojrzął na Tempie. - W takich czasach trzeba zachować szczególną ostrożność, kiedy wyjeżdża się z domu.

- W takich czasach powinienes siedzieć w domu - rzuciła Tempie tonem wymówki.

- Właśnie do niego wracam.

- Na jak długo tym razem? - zapytała tonem wyzwania. - Na dzień, tydzień, miesiąc, aż twój niespokojny duch znowu każe ci gdzieś się wypuścić? Twój ojciec nie jest już młody. Potrzebuje cię. Twoi ludzie również. Czas, byś zajął należne ci miejsce, jako syn Shawano Stuarta.

Spojrzął na nią z rozbawieniem.

- To już słyszałem, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- Wówczas zlekceważyłeś moje słowa. Tym razem jednak musisz się nad nimi zastanowić.

- Jeśli to zrobię, czy uraczysz mnie słodyczą twego uśmiechu zamiast ostrym języczkiem? - zapytał patrząc na nią zaczepnie.

Odwrociła wzrok, czując, że odniosła małe zwycięstwo.

- Przynajmniej okazałabym ci szacunek - odparła.

- Oczekiwałbym czegoś więcej niż szacunku - mruknął, po czym zręcznie zmienił temat. - Jak się czuje twoja matka?

Tempie już chciała ostro zareagować, lecz w porę się powstrzymała.

- Nadal męczy ją kaszel. Poza tym dobrze.

- Pewnie czeka z niepokojem na twój powrót. Odprowadzimy was z Deu, na wypadek gdyby ci ludzie chcieli zastawić na was zasadzkę — powiedział i cofnął konia, robiąc miejsce powozowi.

- Pańska eskorta jest mile widziana, panie Stuart - odezwała się Eliza sadowiąc się w powozie.

Kiedy Tempie poszła za jej przykładem, Ike strzelił lejcami i konie ruszyły. Blade Stuart i młody Murzyn pojechali przodem.

- To niezwykle imię „Blade” - zauważyła Eliza.

- Pochodzi z jego indiańskiego imienia, które znaczy „ten, który nosi znak ostrza\*”.

- To znaczy bliznę na policzku?

Tempie skinęła głową.

- Otrzymał ją w walce, kiedy miał dwanaście lat. - Jej wzrok podążył ku niemu i natychmiast złagodniał. - Jego ojciec ma do niego wiele zastrzeżeń, podobnie jak inni.

Eliza przypomniała sobie krytyczne uwagi Tempie pod jego adresem.

- Nie bardzo go lubisz, prawda?

Spojrzała na nią zaskoczona.

- Myli się pani, panno Hall. Jeśli tu pozostanie i przejmie swoje obowiązki, poślubię go.

- Co takiego?

- Nasze rodziny zawsze tego pragnęły.

- Ale czy ty także?

- Ja też tego pragnęłam - oświadczyła Tempie z błyskiem w oku, dumnie unosząc podbródek, co zupełnie nie licowało z zachowaniem dobrze ułożonej młodej panny.

\* Blade (ang.) - ostrze, klinga (przyp. tłum.)

## 2



Pół godziny później znaleźli się na skrzyżowaniu dróg. Blade Stuart i jego czarny towarzysz skręcili w prawo. Ike podążył za nimi, zostawiając za sobą główny trakt. Po obu stronach wyboistej, porytej koleinami drogi rozciągały się pola uprawne. Eliza rozpoznała pszenicę, indygo i bawełnę. Młode roślinki zieleniły się na tle czerwonej gleby. Gdzieś widać było ciemnozielone połacie pastwisk i pasące się na nich bydło.

W odległości mili od rozwidlenia Blade Stuart ściągnął wodze i zaczekał, aż powóz zbliży się na odległość wzroku. Wtedy skinął lekko głową, unosząc rękę, po czym skierował konia między drzewa. Młody Murzyn podążył za nim jak cień. Powóz nie zatrzymując się pojechał dalej.

- Dokąd zmierza pan Stuart? - zapytała Eliza, kiedy ich wybawcy zniknęli z oczu.

- Dom jego ojca stoi za tym wzniesieniem. Jadąc na przełaj, skróci sobie drogę.

- Rozumiem. - Eliza spojrzała przed siebie. - Mam nadzieję, że nie spotkam już ludzi z Georgii.

- Mało który ośmiela się tędy jeździć - zapewniła ją Tempie.

- Oby i dziś tak było.

Eliza chwyciła się brzegu powozu, bo przednie koło wpadło w głęboką dziurę ukrytą pod kałużą. Zaraz jednak pokonało przeszkodę.



Ike ściągnął lejce i konie z kłusa przeszły w stępa. Dojeżdżali teraz do brodu na rzece. Ostatnie deszcze podwyższyły poziom wody, a zwalony konar starej topoli i gałęzie powodowały spiętrzenie wód.

Dwóch Murzynów naprawiało wyrządzone przez naturę szkody. Jeden stał po kolana w rzece i wyciągał splątane gałęzie. Ciemna twarz błyszczała mu od potu. Drugi siekierą rąbał gruby pień topoli. Tępe uderzenia ostrza odbijały się echem wśród drzew. Na przeciwległym brzegu, w cieniu drzew, Eliza dostrzegła mężczyznę na koniu. Domyśliła się, że nadzoruje pracujących ludzi. Wiedziała, iż niewolnictwo jest czymś powszechnym w południowych stanach, lecz tego nie aprobowała.

- To godny pożałowania widok - wypaliła bez zastanowienia. Tempie skinęła głową.

- Niewiele zostało zrobione, od czasu kiedy pierwszy raz tędy przejeżdżałam. Nasi Murzyni rozleniwili się pod nieobecność ojca. Nie będzie z tego zadowolony.

- Wasi Murzyni? - powtórzyła Eliza zaskoczona. - To są wasi niewolnicy?

- Tak - powiedziała Tempie. - Sądzila pani, że należą do kogoś innego?

- Nie. To znaczy... Nie przypuszczałam, że Czirokezi popierają niewolnictwo.

- Jakże inaczej moglibyśmy uprawiać nasze pola?

- Wynajmując ich do pracy i godziwie płacąc za robotę. Niewolnictwo jest czymś odrażającym. Powinno zostać zniesione. Kolorowi to przecież ludzkie istoty. Nie są zwierzętami, które można kupować i sprzedawać.

Tempie lekceważąco machnęła ręką.

- Pani pochodzi z Północy i nic nie wie o naszych Murzynach.

Eliza już chciała zaprotestować, kiedy nagle dotarł do niej sens wypowiedzi Tempie.

- Powiedziałaś, że to są wasi Murzyni. A więc jesteśmy już na ziemiach zarządzanych przez twoją rodzinę?

- W istocie.

Eliza wyciągnęła szyję, starając się coś zobaczyć. Wśród gęstego listowia prześwitywały budynki wykonane z nie ociosanych pali. Dwa z nich były zapewne magazynami.

Kiedy powóz minął je i wjechał na łagodne wzniesienie ocienione rozłożystymi kasztanami, powietrze rozdarł ostry krzyk pawia. Oczom Elizy ukazał się trzykondygnacyjny dwór z frontem ozdobionym werandą z białymi kolumnami i zadaszonym balkonem. Dom otoczony był pasem trawnika, po którym przechadzały się pawie. Piękna przydawały mu kwitnące krzewy i rozchodzące się promieniście alejki.

- Co to za dwór? - Okazały wygląd przywodził na myśl rządową rezydencję.

- To nasz dom - wyjaśniła Tempie z nie ukrywaną dumą w głosie. - Witam w Gordon Glen, panno Hall.

Eliza rozglądała się wokół ze zdumieniem.

Kiedy kilka minut później weszła za Tempie do środka, stwierdziła, że wewnątrz jest równie okazałe jak fasada. W olbrzymim hallu uwagę przyciągały pięknie rzeźbione drewniane schody. Na drugim jego końcu znajdowały się barokowe drzwi identyczne z tymi, przez które właśnie weszły, zwieńczone okienkiem w kształcie wachlarza.

Na lewo podwójne drzwi prowadziły do głównego salonu. Drewnianą podłogę pokrywał tu misternie tkany dywan w odcieniach złota i głębokiej zieleni, który współgrał z zielonym aksamitnym obiciem mahoniowej sofy. Jednak zarówno dywan, sofa, mosiężne kinkiety na ścianach, bostońskie fotele bujane jak i całe umeblowanie pokoju nie były tak okazałe jak olbrzymi kominek. Wykonany z orzecha włoskiego, z obramowaniem z pięknego marmuru, sięgał aż po sufit.

Od strony schodów dobiegły ciche szepty. Zza słupków balustrady obserwowało Elizę dwoje czarnych dzieci. Z jednego z pokoi na parterze wyszła kobieta. Jej twarz miała grube rysy wskazujące na indiańskie pochodzenie. Czarne włosy miała związane w kok z tyłu głowy. Długi fartuch przykrywał przód kraciastej sukni.

- A więc jest pani, panno Hall - odezwała się.

Lekki uśmiech uniósł w górę kąć jej ust, lecz nie ukrył zmęczenia widocznego w ciemnych oczach. Tempie przedstawiła ją jako swoją matkę, Victorię Gordon.

- Witam panią, pani Gordon - bąknęła Eliza z szacunkiem, świadoma jej pozycji jako gospodyni domu.

- Cieszymy się, że zechciała pani do nas przyjechać, panno Hall  
- odparła Victoria nieco sztywnym angielskim, po czym spojrzała na drzwi, jakby kogoś szukając. - Czy Kipp jest z wami? - zapytała, marszcząc brwi.

- Kipp? - powtórzyła Eliza.

- Mój starszy syn - wyjaśniła Victoria. - Powiedziałam mu, że Tempie pojechała po panią. Miał czekać na was na zewnątrz.

- Nikogo nie widziałyśmy - odparła Eliza.

Victoria pokiwała głową.

- Pewnie zmęczył się czekaniem i gdzieś się bawi. - W jej głosie zabrzmiał ton matczynej pobłażliwości.

Eliza domyśliła się, że Kipp Gordon niewiele wie o dyscyplinie. Payton Fletcher poinformował ją, że chłopak ma jedenaście lat i przechodzi trudny wiek. Przestał być już dzieckiem, ale jeszcze nie stał się młodzieńcem. Taki wiek wymagał twardej ręki.

Stojąca u szczytu schodów dwunastoletnia Phoebe oderwała się od balustrady i pociągnęła za ramię swego dziewięcioletniego brata Shadracha. Przykucnęła i otoczyła rękami kościste kolana, zaciskając dłonie na bosych stopach dla utrzymania równowagi, po czym spojrzała w dół na stojącą w hallu dziwną białą kobietę.

- Czy to ta nauczycielka? — zapytał szeptem Shadrach.

Phoebe kiwnęła głową, wprawiając tym w ruch liczne warkoczyki ozdobione wstążkami.

- Jest z Północy. Pan Will po nią posłał.

- Panicz Kipp mówi, że te mówiące kartki som zaczarowane.

- Panicz Kipp znowu się z siebie naśmiewa. - Phoebe nie lubiła Kippa. Nabijał głowę Shadracha niestworzonymi opowieściami i traktował go pogardliwie. — Nie ma w nich żadnych czarów. I to nie som mówiące kartki, tylko książki. Indianie tak je nazywają, bo som głupi. A ty jesteś głupi?

- Nie. - Jednak nie wyglądał na przekonanego. Wsunął brodę między kolana i utkwiał wzrok w białej nauczycielce.

- Deuteronomy Jones od starego pana Stuarta umie czytać i pisać jak biali państwo. Jest bardzo mądry.

Phoebe odchyliła się w tył i pomyślała o młodym czarnym mężczyźnie z sąsiedniej plantacji. Od dawna go nie widziała, lecz pamiętała, że był niezwykle przystojnym mężczyzną. Miał piękną szeroką uśmiech, od którego robiło jej się ciepło na sercu.

- Ja też bende kiedyś czytać i pisać - oświadczył Shadrach.

Phoebe już chciała powiedzieć, że to się nigdy nie stanie, lecz i ona pograżyła się w marzeniach. To byłoby wspaniałe. Stałaby się kimś więcej niż czarną służącą. Gdyby umiała czytać i pisać, to może Deu zwróciłby na nią uwagę.

- Phoebe, czy to ty? — rozległ się ostry głos pani.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi i szybko ukryła brata za plecami.

- Tak, psze pani.

Zaczęła szurać nogami po podłodze, by zagłuszyć ciche kroki umykającego Shardacha.

- Kazałam ci pilnować małego Johnny'ego.

Victoria podeszła do schodów.

- Właśnie szłam po panią. Jest niespokojny. Chiba chce jeść.

Mogło tak być rzeczywiście. Dziecko bowiem obudziło się i nie chciało uspokoić. Niania twierdziła, że wyrzynają mu się zęby. Dlatego gorączkuje i kaprysi.

Victoria Gordon westchnęła i odwróciła się w stronę Elizy.

- Tempie zajmie się panią. - Po czym ruszyła po schodach na górę.

W połowie drogi chwycił ją ostry kaszel. Tempie obserwowała matkę z wyrazem niepokoju na twarzy, ale po chwili przeniosła wzrok na nową nauczycielkę.

- Czy jest pani głodna, panno Hall? - spytała. - Mogę poprosić Czarną Cassie, żeby coś przygotowała.

- Nie, dziękuję. - Eliza skorzystała ze sposobności, by obejrzeć pozostałe pokoje na parterze. - Czy to jadalnia? - zapytała, wchodząc do pomieszczenia z prawej strony. - Mówiono mi, że będę jadać posiłki z wszystkimi domownikami.

- Naturalnie - odparła Tempie, stając obok Elizy.

Słoneczne promienie przeświecały przez koronkowe firanki zdobiące cztery duże okna i odbijały się na blacie mahoniowego stylowego stołu, który zajmował całą długość pokoju. Stało przy

nim dwanaście fornirowanych krzeseł. Główną ścianę zajmował kominek, przesłonięty ekranem. W głębi stał przeszklony kredens z porcelanową i kryształową zastawą. Obok zaś mahoniowa komoda.

Tempie poprowadziła Elizę do następnego pokoju.

- W tym salonie zbieramy się wieczorami - wyjaśniła, usuwając się na bok.

Ku swemu zaskoczeniu Eliza dostrzegła stojący w rogu pokoju fortepian z drzewa różanego. Taki instrument w samym środku tej głuszy! Podeszła do pokrytego aksamitem stołka i usiadła na nim, zastanawiając się, czym jeszcze zostanie zaskoczona. Dotknęła gładkiej kłapy, po czym spojrzała na Tempie.

- Umiesz grać na fortepianie?

- Jedna z żon misjonarzy w Brainerd dawała mi lekcje, ale... - Urwała, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Ojciec ma już dość słuchania tych samych trzech melodii. Czy pani gra na fortepianie? Może mogłaby mnie pani nauczyć jakichś nowych utworów?

- Nie widzę powodu, dla którego nie mogłabym ci dawać lekcji muzyki popołudniami. - Z trudem powstrzymała się, by nie podnieść kłapy fortepianu i nie odsłonić klawiatury. Wstała i mocno splotła ręce.

- Po drugiej stronie hallu jest biblioteka. - Tempie ruszyła w stronę drzwi, po czym rzuciła przez ramię: - Ojciec powiedział, że może pani korzystać z wszystkich książek.

- To bardzo uprzejme z jego strony.

Kiedy weszły do biblioteki, uwagę Elizy przykuł obraz wiszący nad kominkiem. Bardziej rzucał się w oczy niż wszystkie zgromadzone tu meble: ogromne biurko z orzecha włoskiego, piękna kanapa, a także bogata biblioteka. Był to portret wysokiego mężczyzny o surowym spojrzeniu, ubranego w szkocki kilt.

- Kto to jest?

- Mój dziadek, Lachlan Gordon. To on zbudował ten dom - wyjaśniła Tempie.

- Ma na sobie kilt. — Eliza zmarszczyła brwi, dostrzegając ozdobną szpilę, którą spięta była spódniczka w kratę. Taką samą ametystową broszkę miała Tempie.

- Jego ojciec, William Gordon, pochodził ze Szkocji. Był drugim synem szkockiego szlachcica. Po przybyciu do Savannah zabił w walce człowieka. Anglicy chcieli oskarżyć go o morderstwo, uciekł więc w góry do Czirokezów. - Umilkła i spojrzała na portret. — Ten kilt należał właśnie do niego. Dziadek Lachlan opowiadał, że jego ojciec był wysoki i silny jak dąb i miał włosy rude jak liście klonu jesienią. To po nim mój ojciec otrzymał imiona William Alexander.

- A więc został tu na zawsze?

- Nie mógł wracać. Aresztowano by go za morderstwo. Poślubił Dźnagastę, wojowniczkę z plemienia Czirokezów.

- Wojowniczkę? - zdziwiła się Eliza.

- Kobietę, która odniosła zasługi w bitwie.

- Chcesz powiedzieć, że brała w niej udział?

- Dlaczego nie? Kobieta potrafi posługiwać się maczugą, muszkietem albo łukiem ze strzałami nie gorzej od mężczyzny. W czasach Dźnagasty czirokeskie kobiety mogły być zarówno wojownikami jak i matkami wojowników. Kiedy zbierała się rada plemienna, kobiety wojowniczkę zasiadały w świętym kręgu i wspólnie z wodzami radziły, jak należy postąpić. Matka mojego dziadka była właśnie taką kobietą, jej angielskie imię brzmiało Jane. To ona i jej mąż, William Alexander Gordon, założyli tę farmę. Kiedy byłam małą dziewczynką, stała jeszcze ich chata zrobiona z pali, ale przed kilkoma laty spłonęła.

- Aha. - Eliza rozjerzała się wokół. - Powiedziałaś, że to twój dziadek wybudował ten dom. Musiał kosztować fortunę. Jak udało mu się tak wzbogacić na tym odludziu?

- Był przedsiębiorczym człowiekiem. Prowadził faktorię i młyn, które założył jego ojciec. Za uzyskane z tego interesu pieniądze sprowadził specjalistów od uprawy ziemi i Murzynów do pracy na roli. Wykarczował nowe tereny pod pola i sady. Przedsięwzięcie powiodło się. A ten dom zbudował na wzór dworów, które widział w Szkocji i Anglii - wyjaśniła Tempie.

- Chcesz powiedzieć na wzór tych, które widział jego ojciec? — sprostowała Eliza.

- Nie, Lachlan Gordon sam je oglądał. Tyle nasłuchiwał się opowieści o Szkocji od ojca, że zapragnął tam pojechać. Zabrał ze sobą

mojego ojca, który był jeszcze wtedy małym chłopcem, niewiele starszym od mojego brata Kippa. Przejechali całą Anglię i Szkocję. Obejrzel wiele posiadłości. Spotkali się nawet z królem Jerzym III.

Will Gordon, jej chlebobawca, spotkał się z królem Anglii! Eliza zaskoczyła ta wiadomość, lecz natychmiast przekonała siebie, że to nie królewski tytuł zrobił na niej wrażenie, lecz historyczne znaczenie Jerzego III.

To typowe dla Anglików traktować Indian jak sławnych ludzi, płaszczyć się przed nimi i przyjmować ich z honorami, które przystoją koronowanym głowom, pomyślała. Wystarczy wspomnieć to całe zamieszanie z Pocahontas - legendarną córką indiańskiego wodza Powhatana - i jej wizytą w Anglii.

Kiedy Eliza oglądała bibliotekę, Tempie mogła się przyjrzeć nowej nauczycielce. Nie było nic szczególnego w silnej sylwetce i drobnych ustach. Kasztanowe włosy układały się w naturalne skręty i przypominały odcieniem orzech. Była wysoka i szczupła, a wydatny podbródek znamionował silną osobowość. Początkowo sądziła, że Eliza Hall jest zimną i twardą kobietą, pozbawioną ciepła i głębszych uczuć. Zmieniła jednak zdanie, kiedy dostrzegła radość, jaka rozbłysła w jej piwnych oczach na widok fortepianu. Chyba polubi tę nową nauczycielkę.

- Na pewno chce pani odpocząć po tak długiej podróży - powiedziała, widząc zmęczenie na lekko ściągniętej twarzy kobiety.

- Przygotowaliśmy dla pani pokój na drugim piętrze.

- Dziękuję. - Eliza z trudem opanowała chęć wygładzenia wygniezionej sukni podróżnej.

Przeznaczony dla niej pokój był mały i całkowicie umeblowany, niczego w nim nie brakowało. Przy jednej ze ścian, pod spadzistym sufitem, stało pojedyncze łóżko z czterema słupkami, a pod wychodzącym na wschód oknem - umywalka z miednicą i dzbanem.

Eliza dostrzegła też kilka przedmiotów, które złagodziły nieco surowy wystrój wnętrza. Łóżko było przykryte ręcznie robioną kapą w ciepłych barwach, pasujących odcieniem do kremowożółtych ścian. Przy łóżku leżał chodniczek w stonowanych tęczyowych kolorach. W rogu stał bujany fotel z poduszką na siedzeniu. Okno ozdobiła biała zasłonka. Falowała pod wpływem lekkiego wiatorku, który jednak nie chłodził nagrzanego pokoju.

- Tu jest szafa na ubrania. - Tempie wskazała na surowy mebel, którego Eliza dotąd nie zauważyła. Obok stały kufer i waliza. - W narożnej komodzie znajdzie pani nocnik - dodała Tempie. - Czy czegoś jeszcze będzie pani potrzebować?

- Nie, to mi w zupełności wystarczy - odpowiedziała Eliza. - Później chciałabym obejrzeć salkę lekcyjną. Podobno jest na terenie posiadłości.

- Tak, to ten długi budynek, który widać z pani okna.

- Dobrze. A więc znajdę go bez trudu.

- Na pewno. Zostawię teraz panią, by mogła się pani rozpakować - powiedziała Tempie i wyszła z pokoju.

Pozostawiona samej sobie, Eliza rozwiązała wstążki budki, zdjęła ją z głowy i rzuciła na łóżko. Niesforne włosy rozsypały się na ramiona. Nie zwracając na nie uwagi, podeszła do okna i odsunęła zasłonę.

Na drugim końcu trawnika zobaczyła długi budynek, zapewne szkołę, bo w pobliżu nie było innych zabudowań. Po prowadzącej doń ścieżce przechadzały się pawie.

Bardzo często w czasie podróży z Massachusetts wielebny Nathan Cole zapewniał ją, że „Bóg przygotowuje nas na to, co nas czeka”. Na taki widok Bóg jej jednak nie przygotował. Sądziła, że jedzie do dzikiej krainy, między barbarzyńców, i będzie znosić niewygody i ubóstwo. Tymczasem znalazła się w rezydencji przypominającej pałac.

Przypomniała sobie ów dzień przed dwoma miesiącami, kiedy razem z matką, Nancy Chapman Hall, weszły do biura Paytona Fletchera w Springfield. Nowa Anglia okryła się wiosenną zielenią i Eliza zapragnęła nagle porzucić szarą, nudną monotonię i zacząć nowe życie, które miałyby posmak przygody i w którym mogłaby wypróbować nauczycielskie umiejętności. Propozycja Paytona Fletchera odpowiadała jej pragnieniom.

Fletcher, korpulentny mężczyzna w średnim wieku, członek powszechnie szanowanej w Massachusetts rodziny, zaprosił obie panie do prywatnego gabinetu. Na jego czerstwej twarzy malował się jowialny uśmiech, a szare oczy spoglądały na Elizę ciepło, lecz z uwagą.

Najpierw wypytał ją o kwalifikacje, ukończone szkoły i prakry-



kę w nauczaniu. Ku jej wielkiej uldze nie przejął się tym, że nie ma dużego doświadczenia. Zastanowiło to Elizę. Ciekawe, ilu kandydatów czekało na tę pracę.

W końcu przyszedł czas na informacje o nowej posiadzie. Miała uczyć dzieci czirokeskiej rodziny.

- Czirokeskie dzieci? - zapytała zaskoczona matka Elizy. - Ależ ci Indianie napadają na osadników z Georgii i stanowią zagrożenie dla kobiet i dzieci...

- Zapewniam panią, pani Hall - przerwał jej spokojnie, lecz stanowczo Payton Fletcher - że gazety stanowczo przesadzają z tymi nowinami. Jeśli zdarzyło się coś złego, to raczej ze strony białych osadników. Ale to już inna sprawa. Co zaś się tyczy Willa Gordona i jego rodziny, to może być pani zupełnie spokojna. Daleko im do dzikusów. Jestem przyjacielem Willa Gordona i osobiście ręczę za jego szlachetny charakter.

Wyjaśnił, że poznał Willa Gordona, kiedy obaj uczęszczali do tej samej prywatnej szkoły tu, na Wschodzie. Zawiązana wówczas przyjaźń jeszcze się zacieśniła w miarę upływu lat.

Will Gordon jest plantatorem, wyjaśnił dalej. Jego ziemie leżą w żyznej dolinie na terytorium Indian, przy północnej granicy z Georgią. Na terenie posiadłości została wybudowana sala lekcyjna, która ma służyć dzieciom jego i jego siostry. Nauczycielka otrzyma pensję w wysokości czterystu dolarów rocznie, plus wyżywienie i samodzielny pokój w domu Gordonów.

Romantyczna wyobraźnia Elizy natychmiast podsunęła jej obraz salki wypełnionej dziećmi o brązowej karnacji, słuchających jej z napiętą uwagą. Ich prymitywne umysły na pewno czekały z niecierpliwością, by wniosła w nie światło. Kiedy więc Payton Fletcher zaproponował Elizie tę posadę, nie wahała się ani chwili, przekonana, że jest to jej powołanie.

Teraz, stojąc w oknie swego pokoju, przyglądała się nowemu otoczeniu. „Kwitnąca farma”, powiedział Payton Fletcher. To określenie nie oddawało jednak prawdziwego bogactwa. Zapragnęła nagle usiąść i napisać list do matki, póki miała jeszcze świeżo w głowie wszystkie szczegóły. Rozsądek jednak podpowiedział, że byłaby to strata czasu, miała bowiem inne sprawy do załatwienia.

Zasunęła zasłonkę, odwróciła się od okna i gwałtownie wciągnęła

nęła powietrze na widok stojącej przed nią osoby. Był to chłopiec w wieku około jedenastu lat. Patrzył na nią z wyrazem złośliwego zadowolenia w czarnych jak węgiel oczach. Eliza przycisnęła dłoń do piersi, by uspokoić gwałtowne bicie serca.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała, czując, że właśnie taki był jego zamiar. - Ty jesteś Kipp.

- A pani jest tą nową nauczycielką z Północy.

- Tak. - Odetchnęła głęboko i splótła dłonie. - Możesz zwracać się do mnie „panno Hall”.

Uśmiechnął się w milczeniu.

Szóstym zmysłem wyczuła, że miał zamiar dokuchać jej przy każdej okazji. Postanowiła nie dopuścić, by wziął nad nią górę.

# 3



- Pokryte gęstym listowiem gałęzie wysokiego kasztanowca broniły dostępu promieniom zachodzącego słońca do sali lekcyjnej. Eliza odłożyła podręcznik ortografii Webstera na stos leżących na biurku elementarzy, kończąc tym samym przygotowania na następny dzień.

W ciągu trzech pierwszych dni udało jej się sporo zdziałać. Ustaliła rozkład zajęć. Lekcje rozpoczynały się o ósmej rano. Uczestniczyły w nich prócz Gordonów dzieci małżeństwa Murphych: trzynastoletni Charlie, dwunastoletni Tom, dziesięcioletnia Mary i dziewięcioletni Joe. Nauka trwała do południa, po czym rozpoczynała się ponownie o czwartej, kiedy zełżał upał. Dzień kończył się lekcjami gry na fortepianie dla Tempie, jej młodszej siostry Xandry i Mary.

Eliza wstała zza biurka i obeszła salkę, zamykając po drodze cztery okna. Pierwszego dnia zapomniała je zamknąć. Następnego ranka zastała olbrzymiego, przypominającego szczura stwora, wężącego wokół biurka. Krzyknęła, lecz nie ze strachu, a raczej z zaskoczenia. Kipp Gordon wpadł do sali, w chwili gdy biedny opos wdrapywał się na okienny parapet. Szyderczy śmiech chłopca wciąż dźwięczał jej w uszach. Ten chłopak oznaczał kłopoty.

Omióttszy po raz ostatni wzrokiem salkę lekcyjną, wyszła na zewnątrz, starannie zamykając za sobą drzwi. Dwupiętrowy,

okazały dwór stojący na wzniesieniu stanowił centralny punkt posiadłości. Nieco dalej mieściły się dwie kuchnie i wędzarnia. Wyłożone kostką ścieżki prowadziły do stajni z rasowymi końmi, kuźni, magazynów i kolonii chat dla trzydziestu kilku Murzynów.

Poza obszarem zabudowań znajdowało się pastwisko dla krów i ogród warzywny. W pobliskich lasach buszowały półdzikie świnie. Przez całą żyzną dolinę ciągnęły się pola kukurydzy, bawełny, tytoniu, pszenicy, owsa i indygo oraz sady owocowe. Pod nieobecność Willa Gordona pracy na polach doglądał jego szwagier, George Murphy.

Wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem domu należały do Victorii Gordon. Jak Eliza zdążyła się zorientować, obejmowały one niezwykle szeroki zakres prac, poczynając od ogrodu warzywnego, krów, po opiekę nad Murzynami. Zwłaszcza ta ostatnia zajmowała wiele czasu. Trzeba było przecież nakarmić, odziać i opatrzyć ponad trzydzieści osób. Już pierwszego ranka Eliza była świadkiem, jak Victoria Gordon rozdziela tygodniowe racje, a kolejka czarnych kobiet czeka z drewnianymi koszykami, by wypełnić je mąką, marynowaną wieprzowiną, peklowaną wołowiną, wędzoną szynką i wieprzową łopatką z zapasów zgromadzonych w przydomowej piwnicy.

Victoria Gordon rzadko miała okazję, by usiąść. Wyjątkiem były posiłki. Tysiące spraw wymagało jej obecności. Eliza zrozumiała, skąd bierze się wyraz udręki i zmęczenia w oczach pani domu.

Zaczynało zmierzchać, przyspieszyła więc kroku. W okiennych szybach dworu odbijało się złocistopurpurowe słońce, chylące się ku zachodowi.

Kiedy weszła do hallu, uderzyła ją przytłaczająca cisza. Zatrzymała się u stóp majestatycznych schodów prowadzących na piętro. Jakoś nie miała jeszcze ochoty wracać do swego pokoju. Ogarnęła ją tęsknota za domem i nagle poczuła się bardzo samotna. Brak jej było towarzystwa matki i wieczornych z nią rozmów.

Na schodach usłyszała ciche kroki. Uniosła głowę i zobaczyła nianię z wydatnym biustem, którą nazywano tu Czarną Cassie.

- Dobry wieczór, Cassie, - Eliza podświadomie ominęła przydomek „Czarna”. Kojarzył jej się z krową, którą kiedyś mieli,

a która nazywała się Brązowa Bessie. Choć Murzyni różnili się od białych kolorem skóry, Eliza nigdy ich źle nie traktowała.

Służąca zeszła na dół po schodach.

- Czy życzy sobie pani czegoś, panno Lizo?

- Nie, dziękuję, Cassie.

Kobieta skinęła głową i odeszła. Eliza zaczęła wchodzić na górę, lecz zatrzymała się, kiedy jej wzrok padł na salon i stojący w nim fortepian z różanego drzewa. Ani razu od swego przybycia nie usiadła przy klawiaturze dla własnej przyjemności, chociaż otrzymała na to zgodę Victorii.

Wiedziona impulsem weszła do salonu i usiadła przy fortepianie. Poprawiła fałdy sukni, podniosła klapę i postawiła stopę na pedale. Kiedy dotknęła klawiatury, poczuła, że wstępuje w nią nowe życie. Zaczęła grać swój ulubiony nokturn. Palce tańczyły lekko po klawiszach, a ciało kołysało się łagodnie w takt cichej, uspokajającej muzyki.

Kiedy ucichły ostatnie akordy, rozpoczęła następny utwór, nie dopuszczając, by dom spowiła cisza. Grała jedną melodię za drugą, wydobywając z pamięci utwory Bacha, Beethovena i Mozarta, zwalniając tempo tylko wtedy, kiedy nie była pewna jakiegoś taktu.

Gdy w salonie zapadła ciemność, zapaliła dwie świece, ustawiła je na fortepianie i znów zaczęła grać.

Zakończyła koncert fugą Bacha, której interpretację uznała za wyjątkowo udaną, choć zrobiła parę błędów technicznych. Nie zdjęła palca z klawisza, przytrzymując ostatni dźwięk, by wybrzmiał do końca, po czym spuściła ręce na kolana. Siedziała przez chwilę bez ruchu, mając myśli przepełnione nastrojową muzyką.

- Proszę jeszcze coś zagrać - rozległ się męski głos. - To takie piękne.

Uniosła głowę zaskoczona. W drzwiach salonu dostrzegła opartą o framugę ciemną postać. Światło świec nie docierało tak daleko, wydobywając z mroku jedynie zarys sylwetki. Odniosła wrażenie, że jest to wysoki i silny mężczyzna. Kiedy wyprostował się, jego postać stała się jakby wyraźniejsza. Przez chwilę sądziła, że to Błade. By się upewnić, wzięła mosiężny świecznik i uniosła go nad głowę.

- Kim pan jest? I co pan tu robi? - zapytała ostrym tonem.

Mężczyzna wszedł w krąg światła. Ubrany był w obcisłe spodnie i czarny długi surdut. Drgający płomień świecy zatańczył na twarzy i błysnął we włosach koloru cynamonu.

- To jest mój dom - odparł po prostu.

- Pański dom? - powtórzyła Eliza ze zdziwieniem. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że to może być Will Gordon.

- A pani jest zapewne nową nauczycielką, Elizą Hall.

- Tak. - Opuściła świecznik, nieco speszona swym nieporządnym wyglądem, lecz zdecydowana tego nie okazywać. - Nie wiedziałam, że pan wrócił.

- Przyjechałem zaledwie przed kilkoma minutami.

Jakby na potwierdzenie tych słów do salonu wpadła Tempie. Na koszulę miała narzucony bawełniany szlafrok, a rozpuszczone włosy opadały czarną kaskadą na ramiona i plecy. Zatrzymała się na widok ojca, a twarz rozjaśniła się dziecięcą radością.

- Jak to dobrze, że już wróciłeś.

- Tak. - Spojrzał na Tempie wzrokiem pełnym ojcowskiej miłości.

Podeszła do niego, po czym popatrzyła na Elizę i zobaczyła, że niesforne loki wymknęły jej się spod koka, nadając twarzy dziewczęcy wygląd. To była prawdziwa Eliza Hall, uczuciowa i żywa, pomimo sztywnej pozy, która usiłowała przybrać.

- Kiedy usłyszałeś muzykę, pewnie pomyślałeś, że to ja gram? - zapytała Tempie, patrząc na ojca z rozbawieniem.

- Wiedziałem, że to nie możesz być ty. Takiej muzyki nigdy tu nie słyszałem - odpowiedział z uśmiechem.

- Wkrótce już nie będziesz mógł tak mówić - odrzekła. - Panna Hall daje mi lekcje gry na fortepianie i niebawem będę grała tak pięknie jak ona.

- Miejmy nadzieję, -A Uniósł brew z żartobliwym sceptycyzmem.

- Pańska córka jest zdolną uczennicą - powiedziała szybko Eliza.

Skinął głową z powagą i odpowiedział uprzejmie:

- Miło mi to słyszeć, panno Hall. Proszę mi powiedzieć, jak się miewa Payton Fletcher?

- Doskonale - odparła sucho.

- Czy jego oczy nadal spoglądają tak przenikliwie, a uśmiech jest tak samo szeroki?

- Rzeczywiście, można tak to ująć. - Uśmiechnęła się, słysząc trafną charakterystykę prawnika ze Springfield. - Prosił, bym przekazała panu serdeczne pozdrowienia.

- Dawno go nie widziałem. Jutro do niego napiszę. - Spojrzał na Tempie i uśmiechnął się z przymusem. - Skoro Payton Fletcher stał się dżentelmenem z zieloną teczką, może będzie mi potrzebna jego rada.

Było to miejscowe określenie prawnika. Choć w głosie Willa Gordona brzmiało rozbawienie, na twarzy malowało się napięcie i wyczerpanie.

- Widzę, że zmęczyła cię długa droga. - Tempie dotknęła z troską ramienia ojca. - Jadłeś już?

- Matka coś dla mnie szykuje.

- Zobaczę, czy już przygotowała.

Wiedziała równie dobrze jak ojciec, że posiłek może odejść na plan dalszy, jeśli tylko któreś z dzieci zawoła matkę. Było to coś, czego Tempie nie pojmowała, niemniej jednak zdarzało się często.

- Jeśli pan pozwoli, panie Gordon, to pójdę do swojego pokoju — odezwała się Eliza Hall i nie czekając na odpowiedź, wyszła z salonu.

Will został sam. Poczul, jak przytłacza go panująca wokół cisza. Dobry nastrój przysł. Chcąc się trochę odprężyć, podszedł do okna i zapatrzył się w panującą na zewnątrz ciemność. Czirokezi uważali, że czerń jest kolorem zachodu. Legenda głosiła, że tam właśnie ziemia połyka słońce. Odwrócił się od okna, podszedł do fortepianu i uderzył w jeden z klawiszy.

Ponownie stanęła mu przed oczami nowa nauczycielka, taka jak ją pierwszy raz zobaczył. Siedziała przy fortepianie i przesuwała palcami po klawiszach, kołysząc się w takt muzyki. Na twarzy otoczonej aureolą ciemnobrązowych loków zauważył zachwyt i uniesienie. Cofnął się myślami w przeszłość, do wakacji, które spędził w rodzinnym domu Paytona Fletchera w Massachusetts. Jego matka prawie co wieczór grała na fortepianie, akompaniując synowi, który uwielbiał śpiew.

To było dawno temu. Bardzo dawno.

Westchnął, powiódł wzrokiem po pustym salonie i ruszył w kie-

runku drzwi. Dziś wieczór nie chciał być sam ze swymi myślami. Z hallu dobiegł go uporczywy kaszel. Victoria, pomyślał z niepokojem. Była w saloniku. Wyglądała niczym cień kobiety, którą poślubił przed osiemnastoma laty.

Uśmiechnęła się blado.

- Kolacja jest gotowa.

- Wspaniała wiadomość dla zgłodniałego człowieka - odpowiedział, po czym wszedł wraz z żoną do jadalni.

U szczytu stołu płonęły trzy świece w srebrnych kandelabrach. Will zasiadł na swoim miejscu.

Do pokoju weszła Tempie z dzbankiem w rękę.

- Napijesz się zimnego jabłecznika, ojcze? — zapytała.

- Z przyjemnością. - Rozłożył serwetkę na kolanach. Tymczasem Tempie napełniła kieliszek i odstawiła dzbanek na kredens.

- Czy masz wszystko, czego ci trzeba? - zapytał Victoria.

Uniósł wzrok znad talerza z zimną wieprzowiną i kukurydzianym chlebem. Światło świec łagodziło jego napięte rysy, nadając twarzy młodzieńczy wygląd.

- Usiądź i dotrzyмай mi towarzystwa.

Victoria pokręciła głową.

- Muszę wracać do małego Johna. Jest dziś niespokojny.

Przez chwilę Will miał ochotę zaprotestować. Tyle miał jej do opowiedzenia o spotkaniu w parlamencie, o tym, co usłyszał od innych uczestników, o kłopotach ze strażnikami stanowymi z Georgii i rozbojach, jakich dopuszczali się kurierzy pocztowi. Wiedział jednak, że mało ją to obchodzi, więc powstrzymał się i utkwiał wzrok w talerzu.

- No to idź do Johna - powiedział starając się zachować spokój. Wziął kieliszek z jabłecznikiem i podniósł go do ust.

- Nie chcesz posłuchać, co postanowił parlament, mamó? — zapytała Tempie, kiedy Victoria ruszyła do drzwi.

- Cokolwiek postanowił, jestem pewna, że będzie to dobre dla naszego ludu - odparła, lecz na jej twarzy malowała się obojętność.

Tempie odsunęła krzesło i usiadła.

- Opowiedz mi o wszystkim, ojcze. Bardzo chciałabym wiedzieć - poprosiła z błyskiem tłumionego gniewu w oczach, kiedy matka wyszła z jadalni.



Will przyglądał się córce, która z dziecka zmieniała się w kobietę. Podejrzewał, że wyczuwa, co stało się z jego małżeństwem, i dostrzega brak wzajemnego zrozumienia rodziców. Jak potrfiła, starała się zapełnić powstałą pustkę i zastąpić matkę.

Nie zawsze tak było między nimi. Kiedy się pobrali, ich wspólne życie było szczęśliwe. Cieszyli się z przyjścia na świat Tempie, a kiedy następne dziecko zmarło w kilka godzin po urodzeniu, wspierali się w smutku. Niestety po stracie następnego dziecka ich drogi zaczęły się rozchodzić.

Na szczęście mieli czwórkę zdrowych dzieci, ale jednak pięcioro pochowali. Victoria zamykała się w sobie wraz ze śmiercią kolejnego dziecka i coraz bardziej odsuwała od męża. W końcu stali się dwojgiem ludzi, którzy wprawdzie mieszkają pod jednym dachem, spożywają wspólnie posiłki, lecz żyją własnym życiem.

Dzieci były dla Victorii całym światem. Z każdym dniem stawały się jej coraz droższe. Nie mogła się z nimi rozstać choćby na jeden dzień.

Rozumiał to. Dlatego zatrudnił nauczycielkę, by nie wysyłać dzieci do szkół. Ta decyzja wiązała się z dużymi wydatkami i zapewne nie była najmądrzejsza, biorąc pod uwagę obecną sytuację.

Nie zastanawiając się dłużej, zdał Tempie relację z obrad w parlamencie, pomijając jedynie te szczegóły, które mogłyby ją zaniepokoić. Z dumą słuchał inteligentnych pytań, jakie mu zadawała, i na wszystkie udzielał odpowiedzi. Kiedy wreszcie oboje umilkli, jego talerz był pusty, a głód zaspokojony.

- Dobrze być znowu w domu - powiedział z zadowoleniem.  
- Cieszę się, że już jesteś - odparła, zbierając naczynia i stawiając je na kredensie. - Słyszałeś, że Blade wrócił? - rzuciła przez ramię.

Uśmiechnął się, słysząc udaną obojętność w jej głosie.

- Czy jesteś z tego zadowolona?

- Zależy od tego, czy zostanie - odpowiedziała z uśmiechem, który zdawał się mówić, że już ona się o to postara.



Słońce stało wysoko na niebie. W taki upalny dzień nie sposób było wytrzymać w małej salce lekcyjnej. Stojąca w cieniu z tyłu domu, Tempie obserwowała, jak nauczycielka idzie przez trawnik, prowadząc za rękę dziewczęta. Wkrótce dogonili je chłopcy, tworząc beztroską, wesołą grupkę.

Tempie często przyglądała się, jak Eliza bawi się z dziećmi. Zachowywała się wtedy tak swobodnie jak jej młodzi uczniowie. Trudno było uwierzyć, że jest to ta sama poważna kobieta, która prowadzi lekcje w szkole. Wspominając płonąca radością i podnieceniem oczy nauczycielki, Tempie zauważyła, że tylko w obecności jej i matki Eliza zachowuje dystans i rezerwę.

Pół godziny później Tempie wyjechała ze stajni na swej ukochanej klaczy. Minęła rząd chat niewolników i skręciła w wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż pola. Klacz tańczyła i niecierpliwie przestępować z nogi na nogę, czekając na znak do szybszego kroku.

Przez krótki odcinek ścieżka biegła obok małej rzeczki przepływającej przez Gordon Glen. W prześwicie między wierzbami Tempie zauważyła Elizę Hall siedzącą w kucki na drugim brzegu w towarzystwie dzieci, którym coś pokazywała. Obok na piasku stała para trzewików z wystającymi z nich białymi pończochami. Sądząc z rozmiaru, buty należały do nauczycielki. Tempie pożało-

wała, że wcześniej tu nie dotarła. Byłaby wówczas świadkiem, jak zawsze nieskazitelna panna Hall brodzi w wodzie.

Trzymając się ocienionej strony ścieżki, wprowadziła kłacz w wolny kłus. Przed sobą miała połyskujące w promieniach słonecznych pole pszenicy. Tuż za nim rozciągało się pole tytoniu. Długie szerokie liście wyciągały się ku słońcu, starając się pochwycić ciepłe promienie. Nieco dalej chwiały się na wietrze żółte kity kolb kukurydzianych. Kiedy podjechała bliżej, zobaczyła pracujących na polu niewolników, kobiety i mężczyzn, którzy oczyszczali ziemię z chwastów. Ich plecy pochylały się miarowo w takt uderzeń motyki.

W cieniu orzecha Tempie dostrzegła ojca na swoim ulubionym wielkim wałachu z gwiazdką na czole. Skierowała kłacz w tamtą stronę, jak zwykle czując dumę na myśl, że ten mężczyzna jest jej ojcem.

- Myślałam, że cię tu znajdę. - Ściągnęła wodze i powiodła wzrokiem po polu, czując więź z ojcem. Rozumieli się bez słów. - Kukurydza pięknie wybujała.

- Powinniśmy mieć dobre zbiory.

- Czy będziemy w tym roku obchodzić Taniec Zielonej Kukurydzy?

- Nie.

Dostrzegł błysk rozczarowania w oczach córki i zapragnął nagle dać jej inną odpowiedź. Niestety nie mógł sobie pozwolić na zorganizowanie tej rokrocznie obchodzonej przez Czirokezów uroczystości. Zbyt dużo kosztowało go wybudowanie szkoły, zakup potrzebnych podręczników i pomocy naukowych, pensja nauczycielki i opłata za jej podróż. Żałował, że nie mógł zrobić córce przyjemności. Tempie była jego oczkiem w głowie. Sam się temu dziwił, bo przypuszczał, że to syn zajmie pierwsze miejsce w jego sercu. Ale Tempie tak bardzo przypominała ojca. Miała jego dumę i bystry umysł, odwagę, energię i uśmiech, który podbijał serca.

- Czy po to tu jechałaś, żeby zapytać mnie o festyn?

- Nie. Jestem dziś jakaś niespokojna. - Pochyliła się, poklepała smukłą szyję kłaczy i wygładziła zmierzwioną grzywę.

Will omiótł wzrokiem jej kobiecą sylwetkę pod perkaiewą suknią i jędrne, kształtne piersi.

- Nie wyjeżdżaj dziś poza teren Gordon Glen. - Nim zdążyła coś powiedzieć, dodał: - W okolicy kręcą się strażnicy stajnowi.

- Skąd wiesz?

W jej ostrym pytającym spojrzeniu nie było strachu, jedynie zdziwienie. Uradowało go to.

- Byli na sesji parlamentu w New Echota.

- Czy sprawiali kłopoty?

- Nie. Stali tylko i obserwowali, jak te kruki skaczące po ogrodzeniu.

Wskazał na ptaki siedzące na płocie w odległości kilku jardów. Tempie wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację, ojczu. Oni są jak kruki czyhające na zdobycz. - Podjechała do płotu i spłoszyła ptaki. - I tak jak ja teraz przegnamy ich z naszej ziemi.

Will powstrzymał się od uwagi, że te kruki znowu krążą nad ogrodzeniem.

- Mogą sobie być krukami, ale są też mężczyznami, Tempie. Nie zapominaj o tym.

- Nie zapomnę.

Dała znak klaczy i koń pobiegł rażno naprzód. Will spoglądał w ślad za córką, przekonany, że nie złamie jego zakazu. Doskonale go rozumiała. Była uparta i pewna siebie, ale nie była ryzykantką. Kiedy zniknęła mu z oczu, skierował spojrzenie na pole.

Czując słoneczne promienie na plecach, Tempie odwróciła twarz, mrużąc oczy przed blaskiem i sprawdzając, z której strony świeci słońce. Westchnęła, bo było później, niż sądziła.

Niechętnie zawróciła w stronę domu, przecinając sad, by znaleźć się prędzej na głównej drodze. Przejazdzka nie uspokoiła jej. Przeciwnie, wzmożła tylko niepokój.

Kiedy wyjechała na drogę, klacz nagle zarżała i skoczyła w bok czymś przestraszona. Po chwili Tempie usłyszała stłumiony odgłos kopyt na twardej ziemi. Pamiętając o ostrzeżeniu ojca, zjechała na bok i ukryła się w gęstwinie. Spłoszona świnia umknęła przerażona, chrząkaniem ostrzegając inne o niebezpieczeństwie.

Na drodze pojawiło się dwóch jeźdźców i koń ciągnący powozik. Tempie z radością rozpoznała Blade'a i jego czarnego służącego imieniem Deuteronomy. Zawsze podziwiała tego wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę i dziś znowu doszła do wniosku, że Blade wspaniale prezentuje się na koniu.

Kiedy miała tyle lat co jej siostra Xandra, pragnęła, by ten błękitnooki młodzieniec zwrócił na nią uwagę. Tymczasem on żartował sobie z niej bezlitośnie. Nie przeszkadzało to Tempie uważać Blade'a za najwspanialszego mężczyznę na świecie.

Kiedy przed trzema laty wyjechał na Północ do college'u, była dumna z jego osiągnięć i bardzo za nim tęskniła. Gdy zbuntował się przeciw ograniczeniom, jakie nakładało na niego szkolne życie i opuścił college, miała mieszane uczucia. Był to cios dla jego ojca, Shawano Stuarta, który podzielał przekonanie Willa Gordona, że najważniejsze w życiu jest wykształcenie.

Mogłaby wybaczyć rozczarowanie, jakie sprawił ojcu, gdyby zajął się tym, co do niego należało. Lecz on wrócił tylko po to, by ponownie wyjechać do Tennessee, Kentucky i obu Karolin, a potem w góry do obozów poszukiwaczy złota.

Teraz znowu wrócił, lecz na jak długo? Czy kiedykolwiek zdecyduje się osiąść na stałe i wypełniać obowiązki względem rodziny i narodu? Czy kiedykolwiek zdecyduje się na żonę i dzieci? Na nią?

Westchnęła zirytowana i wyjechała z lasu. Omijając wzrokiem Blade'a, uśmiechnęła się do mężczyzny w powoziku. Czarne włosy Shawano Stuarta poprzetykane były siwizną. Szeroką twarz przecinały linie zmarszczek, ale spojrzenie błękitnych oczu pozostało równie przenikliwe i uważne jak syna.

- Wiele czasu upłynęło, odkąd was ostatni raz widziałam, Shawano Stuart - powiedziała w języku czirokeskim.

Stuart znał dość dobrze angielski, lecz wymowa sprawiała mu kłopoty.

- Czy ja dobrze widzę? Tempie? - odparł Shawano Stuart, gestykulując rękami w typowy dla Czirokezów sposób. - Wyrosłaś na kobietę o urodzie i wdzięku łabędzia.

- Potrafi też syczeć jak on - skostatował sucho Blade. - Może dlatego nikt jeszcze nie uczynił jej swoją żoną.

- Skąd możesz wiedzieć, skoro nigdy nie ma cię w domu? - odparowała.

Shawano zachichotał, słysząc tę ostrą wymianę zdań.

- Będziecie mieli jeszcze dość czasu, by ostrzyć sobie języki. Tymczasem spieszo nam do twojego ojca.

- Rozstałam się z nim na polu kukurydzy. Zajrzyjcie tam, zanim pojedziecie do domu — powiedziała zawracając klacz.

- Dokąd jedziesz? - zapytał ją Blade, marszcząc brwi.

Wiatr przyniósł ciężki zapach drzew owocowych.

- Do sadu - odparła bez namysłu.

- W okolicy kręcą się strażnicy z Georgii.

- Więc lepiej jedź z twoim ojcem - odparowała.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła kłusem. Uśmiechnęła się zadowolona, słysząc za sobą stukot kopyt.

Zatrzymała się pod jabłonią i zsiadła z konia, by zerwać zielony jeszcze owoc ze zwieszającej się nisko gałęzi. Blade zeskoczył z siodła i zebrał wodze. Tempie wbiła zęby w jabłko i nagle wszystko wydało jej się intensywniejsze — cierpki smak owocu, unoszący się w powietrzu zapach jabłek i... odgłos kroków Blade'a. Odwróciła się do niego, czując, jak pulsuje w niej życie.

- Powinieneś pojechać z ojcem. W Gordon Glen nic mi nie grozi - oznajmiła, po czym odrzuciła jabłko. - Muszę powiedzieć mamie, że jabłka nie nadają się jeszcze do zrywania. - Z tymi słowy ruszyła przed siebie, prowadząc klacz za uzdę.'

Blade zawahał się i podążył za nią. Z trudem rozpoznawał w Tempie dziewczynę, którą niegdyś znał. Pozostały z niej jedynie dumna postawa i wyzwanie malujące się w czarnych oczach. Natomiast reszta - płaski biust, dziecięcy zapał i niewinne piękno — zniknęła. Ich miejsce zajęła niepokojąca kobiecość.

- Nie powinnaś być taka pewna, że w Gordon Glen jesteś bezpieczna - powiedział, zaskoczony własną szorstkością. - Ci ludzie napadają również na nasze domy.

- Wiem - rzuciła beztrąsko. - Czytałam o tym w naszej gazecie. W „Cherokee Phoenix” pełno jest opowieści o płądrowaniu domów, kradzieżach inwentarza, paleniu zbiorów, biciu i chłostaniu ludzi, napadaniu i gwałceniu kobiet, a wszystko to odbywa się bezkarnie.

Pierwszy numer ich narodowej gazety ukazał się przed z górą dwoma laty i był przedmiotem dumy wszystkich Czirokeżów. Artykuły w niej zamieszczane drukowano po angielsku i po czirokesku, dzięki sylabariuszowi opracowanemu dziewięciu laty przez czirokeskiego złotnika Sekwoję. Autor pierwszego indiańskiego pisma sylabicznego posługiwał się czasami angielskim nazwiskiem George Guess. Dane szacunkowe określające liczbę Czirokeżów umiających czytać i pisać w rodzimym języku znacznie się między sobą różniły. Jedne oceniały ją na dziewięćdziesiąt procent, inne zaś mówiły zaledwie o pięćdziesięciu. Wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że dzięki sylabariuszowi Sekwoi każdy Czirokez mógł nauczyć się czytać i pisać.

Bez względu na to, jaka była prawdziwa liczba Czirokeżów umiających czytać i pisać, to i tak przewyższała ona liczbę piśmiennych osadników z Georgii - dawnej brytyjskiej kolonii karnej, której początki sięgały zaledwie trzech pokoleń.

- Ty tylko czytałaś o takich zdarzeniach - powiedziała Blade. - A ja byłem ich świadkiem w czasie moich podróży. I mogę cię zapewnić, że osadnicy z Georgii bardzo lubią zabawiać się z naszymi kobietami.

Na samą myśl o tym, że jakiś plugawiec mógłby dotknąć Tempie, ogarnął go gniew.

- Powinieneś więc zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić - odparła, zatrzymując się i obracając twarz w jego stronę.

- Niewiele można tu zrobić.

- Więc najlepiej siedzieć z założonymi rękami.

- A co według ciebie mógłbym zrobić? - rzucił gniewnie, zirytowany krytyczną nutą brzmiącą w jej głosie.

- To samo, co nasi ojcowie: spotykać się, dyskutować i szukać sposobu na rozwiązanie problemu. Ale ciebie to nic nie obchodzi.

- Odwróciła się i ruszyła dalej. - Na jak długo tym razem przyjechałeś?

- Może zostanę tu jakiś czas.

- Naprawdę?

- Zależy ci na tym?

- Nic się nie zmieniłeś - odparła chmurnie. - Unikasz zobowiązań i odpowiedzialności. Przychodzisz i odchodzisz, myśląc jedynie o sobie.

Chwycił ją za rękę.

A jeśli bym został, to co? - Poczł pod palcami szybkie uderzenia pulsu. Puścił wodze, objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. - Czy czarny łabędź przestałby na mnie syczeć?

- Może - odparła wolno.

Zdawał sobie sprawę, jak bardzo go podniecają jej jędrne, krągłe piersi i bliskość pełnych warg. Rozchyliły się lekko, kiedy zaczęła szybciej oddychać. Robię to tylko z ciekawości, pomyślał, po czym pochylił się i przywarł do jej ust.

wargi miała niezwykle delikatne, lecz cierpkie od jabłek. Zapraęnął wnikać głębiej i zlizać tę cierpkość, by posmakować prawdziwej słodyczy. Jej usta poddały się, jednak to on czuł się pokonany.

Eliza siedziała na przegniłej kłodzie i usiłowała wciągnąć pończochę, która przykleiła się do mokrej stopy. Kiedy w końcu jej się to udało, była zgrzana i mokra od potu, jak wtedy kiedy wchodziła do strumienia.

Teraz przyszła kolej na trzewiki. Gdy pochylała się, by zawiązać sznurowadła, wypadła jej szpilka z włosów i poczuła, że za chwilę gęste sploty wymkną się spod koka. Chwyciła pospiesznie szpilkę, by wsunąć ją na miejsce.

W tym momencie na ścieżce biegnącej wzdłuż strumienia rozległ się turkot kół i odgłos końskich kopyt. Zmarszczyła brwi. Niewolnicy zwykle później wracali z pól. Jej oczom ukazał się powozik i dwóch jeźdźców.

Jednym z nich był Will Gordon. Wciągnęła gwałtownie powietrze, myśląc w panice o potarganych włosach. Dlaczego dała się namówić dzieciom, by zejść nad strumień? Nie wyglądała jak przystało na nauczycielkę.

- Tato! Tato! - krzyknęła Xandra, wybiegając na spotkanie ojcu.

Kipp i chłopcy natychmiast zostawili żółwia, którego właśnie znaleźli, i pobiegli za nią.

Kiedy Will Gordon spojrział w jej stronę, Eliza wiedziała, że zaraz do niej podejdzie. Pochyliła się i zaczęła zawiązywać sznurowadła, mając nadzieję, że jeśli będzie milczała, on nie nawiąże rozmowy.



Słyszała chór dziecięcych głosów, lecz całą uwagę skupiła na odgłosie końskich kopyt. Jeździec właśnie się zatrzymał. Nie podniosła głowy, choć cała krew spłynęła jej do twarzy.

Mocno zawiązała trzewiki, zdając sobie sprawę z tego, że zbyt długo mitręży przy butach, wreszcie uniosła niechętnie głowę i spojrzała na Willa Gordona. Mała Xandra siedziała już przed nim na siodle.

- Nie macie dziś lekcji po południu?

Chociaż pytanie było skierowane do córki, wiedziała, iż przeznaczone jest dla niej. Zrobiło jej się słabo na myśl o tym, że Will Gordon może ją posadzić o zaniechywanie obowiązków. A nawet gorzej - o uchylanie się od nich.

- W takie upalne popołudnia nie sposób wytrzymać w szkole, panie Gordon. Dzieciom trudno jest się skupić na lekcjach.

- Czy wiesz, tatusiu, dlaczego świerszcz cyka? — Xandra odwróciła głowę w stronę ojca. Twarzyka płonęła jej niezwykłym podnieceniem. - Pociera nogę o nogę i skrzypi, jakby piłował drzewo. Panna Hall nam to powiedziała. Ona wie różne rzeczy - dodała, po czym umilkła zawstydzona, kiedy zauważyła, że wszyscy jej słuchają.

- Kiedy się tego dowiedziałas?

- Dziś po południu - przyszła jej z pomocą Mary Murphy. - Kipp złapał świerszcza i chciał wyrwać mu nogi. Panna Hall powiedziała, że nie wolno, bo to są jego instrumenty muzyczne... jak fortepian.

- Bo to jest jego instrument muzyczny — poprawiła nauczycielka.

- Bo to jest jego instrument muzyczny - posłusznie powtórzyła Mary.

Will spojrzął na Elizę Hall i pomyślał, że wcale nie traciła tu czasu na zabawę. O dziwo nauczycielce udało się wzbudzić zainteresowanie jego najmłodszej córki. Już dawno pogodził się z faktem, że Xandra nie jest tak bystra jak starsze rodzeństwo. Czuł, że dziewczynka o tym wie i zamiast starać się temu zaradzić, kryje się pod maską nieśmiałości i rezerwy.

Zatrzymał się przy nich powozik.

- Shawano - Will odwrócił się do swego gościa i przez szacu-

nek dla starego przyjaciela i sąsiada mówił po czirokesku. - To jest nauczycielka, którą zatrudniłem, panna Eliza Hall z Massachusetts. - Następnie przetłumaczył to Elizie na angielski, dodając: - Panno Hall, przedstawiam pani Shawano Stuarta, starego przyjaciela rodziny. Wraz ze swym synem będzie dziś u nas na kolacji.

- Miło mi pana poznać, panie Stuart.

- Mój syn wspominał mi o pani, panno Elizo Hall - powiedział Shawano po angielsku. W przenikliwych niebieskich oczach błysnęła wesoła iskierka. - Powiedział, że pani włosy kręcą się jak strużyny. Moje oczy mówią mi, że to prawda.

Obserwując rumieniec zawstydzienia na twarzy nauczycielki, Will stłumił w sobie chęć uśmiechu.

- Panna Hall gra na fortepianie. Może da się namówić, by zagrała nam dziś wieczór.

- Z przyjemnością zagram dla pana, panie Stuart - powiedziała Eliza ze ściśniętym ze strachu sercem. - A teraz proszę wybaczyć. Czas, by dzieci wróciły do lekcji.

Will postawił Xandrę na ziemi.

- Do zobaczenia na kolacji, panno Hall.

# 5



Sawano Stuart stukając laską o podłogę w jadalni pokuśtykał w stronę krzesła. Rana, jaką otrzymał przed łąty w bitwie, uczyniła go kaleką do końca życia. Will natychmiast pospieszył z pomocą przyjacielowi, lecz Blade już był przy nim i odsunął krzesło, wspierając ojca silnym ramieniem.

Patrząc na niego, Will nagle poczuł się stary. Ten wysoki szczupły, dobrze zbudowany młody mężczyzna przykuwał do siebie uwagę wszystkich. Jednak Will najbardziej zazdrościł mu odwagi błyszczącej w niebieskich oczach. Blade robił wrażenie kogoś, kto natychmiast wciela myśli w czyn, lecz nigdy nie robi tego lekko-myślnie czy pochopnie. Will czuł, że Blade nie należy do ludzi działających bez zastanowienia, czego dowodem był jego ostatni wyczyn na złotodajnych terenach pod Dahlonegą.

Według relacji Shawano został on dwa razy aresztowany przez policję stanową za niezgodne z prawem wypłukiwanie złotego kruszcu na terenach należących do Czirokezów, do których rościły sobie pretensje władze Georgii. Dwa razy Blade przekazał złoto czarnemu służącemu, przekonany, że milicji nie przyjdzie do głowy, iż mógłby powierzyć majątek niewolnikowi.

Will nie wątpił, że Blade jest inteligentny i sprytny. Był nawet gotów wybaczyć mu, iż sprzeciwił się woli ojca i przed dwoma laty porzucił szkołę.

Jednak uśmiech młodego śmiałka wyrażał coś, co Will odczytał jako brak rozwagi i nieroztropność.

Gospodarz domu zajął swoje miejsce u szczytu stołu, myśląc jednocześnie, co by zrobił Blade, gdyby wiedział, jak poważna jest sytuacja. Jeśli mają przetrwać ten trudny czas, potrzeba im więcej takich ludzi jak ten młody mężczyzna.

Will i Shawano często rozmawiali o przyszłości swoich dzieci i narodu. Obaj zgadzali się, iż dawne czasy minęły bezpowrotnie; nowi przywódcy muszą umieć czytać i pisać po angielsku i dorównywać wykształceniem ludziom z Waszyngtonu. Stary porządek ustępował miejsca nowemu.

Will spojrzął na córkę i pochwycił gorące spojrzenie, jakie wymieniła z Blade'em. Zaczął ich obserwować i w oczach Blade'a dostrzegł płonąca namiętność, Tempie zaś promieniowała kobiecością. Tak niedawno myślał o tym, że stała się już dorosłą kobietą, a teraz miał na to dowód.

- Powiedz mi, Will - odezwał się Shawano Stuart, wytrącając go z zamyślenia - co postanowił parlament? Czy zdecydował wysłać delegację na spotkanie z prezydentem w jego domu w Tennessee?

- Ze względu na pannę Hall powinniśmy rozmawiać po angielsku - wtrąciła Victoria, zanim Will zdążył otworzyć usta. - Oña nie rozumie naszego języka.

- Masz rację. Proszę nam wybaczyć. - Will spojrzął na nauczycielkę i przeszedł na angielski. - Parlament uznał, że nic nie osiągniemy spotykając się z prezydentem Jacksonem. Celem jego zaproszenia jest przedyskutowanie nowego traktatu, na którego mocy nasze obecne ziemie zostaną zamienione na ziemie na zachód od rzeki Missisipi. Nie chcemy nowego traktatu. Chcemy, aby rząd federalny dotrzymał zawartej z nami umowy, a o tym prezydent nie będzie rozmawiać.

Shawano skinął głową na znak, że się zgadza, po czym przeniósł wzrok na Elizę, która wolałaby nie uczestniczyć w rozmowie.

- Odkąd sięgnąć pamięcią, te ziemie należały do Czirokezów. Byliśmy tu jeszcze, zanim powstał rząd w Waszyngtonie. Jeszcze nim przybyli tu Anglicy i zanim pojawili się Hiszpanie. Byliśmy tu od zawsze.

- Skoro zawarliście układ, to nie mogą kazać wam stąd odejść.

Eliza nie miała niestety wielkiego doświadczenia w sprawach polityki, ale uważała, że jej stwierdzenie jest podyktowane logiką.

- Jeżeli Jackson tak postanowi, będziemy musieli stąd odejść.

Will Gordon odkroił gruby kawałek wędzonej szynki i położył go na talerzu Shawano.

- Wiele razy przychodzi mi teraz na myśl, że gdybym wówczas, kiedy walczyliśmy u boku Jacksona pod Horseshoe, wiedział, iż pewnego dnia stanie się naszym wrogiem, to zabiłbym go — oświadczył Shawano.

- Dlaczego walczyliście po stronie Andrew Jacksona? - zapytała Eliza nieco zszokowana tak brutalnym oświadczeniem.

- To było w 1812 roku, w czasie wojny z Brytyjczykami. Indianie z plemienia Krik zbuntowali się przeciw amerykańskim osadnikom w Alabamie — wyjaśnił Will. - Jackson był wówczas młodym generałem, dowodzącym milicją w Tennessee. Wielu Czirokezów zdecydowało się stanąć wówczas po jego stronie. Shawano i ja byliśmy wśród tych, którzy wzięli udział w bitwie pod Horseshoe Band nad Tallapoosa River.

- Powinna pani wiedzieć - odezwał się Blade — że właśnie czirokescy wojownicy przyczynili się do wygrania bitwy. Krikowie, w sile ponad tysiąca ludzi, wzniesli na wysuniętym pasie łądu, jaki utworzyła w tym miejscu rzeka Tallapoosa, palisadę. Czirokezi, stojący na drugim brzegu, mieli nie dopuścić do ucieczki Krików. Tymczasem Jackson zebrał pozostałych ludzi, jakieś dwa tysiące żołnierzy, z zamiarem przypuszczenia ataku na palisadę. Artyleria przez dwie godziny bezskutecznie bombardowała drewniany mur. Mój ojciec i inni Czirokezi zauważyli wówczas łodzie Krików na przeciwnym brzegu. Ridge wraz dwoma ludźmi przepłynęli rzekę i sprowadzili dwie łodzie. Dzięki tym i kilku innym łodziom przewieźli na drugi brzeg wszystkich czirokesckich żołnierzy i zaatakowali Krików od tyłu. Ci musieli się odwrócić, by powstrzymać atak, co pozwoliło Jacksonowi przypuścić szturm na palisadę.

- To właśnie w tej bitwie Shawano Stuart został zraniony w nogę — dodała Tempie.

- Rozumiem - szepnęła Eliza.

- Kiedy wróciłem do domu - podjął opowieść Shawano -

zostałem bydło rozkradzione, świnie zarżnięte, a pola spalone od pożaru lasu, który wzniecili żołnierze z amerykańskiej armii, w której szeregach przecież walczyłem. Mimo to nie przestałem wierzyć, że generał Andrew Jackson jest przyjacielem Czirokezów. — Uśmiechnął się chmurnie. - Kiedy został prezydentem, w swoim inauguracyjnym przemówieniu w waszym Kongresie oświadczył, że zainicjuje ustawę, która wezwie wszystkie indiańskie plemiona do przeniesienia się na Zachód „dla ich własnego dobra”. Czyż można się dziwić, że poczuliśmy się zdradzeni przez człowieka, którego niegdyś nazywaliśmy przyjacielem, panno Hall?

- Nie można. - Doskonale rozumiała gorycz brzmiającą w jego głosie.

- Ustawa ta upoważnia prezydenta do podpisania nowych traktatów, lecz wcale nie upoważnia go do gwałcenia wcześniej podpisanych — wyjaśnił Will Gordon. - Układ zawarty z waszym rządem gwarantuje nienaruszalność naszych ziem. Zgodnie z nim rząd w Waszyngtonie powinien chronić nas przed zaczepnymi akcjami, jakie podejmują teraz osadnicy z Georgii. Tymczasem Jackson odmawia nam pomocy. Jeremiah Evarts z Rady do Spraw Misji Zagranicznych w Bostonie poradził naszemu wodzowi, Johnowi Rossowi, by zwrócił się z tą sprawą do Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych. Nasz parlament polecił Rossowi wynająć odpowiednich prawników. Będziemy mieli jednak problem z opłaceniem ich, bo Ministerstwo Wojny nie chce przekazać do naszego banku pieniędzy przeznaczonych na renty. Twierdzi, że należy je wypłacić bezpośrednio do rąk zainteresowanych.

- I cóż w tym niewłaściwego? - Eliza uznała za logiczne przekazywanie ludziom należnych na mocy traktatu funduszy.

- Czy przebyłaby pani dwieście mil tylko po to, by otrzymać pięćdziesiąt centów? - odpowiedział Will pytaniem na pytanie. - Taka mniej więcej suma przypada na jedną osobę. W ten sposób Jackson usiłuje pozbawić nas niezbędnych funduszy na wniesienie naszej sprawy do sądu. Jedynym wyjściem pozostaje więc zebranie tylu pieniędzy, ile się da, a resztę próbować zdobyć gdzie indziej.

Eliza patrzyła na porcelanową zastawę, srebra, obficie zastawiony stół i siedzących wokół ludzi, którzy byli ubrani lepiej od niej,

i poczuła chaos w głowie. Przecież wszystko to, o czym się niedawno dowiedziała - o grabieżach, jakich dopuszczali się strażnicy ze stanu Georgia, o konfiskacie czirokeskich kopalń złota, o prawie zabraniającym Czirokezom występowania w sądzie stanowym i o działaniach podejmowanych przez rząd w Waszyngtonie - nie mogło być tylko stekiem kłamstw.

- Nie pojmuję tego - oznajmiła. - Dlaczego oni próbują zmusić was do opuszczenia tych terenów?

- To proste, panno Hall - powiedział Blade. - Osadnicy z Georgii dostrzegają bogactwo tych ziem: złoto, pola bawełny i kukurydzy, żyzne doliny, kwitnące gospodarstwa. Chcą to wszystko mieć dla siebie.

Uśmiech, z jakim to powiedział, złagodził nieco ostrość słów, ale Elizie natychmiast przyszło do głowy pytanie, które siłą rzeczy cisnęło się na usta: Po co Indianom to wszystko? Ogarnęło ją poczucie winy: nie tak dawno uważała wszystkich Indian za dzikusów.

- Ignorancja to straszna rzecz - stwierdziła, odpowiadając na swoje myśli.

- Może teraz zrozumie pani, jak się czujemy - powiedział Shawano. - Kiedyś biały człowiek powiedział Czirokezom, żeby odłożyli łuki i strzały i wzięli do ręki pług i motykę. Mówił, że powinniśmy brać z nich przykład, bo dzięki temu będziemy mogli żyć w zgodzie. Usłuchaliśmy tych rad. A teraz biały człowiek chce, żebyśmy dołączyli do Czirokezów z Arkansas i znowu zaczęli polować na zwierzynę.

- To śmieszne - oświadczyła impulsywnie, spoglądając na swego chlebobadawcę, ubranego w aksamitny surduty, białą koszulę i niebieski halsztuk. - Czyż można sobie wyobrazić pana Gordona polującego na jelenia z łukiem i strzałami w ręku?

Kiedy Blade wybuchnął głośnym śmiechem, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Po chwili śmiał się też Shawano. Wkrótce zapanowała powszechna wesołość. Eliza w końcu też zdobyła się na nieśmiały uśmiech.

- Mój mąż nie trzymał w ręku łuku od czasów, kiedy był w wieku Kippa - podjęła wątek Victoria. - Boję się, że zapomniał, jak się go trzyma.

To stwierdzenie wywołało kolejny wybuch śmiechu.

Czyszcząca w kuchni żelazny rondel Phoebe nastawiła ucha i przestała wyskrobywać przypalony tłuszcz. Spojrzała na wysokiego, szczupłego czarnego młodzieńca opierającego się o drzwi.

- jak myślisz, Deu, szczego oni się śmieją?

- Trudno powiedzieć. - Wyprostował się wolno i wszedł do kuchni. - Pan Stuart jest bardzo wesoły. I panicz Blade też często się śmieje.

Phoebe uważała jednak, że nikt nie ma ładniejszego uśmiechu od Deuteronomy'ego Jonesa. Kiedy się uśmiechał, tak jak teraz do niej, cała twarz mu jaśniała, a oczy robiły się jeszcze bardziej czarne i takie miękkie jak aksamitna suknia pani Victorii. Deuteronomy Jones był nie tylko najwspanialszym, najmądrzejszym, najpiękniejszym Murzynem, jakiego znała. Był też najmilszym ze wszystkich. Nie puszył się jak paw i nigdy się przed nikim nie płaszczyl.

- Pan Will rzadko się śmieje - powiedziała. - Jego usta się uśmiechają, ale oczy ma smutne.

- Dobrze cię traktuje? - Deu obrzucił ją uważnym spojrzeniem, odpychając cisnące się do głowy nieprzyjemne myśli. Nigdy nie zauważył na jej ciele śladów bata, ale panowie mogą inaczej znieważać swoje niewolnice. Phoebe była za młoda na to, by posiadał ją mężczyzna. Pod cienką sukienką kryło się ciało, które dopiero zaczynało się rozwijać.

Za to miała najpiękniejszą na świecie twarzyczkę. Wielkie czarne oczy połyskiwały w niej jak rzeka w nocy, oświetlona blaskiem księżyca. Policzki były krągłe niczym jabłka, a usta wyjątkowo kształtne.

Deu dawno już zwrócił na nią uwagę i czekał, aż dziewczynka dorośnie. Była jednak własnością Willa Gordona. Prawdopodobnie wyjdzie za mąż za któregoś z jego niewolników. Dwóch czy trzech było już na tyle dorosłych, by wziąć sobie żonę. Nie mógł spać, kiedy wyobrażał ją sobie z jednym z nich. Czuł wtedy, jak skręcają mu się wewnątrz.

- Dobrze mnie tu traktują - odpowiedziała. - Pani Victoria też. Ona jest bardzo chora. Mama mówi, że ten kaszel ją wykończy. I jeszcze ta okropna pogoda. Poczuje się lepiej, kiedy skończom się upały.

Słyszac odgłos kroków na ścieżce, Phoebe pochyliła się nad



rondlem i zaczęła energicznie wydrapywać tłuszcz. Tymczasem Deu podszedł do cebrzyka z wodą i zanurzył w nim czerpak. Do kuchni weszła Czarna Cassie. Obrzuciła Deu chmurnym spojrzeniem. Miał dziwne wrażenie, że kobieta doskonale wie, po co przyszedł do kuchni: na pewno nie po to, by się napić. Odłożył czerpak i wyszedł na zewnątrz.

— Co wy tu robiliście, kiedy mnie nie było?

Phoebe pochyliła się niżej nad rondlem, starając się uniknąć podejrzliwego wzroku matki.

— Nic, mamó. Tylko rozmawialiśmy.

— Mizdrzyłaś się do niego?

— Nie, mamó - odparła, oblewając się rumiericem.

— Ten człowiek sprowadzi na nas kłopoty. Nie zadawaj się z nim, słyszysz?

— Tak. - Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Deu miałyby sprowadzić na nich kłopoty. On nie jest zły. Nigdy nie słyszała, żeby planował ucieczkę. Lubił Stuartów. Bardzo często to powtarzał.

Słońce stało nisko nad grzbietami gór, oświetlając horyzont czerwoną barwą, kiedy Deu zatrzymał powozik przed głównym wejściem. Owinął lejce wokół barierki i wysiadł, by pomóc wsiąść swemu kulawemu panu.

Shawano odprawił go machnięciem ręki i sam wgramolił się do środka. Ułożył sztywną nogę w odpowiedniej pozycji, a obok postawił łaskę ze srebrną gałką.

— Dobrze było znowu z tobą porozmawiać, przyjacielu - powiedział na pożegnanie do Willa Gordona.

— Ty i twój syn jesteście zawsze mile widziani w moim domu.

Shawano skinął głową i patrzył, jak Błede wsiada na konia i podjeżdża do młodej kobiety stojącej na werandzie ozdobionej białymi kolumnami.

— To dobrze, że tak myślisz, Willu Gordonie - powiedział, dostrzegając wymowny wzrok Tempie: była w nim czułość i kokieteria. - Zdaje się, że jednego z nas będziesz teraz częściej widywał.

Uradowało go to, co zobaczył. Od dawna pragnął, by jego syn

zechciał wziąć za żonę córkę jego przyjaciela. Wierzył, że ten związek zaowocuje wspaniałym potomstwem. Każde z nich miało bystry umysł, dumę i silną wolę. Nie wyjawiał jednak swoich myśli.

- Na to wygląda - odparł Will Gordon, mierząc Blade'a surowym wzrokiem. - Ale ona jest jeszcze taka młoda.

- Jest kobietą. Wystarczy spojrzeć.

- Możliwe - powiedział Will z westchnieniem. - Ale ojciec zawsze widzi dziecko w swej córce.

- Możliwe. - Shawano uśmiechnął się lekko. - Ale to nie znaczy, że jest dzieckiem.

- Wiem.

Shawano popatrzył na syna i przypomniał sobie czasy, kiedy i on płonął namiętnością do kobiety. Ale to było dawno temu. Minione lata dały się we znaki nie tylko nodze. Uniósł rękę w geście pożegnania, zebrał lejce i strzelił nimi w koński zad. Powozik ruszył szparko w drogę powrotną do domu.

# 6



W górę, w dół, w górę, w dół. Phoebe rytmicznie unosiła tłuczek i opuszczała go na dno maślnicy, zatrzymując się jedynie po to, by odgonić natrętną muchę lub wytrzeć pot z twarzy. Panował nieznośny upał, a stojącego powietrza nie chłodził najbliższy nawet podmuch wiatru. Suknia przywarła do jej skóry niczym kleszcz do psa.

Nagle coś zaszleściło w krzewach azalii i Phoebe przerwała ubijanie, rada z chwili wytchnienia. Dostrzegła głowę młodszego brata.

- Jeszcze nie skończyłaś? - zaszeptał niecierpliwie.

Phoebe rzuciła ostrożne spojrzenie ku dworowi, po czym pokręciła głową.

- Ale jest tak goronco, że pewnie zara skończę - odszepnęła, starając się nie patrzeć w jego stronę.

- Zostaw to - kusił. - Nikt się nie dowie. Pani Victoria odpoczywa, a mama sprzonta salon. No chodź, bo stracimy cały ranek.

Zawahała się, wiedząc, co ją czeka, jeśli zostawi robotę. Lecz pokusa była zbyt wielka. Nie spuszczać wzroku z dworu, wpełzła między krzewy azalii. Razem przebiegli kłujący wyschnięty trwanik, schylając się nisko i kryjąc za drzewami. Zatrzymali się przy budynku szkoły. Phoebe starała się uspokoić przyspieszony oddech, czując, jak przez jej ciało przebiega dreszcz podniecenia,- po czym podpełzła za bratem do otwartego okna salki lekcyjnej.

Xandra sylabizowała właśnie litery alfabetu.

- A... be... ce... de... ef... gie...

- Zapomniała o E - wyszeptał Shadrach, po czym wziął patyk i zaczął pisać znaki na czerwonej ziemi. - To idzie tak. A... be... ce... de... e... ef... - Zatrzymał się i zmarszczył brwi. A jak wygląda litera „gie”?

Phoebe niestety nie mogła mu jej narysować. Nie miała czasu, by tak często się tu zakradać, jak to robił brat. Jako zbyt mały i drobny nie miał wielu obowiązków. Jej trudno było się wymykać, bo zaraz słyszała wołanie mamy lub pani Victorii. Chciałaby umieć stawiać znaki tak jak Shadrach, tymczasem zdążyła poznać jedynie „A”, „B” i „C” i to tylko dzięki bratu.

Shadrach wystawił głowę nad parapet, by móc zajrzeć do środka. Phoebe chwyciła go za ramię i ściągnęła w dół.

- Co robisz? Jak nas złapiom, dostaniemy baty.

Odepchnął niecierpliwie jej rękę.

- Zawsze tak robie i nikt mnie nie złapał. Puść. Musze się dowiedzieć, jak wyglondła „gie”.

Nieco ostrożniej tym razem uniósł się i zajrzał przez okno.

Eliza usłyszała dochodzące z tyłu sali szepty. Odwróciła się od Toma Murphy'ego, który czytał na głos tekst z elementarza i uważnie zlustrowała grupkę uczniów, szukając winowajcy. Nie mogła ich winić za ten brak koncentracji, upał nie sprzyjał nauce. Sama miała trudności ze skupieniem się. Wyobraźnia ciągle nasuwała jej przed oczy obraz chłodnego strumienia.

Otarła chusteczką kropelki potu błyszczące nad górną wargą i spojrzała na ostatnie okno. Nad parapetem zobaczyła ciemną główkę i parę czarnych oczu. To był ten murzyński chłopiec Shadrach. Nie po raz pierwszy już tu zaglądał. Zaciekawiona podeszła do okna.

Chłopiec zdążył zniknąć z pola widzenia. Staneła przy framudze i wyjrzała na zewnątrz, spodziewając się, że zobaczy tylko śmigające nogi. Tymczasem on siedział pod oknem i pisał coś patykiem na ziemi. Towarzyszyła mu jego siostra Phoebe.

- To jest „gie” — szepnęła z dumą i narysował nieporadnie coś, co miało przypominać literę G.

Eliza przyglądała się, jak Phoebe usiłuje niezdarnie naśladować brata.

Stukot końskich kopyt przerwał ciszę skwarne go poranka. Zerknęła na drogę biegnącą z tyłu szkoły. Jednocześnie pod oknem usłyszała kotłowanie i kiedy ponownie wyjrzała, dwójka czarnych dzieci pędziła co sił w stronę dworu. Patrzyła w ślad za nimi, rozważając w myślach to, czego była świadkiem.

- Panno Hall.

Odwróciła się od okna, czując znowu nieznośny upał. Przed nią stała Tempie.

- Czy może mnie pani zwolnić? Przyjechał do nas gość. Ojciec jest w polu, a mama odpoczywa. Muszę więc sama go powitać.

Eliza domyśliła się, że owym gościem jest Blade. Przez ostatni miesiąc często odwiedzał Gordon Glen. Nie dając Tempie bezpośredniej odpowiedzi, klasnęła w dłonie i oznajmiła uczniom:

- Koniec na dziś z lekcjami.

Unosząc suknię nad ziemią, Tempie przecięła biegiem trawnik, po czym zwolniła i statecznym krokiem ruszyła ku frontowi domu. Wychodząc zza rogu, czuła, jak mocno bije jej serce. Powodem nie był z pewnością wysiłek. Zatrzymała się i obserwowała, jak Blade zsiada z konia. Nie mogła oderwać oczu od smukłego męskiego ciała.

Pierwszy dostrzegł Tempie służący Blade'a. Powiedział coś swemu panu i ten się odwrócił. Kiedy zbliżyła się, poczuła, jak jego wzrok przeslizguje się po niej i rozpala skórę niczym dotyk. Dreszcze podniecenia przebiegły jej po ciele.

- Witam w Gordon Glen.

- Sama córka gospodarza przyszła mnie powitać. Jestem najszczęśliwszym z ludzi - ^słyszała niski pełen wewnętrzne go żaru głos.

Jego wzrok przyciągał niczym magnes. Podeszła bliżej, lecz zaraz stanęła, słysząc odgłos otwieranych drzwi frontowych. Na werandzie pojawiła się Czarna Cassie. Tempie spojrzała na Blade'a.

- Zostaniesz na obiedzie?

- Tak.

- Pan Stuart zje dziś z nami - oznajmiła służącej. - Dopilnuj, aby przygotowano dla niego nakrycie.

- Tak, panienko - odpowiedziała Czarna Cassie, nie ruszając się z miejsca.

- Może wejdziemy do środka?

Skinął głową i ruszył za Tempie do hallu. Każdym nerwem wyczuwała jego obecność, ale nie mogła go nawet dotknąć. W czasie jego częstych wizyt udawało im się zostać sam na sam zaledwie przez krótką chwilę. Zawsze w pobliżu była matka albo ojciec, albo siostra i brat, albo nauczycielka.

W hallu Tempie obrzuciła niecierpliwym spojrzeniem Czarną Cassie. Murzynka skłoniła z szacunkiem głowę owiniętą chustką.

- Powiem pani Victorii, że ma gościa - powiedziała.

- Nie - rzuciła ostrym tonem Tempie, po czym dodała już nieco spokojniej: - Niech odpoczywa. Sama dotrzymam towarzystwa panu Stuartowi. Możesz już odejść.

Upewniła się, czy służąca nie wejdzie po schodach na górę, po czym wzięła Blade'a za rękę i poprowadziła do salonu. Kiedy zostali sami, poczuła, jak jego palce ściskają jej dłoń. Serce zaczęło jej mocniej bić. Nie opierała się, gdy odwrócił ją do siebie i przyciągnął do piersi, otaczając talię silnym ramieniem. Uśmiechnęła się radośnie, oddychając głęboko. Tego właśnie pragnęła. Jej radość potęgowała świadomość, że on równie niecierpliwie czekał na ten moment.

W jego półprzymkniętych oczach błysnęła zaborczość i wyrzut.

- Chyba dałaś mi do wypicia napój miłosny.

- Jeśli tak, to ja też go wypijam. - Przesunęła dłońmi po jego torsie, wyczuwając pod tkaniną koszuli twarde mięśnie.

Kiedy przywarł wargami do jej ust, miała wrażenie, jakby naprawdę odurzył ją jakiś magiczny napój, który zmieniał jej ciało w płynną masę. Niczym innym nie potrafiła wyjaśnić ognia, który zapłonął w dole brzucha i sprawiał, że krew się burzyła. Każdym nerwem wyczuwała jego zapach, smak i drżenie przebiegające jej ciało pod wpływem dotyku jego rąk.

Eliza upewniła się, że wszystko jest na swoim miejscu, i wyszła z salki lekcyjnej w poranny upał. Posłyszała wesołe śmiechy dziew-

czynek, idących z chłopcami nad strumień. Postanowiła, że dziś nie będzie im towarzyszyć, i ruszyła w stronę dworu.

Kiedy mijała kuchnię, zobaczyła siedzącą w cieniu Phoebe zajęta ubijaniem masła. Głowę miała spuszczoną tak nisko, jakby chciała uniknąć rozmowy z nauczycielką. Chwilę później Eliza spostrzegła młodszego brata dziewczyny, jak skrada się wzdłuż ściany. Natychmiast ruszyła w jego stronę.

- Shadrach! - zawołała, nim zdążył jej umknąć. - Chodź tu do mnie. Chcę porozmawiać z tobą i twoją siostrą.

Podszedł do niej ociągając się. Phoebe przestała ubijać masło i spojrzała na brata z wyrzutem. Eliza niemal wyczuwała ich niepokój. Dlaczego? Przecież nie mieli powodu, by się jej obawiać.

- Co robiliście dziś pod oknem szkoły?

- Nic, psze pani - wymamrotała Phoebe.

Shadrach bosą stopą drażył małą dziurkę w ziemi.

- My tylko słuchaliśmy. Nie robiliśmy nic złego.

- Czy to ty pisałeś patykiem na ziemi?

- Tak, psze pani.

- Nie po raz pierwszy podsłuchujesz pod oknem, prawda? - Znała odpowiedź na to pytanie, ale ciekawa była, co oni mają na ten temat do powiedzenia.

- Prawda, psze pani - przyznał niechętnie.

- Dlaczego to robisz?

Spojrzał na siostrę, po czym zagryzł dolną wargę i wzruszył ramionami.

- Chcesz nauczyć się czytać i pisać, prawda? - domyśliła się.

Fanacy z Południa mogą sobie drwić i twierdzić, że murzyńskie dzieci są jak małpki, które potrafią jedynie naśladować to, co robią inni. W głębi duszy Eliza wiedziała, iż tak nie jest. Oto miała przed sobą dwa młode umysły żądne wiedzy. To jest zawsze dla nauczyciela najbardziej ekscytujące i porywające odkrycie.

- Czy powie panienka panu Willowi?

Phoebe skuliła ramiona, jakby czekała na wymierzenie kary.

Eliza zawahała się, poruszona jej błagalnym tonem.

- Zobaczmy.

- Nie zrobiliśmy nic złego - oznajmił Shadrach buntowniczo, choć trzęsa mu się broda.

- Wiem. - Śmiały pomysł zaczął kiełkować jej w głowie. Tylko nie wiedziała jeszcze, jak go zrealizuje.

Kiedy weszła do dworu, poczuła miły chłód. Zatrzymała się na chwilę, patrząc z uznaniem na grube ściany, które nie pozwalały wdrzeć się do środka gorącemu powietrzu.

W domu panowała cisza. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, gdzie może być Tempie. Nie miała wątpliwości, że w towarzystwie Blade'a. Eliza uważała, że zachowywał się zbyt śmiało, by młoda Tempie mogła czuć się przy nim bezpieczna. Będzie musiała porozmawiać z nią o tym i uświadomić, że prymitywne namiętności należy tłumić w sobie, w przeciwnym razie wymkną się spod kontroli i mogą doprowadzić dziewczynę do katastrofy. Dużo zajęć, szybkie spacerunki na świeżym powietrzu i zimne kąpiele to najlepsze lekarstwo na takie uczucia. Jeśli i to zawiedzie, trzeba zastosować kompres z kamfory.

Od strony salonu dotarł do niej nikły dźwięk, jakby szelest materiału. Sądząc, że to jedna ze służących sprząta pokój, podeszła do drzwi, by zapytać o Tempie. Zaraz jednak stanęła jak wryta na widok Tempie i Blade'a zwartych w uścisku, który można było jedynie określić jako namiętny. Byli spleceni ze sobą tak mocno, że nawet piórko by się między nimi nie przecisnęło. Miała wrażenie, że Blade wprost pożera usta Tempie. Oblał ją tak gwałtowny żar, iż z trudem utrzymała się na nogach. Kiedy dłoń Blade'a spoczęła na piersi dziewczyny, Eliza uciekła na oślep z pokoju, wstrząśnięta tym widokiem.

W półmroku nie zauważyła przeszkody, która wyrosła nagle na jej drodze. Przed upadkiem uchroniły ją czyjeś ręce, które ją złapały i przytrzymały. Zaskoczona ujrzała przed oczami kołnierzyk męskiej koszuli. Uniosła głowę i zobaczyła szeroką, wyrazistą twarz Willa Gordona. W jego ciemnych oczach malowała się troska.

Doznała nagle tysiąca różnych wrażeń wywołanych dotykaniem jego silnych dłoni na swoich ramionach, bliskością męskiej piersi, ciepłem promieniującym z jego ciała i odurzającym męskim zapachem.



- Nic się pani nie stało, panno Hall? - zapytał, unosząc w górę brew.

Oblała się rumieńcem i pospiesznie odsunęła od Willa.

- Tak... Proszę wybaczyć... nie zauważyłam pana. - Z trudem wymawiała słowa, starając się ukryć niczym nie uzasadnione zmieszanie.

- Ojczy! - rozległ się głos Tempie.

Eliza spojrzała na nią z poczuciem winy, a policzki zabarwił jeszcze ciemniejszy rumieniec. Przez chwilę wpatrywała się w ciemne, błyszczące oczy Tempie i lekko nabrzmiałe wargi. Wyglądała na taką... zadowoloną i pełną życia. Poczowała dziwny skurcz w żołądku. Bezwiednie przycisnęła rękę do brzucha.

- Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas. - Tempie uśmiechnęła się niewinnie i dodała wskazując na Blade'a: - Mam gościa.

Zachowywali się, jakby nic się nie stało. Elizie pozostała więc jedynie uciezka. Kiedy zauważyła, że Will przygląda się córce podejrzliwie, wymruczała nieskładne słowa przeprosin i pospieszyła ku schodom.

Blade w towarzystwie czarnego służącego odjechał wkrótce po popołudniowym posiłku. Will chwilę odprowadzał go wzrokiem.

- Chodź, ojczy.

Wyrwany przez Tempie z zamyślenia, ruszył za nią do hallu.'

- Młody Stuart ma zwyczaj przeciągać swoje wizyty.

- Rzeczywiście - odpowiedziała z uśmiechem, wyraźnie z tego zadowolona. - Nie powinieneś jednak mówić o nim „młody Stuart”. On jest mężczyzną, ojczy.

W to nie wątpił. Stanął i przyglądał się, jak Tempie wchodzi do jadalni, by pomóc matce schować do kredensu porcelanę i srebra. Słuchając urywanego kaszlu Victorii, przypomniał sobie czasy, kiedy była jeszcze młoda i zdrowa, a ich miłość płonęła żywym blaskiem. Wraz ze śmiercią dzieci wyrósł między nimi mur bólu, smutku i poczucia winy. Rodzinne tragedie odsunęły ich od siebie.

Odwrócił się i poszedł dalej korytarzem. U stóp schodów spotkał Elizę, stojącą z ręką opartą na poręczy. Skinął jej głową.

- Panie Gordon, chciałabym z panem porozmawiać na osobności. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

Patrzyła na niego z wyrazem sztywnej uprzejmości na twarzy. W jego obecności zawsze tak się zachowywała. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co też może od niego chcieć.

- Wejdźmy do biblioteki - powiedziała.

Przeszła przed nim wyprostowana, z dumnie uniesionym podbródkiem. Czyżby było jej tu źle i postanowiła wyjechać? A może miała kłopoty z którymś z uczniów? Pewnie Kipp coś przeskrobał. Westchnął, przekonany, że zaraz usłyszy skargę na syna.

- O czym chciałaby pani ze mną porozmawiać, panno Hall? - zapytał, podchodząc do biurka.

Spojrzała na portret wiszący nad kominkiem, potem na niego. Wyprostowała się z godnością.

- Chodzi o Phoebe i Shadracha... dzieci pańskiej służącej Casie... Dziś rano przytapałam je pod oknem szkoły.

- To wszystko? Proszę się tym nie kłopotać, panno Hall. Dopilnuję, aby to się nie powtórzyło.

- Źle mnie pan zrozumiał - rzuciła niecierpliwie. - Oboje garną się do nauki. Shadrach zna już nawet kilka liter. Widzę, że jest zdolny, Nie trzeba go karać, a raczej nagrodzić.

- Cóż więc pani sugeruje?

Uniosła jeszcze wyżej brodę, a w oczach błysnął zapał.

- Chciałabym uczyć tę dwójkę dzieci.

- Co takiego? Po co?— zapytał zaskoczony. - Przecież to czarni. Jakiż pożytek będzie z...

- Sądzę, że bardzo wielki - przerwała mu. - One wykazują wielki zapał do nauki. Czemu tego nie wykorzystać? Będzie z nich większy pożytek. W takim domu i przy takim gospodarstwie trzeba prowadzić rachunki. Jeśli te dzieci zajmą się buchalterią, będzie to z korzyścią zarówno dla pana, jak i pani Gordon.

Mówiła dalej, lecz Will przestał słuchać, poruszony zapałem, z jakim wykładała swoje argumenty. Przypominała mu kwokę broniącą swoich kurcząt.

- A więc? - zapytała.

Poniewczasie zdał sobie sprawę z ciszy, która była przyczyną jej krótkiego pytania. Oczekiwała od niego odpowiedzi.

- Zastanowię się nad tym, panno Hall.

Zawahała się niepewna, czy dalej ma walczyć.

- Cokolwiek pan postanowi, panie Gordon, mam nadzieję, że nie uzna pan za konieczne karcić ich za poranne zachowanie. Byli po prostu ciekawi. Nie mieli złych zamiarów. Jestem tego pewna.

- Czy to wszystko?

- Tak.

Kiedy odwróciła się i wyszła z pokoju, Will miał cichą nadzieję, że zawróci, by jeszcze przedstawić jakieś argumenty. Tak się jednak nie stało.



Zmierzch spłynął na szczyty gór i oświetlił dolinę purpurowym blaskiem. Eliza szła żwirowaną ścieżką prowadzącą ze szkoły do dworu, myśląc o niedawnej rozmowie ze swoim chlebobdawcą. Niczego jej nie obiecał.

Przecież to tylko dzieci. Chyba nie będzie na tyle okrutny i nie ukarze ich za taką błażostkę. Gdyby tak się stało, ona ponosiłaby za to winę. Żałowała teraz, że w ogóle poruszyła tę sprawę. Może powinna jeszcze raz z nim porozmawiać, lecz tym razem nie tak zdecydowanie.

Kiedy spojrzała w stronę dworu, dostrzegła między drzewami wysoką postać. Okazały wzrost i szerokie ramiona mogły należeć tylko do Willa Gordona. Korzystając ze sposobności, uniosła suknię nad ziemię i pobiegła przez trawnik, by przeciąć mu drogę.

- Panie Gordon!

Zauważyła, że zwalnia, więc i ona zwolniła, resztę drogi pokonując szybkim marszem. Przybrała dumną postawę, starając się wyglądać jak nauczycielka, a nie jak zdenerwowana pensjonarka.

- Chciałabym z panem porozmawiać.

- Znowu? - W jego głosie zabrzmiało rozbawienie, lecz twarz ginęła w cieniu, nie mogła więc sprawdzić, czy jego dobry humor wynika z życzliwości.

- Tak. — Wystraszyła się, że uzna ją za natrętą, lecz nie mogła się już wycofać. Czując onieśmienie, w jakie wprawiała ją jego

potężna sylwetka, starała się skupić myśli na tym, co miała mu powiedzieć. - Czy pan... - Urwała, uświadamiając sobie, że on zmierza ku chatom niewolników. - Dokąd pan idzie?

- Porozmawiać z Ike i Czarną Cassie o ich dzieciach i o szkole.

Nie bardzo wiedząc, jak ma rozumieć tę niejasną odpowiedź, na wszelki wypadek zapewniła go pospiesznie:

- Chciałabym, aby pan wiedział, że propozycja uczenia małego Shadracha i Phoebe jest wyłącznie moim pomysłem. Tym dzieciom nawet w głowach nie powstało, że to możliwe.

- Nie wątpię w to.

- Więc... co pan postanowił? - Nie chciała nalegać, ale wyczuła, że celowo unika odpowiedzi, co wprawiło ją w rozdrażnienie. - Muszę wiedzieć, jeśli mam ich uczyć.

- Zastanawiam się tylko, czy będzie pani w stanie ich czegoś nauczyć. Proszę nie zapominać, że to są Murzyni.

- Jak pan może tak mówić? Przecież to ludzkie istoty - zaprotestowała gorąco. - Ich uczucia i pragnienia wybiegają daleko poza potrzeby pełnego brzucha i suchego miejsca do spania. Jak my wszyscy pragną miłości i stawienia czoła wyzwaniom, by móc się rozwijać na miarę swoich możliwości. Takie słowa pasują raczej do białego południowca, lecz nie przystoją przedstawicielowi narodu Czirokezów. Ja...

- Panno Hall - przerwał ostro jej tyradę. — Miałem zamiar powiedzieć, że moja żona nie widzi przeciwskażeń, by pani uczyła te dzieci, pod warunkiem że nie zaniedbają swoich obowiązków - dodał z naciskiem, słysząc jej pełne zadowolenia mruknięcie.

Eliza była zbyt szczęśliwa i podniecona, by widzieć w tym problem.

- A więc idzie pan powiedzieć im o tym. Czy mogę panu towarzyszyć? — Pragnęła zobaczyć ich twarze, kiedy się dowiedzą, że będą chodzić do szkoły, a nie podsłuchiwać pod oknami.

Zawahał się, po czym skinął głową.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję - odparła żywo, czując się jak ktoś, kto wreszcie znalazł swoje powołanie.

Phoebe siedziała na stopniach ganku obejmując nogi ramionami i kryjąc brodę między kolanami. Czowała się nieszczęśliwa i przygnę-

biona przez cały dzień. Za każdym razem, kiedy spotykała panią Victorię, była pewna, że za chwilę zostanie ukarana za swą wyprawę pod szkołę.

Podszedł Shadrach, kopiąc ziemię bosą stopą. Usadowił się na najniższym stopniu, po czym ułożył na plecach i utkwiał wzrok w rozgwieżdżonym niebie. Kiedy splótł ręce na brzuchu, Phoebe myślała, że zacznie się modlić.

- Jak myślisz, gdzie mogą być te zwierzenta?

- Jake zwierzenta? - zdziwiła się Phoebe.

- Słyszałem, jak panna Eliza mówiła, że w gwiazdach som zwierzenta. Patrzę i patrzę, ale nic nie widzę.

- Lepiej nie wymieniaj przy mamie tego imienia — ostrzegła Phoebe i mocniej otuliła się ramionami, kołysząc się lekko w przód i w tył. Z chaty dochodził niespokojny głos jej matki rozmawiającej z ojcem.

- Nic dobrego z tego nie będzie, Ike. Czuję to w kościach - powiedziała Czarna Cassie kręcąc głową.

Nie przestała kręcić głową, odkąd Ike wszedł do chaty i usłyszał, co się stało.

- Skąd to możesz wiedzieć? - zapytał po raz kolejny tego wieczoru.

- Pomyśl, że źli z nas Murzyni. Wolę nie mówić, co zrobi pan Will, kiedy się o tym dowie, bo ta nauczycielka na pewno mu powie.

Ike kiwnął głową. Czarna Cassie pracowała we dworze i lepiej od niego wiedziała, co się tam dzieje. On przez cały dzień zajęty był w kuźni.

- Pan Will to dobry człowiek.

- Na pewno nie będzie trzymał złych Murzynów - upierała się Cassie przy swoim. - Co zrobimy, kiedy każe Phoebe i Shadrachowi pracować na polu? Mały nie ma siły do takiej pracy.

- Wiem.

Spojrzał na swoje silne, umięśnione ręce i muskularny tors. Nie mógł zrozumieć, jak chłopak zrodzony z jego nasienia może być taki chuderlawy. Za to jest mądry i ciekawy świata. Nie zdziwił się więc, że chłopak zakradł się pod szkolne okno.

- Ike. - Czarna Cassie odwróciła się w jego stronę, a w jej dużych oczach błysnął strach. - Co pocniemy, jeśli pan Will sprzeda nasze dzieci do pracy na cukrowej plantacji?

Czuł, że właśnie tego najbardziej się obawiała. Dawno już nie wspominała o swoich innych dzieciach. Jej poprzedni właściciel sprzedał je, tak jak ją panu Willowi. Kiedy Ike ją poznał, wciąż po nich płakała. Zaprzagnął wtedy dać jej dzieci, żeby przestała płakać po tamtych, które straciła. A teraz bała się, że ten sam los spotka Phoebe i Shadracha.

- Nie zrobi tego. - Chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i objął w talii. - Nie zrobi tego - powtórzył. - Wiedział jednak, że jeśli do tego dojdzie, będzie bezradny.

Gdzieś przy pierwszych chatach rozległo się ujadanie psa. Phoebe nie zwróciła na to uwagi, póki zajądło szczekanie nie zmieniło się w bolesny skowyt. Spojrzała w tamtym kierunku i wyczuła dziwną ciszę, jaka zapadła w murzyńskim osiedlu. Nie słysząc było nawet brzęku naczyń mytych po kolacji. Na ganki wylegli ludzie i patrzyli na ścieżkę biegnącą do dworu.

- Chyba ktoś tu idzie - powiedziała i zaraz w mglistym świetle wieczoru dostrzegła zbliżającego się właściciela plantacji. Przerazona zerwała się na równe nogi i pobiegła do drzwi. - Pan Will do nas idzie!

- Mówiłam - rzuciła Czarna Cassie spiesząc w stronę drzwi. - Mówiłam ci, Ike - powtórzyła, kiedy do niej podszedł. Wyszła na ganek i przytuliła do siebie Phoebe. - Jak nic dostaniesz baty. - Powiedziała to spokojnym tonem, lecz Phoebe wyczuła, jak drża jej ręce. Bała się podobnie jak ona.

- Wszystko w porządku - oznajmił rozpromieniony Shadrach. - Jest z nim panna Eliza.

Eliza szła z Willem wzdłuż rzędu chat, uśmiechając się i kiwając głową do mieszkańców zebranych przed prymitywnymi, chatami. Z wyjątkiem kilku powitań większość przyglądała im się w milczeniu, z podejrzliwością i nieufnością w oczach. Poczwała się jak intruz i instynktownie przysunęła bliżej Willa.

W powietrzu unosił się zapach dymu z palenisk. Większość już

została zasypana, mimo to gdzieniegdzie unosiły się jeszcze białe smużki.

Kiedy dotarli do ostatniej chaty, Eliza spostrzegła Shadracha, który na znak dany przez matkę wszedł na ganek i stanął obok siostry. Nie okazywał cienia strachu.

- Dobry wieczór wielmożnemu panu - odezwał się niskim głosem Ike.

Eliza zauważyła z zaskoczeniem, że mężczyzna nie ma na sobie koszuli. Jedna szelka biegła ukośnie wzdłuż błyszczącego od potu torsu, umięśnionego niczym pierś Samsona. Szybko spojrzała w inną stronę, zakłopotana jego nagością.

- Dobry wieczór. — Will Gordon stanął u stóp ganku. — Przychodzę w sprawie waszych dzieci, Phoebe i Shadracha. Dziś rano podsłuchiwali pod szkolnym oknem. Zdaje się, że nie po raz pierwszy.

- To się nigdy więcej nie powtórzy - zapewniła Czarna Cassie. - Przysięgam, że nawet nie zbliżą się do szkoły. Ja i Ike rozmawiamy dziś z nimi i powiedzieliśmy, że źle zrobili. Bardzo tego żałują. Powiedzieliśmy im, że jeśli jeszcze raz zostaną przyłapani przy szkole, osobiście ich wychłostamy.

- Panna Hall chce, żeby przychodzili do szkoły uczyć się czytać, pisać i rachować. Sądzi, że potrafi ich czegoś nauczyć.

Rzucił Elizie sceptyczne spojrzenie, lecz nie zwrócił na to uwagi, zbyt zajęta obserwowaniem twarzy swoich nowych uczniów. Shadrach aż otworzył usta ze zdziwienia, a ciemne oczy zapłonęły podnieceniem. Phoebe tylko patrzyła, jakby nie mogła w to uwierzyć.

- Słyszałaś? - Shadrach odwrócił się do siostry, lecz matka natychmiast go uciszyła.

- Jutro rano Phoebe i Shadrach mają się zgłosić do panny Hall.

- Przyjdą, na pewno przyjdą, proszę pana - obiecał Ike solennie, na co jego żona zareagowała ostrym spojrzeniem.

- Żeby nie było nieporozumień - ostrzegł Will Gordon. - Pani Victoria oczekuje, że nadal będą wykonywać to, co do nich należy.

Wszystkie głowy, z wyjątkiem Czarnej Cassie zgodnie przytaknęły. Ona jedna nie była zadowolona z takiego obrotu spraw. Zdziwiło to Elizę. Jako matka powinna się cieszyć, że będzie miała wykształcone dzieci. Za to Shadrach i Phoebe nie posiadali się z radości i tylko to się dla Elizy liczyło.



- Będziemy się uczyć czytać i pisać, Shad! - wykrzyknęła Phoebe po odejściu nieoczekiwanych gości. Wciąż bała się w to uwierzyć. Jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym Deu Jonesowi. Będzie taka mądra jak on.

- Czy to nie wspaniale? - Radość wprost rozpiełała chłopca.

- Czemu się zgodziłeś? - napadła Cassie na Ikego, nie zważając na rozradowane twarze dzieci. - Ta cała nauka tylko wbije im do głowy głupie myśli o wolności. Oni są niewolnikami. Na tym świecie nie ma miejsca dla uczonych czarnych.

- Może świat się zmieni, Cassie.

- Nigdy się nie zmieni. Po co ta panna Eliza tu przyjechała? Sprowadzi na nas nieszczęście, a i tak nie jest nam lekko.

Ike chciał ją objąć, lecz go odepchnęła i weszła do chaty. Patrzył chwilę za nią. Rozumiał jej strach, ale go nie podzielał. Pan Will był mądrym i dobrym człowiekiem i Ike wiele razy słyszał, jak mówi, że Czirokezi powinni znać książki i prawa białego człowieka, jeżeli chcą zachować wolność. Ike niewiele wiedział, potrafił jedynie naostrzyć lemiesz, naprawić koło i podkuć konia, ale uważał, że skoro nauka białego człowieka jest dobra dla Czirokezów, to może być dobra i dla Czarnych. Buntowanie się przeciw panu nigdy nie przyniesie niewolnikowi wolności. Może Czirokezi mają rację.

Kiedy Eliza przyszła następnego ranka do szkoły, jej nowi uczniowie już na nią czekali. Z pewną nieśmiałością weszli za nią do środka, ciekawie rozglądając się po sali, niczego jednak nie dotykając. Pozwoliła im wszystko obejrzeć, kiedy jednak zauważyła, że Shadrach ogląda stojący w rogu sali globus, podeszła do niego.

- To jest globus, mapa świata — wyjaśniła. - A tu leży Gordon Glen. - Pokazała palcem miejsce i obróciła kulę. - A to jest Afryka, skąd pochodzisz.

Zmarszczył czoło zaskoczony.

- Jak to możliwe? Przecie urodziłem się tu, na plantacji, a nie w żadnej Afryce.

- Masz rację, ale twoi rodzice albo dziadkowie zostali sprowadzeni jako niewolnicy z Afryki.

- Skąd pani wie?

- Bo wszyscy Czarni pochodzą z Afryki. W Afryce wszyscy autochtoni mają tak jak ty czarną skórę.

- Co to autochtoni?

- Tubylcy. To ci, którzy tam mieszkali, zanim przyszli biali... Tak jak Czirokezi są tubylcami na tych ziemiach.

Do szkoły wpadł Kipp i zatrzymał się gwałtownie na widok Phoebe i Shadracha.

- Co oni tu robią? - zapytał z gniewną miną.

- Phoebe i Shadrach są nowymi uczniami. Od dziś będą tak jak ty chodzić do szkoły - wyjaśniła Eliza, uśmiechając się do swoich nowych pupilów.

- To nie miejsce dla niewolników. - Patrzyła na nich z wyniosłą pogardą. - Oni są za głupi, żeby się czegoś nauczyć.

- Podobnie myślą strażnicy stanowi z Georgii o Czirokezach — odparła Eliza.

Nic nie odpowiedział, tylko obrzucił ją wrogim spojrzeniem. Eliza nie spodziewała się takiej reakcji. Nie miała jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, gdyż do sali weszła reszta dzieci.

Na szczęście żadne z nich nie okazało tak otwarcie jak Kipp wrogości w stosunku do dwojga czarnych dzieci. Młodsze dzieci, dziewięcioletni Joe Murphy i siedmioletnia Xandra, w ogóle nie zwracały na nich uwagi. Reszta, łącznie z Tempie, zachowywała milczenie i rezerwę, lecz wyczuwało się niechęć.

Eliza zaczęła lekcję od modlitwy, przypominając uczniom Złotą Maksymę i prosząc Boga, by sprowadził ład i porządek do szkoły. Jednak cud się nie zdarzył. Kiedy bowiem podzieliła klasę na grupy i zaczęła wyznaczać grupowych, Kipp podniósł się z miejsca.

- Nie będę grupowym tych służących - oświadczył.

Zapadła pełna napięcia cisza. Eliza czuła, że wszyscy czekają, jak zareaguje na to wyzwanie rzucone jej autorytetowi.

- Nie zamierzam wyznaczać cię na ich grupowego, Kipp. Do tego potrzebny jest ktoś inteligentny. Może któregoś dnia zmądrzejesz, ale teraz masz jeszcze zielono w głowie.

Na jego twarzy odmalowały się wstyd i wściekłość. Straż był celny, zraniła bowiem jego próżność. Kipp zawsze uważał się za najmądrzejszego. W głębi duszy Eliza też tak sądziła, lecz ze względów wychowawczych należało go trochę utemperować.

- To nieprawda.
- Nie ośmieszaj się, okazując wszystkim swoją ignorancję, Kipp. Usiądź, proszę. - Z trudem utrzymała powagę, kiedy któreś z dzieci parsknęło śmiechem.

Kipp powiódł wściekłym wzrokiem po sali, szukając tego, który ośmielił się z niego śmiać, lecz prawie wszystkie dzieci zaciskały usta. Usiadł więc w ławce z ponurą miną.

W najbliższą niedzielę cała rodzina udała się do pobliskiego kościoła braci morawskich. Eliza była prezbiterianką, mimo to zawsze towarzyszyła Gordonom.

Po skończonej mszy wierni zgromadzili się przed kościołem, by porozmawiać i wymienić nowiny. Jak zwykle większość rozmów dotyczyła poczynań *stanowej* milicji i ewentualnych kroków, jakie należałoby przedsięwziąć. Will Gordon, jako członek parlamentu, zawsze znajdował się w centrum uwagi. Każdy chciał usłyszeć jego zdanie.

Tempie słuchała, jak ojciec wyjaśnia innym, że prawnik z Baltimore, William Wirt, zaferował swoje usługi wodzowi Johnowi Rossowi i zgodził się reprezentować Czirokezów w Sądzie Najwyższym.

Kiedy zebrani zaczęli powoli rozjeżdżać się do domów, Tempie poszła z ojcem do powozu.

- Co wiesz o tym Williamie Wircie? - zapytała. - Czy jest tej klasy co prawnicy z Filadelfii?

- Jeremiah Evarts z Amerykańskiej Rady do Spraw Misji Zagranicznych gorąco go poleca. Pan Wirt przez dwanaście lat pełnił stanowisko prokuratora generalnego. Payton Fletcher mówił mi, że Wirt uważany jest za człowieka trzymającego się twardo zasad konstytucji i Jackson będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

- Rozumiem. - Nie była jednak pewna, czy rzeczywiście to pojęła.  
- Kiedy pan Wirt wystąpi przed sądem w imieniu Czirkoezów?

- Kiedy nadarzy się odpowiednia okazja. To nie powinno być trudne. Milicja z Georgii aresztowała wielu Czirokezów za wydobywanie złota w naszych górach. Jeżeli któryś z nich zostanie skazany przez sąd stanowy, pan Wirt wniesie do Sądu Najwyższego skargę za bezprawne uwięzienie, uzasadniając to tym, że nasze ziemie nie podlegają jurysdykcji Georgii.

- Ale co to da?

- Rozwiąże problem własności. Władze stanu Georgia twierdzą, że te ziemie należą do nich. My zaś, że do nas. jeżeli sąd orzeknie na niekorzyść Georgii, potwierdzi tym samym, że to my jesteśmy właścicielami.

- A skoro te tereny nie należą do Georgii, władze nie mogą nas z nich wyrzucić.

- Tak.

Zatrzymała się przy powozie i spojrzała na ojca spod ronda swego kapelusza.

- A więc nie musimy się martwić. Te ziemie zostały nam dane na mocy traktatu i sąd musi wydać wyrok na naszą korzyść.

- Taką mamy nadzieję - odpowiedział Will, po czym odwrócił się do Victorii, która niosła na rękach ich najmłodsze dziecko.

Tempie odetchnęła z ulgą. Błade, w przeciwieństwie do jej ojca, wątpił, że Czirokezi zostaną uczciwie potraktowani, co bardzo ją zaniepokoiło. Przyglądała się, jak ojciec pomaga wsiąść matce, a potem pannie Hall do powozu. Zajął miejsce naprzeciw Victorii, która usadowiła malca na kolanach i uśmiechnęła się blado do Elizy.

- Jak tam postępy dzieci w szkole, panno Hall?

- Zupełnie dobre, proszę pani.

- A pani nowych uczniów, Shadracha i Phoebe?

- Nadzwyczajne - zapewniła gorąco Eliza. - Shadrach jest wyjątkowo zdolny.

- Więc nie ma pani z nimi kłopotów? - zapytała Victoria z lekkim zdziwieniem.

- Żadnych.

Tempie dostrzegła jednak spojrzenie, jakie nauczycielka rzuciła Kippowi.

Chociaż brat nie protestował już przeciw obecności Phoebe, i Shadracha w szkole, to swoją wrogość okazywał na wiele innych sposobów, czerpiąc radość z każdego ich błędu i korzystając z każdej sposobności, by bezlitośnie ich dręczyć po wyjściu ze szkoły. Niekiedy jego obelgi graniczyły z okrucieństwem. Mimo to Eliza nie poskarżyła się swemu chlebodawcy na syna. Dyskrecja nauczycielki ujęła Tempie. Miała nadzieję, że sędziowie Sądu Najwyższego postąpią równie mądrze jak panna Elizabeth Hall.



Słaby z pana korespondent - oznajmiła Eiza, patrząc z wymówką na swego niespodziewanego gościa, chudego pastora Nathana Cole'a, który towarzyszył jej w podróży do tej odległej górzystej krainy. - Od tygodni nie miałam od pastora listu.

Właściwie to otrzymała jeden krótki liścik w odpowiedzi na swój obszerny list opisujący jej nowy dom w Gordon Glen. Kiedy na drugi nie doczekała się odpowiedzi, zrezygnowała z napisania trzeciego.

- Bardzo przepraszam, ale cały czas przebywałem daleko w górach. W drodze powrotnej postanowiłem tu zajrzeć... - Urwał skonfundowany. - Muszę wyznać, że słaby ze mnie pisarz. Kiedy czytałem pani listy, wydawało mi się, że pani ze mną rozmawia. Ja nie potrafię tak pisać, moje listy są zimne i sztywne.

Eliza nie mogła nie przyznać mu racji, lecz była zanadto szczęśliwa, że go widzi, by robić mu wymówki.

- Wybaczam panu. Najważniejsze, że pastor przyjechał.

- Nie mogłem przejeżdżając tędy nie wstąpić i nie zobaczyć, jak się pani wiezie.

Szedł obok niej, wysoki i niezgrabny. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała: szczupła twarz, płowe włosy i pełne dobroci spojrzenie. Trudno jej było uwierzyć, że prawie trzy miesiące minęły, odkąd widziała go po raz ostatni. Nastął wrzesień, a wraz

z nim skończyły się letnie upały. Była z tego rada, jak i z możliwości porozmawiania z kimś szczerze.

Szli przez trawnik, po którym przechadzały się pawie, a ona opowiadała pastorowi o swoim ostatnim sukcesie, jakim było wyrażenie zgody przez Gordonów na uczenie dwojga czarnych dzieci, mówiła mu także o swoich porażkach, a zwłaszcza o problemach z Kippem.

- Jego niechęć do nich graniczy z nienawiścią - przyznała. - Nie spodziewałam się takich uprzedzeń ze strony hmm... Indian.

- Postawa Czirokezów nie różni się od postawy mieszkańców Południa. Uważają oni siebie za lepszych od Afrykanów. Chociaż czasami mam wrażenie, że Czirokezi wykazują większą arogancję.

- Ta cała sprawa z niewolnictwem jest dla mnie nie do przyjęcia. Powinno się je traktować jako grzech śmiertelny.

- To prawda. Nie wierzę, aby Bóg chciał, aby jeden człowiek był własnością drugiego. Kiedy jednak czyta się Pismo Święte, można znaleźć wiele ustępów odnoszących się do niewolnictwa. Niektórzy misjonarze wynajmują niewolników od ich panów i płacą im trochę więcej, by mogli kupić sobie wolność. Niestety nieczęsto się to zdarza.

- Ale już sam czyn jest wspaniały. - W jej mniemaniu było to szlachetne, godne podziwu postępowanie. Zawsze uważała, że nawet jedna osoba jest w stanie coś zmienić. Właśnie to przekonanie skłoniło ją do przyjazdu tutaj.

- Zapewne.

Pawie podniosły nagle głośny krzyk, najwyraźniej czymś zaniepokojone. Eliza automatycznie spojrzała na drogę wiodącą do dworu i zobaczyła zbliżającego się jeźdźca.

- Pawie lepiej od psów potrafią ostrzec przed niebezpieczeństwem - powiedziała nieco głośniejszym głosem, by przekrzyknąć wrzaski ptaków.

- Żeby taki piękny ptak wydawał taki straszny dźwięk. - Pastor skrzywił się, po czym spojrzął na zbliżającego się jeźdźca. - Jakiś gość?

- To Blade Stuart. Przyjeżdża w konkury do Tempie.

Starła się mówić beznamiętnym tonem, choć sprawa tych dwojga wprawiała ją w zakłopotanie. Nathan Cole był pastorem, nie mogła więc podzielić się z nim troską o cnotliwość Tempie. Poszła dalej, omijając dom, by nie być świadkiem spotkania

Tempie i Blade'a, w których zawsze wyczuwało się skrywaną namiętność.

- Proszę mi opowiedzieć, co pan porabiał - zwróciła się do pastora. - Był pan w górach.

- Tak. Mieszka tam wielu Czirokezów, którzy opuszczają swe siedziby jedynie raz czy dwa razy do roku. - Jego wzrok przesunął się po zwirowanych alejkach, bujnym trawniku, ozdobnych krzewach, licznych budynkach gospodarskich i zatrzymał na okazałym dworze. - Nie wszyscy Czirokezi są tak zamożni jak pan Gordon. Wielu żyje w nędznych chatach i uprawia mały skrawek ziemi, który starcza jedynie na wyżywienie rodziny. Właśnie do nich chcemy dotrzeć.

Takie warunki życia spodziewała się zastać, kiedy tu przyjechała.

- I udało się to panu?

- Tak. - Rozciągnął usta w uśmiechu, który przydał krągłości zapadniętym policzkom. - Misjonarze różnych wyznań mają u nich swoje przydomki. Prezbiterian nazwali „Cichymi Gawędziarzami”, baptystów - „Chrzczicielami”, a metodystów „Głośnymi Gawędziarzami”.

Eliza wybuchnęła śmiechem, bo te określenia doskonale oddawały charakter wyznawców. Zachęcony jej reakcją opowiadał dalej:

- Pewnego dnia zatrzymałem się w chacie, w której mieszkał stary Czirokez, imieniem Buffalo Killer. Poprosił mnie, abym opowiedział mu jakąś historię z „mówiących kartek”. Tak Indianie nazywają książki. Szkoda, że go nie widziałas, Elizo... przepraszam, panno Hall - poprawił szybko, czerwieniąc się przy tym mocno.

- Może mi pan mówić po imieniu.

- Jeśli pani będzie mówić do mnie „Nathan”.

- Dobrze, Nathanie - zgodziła się.

- A więc jak już mówiłem, szkoda, że go nie widziałas. Miał śnieżnobiałe włosy sięgające do ramion i czerwono-żółty zawój na głowie ze sterczącym z tyłu piórem. Ubrany był w samodziałową koszulę, skórzane spodnie i buty przybrane paciorkami, które sięgały mu aż do kolan. Przez cały czas mojego tam pobytu palił fajkę. Opowiedziałem mu o Chrystusie, o Biblii i o nauce Jezusa. Kiedy skończyłem, milczał przez chwilę, potem kiwnął głową i powiedział: „Rzeczy, o których mi powiedziałas, są dobre. Ale

w mojej głowie zrodziło się pytanie: skoro blade twarze od tyłu wiosen wiedzą o tych wszystkich rzeczach, to dlaczego sami nie stali się dobrzy?"

Znając obecne stosunki panujące między Czirokezami a osadnikami z Georgii, Eliza uznała, że to niezwykle trafne pytanie.

- Jak mu na to odpowiedziałeś?

- Musiałem przyznać, że wielu białych nie słucha nauk Chrystusa. Wtedy odniosłem wrażenie, że Buffalo Kiler uważa, iż w takim razie to im powinienem głosić Słowo Boże.

- Czasami myślę, że członkom tej pozał się Boże milicji stanowej przydałyby się porządne ciągi.

- Elizo! - Nathan spojrział na nią zaskoczony.

- A tak - nie ustępowała. - Zachowują się jak chciwe złodziejzki, które chcą ukraść to, co do nich nie należy. Nie pozwoliłabym na coś takiego w moim domu. - Spojrzała na niego. - Czy to cię szokuje?

Zawahał się, po czym pokręcił głową.

- Uważam, że powinny się tym zająć odpowiednie władze.

- Właśnie do tego chcą doprowadzić Czirokezi.

Opowiedziała mu o staraniach podjętych przez Johna Rossa i parlament, zmierzających do przedstawienia sytuacji Czirokezów w Sądzie Najwyższym. Niedawno jeden z nich, George Corn Tassel, został skazany za morderstwo. Dało to okazję prawnikowi Williamowi Wirtowi do wystąpienia w obronie Czirokezów.

Nathana zaniepokoiło, że Eliza interesuje się polityką. Była to domena mężczyzn. Uważał, że nie powinna w niej uczestniczyć kobieta.

Kiedy tuż przed kolacją Will Gordon wrócił do domu, Eliza przedstawiła mu swego gościa. Will natychmiast zaproponował, by młody pastor został u nich na noc i jutro rano wyruszył w dalszą podróż. Poparła go Victoria. Nathan początkowo nie chciał skorzystać z zaproszenia, ale w końcu je przyjął.

Po skończonym posiłku wszyscy przeszli do salonu. Will Gordon nalał sporą porcję brandy dla siebie i drugiego gościa — Blade'a. Nathan odmówił.



Eliza usiadła przy fortepianie i zaczęła grać swój ulubiony nokturn. Po nim przyszła kolej na inne utwory. Prawie nie zwróciła uwagi, że Victoria przeprosiła zebranych i wyszła położyć dzieci do łóżka.

W końcu Eliza oderwała palce od klawiatury i spojrzała na Nathana, który siedział w fotelu na wprost fortepianu.

- Czy chciałbyś może, żebym ci coś zagrała?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Grasz jak anioł, Elizo.

- Też tak uważam - odezwał się Will Gordon, podnosząc głowę na widok wracającej Victorii.

- Mam prośbę - powiedział Blade. - Czy zna pani melodię kadryla?

Zawahała się przez chwilę.

- Tak, chyba tak.

- Tempie twierdzi, że nigdy go nie tańczyła. - Spojrzał na nią z wyzwaniem w oczach. - Byłaby to świetna okazja, by ją nauczyć. Znasz kroki do kadryla, prawda, Will?

- Od lat go nie tańczyłem - odparł zaskoczony. - Victorio, a ty pamiętasz? - zapytał żony.

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się z wahaniem. - Choć nie jestem pewna.

- Wydaje mi się, że potrzebne są cztery pary? - zauważył Will.

- Tak, ale do nauki wystarczy dwie.

Nie czekając na zgodę, Blade zaczął odsuwać meble, by zrobić miejsce na środku pokoju. Wszyscy pospieszyli mu z pomocą, a Eliza tymczasem usiłowała sobie przypomnieć odpowiednie taktki.

Kiedy wszystko było gotowe, Blade dał znak pianistce i Eliza uderzyła pierwszy akord. Zerkając od czasu do czasu na tancerzy, starała się utrzymać wolne tempo, by Blade mógł pokazać Tempie kroki.

Drugi raz zagrała już w normalnym tempie, uśmiechając się do Nathana, który podszedł do fortepianu. Swoje pomyłki tancerze kwitowali wybuchami śmiechu. Eliza śmiała się wraz, z nimi, nie opuszczając przy tym ani jednego taktu.

Dźwięki muzyki, delikatne jak tchnienie wiatru, poszybowały

z salonu w mrok wieczoru. Czekaający na zewnątrz Deuteronomy Jones nie potrafił ich rozpoznać. Siedział na twardej ławce pod ścianą kuchni, gdzie mógł usłyszeć wołanie swego pana. Z okien dworu sączyło się bursztynowe światło, tworząc jasny pas odgradzający od ciemności. Deu siedział poza jego zasięgiem.

W powietrzu unosił się zapach jabłek. Był to dla Glen Gordon czas zbiorów. Wypełnione czerwonymi dojrzałymi owocami skrzynie czekały na przewóz do południowych portów. Prasa do rozgniatacia stała teraz nieruchoma, by od rana na nowo podjąć pracę, wyciskając z jabłek słodki miąższ. W drzemiących kotłach znowu zacznie bulgotać pulpa, z której potem zrobi się sok jabłkowy, mus i konfitury.

Z pobliskiego lasu dochodziło pochrząkiwanie świń zachłannie ryjących pośród wyrzuconych jabłecznych odpadków. Deu mocniej otulił się kurtką, myśląc o tym, jak wspaniale smakowałyby teraz kufelek gorącego jabłecznika.

Nagle spostrzegł zbliżającą się w jego stronę ciemną postać i zeszywniał. Była to Phoebe o nieśmiałym spojrzeniu błyszczących oczu. Poczuł, jak ogarnia go radość, i zerwał się z ławki, zapominając o nocnym chłodzie. Kiedy stanęła przed nim i podniosła na niego pełen dziecięcej ufności wzrok, zapragnął, by trwało to wiecznie.

- Przyniosłam ci gorącego jabłecznika. Trochę mi się... się wylało i pewnie już wystyk, ale... - Podała mu blaszany kubek i zaraz wyciągnęła drugą rękę. - I jeszcze naleśnik z jabkami. Ten pastor go nie zjad - dodała szybko - i schowałam go, kiedy sprzątałam ze stołu. Nikt się... się nie dowie, że ci go dałam.

- Marzyłem o jabłeczniku. - Biorąc z jej ręki kubek, dotknął szczyptych palców i poczuł, że są zimne. Zauważył również, że szczelniej owija się chustką. - Zimno ci? Może raczej ty powinnaś to wypić. - Miała taką cienką sukienkę.

- Nie, to dla ciebie - odparła i zwróciła głowę w stronę chat niewolniczych, jakby zamierzała odejść.

- Możesz posiedzieć ze mną chwilę?

Nie chciał, żeby odchodziła. A przecież tyle razy przekonywał siebie, że jest dla niego zbyt młoda. Za każdym razem, kiedy był przy niej, z trudem powstrzymywał się, by jej nie dotknąć.

- Chyba tylko minutkę.

Spuściła głowę, unikając jego wzroku, lecz dostrzegł uśmiech na jej twarzy, jakby ucieszyła ją jego prośba. Może naprawdę cence z nim być, pomyślał, czując, jak serce zaczyna mu szybciej bić. Wyminęła go i usiadła na ławce. Przełknął łyk jabłecznika, prawie nie czując jego smaku, po czym usiadł obok niej, zachowując bezpieczną odległość.

- Smakuje ci naleśnik? - zapytała. - Sama go zrobiłam.

- Bardzo. - Szybko zatopił zęby w kruchym cieście wypełnionym musem jabłecznym i przytknął kubek do ust. - Jak ci się wiedzie? Dawno nie miałem okazji z tobą porozmawiać. Ile razy tu byłem, twoja mama gdzieś cię wysyłała.

- Miałam dużo pracy z jabkami i w ogóle.

- Wydaje mi się, że twojej mamie to na rękę. Nie bardzo mnie lubi. - Skończył jeść i wytarł palce o nogawkę spodni.

- Lubi cie. To dlatego że... - Nie chciała mu powiedzieć, że matka obwinia go za jej zapał do nauki. - Jest zła. Pokłóciła się z tatą i dlatego warczy na każdego.

- Cieszy mnie, że to nie ja jestem przyczyną.

- Wiesz, że pan Will pozwolił mnie i Shadrachowi chodzić do szkoły? — Dostrzegła jego zdziwienie i uśmiechnęła się z dumą. -

Uczymy się czytać i pisać, i rachować, i geografii i różnych rzeczy. Czytam już całkiem dobrze i umiem napisać swoje imię. Pokażę ci.

- Podniosła z ziemi patyk, pochyliła się i zaczęła pracowicie rysować litery, wymawiając je na głos. - Pe... ha... o... e... be... e... Phoebe. - Wyprostowała się, przyjrzała znakom, ledwie widocznym w świetle padającym z okien dworu, po czym podniosła wzrok na Deu, omal nie pękając z dumy. - Widzisz?

- Bardzo dobrze, Phoebe.

Kiwnął głową z uznaniem. Była prawie pewna, że dostrzegła w jego oczach szacunek. Nie była już głupią Murzynką, Była równie mądra jak on.

- A potrafisz napisać moje imię? - zapytał.

Zawahała się.

- Nie wiem, jak je przeliterować. Ale spróbuję.

- Pomogę ci. - Deu ukląkł na jedno kolano i wygładził ręką ziemię. — Chodź tu.

Zawahała się, po czym uklękła obok niego, drżąc z podniecenia.

- Pierwsza litera to „de” - powiedział.

Tak bardzo pragnęła mu zaimponować, tymczasem ręka tak jej się trzęsła, że pierwsza kreska wyszła krzywo. Pospiesznie ją wytarła, jednocześnie czując, że Deu przysuwa się bliżej i zaciska dłoń na jej palcach.

- Masz lodowate ręce jak strumień górski zimą.

- Wiem - wyszeptęła, lecz nie czuła chłodu. Jego dłoń parzyła ją niczym ogień, ogrzewając skórę. Był tak blisko, że czuła jego oddech pachnący jabłecznikiem. Ogarnęła ją dziwna słabość i drżenie. Bała się poruszyć.

- To idzie tak. - Trzymając ją za rękę, poprowadził patyk. - De... e... u... te... e... er... o... en... o... em... y. Deuterpnomy. Jot... o... en... e... es. Jones. Deuteronomy Jones. — Uniósł głowę i Phoebe poczuła na sobie jego wzrok. - To długie imię.

- Cieszę się - szepnęła, zdziwiona własną śmiałością. Podobało jej się, że wciąż trzyma ją za rękę, i zapragnęła, aby trzymał ją tak do końca życia. Wolno odwróciła głowę w jego stronę, pragnąc, by i on czuł tak samo.

Deu wpatrywał się w jej pełną napięcia twarz. Tęsknota, którą ujrział w tych pięknych oczach, wzmogła jego pożądanie. Poczł, jak ściska go coś w gardle, uniemożliwiając przełykanie i oddychanie. Potem gdzieś w dle brzucha zawiązał mu się węzeł, a przez głowę przemknęła myśl, że dłużej tego nie wytrzyma. Bezwiednie jego wzrok spoczął na miękkich, kusząco niewinnych wargach i nagle cały świat zawirował.

Nie pamiętał, kiedy wykonał ruch, nie pamiętał niczego, jedynie dotyk jej gorących ust. Nie miał zamiaru jej pocałować, lecz teraz nie mógł się już powstrzymać. Przywarł zachłannie do miękkich warg, które roztopiały się pod naporem jego ust niczym słodki, miód na języku.

Poczł jej dłoń wsuwającą się pod kurtkę, która paliła go przez materiał koszuli. Zesztywniał, uświadamiając sobie, że trzyma w palcach jedynie patyk, i za chwilę poczuł dotyk jej drobnych dziewczęcych piersi na sobie. Odsunął się gwałtownie i zerwał na równe nogi, płonąc ze wstydu i poczucia winy.

- Deu - usłyszał jej cichy zdziwiony głos. - Co... co się stało?

- Jest późno... i zrobiło się zimno. Lepiej wracaj do domu, zanim mama zacznie cię szukać - rzucił szorstko. Widząc ból w jej oczach, poczuł się jeszcze gorzej. - Nie patrz tak na mnie. Czy nie rozumiesz, Phoebe? Nie powinienem był tego robić.

Wstała, naciągnęła chustkę na ramiona i przysunęła się do niego.

- Ale ja tego chciałam.

- Nie powinnaś. - Był zły, że to powiedziała, bo znowu zapragnął ją pocałować. - Jesteś jeszcze dzieckiem, Phoebe. Jesteś zbyt młoda, by dopuszczać do siebie mężczyzn.

Stała przed nim, taka niewinna i ufna i taka śliczna, że z trudem powstrzymał jęk.

- Moja mama była tylko o rok ode mnie starsza, kiedy urodziła pierwsze dziecko.

- Phoebe... nie.

- Czy nie podobał ci się pocałunek, Deu?

To proste pytanie wywołało kolejny przypływ żaru.

- Wiesz, że tak - mruknął schrypniętym głosem.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając rząd śnieżnobiałych zębów.

- Mnie też.

Pochyliła się ku niemu, a on unióśł rękę, lecz nie był pewny, czy po to, by ją powstrzymać, czy wziąć w ramiona. Zanim się tego dowiedział, od strony werandy dobiegło wołanie.

- Deu! Deuteronomy!

Rozpoznając głos swojego pana, spojrział w stronę, skąd dochodził, wdzięczny za wybawienie go z kłopotu.

- Tutaj jestem, proszę pana! - zawołał, po czym rzucił ostatnie spojrzenie Phoebe i uciekł.

Kiedy stanął u stóp schodów prowadzących na werandę, zobaczył czekającego na ich szczycie Blade'a.

- Przyrowadź konie. Czas wracać do domu.

Drzwi frontowe się otworzyły i wyszła przez nie Tempie z głową owiniętą szalem, którego jeden koniec miała przerzucony przez ramię.

- Tak, proszę pana.

Deu cofnął się kilka kroków, po czym odwrócił się i ruszył przez trawnik do stajni.

Blade patrzył, jak znika w ciemnościach. Zdawał sobie sprawę z obecności Tempie, lecz nadal wpatrywał się w ciemność. Wciągnął w płuca rześkie powietrze i poczuł, że ogarnia go dawny niepokój, chęć zrobienia czegoś, co zmusiłoby do pracy mózg i mięśnie. Często tego lata zastanawiał się nad powrotem na złotodajne pola. Nie samo złoto go wabiło, lecz możliwość zmierzenia się z niebezpieczeństwem, wypróbowania swoich talentów i wyprowadzenia w pole milicji stanowej. Brakowało mu tego.

Ojciec pragnął, żeby został. Otwarcie zachęcał go, by odwiedzał Tempie. Blade nie był jednak pewny, czy gotów jest ustatkować się i rozpocząć monotnne życie plantatora. Małżeństwo, żona i rodzina zupełnie nie pasowały do jego niespokojnej natury.

Ale tu chodziło o Tempie. Rozpalała go, wabiła i prowokowała jak żadna inna kobieta. Żadnej tak nie pragnął. Po monotpnym dniu spędzonym na doglądaniu pól noc z nią byłaby wspaniałą perspektywą. Uśmiechnął się, czując, jak na samą myśl o tym krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach.

- Na co tak patrzysz? — postępszał niski głos Tempie i jednocześnie owionął go zapach lawendy.

Stała tuż przy nim. Zamiast się odwrócić, spojrział w rozgwieżdżone niebo.

- Na niebo. Spójrz, jest równie czarne jak twoje włosy i równie połyskliwe jak blask twoich oczu. - Odwrócił wolno głowę, czując, jak serce zaczyna mu mocno bić.

- Potrafisz mówić równie pięknie jak twój ojciec - odpowiedziała z uśmiechem.

Zrobił pół kroku w jej stronę i stanął.

- Gdzie twój ojciec? - Zerknął ku frontowym drzwiom.

- Z matką. Znowu ma atak kaszlu. Powiedziałam, że pożegnam cię w jego imieniu.

Zanim wzięła ją w ramiona, dostrzegła pożądanie w jego oczach i uprzedziła jego zamiar. Tak rzadko mogli być sami, z dala od szpiegujących ich oczu. Wiedziona namiętnością objęła Blade'a i przywarła do jego ust w długim zachłannym pocałunku, drżąc pod wpływem dotyku jego dłoni pieszczących plecy. Przyłgnęła do niego całym ciałem i otoczyła szyję ramionami, przesuując wargami po policzku ku małżowinie ucha.

- Nie chcę, żebyś odjeżdżał - szepnęła.  
- Boisz się, że nie wrócę? - zażartował i nagle zdał sobie sprawę, że ona nigdy nie pyta, kiedy znowu przyjedzie, jak gdyby wcale w to nie wątpiła. Irytowało go, że jest taka pewna swej władzy nad nim.

Odchyliła głowę. Wargi miała nabrzmiąte i wilgotne od pocałunków.

- Gdybyś nie wrócił, pojechałabym za tobą - oświadczyła.  
- Naprawdę? - Wpatrywał się w nią, poruszony wrażeniem, jakie wywoływał dotyk jej ciała napierającego na uda.

- Tak. - Poruszyła się lekko. Przyszło mu do głowy, że ona doskonale wie, co robi. - Panna Hall twierdzi, że nie mam wstydu.

- Cieszy mnie, że nie masz - uśmiechnął się.

- Mnie też. - Przesunęła palcami wzdłuż linii jego warg.

Zdusił w sobie jęk, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie, lecz w tym momencie rozległ się stukot kopyt końskich na twardej ziemi. Zaklął pod nosem po czirokesku, na co Tempie zaśmiała się cicho i naciągnęła zsunięty szal na głowę.

- Gdybyś była mężczyzną, nie uznałabyś tego za zabawne.

- Gdybym była mężczyzną, tak byś się nie zachowywał - odpowiedziała ze śmiechem i podeszła do frontowych schodów wiodących na podjazd.

Światło gwiazd oświetliło sylwetkę konia i jeźdźca, ciągnącego za uzdę drugiego konia. Blade wyminął Tempie bez słowa i zszedł po schodach. Nie czekał, aż Deu zejdzie z konia, i wskoczył na siodło bez pomocy strzemion.

- Przekaż ojcu wyrazy szacunku - powiedziała Tempie. - Poproś, by nas odwiedził. Lubimy jego wizyty.

Skiął głową i dał znak kasztankowi. Koń wyrwał gwałtownie w przód, lecz natychmiast przeszedł w kłus. Deu podążył za nim. W połowie podjazdu Blade postyszał jakiś szelest między drzewami. Kiedy się odwrócił, zobaczył młodą czarną dziewczynę machającą im na pożegnanie.

Tymczasem w salonie Eliza patrzyła z niepokojem, jak Will Gordon podaje żonie kieliszek brandy. Twarz Victorii wydawała się niemal przezroczyta. Przeświecały przez nią niebieskie żyłki,

podkreślając jeszcze jej ziemisty wygląd. Ponownie wstrząsnął nią kaszel, lecz była to raczej reakcja na alkohol, a nie kolejny atak.

- Proszę wybaczyć, że okazałam się taką marną gospodynią, pastorze - odezwała się Victoria, z trudem wydobywając z siebie głos.

- Niech się pani mną nie przejmuję, pani Gordon. Okazała mi już pani tyle gościnności, że nie można żądać więcej - zapewnił ją Nathan, uśmiechając się ciepło. - Teraz powinna pani odpocząć i niewdzięczny byłby ze mnie gość, gdybym na to nie pozwolił.

- Tak, żona musi odpocząć - oświadczył zdecydowanie Will Gordon, odstawiając kieliszek brandy. - Zaniosę cię na górę.

- Ale... - Omiotła niespokojnym spojrzeniem salon, pozostawione na stole brudne kieliszki i pełne popielniczki.

- Tempie dopilnuje, by Czarna Cassie to posprzątała.

Eliza patrzyła, jak Will Gordon wynosi żonę z pokoju z taką lekkością, jakby trzymał w ramionach swoją siedmioletnią córkę. Wyszła za nimi do hallu.

- Czy pani Gordon chorowała ostatnio na zapalenie płuc? - zapytał z troską Nathan.

- Nie. W każdym razie nie, odkąd tu jestem - odparła Eliza. - Miewała jedynie te ataki kaszlu.

- Moja ciotka miała takie same. Trwały całymi latami, a ona powoli słabła. Cierpiała na suchoty.

Eliza wciągnęła gwałtownie powietrze i uniosła wzrok ku schodom, zastanawiając się, czy Will Gordon zdaje sobie sprawę ze stanu zdrowia żony i czy powinna mu o tym powiedzieć.

- Chodź. Pokażę ci twój pokój.

Ruszył za nią po schodach.

- Czy przyjedziesz z Gordonami na doroczne posiedzenie parlamentu w październiku?

- Tak.

- Ja też tam będę. Wyznaczono mnie do pracy w kościele misyjnym w New Echota. Może będziemy mieli okazję znowu pospacerować tak jak dzisiaj.

- Bardzo bym tego chciała - odpowiedziała Eliza i naprawdę tak myślała.





*New Ech ta.*  
*Październik 1830*

Proszę mi pozwolić przedstawić naszą nauczycielkę z Massachusetts, pannę Elizę Hall - powiedział Will Gordon pełnym szacunku głosem do stojącego przed nią mężczyzny o nieciekawym wyglądzie. - Panno Hall, to jest wódz Czirokezów, John Ross.

Stojąc twarzą w twarz z przywódcą czirokeskiego narodu, Eliza starała się ukryć rozczarowanie. Tyle się o nim nasłuchiwała, że spodziewała się zobaczyć kogoś o sylwetce i prezencji Willa Gordona, otoczonego aurą dostojności i godności. Tymczasem miała przed sobą mężczyznę średniego wzrostu, o przeciętnej sylwetce, prostych kasztanowych włosach, śniadej karnacji i brązowych oczach. W jego wyglądzie nie było nic szczególnego.

- To dla mnie przyjemność, panno Hall - zwrócił się do niej po angielsku, co przypomniało jej, że ten człowiek bardzo słabo włada językiem czirokeskim. - Powiedziano mi, że gra pani na fortepianie jak anioł. Może kiedyś, kiedy będę miał zaszczyt gościć w Gordon Glen, uhonoruje mnie pani swoją muzyką.

- Z przyjemnością, ale... kto panu o tym powiedział? - zapytała zmieszana.

- Pewien młody misjonarz Nathan Cole wspomniał mi o pani talencie. Zdaje się, że zna go pani.

- Tak. - Skinęła głową niezgrabnie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy skierował swoją uwagę na jej chlebo-

dawcę. Zamienił z nim kilka słów, po czym ruszył dalej przez rozstępujący się z szacunkiem tłum, który zgromadził się, by go powitać. Wszędzie traktowano go z respektem graniczącym z lękiem.

Śledziła go wzrokiem, póki nie zniknął w tłumie. Potem odwróciła się w stronę Tempie i zobaczyła, że stoi przy niej Blade. Natychmiast poczuła zakłopotanie i niepokój, który zwykle ją ogarniał, kiedy była w towarzystwie tych dwojga. Martwiła się o Tempie i o wpływ, jaki miał na nią Blade, a elektryzujące napięcie między nimi sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Co pani sądzi o naszym wodzu, Johnie Rossie? - zapytał Blade po krótkim powitaniu.

- Sądzę, że ma cechy przywódcy. - Chociaż jej pierwsze wrażenie było negatywne, nigdy nie oceniała ludzi po ich wyglądzie. Dobrze wiedziała, że aparycja jeszcze o niczym nie świadczy. - To dobrze, że znalazł się ktoś tak skromny jak John Ross, by przejąć tak ważną funkcję.

- W istocie - przytaknął Blade. - Czy pierwszy raz jest pani w New Echota, panno Hall?

- Tak. Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałam się ujrzeć takich tłumów.

Na to doroczne spotkanie zjechali Czirokezi z najdalszych zakątków kraju, zajmując stuakrowy wydzielony specjalnie dla nich teren na obrzeżach miasta. Jak grzyby po deszczu wyrosły wokół stolicy setki namiotów, a w powietrzu unosił się zapach dymu z ognisk.

Chociaż głównym celem spotkania była sesja parlamentu, Czirokezi zjechali tu również, by zobaczyć się z rodzinami nie widzianymi od miesięcy, a czasami od wielu lat. Ten barwny, ożywiony tłum fascynował Elizę.

- Proszę dobrze się wszystkiemu przyjrzeć - powiedział Blade.  
- Bo może już po raz ostatni Czirokezi zjeżdżają do swojej stolicy.  
- Nie mów tak - zaprotestowała gwałtownie Tempie.

Spokojnie wytrzymał jej gniewne spojrzenie.

- Powtarzam tylko to, co myślą inni, lecz boją się głośno powiedzieć.

- Nawet sama myśl o tym jest przyznaniem się do porażki.
- Temple, władze Georgii wydały dekret, który zabrania organizowania takich zjazdów na ich ziemi - przekonywał z cierpliwością, jaką dorosły okazuje dziecku.
- To nie jest Georgia, tylko serce narodu czirokeskiego - odparowała.
- To my tak uważamy - mruknął. — Ale jak długo jeszcze władze Georgii pozwolą nam łamać ich prawa?
- Jak możesz tak mówić? - wybuchnęła.
- Ja jedynie przedstawiam fakty. Gdyby zjawiła się tu milicja stanowa, nie pozostałoby nam nic innego, jak przenieść posiedzenie parlamentu do innego miasta... na północ do Tennessee albo na zachód do Alabamy. Wiesz, że mam rację.
- Być może. - Wzruszyła ramionami z rozmyślnym lekceważeniem. - Ale to wszystko się zmieni. Prawnicy, których zatrudnił John Ross, już wnieśli sprawę do Sądu Najwyższego. Jeśli ją wygramy, rząd w Waszyngtonie będzie musiał dotrzymać warunków traktatu i chronić nas przed milicją z Georgii. Ojciec twierdzi, że to tylko kwestia czasu.
- Tak, kwestia czasu - powtórzył kwaśno Blade. On sam nie bardzo w to wierzył. Nic nie zrekompensuje zła, jakie wyrządzono Czirokezom.
- Temple dotknęła ramienia Elizy.
- Idzie tu pani przyjaciel, wielebny Cole.
- Nauczycielka odwróciła się i zobaczyła zmierzającego w ich stronę szeroko uśmiechniętego Nathana.
- Elizo. — Zatrzymał się i zdjął z głowy kapelusz. - Jak to miło cię znów wiedzieć.
- Witaj, Nathanie.
- Ciekaw byłem, czy już przyjechaliście. Wybieracie się gdzieś?
- Miałyśmy zamiar iść z Temple do sklepu. Muszę zrobić parę sprawunków.
- Wielebny Cole może pani towarzyszyć - odparła Temple. - Właśnie dostrzegłam w tłumie Jane Rogers. Nie widziałam jej od szkolnych czasów.
- Nim Eliza zdążyła zaprotestować, Temple pospieszyła do swej koleżanki.

Blade uśmiechnął się i skłonił przed Elizą.

- Zostawiam panią pod opieką pastora.

- Masz szczęście - powiedział Nathan. - Wszystkie cztery sklepy w mieście są otwarte. Zazwyczaj czynny jest tylko jeden, ale tyle ludzi zjechało na sesję parlamentu, że zrobił się ogromny ruch.

- Rzeczywiście - przyznała Eliza.

Ruszyli w stronę miasta. Po drodze minęli reprezentacyjną ulicę, wzdłuż której stały białe domki, przeważnie jednopiętrowe, z obszernymi werandami od frontu. Miasto składało się z jednoakrowych parceli zaprojektowanych z niezwykłą starannością. Centrum stanowił rynek, przy którym mieścił się budynek sądu, gdzie sędziowie ferowali wyroki zgodnie z opracowanym przez naród kodeksem praw. Tuż obok wznosił się budynek Zgromadzenia Narodowego. Była to obszerna, jednopiętrowa budowla z kominami i oknami. To tu odbywały się doroczne sesje dwuizbowego ciała ustawodawczego Czirokezów.

Kilka dni później, w trakcie trwających wciąż obrad parlamentu, na sali pojawił się biały człowiek, który oznajmił, że nazywa się John Lowrey i jest wysłannikiem rządu Stanów Zjednoczonych i sekretarza obrony Eatona. Poprosił, by pozwolono mu przemówić do połączonych izb parlamentu.

Przedstawił propozycję nowego traktatu na znanych już wszystkim warunkach: w zamian za ziemie pozostawione na Wschodzie rząd Stanów Zjednoczonych proponuje Czirokezom tereny na zachód od rzeki Missisipi i zobowiązuje się opłacić koszty transportu i budowy nowych domów i szkół.

Jedna sprawa, którą poruszył, wyglądała niezwykle groźnie.

- Jeśli władze stanu Georgia w celu przeprowadzenia inspekcji zdecydują się wkroczyć na tereny zajmowane przez naród Czirokezów, prezydent Stanów Zjednoczonych nie będzie interweniował.

Natychmiast wybrano więc delegację, która miała pojechać do Waszyngtonu i złożyć protest przeciw dalszemu nękanu plemienia. Jej członkowie, a wśród nich Will Gordon, zostali zobowiązani do oświadczenia, że naród Czirokezów nie odstąpi już ani jednej piędzi ziemi.

Pod koniec listopada drzewa w Gordon Glen straciły liście. Stały sztywne i nagie, kiedy cała rodzina zgromadziła się na werandzie, by pożegnać Willa Gordona przed długą podróżą. Eliza trzymała się na uboczu, obserwując, jak pan domu żegna się z dziećmi, ściskając sedecznie każde z osobna, i całuje żonę w policzek.

Już siedząc na koniu, przypomniał sobie o Elizie.

- Panno Hall, podczas mojego pobytu w Waszyngtonie spotkam się z Paytonem Fletcherem. Czy chciałaby pani może przekazać jakąś wiadomość rodzinie?

Zawahała się jedynie przez moment.

- Proszę mu powiedzieć, żeby przekazał mamie, iż samopoczucie i zdrowie mi dopisują.

- Dobrze.

- Niech pana Bóg prowadzi, panie Gordon, i życzę powodzenia.

- Będzie nam potrzebne, dziękuję.

Uniósł rękę na pożegnanie i odjechał, by dołączyć do pozostałych delegatów.

# 10



Temple zignorowała prośby Phoebe, by narzucić na ramiona szal, i otworzyła ciężkie barokowe drzwi, nie zwracając uwagi na mroźny podmuch styczniowego wiatru. Od wyjazdu ojca Gordon Glen odwiedzało niewielu gości, toteż samotnym jeźdźcem, który właśnie pojawił się na podjeździe, mógł być tylko Blade.

Kiedy znalazł się w kręgu światła sącącego się z hallu, jej przypuszczenia się sprawdziły.

- Cóż cię przywiodło w taki mróz? - zapytała z uśmiechem.

Kłęby pary wydobywające się z nozdrzy konia wyglądały niczym smugi dymu. Blade nie od razu odpowiedział. Przez chwilę jeszcze siedział na koniu i wpatrywał się w kobietę o bladej skórze i czarnych jak noc włosach.

- Dostrzegłem z daleka twój blask i pomyślałem, że może ofiarujesz mi trochę swojego ciepła.

Z ciemności wyłonił się Shadrach. Blade zsiadł z konia i rzucił mu wodze. Temple cofnęła się w głąb domu i otworzyła szerzej drzwi. Blade wszedł do wielkiego hallu, zdjął kurtkę i oddał ją służącej. Zaskoczyła go cisza panująca w domu.

- Gdzie jest twoja matka? - zapytał, spoglądając w stronę salonu.

- Na górze z małym Johnnym, który od dwóch dni choruje na krup - wyjaśniła, zamykając drzwi. - Przejdźmy do salonu. -

Ruszyła przodem i nie zatrzymując się, podeszła prosto do komin-  
ka. Wzięła pogrzebacz i poruszyła płonące drwa.

- Jak tu cicho. - Blade stanął obok niej i wyciągnął dłonie  
w stronę ognia.

- Panna Hall poszła już do swojego pokoju. - Temple uśmie-  
chnęła się z roztargnieniem. - Mieliśmy dziś wieści od ojca.  
Wygląda na to, że sprawy układają się pomyślnie. Jego list jest  
pełen optymizmu.

- Optymizmu? - powtórzył ze zdziwieniem Blade.

- Tak. - Uśmiechnęła się szerzej. - Sąd Najwyższy wezwał  
władze Georgii do stawiennictwa i udowodnienia słuszności ich  
postępowania w sprawie George'a Corna Tassela. Według ojca  
znaczy to, że Sąd Najwyższy uważa, iż władze Georgii przekroczyły  
swoje kompetencje, osądzając Czirokeza na terenie, który do nich  
nie należy - zakończyła z triumfalną miną.

- A więc nic jeszcze nie wiesz? - Poczuł, że ogarnia go gniew.

- O czym? - Przechyliła głowę na bok, wciąż się uśmiechając.

- On nie żyje. Powiesili Tassela.

- Co?! - Spojrzała na niego z niedowierzaniem, po czym zmarsz-  
czyła brwi. - Nie rozumiem. Czyżby nie otrzymali na czas wezwania?

- Otrzymali i zlekceważyli je. A właściwie zrobili coś więcej. -  
Zacisnął zęby, starając się zapanować nad wzbierającą w nim wście-  
kłością. — Kiedy otrzymali wezwanie, przyspieszyli egzekucję, by w ten  
sposób okazać swoje lekceważenie. Według nich ta sprawa nie leży  
w gestii Sądu Najwyższego ani żadnego innego trybunału i wtrącanie  
się naczelnych władz sądowniczych jest pogwałceniem ich praw.

- A co z prawami Czirokezów? - zapytała.

- Od kiedy to Amerykanie troszczą się o nasze prawa? -  
odparował i odwrócił się tyłem do ognia. Trawiony goryczą i gnie-  
wem podszedł do barku i nalał sobie whisky z kryształowej karafki.

- Jest wielu takich, którym nie są one obojętne - powiedziała.  
- Ojciec pisze, że David Crockett z Tennessee popiera nasze  
żądania. Crockett przedstawił naszą delegację innym deputowa-  
nym, którzy obiecali poparcie w Kongresie. Henry Clay publicznie  
ogłosił, że jest przyjacielem Czirokezów. Mówi się, że pokona  
Jacksona w nadchodzących wyborach i zostanie prezydentem. On  
uznałby ważność istniejących traktatów, które Jackson lekceważy.

Blade z zachwytem przyglądał się sylwetce Temple oświetlonej płonącym na kominku ogniem. Biła z niej taka duma i pewność siebie, że zapomniał nawet o czekającym na tacy kieliszku whisky. Pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej od niej kobiety. Chwycił w dłoń kieliszek i utkwiał w nim wzrok, dochodząc do wniosku, że nie jest w stanie upoić go tak jak ona.

- Niełatwo jest oddać swoje życie w czyjeś ręce — powiedział, lecz nie Claya czy Crocketta miał na myśli.

- Nie o to nam przecież chodzi. — Podeszła do niego. Halki pod wełnianą suknią szeleściły cicho przy każdym jej ruchu. - Wyciągamy ręce do innych po to, by zyskać sojuszników. Szukamy nowych głosów po to, by nasze wołanie o sprawiedliwość zabrzmiało pełnym głosem.

- Mówisz jak twój ojciec - rzucił jej szybkie spojrzenie, po czym przełknął porcję whisky, czując, jak pali go w gardle.

- Czy to źle? - zapytała, wypinając dumnie pierś.

- Nie.

Patrzyła mu przez chwilę w oczy, po czym spojrzała w bok, oddychając szybko, lecz głęboko.

- Mój ojciec jest silny, lojalny i zaangażowany w walkę o sprawiedliwość dla naszego narodu. W całym plemienu nie znalazłbyś równie szczodrobliwego męża. Tego lata, kiedy nie było deszczu i wielu Czirokezów straciło swoje plony, otworzył dla nich nasze spiżarnie i magazyny, by mogli wyżywić siebie i swoje bydło. Ledwo dla nas starczyło.

- Podziwiam go za to, Temple - odparł szorstko. - Moja siła, moja lojalność i zaangażowanie dorównują jego, lecz nie jestem taki jak on. I nigdy nie będę. Jeśli tego szukasz w mężczyźnie...

Spojrzała na niego ostro.

- Czy kiedykolwiek to mówiłam?

- Nie - rzucił krótko i odetchnął, starając się uspokoić płonący w nim gniew. Odstawił do połowy opróżniony kieliszek i podszedł do niej. - Nie chcę się z tobą sprzeczać, Temple... nie dzisiaj. - Otoczył ramieniem jej talię i przyciągnął do siebie. - Nie po to tu przyjechałem.

Początkowo opierała się, odwracając głowę i odpychając jego muskularne ramiona. Nie mogła tak od razu puścić w niepamięć tych jego bezdusznych, cynicznych uwag pełnych sceptycyzmu,



jakby uważał walkę o ich prawa za beznadziejną. Ojciec raczej odciąłby sobie język, niż mówiłby w ten sposób.

Jednak nie była w stanie długo ignorować niecierpliwych pieszczot jego warg, które błędziły po szyi, uchu, policzku, docierając do kącika ust.

- Potrzebuję cię - wyszeptał z cudowną szorstkością tuż przy jej twarzy.

Zesztywniała, słysząc ból w jego głosie, który nie był jedynie požądaniem, lecz prawdziwą udręką. Blade wydawał się zawsze taki niezależny i twardy, miał cięty język i zawsze trafiał w samo sedno. Czasami zapominała, jak silne emocje drzemią pod tą maską czarującej rezerwy. Zastanawiała się, skąd bierze się ten ból, a także ten gniew i gorycz. Co się stało? Dlaczego jest taki zdenerwowany? Nagle wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca.

- Znałeś go, prawda? Spotkałeś Tassela, kiedy pracowałeś w kopalni żelaza...

Zamknął jej usta pocałunkiem, nie pozwalając powiedzieć nic więcej. Tym razem jednak nie opierała się zniewalającej sile obejmujących ją ramion. Pragnęła usmierzyć jego ból i przegnać widmo śmierci, które miało dla niego zarówno twarz i nazwisko.

Wreszcie oderwał się od jej ust, ukrył twarz w zagłębieniu szyi i westchnął. Potem znowu zaczął ją obsypywać namiętными pocałunkami, powtarzając jej imię. Zadrzała, czując, jak jego ręce błędzą po plecach. Odnalazła jego wargi i poczuła smak whisky na języku. Upajająca pieszczota ust odurzyła ją niczym alkohol.

Do salonu weszła Eliza i zatrzymała się gwałtownie na widok splecionej w uścisku pary.

- Co wy robicie? - zapytała i oblała się krwistym rumieńcem. Na ich twarzach ujrzała wyraz namiętności.

- Czy potrzebuje pani czegoś, panno Hall? - zapytała Temple.

- Chyba jest zbyt późno na przyjmowanie gości. - Eliza spojrzęła znacząco na Blade'a.

- Tak - nieoczekiwanie zgodził się z nią Blade. - Czas na mnie.

- Ale... - chciała zaprotestować Temple.

- Panna Hall ma rację. Czas, bym wrócił do ciepła mego własnego ogniska.

Już miała zamiar zaprotestować, lecz zmieniła zdanie.

- Powiem Phoebe, żeby przyniosła ci kurtkę.

- To nie jest konieczne - odpowiedział.

Patrzyła, jak wychodzi z salonu, następnie podeszła do kominka i dorzuciła drew do ognia. Eliza nawet nie drgnęła. Czekwała, aż drzwi frontowe zamkną się za Blade'em.

- Jak możesz tak nieobyczajnie się zachowywać, Temple? Po tych wszystkich rozmowach, które...

- Dość tego! — Temple odwróciła się gwałtownie w jej stronę. W jej oczach pojawił się zaskakujący wyraz dostojeństwa. - Ciągłe słyszę, że należy panować nad swoimi emocjami. Nie ma pani pojęcia o tym, że mężczyzna może znaleźć ukojenie w ramionach kobiety, ukojenie, które uśmierza ból i daje radość życia. A życie to wspaniała rzecz. Również dla kobiety. Ale pani nie chce tego zrozumieć. Nie dopuszcza pani do siebie uczuć, które czynią z pani kobietę.

Zaskoczona Eliza nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Głos Temple brzmiał tak stanowczo, że nie śmiała się przeciwstawić, czując się jak uczennica.

Temple powoli się odwróciła ku kominkowi.

- Powinna pani o czymś wiedzieć. George Corn Tassel został powieszony.

- Co takiego? Skąd wiesz?

- Blade przyniósł tę wiadomość — wyjaśniła, po czym opowiedziała jej o wszystkich okolicznościach, łącznie ze zlekceważeniem przez władze Georgii polecenia sądu i zarzutem wtrącania się w nie swoje sprawy.

- Dobry Boże! - wyszeptała Eliza. - To będzie straszny cios dla twojego ojca.

- Tak.

W ciszy, która nastąpiła, Eliza starała się znaleźć jakieś słowa pociechy.

- Nie wszystko jeszcze stracone, Temple. Prawnicy już szykują się do wniesienia kolejnej sprawy, w której będą się domagać wydania zakazu władzom Georgii egzekwowania swoich praw na Czirokezach.

- Wiem. - Temple kiwnęła głową bez większego entuzjazmu.



Gęsty deszcz bębnił o szyby szkoły, odbijając się głośnym echem w pustej sali. Eliza odłożyła ostatni z elementarzy na swoje miejsce na półce, po czym wyrzała przez okno na ponury szary świat z ciężkimi chmurami i nagimi drzewami. Zadrżała czując wilgotny chłód i podeszła do kominka, przed którym siedział Nathan Cole z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi dłońmi. Zjawił się nieoczekiwanie tuż przed południem, przemoczony do suchej nitki i zachlapany błotem. Eliza nie musiała go długo przekonywać, by nie jechał na taką ulewę do odległego kościoła i został na noc.

- W taką pogodę mam ochotę zwinąć się w kłębek przy kominku z dobrą książką w rękę - powiedziała.

- Przepraszam, mówiłaś coś?

Już miała powtórzyć, lecz dostrzegła zafrasowaną minę pastora i zmieniła zamiar.

- Dzieciom bardzo się dziś podobała prowadzona przez ciebie lekcja.

- Tak, chyba tak. - Kiwnął głową, po czym znowu się zamyślił.

- Czy coś się stało, Nathanie?

- Stało? - Spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem. - Nie, nic.

- Przecież widzę, że coś cię trapi. Powiedz, o co chodzi — zażądała, nieświadomie przybierając mentorski ton nauczycielki.

- Ja... - Począł zacierać dłonie ze zdenerwowania. - Nie mogę zwracać ci głowy swoimi problemami.

- Dlaczego? - Przynęła krzesło bliżej ognia i usiadła. - Myślałam, że jesteś przyjaciółmi.

- Jesteśmy - przyznał, po czym westchnął głęboko. - Niepokoi mnie nowe zarządzenie wydane przez władze Georgii. Jak sądzisz, co z niego wyniknie?

- Absolutnie nic. To zwykłe oszustwo. Oni chyba nie sądzą, że uda im się nas zastraszyć. Ten cały pomysł z inspekcją należących do Czirokezów terenów, które mają zostać podzielone na działki i przekazane rdzennym mieszkańcom Georgii w drodze loterii, to zwykły podstęp, nic więcej. Georgia nie może rozporządzać ziemią, która do niej nie należy. Im chodzi głównie o podburzenie ludzi przeciw Czirokezom przez odwołanie się do ich chciwości. Nigdy im się to nie uda. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Chyba myślisz tak jak ja.

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

- W takim razie nad czym?

- Myślałem o rozporządzeniu, które weszło w życie pierwszego marca i nakazuje, aby wszyscy biali mieszkający na terytorium Czirokezów otrzymali pozwolenie na pobyt tam od władz Georgii. Zanim jednak zostanie ono wydane, trzeba złożyć przysięgę na wierność Georgii. - Zatarł nerwowo ręce. - Ty nie musisz się tym martwić. To zarządzenie nie dotyczy kobiet. Ale dotyczy mnie. I prawdę powiedziawszy nie wiem, co robić.

- Z czym? - zapytała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Z przysięgą. Czy mam ją złożyć i oddać co cesarskie cesarzowi? Osobiście uważam, że wszystkie działania zmierzające do wygnania Czirokezów z ich ziemi, są bezprawne. Ale jestem misjonarzem. Moim zadaniem jest nieść słowo Boże, a nie angażować się w politykę.

Eliza patrzyła na niego wyraźnie skonsternowana.

- Jak możesz w ogóle brać pod uwagę możliwość złożenia przysięgi? Ty i inni misjonarze jesteście duchowymi przewodnikami Czirokezów. Uczyliście ich wiary i przekonywaliście, że należy jej dochować, bez względu na to, jakim problemom będą musieli stawić czoło. Jeśli złożysz przysięgę na wierność Georgii, będzie to

oznaczało kapitulację. Dasz w ten sposób Czirokezom do zrozumienia, że ich wróg jest zbyt silny nawet dla ciebie.

- Myślę, że tak może to wyglądać - westchnął zdesperowany.  
- Ale złamanie prawa będzie oznaczało dla mnie uwięzienie. Jak wówczas będę mógł pomagać Czirokezom? Bracia morawscy już wyjeżdżają z Georgii i zostawiają swoje żony pod opieką misji. - Przeczesał palcami włosy, zwiększając ich nieład, po czym złożył dłonie jak do modlitwy i podniósł wzrok na Elizę. - Co byś zrobiła na moim miejscu?

Zawahała się, lecz nie dlatego, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle zdała sobie sprawę, ile znaczy dla niej to miejsce i ta rodzina. Wszyscy... piękna Temple, która była dla niej jak młodsza siostra, arogancki Kipp ze swoimi uprzedzeniami i bystrym umysłem, powolna i wstydliva Xandra, blednąca przy urodzie siostry i inteligencji brata. I mały Johnny, który stawiał już pierwsze kroki. Także Phoebe i Shadrach, którzy z taką zachłannością połykali każdą porcję przekazywanej im wiedzy. I wreszcie krucha Victoria Gordon, wzór matczynego przywiązania i poświęcenia, i Will Gordon, głowa rodu, którego darzyła głębokim szacunkiem.

- Nie mogłabym stąd wyjechać - powiedziała po prostu. - Ale ty masz inną sytuację. Na pewno władze w Bostonie przekażą ci jakieś sugestie.

- Oni uważają, że powinniśmy pozostać na swoich miejscach i poczekać na rozwój wypadków. Ale to są jedynie sugestie. Nie musimy się z nimi liczyć.

- Myślę, że to słuszne stanowisko. Pan Gordon twierdzi, że Sąd Najwyższy niebawem rozpatrzy sprawę Czirokezów. Jeśli wyrok będzie korzystny, to nie musisz się martwić tą rejestracją. Georgia nie będzie miała prawa jej wprowadzić.

- A jeśli zostaną aresztowani, zanim sąd rozpatrzy sprawę albo jeśli wyrok będzie niekorzystny? Czy mam złożyć przysięgę, czy iść do więzienia? - Pokręcił głową zatroskany. - Moje miejsce jest przy Czirokezach, nie w więziennej celi. Jeśli jednak złożę przysięgę, stracę ich zaufanie i szacunek. Moim obowiązkiem jest służyć im nadzieją i wiarą, którą daje Bóg Wszechmogący. W jaki sposób mogę to zrobić najlepiej?

Eliza zaczynała tracić cierpliwość. Dla niej rozwiązanie było proste.

- Jeśli milicja stanowa będzie chciała cię zaaresztować, powiesz im, że uważasz się za Czirokeza. Tak bym postąpiła na twoim miejscu.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto - uśmiechnął się smutno.

- Bo jest proste. - Wstała z krzesła i stanęła twarzą do ognia, starając się zapanować nad ogarniającym ją gniewem. - Wszyscy mówią, że problem tkwi w tym, do kogo należą te ziemie. Czirokezi byli tu pierwsi, więc jak można kwestionować ich własność? Jestem kobietą, lecz nawet ja widzę, że zawiązał się spisek pomiędzy władzami Georgii a prezydentem. Georgia spodziewa się, że wydając bezduszne zarządzenia, dopuszczając się grabieży i prowadząc handel whisky, tak obrzydzi życie Czirokezom, iż w końcu podpiszą nowy traktat i oddadzą ziemie. Nie dziwiłabym się, gdyby zbuntowali się przeciw swoim ciemiężcom.

- Nie wiesz, co mówisz. Zbrojny opór Indian da władzom powód do wysłania wojska. Sytuacja byłaby wtedy jeszcze gorsza.

- Masz rację. - Patrzyła zgnębiona, jak małe języki ognia zmieniają się w płomień wolno obejmując polano, i słuchała miarowego bębnienia deszczu o szyby. Ciekawe, czy władzom Georgii uda się w końcu złamać opór narodu czirokeskiego, pomyślała. - Jak sądzisz, Nathanie, czy Will Gordon i inni delegaci podpiszą traktat oddający Amerykanom ich ziemie? - Nawet takie przypuszczenie zabrzmiało jak zdrada.

Uniósł głowę i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nie. To by oznaczało dla nich wyrok śmierci.

Powiedział te słowa z takim przekonaniem, że spojrzała na niego zaskoczona.

- Wyrok śmierci? Dlaczego?

- Bo... sprzeniewierzyliby się prawu krwi - wyjaśnił niechętnie:

- Prawu krwi? Co to takiego?

- To święte prawo karzące śmiercią każdego Czirokeza, który odda jakąkolwiek część ziemi należącej do plemienia bez zgody rady.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Wiem tylko o jednym przypadku, kiedy to prawo zostało wyegzekwowane, a zdarzyło się to w 1807 roku. Wódz „Dwugło-

wy" podpisał z rządem federalnym umowę, zrzekającą się znacznych obszarów, w tym wyżyny Cumberland i części obecnego Kentucky. Za łapówkę. Rada plemienna wyznaczyła wówczas egzekutorów, którzy mieli wykonać na nim wyrok śmierci.

— I wykonali?

Choć wiedziała, jaka będzie odpowiedź, postawiła to pytanie.

— Tak - odprał niechętnie. Domyśliła się, że nie pochwała takiej kary. - Przed dwoma laty parlament Czirokezów zatwierdził prawo krwi, wprowadzając je oficjalnie do kodeksu karnego. Tak się dziwnie złożyło, że opracował je John Ridge, syn majora Ridge'a, który był jednym z członków grupy egzekucyjnej. Podobno major Ridge proponował wprowadzenie tego prawa jako środka zapobiegawczego przeciw tym, którzy chcieliby zawierać układy dla własnych korzyści. - Wyprostował się na krześle i westchnął ciężko. - Podobno Czoktawowie i Czikasawa zawarli nowy układ, oddając swoje ziemie w zamian za ziemie na Zachodzie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, by Czirokezi dobrowolnie zgodzili się przenieść na Zachód, zważywszy na rozpowszechniony wśród nich przesąd.

- Jaki przesąd?

- Kiedy tego lata wędrowałem po górach, rozmawiałem z pewnym starym Indianinem, który nie wyrzekł się pogańskiej wiary swoich przodków. Nie było w niej czegoś takiego jak niebo czy życie pozagrobowe. Wierzył, że dusze zmarłych błakają się po świecie, póki nie dotrą do krainy mroku na zachodzie. I tam znikają.



Temple zaciągnęła ciężkie zasłony dla ochrony przed porannym słońcem i spojrzała na matkę śpiącą w wielkim puchowym łożu. Proste czarne włosy otaczały jej wychudzoną bladą twarz. Mimo że Czarna Cassie regularnie ją karmiła, matka wydawała się słabnąć z każdym dniem.

Może teraz się jej polepszy, pomyślała Temple i poszła w stronę drzwi. Zamknęła je cicho za sobą i ruszyła w stronę schodów.

- Panienko! Panienko! — rozległ się z dołu niespokojny głos Czarnej Cassie.

- Cicho! — syknęła niecierpliwie Temple, zła, że Murzynka hałasuje. - Obudzisz mamę.

- Lepiej niech panienska tu zejdzie.

- Co tam znowu? - zapytała z wyraźną irytacją w głosie. Z powodu choroby matki została obarczona wszystkimi obowiązkami domowymi, które nie dawały jej spokoju.

- Jacyś ludzie tu jadą - poinformowała z lękiem w głosie Czarna Cassie. — Wyglądają na strażników stanowych.

- Co takiego? - Temple zatrzymała się w połowie schodów.

- Prędko, panienko - ponagliła ją służąca. - Są już w alei. To szatany. Żeby tylko nic złego się nie stało.

Temple zbiegła na dół, minęła Czarną Cassie i przypadła do okna w jadalni. Ostry marczywy wiatr gnał zeszcłe liście po trawniku, a jej



myśli wirowały wraz z nimi jak szalone. Krzyki pawi, zwiastujące niewidocznych jeszcze intruzów, potęgowały jej strach. W domu nie było żadnego mężczyzny, który by ich obronił. Ojciec jeszcze nie wrócił z Waszyngotnu, a wuj pojechał kupić ziarno na wiosnę.

- Czy panienka ich widzi? - zapytała Czarna Cassie, stając z tyłu za nią.

- Nie.

Zaraz jednak dostrzegła ich między drzewami: sześciu mężczyzn na koniach, w kapeluszach mocno naciągniętych na czoła i podniesionych konierzach dla ochrony przed wiatrem. Zmierzali w stronę budynku szkoły. Tam są przecież Xandra, Kipp, kuzyni i panna Hall, pomyślała w panice.

Opanowując strach, odwróciła się od okna.

- Gdzie jest Shadrach? Nigdy go nie ma, kiedy go potrzebuję.

- W szkole, panienko.

Z niechęcią przypominała sobie, że Shadrach i Phoebe uczestniczą w porannych lekcjach.

- Biegnij do stajni i powiedz Ikemu, żeby jechał po pana Stuarta.

- Ale on nie może się ruszać bez przepustki.

- Nie ma na to czasu. Zrób, co powiedziałam.

- Nie, panienko. - Czarna Cassie pokręciła głową z uporem. - Jeśli oni zatrzymają mojego Ikego, a on nie będzie miał przepustki, wezmą go za uciekiniera.

- Rób, co powiedziałam! - krzyknęła Temple, wymierzając służącej policzek. Nigdy dotąd tego nie robiła, ale też nigdy nie miała ku temu powodu. - Są już przed szkołą, słyszysz? - Widząc przerażenie w oczach Cassie, pchnęła ją w stronę drzwi. - Biegnij. Jeśli Ike zostanie zatrzymany, to i tak go tu przyprowadzą.

- Tak, panienko. - Służąca wybiegła z pokoju.

Temple spojrzała przez okno. Jeden z jeźdźców podjechał do szkoły i zatrzymał się przed wejściem. Chwyciła w dłonie suknię i pobiegła do frontowych drzwi.

Słyszając odgłos ciężkich butów na szkolnych schodach, Eliza zamknęła elementarz i wstała z krzesła. Po chwili drzwi się

otworzyły i stanęło w nich dwóch mężczyzn, odzianych w długie zimowe płaszcze.

- Kim jesteście i czego tu chcecie?

Nie namyślając się schwyła leżącą na stole linijkę, jedyną broń, jaką miała pod ręką. Do dwóch mężczyzn dołączył trzeci, a pozostali trzej zostali na zewnątrz.

Pierwszy z intruzów powiódł po sali uważnym spojrzeniem.

- Gdzie jest pani mąż?

- Nie mam męża.

Nowe rozporządzenie, pomyślała Eliza. Weszło w życie przez czterema dniami, pierwszego marca, i nakazywało zarejestrować się u lokalnych władz wszystkim białym mieszkającym na terytorium Czirokezów. Za niedopełnienie tego obowiązku groziła kara czterech lat więzienia.

Spojrzał na nią oskarżycielskim wzrokiem.

- Słyszeliśmy, że na tej plantacji mieszka biały nauczyciel. Nie zarejestrował się jeszcze u lokalnych władz.

- To ja jestem nauczycielką - oświadczyła. - I jako kobieta nie mam obowiązku się rejestrować.

- Pani jest nauczycielką? - Zmierzył ją szyderczym spojrzeniem i splunął na podłogę śliną żółtą od tytoniu. - Pewnie jest pani jedną z tych wielbicielek Indian.

Zignorowała tę uwagę i wyszła zza biurka, zasłaniając sobą uczniów.

- Jeszcze się panowie nie przedstawili i nie wyjaśnili powodu swego przybycia.

- Co pani powie - rzucił drwiąco, po czy wypiął dumnie pierś.

- Tak się składa, że jesteśmy milicją stanową.

- W takim razie powinniście się wstydić, wpadając tu bez uprzedzenia, plując na podłogę i strasząc dzieci - oświadczyła. - Czirokezi, których znam, nie zachowują się tak zuchwale jak pan i pańscy ludzie.

Jego towarzysz trącił go łokciem.

- Spójrz no. Czy to nie czarnuch tam siedzi?

Wzrok mężczyzny spoczął na Shadrachu.

- Hej, ty, chodź tu.

- Zostań na swoim miejscu - rozkazała Eliza, nie spuszczać oczu z mężczyzn.

W tym momencie nastąpiło zamieszanie i do sali wpadła Temple.

Odepchnęła stojącego na stopniach mężczyznę, lecz zanim zdążyła dotrzeć do Elizy, jeden z intruzów chwycił ją za rękę. Zaczęła się szarpać, próbując ją wyswobodzić.

Mężczyzna roześmiał się i złapał ją za nadgarSKI.

- Patrzcie, kogo tu mamy. Prawdziwą czerwonoskórą księżniczkę. Chyba też jest na wojennej ścieżce.

- Puść ją - zażądała Eliza. Kiedy zignorował jej polecenie, trzasnęła go w ramię linijką. Mężczyzna zaklął z bólu i puścił Temple.

Jego towarzysz zrobił krok w stronę Elizy. W odpowiedzi uniosła ostrzegawczo linijkę. Utkwił w niej lodowate spojrzenie.

- Właśnie uderzyła pani przedstawiciela milicji stanowej.

- Tylko dlatego, że zaatakował młodą dziewczynę. - Wolną ręką przyciągnęła Temple do siebie.

- Co robisz tu te czarnuchy? - zapytał, zmieniając taktykę.

- Są moimi uczniami.

- W Gerogii zabrania się uczyć czarnych.

- Na szczęście tu nie jest Georgia - odparowała Eliza. — To jest terytorium Czirokezów.

- Myli się pani. Ta ziemia należy do Georgii.

- O tym, mój panie, zadecyduje sąd. - Przez całe swoje dwudziestoletnie życie Eliza nigdy nie znalazła się w tak niebezpiecznej sytuacji. Musiała użyć całej swej inteligencji. Ani ona, ani Temple nie mogły się przecież mierzyć z takimi drabami.

- Tu na pewno jest gdzieś biały nauczyciel - upierał się przy swoim drugi mężczyzna, pocierając bolące ramię. - Musieli go gdzieś ukryć.

- Powiedziałam już, że nie mam męża. To ja jestem nauczycielką — oświadczyła twardo Eliza, czując, jak Temple ściska ją za rękę.

- Przeszukajcie szkołę i dom, jeśli chcecie - odezwała się Temple, mierząc ich wściekłym spojrzeniem. - Ale ostrzegam, jeśli tkniecie kogoś albo coś zniszczycie, zostaniecie aresztowani.

- Aresztowani? - prychnął wzgardliwie pierwszy mężczyzna i uśmiechnął się złośliwie do swoich kompanów. - Słyszeliście, czym ona nam grozi? - Pokiwali głowami z politowaniem. — Nie

masz tu żadnych praw, księżniczko. Możemy robić, co nam się podoba, i nic na to nie poradzisz.

- Ale ja mogę - oświadczyła Eliza. - Mogę zaświadczyć przeciwko wam. Żadne z waszych fałszywych rozporządzeń mnie nie dotyczy. Jestem białą, nie Indianką.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zaskoczenie, kiedy tylko dotarł do niego sens jej słów. Na próżno starał się przybrać hardą postawę.

- Nie może nam pani zabronić szukania białego nauczyciela.

- I nie zamierzam wam przeszkadzać — odparła gładko, pewna, że teraz ona dzierży bat w dłoni. - Ale nie spuszczać z was oka.

Pod jej czujnym spojrzeniem mężczyźni przeszukali salę i teren wokół szkoły.

- Mógł się ukryć w tym dużym domu - zasugerował jeden z jeźdźców.

Przywódca grupy spojrzął na Elizę i pokręcił głową.

- Do tego czasu zdążył już pewnie czmychnąć do lasu. Chodźmy, mamy jeszcze inne ptaszki do wypłoszenia.

Dopiero kiedy zniknęli im z oczu, Eliza ośmieliła się głębiej odetchnąć. Wróciła do salki, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie ciężko. Kiedy minęło niebezpieczeństwo, nagle puściły jej wszystkie nerwy. Nie była pewna, czy to, co słyszy, to głośnie bicie jej serca czy też drżenie nóg.

Czując na sobie wzrok dziewięciu par oczu, zdobyła się na drżący uśmiech.

- Odjechali.

Temple podeszła do niej z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Nic się pani nie stało?

- Nie, nic mi nie jest. - Oderwała się od drzwi, starając się zapanować nad sobą.

- Była pani niebywale dzielna. - Temple patrzyła na nią z szacunkiem i podziwem.

- Byłam raczej przerażona - przyznała. - A to dranie! Powinno się ich wychłostać za nachodzenie nas i terroryzowanie dzieci - wybuchnęła, starając się ukryć drżenie głosu.

- Muszę zajrzeć do mamy - powiedziała Temple, i ruszyła w stronę drzwi.

- Wszyscy powinniśmy pójść do domu - zdecydowała Eliza.
- Chodźcie. Zostawmy to wszystko. Szybciutko.

Dwadzieścia minut później byli już we dworze, z wyjątkiem Phoebe i Shadracha, których wysłano do kuchni, by zajęli się przygotowaniem popołudniowego posiłku. Czarną Cassie jednak bardziej interesowało, czy są cali i zdrowi, i dokładna relacja z przebiegu zdarzeń, tak więc zwolniła ich z tego obowiązku.

Phoebe pozostawiła Shadrachowi możliwość opowiedzenia wszystkiego. Wyczuwała zdenerwowanie matki, lecz nie pojmowała jego przyczyny. Ogarnął ją jednak niepokój podobny do tego, jaki odczuła na widok białych mężczyzn.

- ...i jeden z nich mówi do panny Lizi: „Co ten czarnuch tu robi?” - Shadrach starał się nadać głosowi dorosłe brzmienie. - „Chodź no tu”, mówi, a panna Liza na to: „Zostań na swoim miejscu, Shadrach”. I zostałem. - Czarna Cassie jęknęła i zaczęła kręcić głową. Prawie nie słuchała, kiedy opowiadał, jak w tym momencie weszła panienska Temple i jak panna Liza uderzyła tego mężczyznę linijką. - ...i wtedy ten człowiek powiedział, że w Georgii nie wolno uczyć Czarnych.

W odpowiedzi jęknęła jeszcze głośniej.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że stanie się coś złego.

- Nie, mamó, nic się nie stało. - Shadrach patrzył, jak matka ściska swe ramiona i zaczyna się kołysać, jakby ją coś bolało. - Panna Liza powiedziała mu, że to nie Georgia, że to ziemia Czirokezów.

Czarna Cassie przytuliła ich do siebie.

- Jak nic wrócą tu wieczorem — zajęczą. — Tak jak kiedyś. Przyjdą, wyciągną was na dwór i wychłoszczą tak, że nie będziecie mogli złapać tchu.

- Ale dlaczego? - Shadrach uwolnił się z objęć matki i spojrzał na nią z niedowierzaniem i strachem.

- Bo po tej nauce nie będziecie już chcieli nikomu służyć. Dlatego nie pozwalają Czarnym się uczyć. Mówiłam Ikemu. „Nie pozwól dzieciom chodzić do szkoły, bo to się źle skończy”, mówiłam. No i macie.

Mówiła z takim przekonaniem, że Phoebe zaczęła się trząść i omal nie krzyknęła, słysząc tętent końskich kopyt.

- Wrócili. - Cassie przytuliła do siebie Phoebe, a Shadrach podbiegł do drzwi. - Nie wychodź. Musisz się ukryć.

- To nie oni, mamó. To pan Blade i Deu. Tata jest z nimi - powiedział i wybiegł z kuchni.

Na widok nadjeżdżającego Blade'a Temple wybiegła z domu. Zeskoczył z siodła, jeszcze zanim spieniony koń zdążył stanąć. Chwycił ją za ramiona.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Nie...

- A innym?

- Też nie.

Dopiero wówczas zwolnił uścisk.

- Jak dawno odjechali?

- Jakies dwadzieścia minut temu, nie więcej.

Spojrzał w stronę drogi. Na jego twarzy malowały się czujność i napięcie. Po chwili ponownie zwrócił ku niej wzrok, a w błękitnych oczach błysnął zimny gniew.

- Co tu się stało?

Temple pokrótce opowiedziała mu o wszystkim.

- Panna Hall mówi, że chodzi o to nowe prawo. Szukają tych, którzy je łamią.

Skinął głową.

- Słyszałem dziś rano, że aresztowali trzech misjonarzy.

- Szkoda, że nie widziałeś panny Hall - powiedziała. - Nigdy nie była tak rozgniewana, nawet z powodu Kippa. Kiedy jeden z nich złapał mnie...

- Co zrobił? - warknął.

- Nie skrzywdził mnie - zapewniła go cicho. - Panna Hall do tego nie dopuściła.

- Gdyby to zrobił... - Zaciśnął zęby, nie kończąc zdania.

Blizna na policzku stała się bardziej wyraźna. Temple dotknęła jej delikatnie.

Jakże kochała ten jego gniew i męską siłę.

- Blade - szepnęła głosem przepojonym miłością.

Otoczył ją ramionami i zamknął jej usta pocałunkiem, w któ-

rym namiętność mieszała się z niepokojem. Miała wrażenie, że wokół nich rozpełtała się burza, wprawiając jej ciało w drżenie, które ogarnęło ją aż po koniuszki palców.

- Och, Temple, nawet nie wiesz, jakie myśli przychodziły mi do głowy, kiedy zjawił się Ike - wymruczał, usiłując zapanować nad wzbierającymi w nim emocjami. —' Na jak długo wyjechał twój wuj? - zapytał biorąc w dłonie jej twarz.

- Ma wrócić jutro albo pojutrze. - Zamknęła oczy, rozkoszując się delikatną pieczęcią jego palców.

- Zostanę tu do jego powrotu - zdecydował, jakby uprzedzając jej zamiar.

- Dobrze.

- A kiedy wróci twój ojciec...

Otworzyła oczy i wstrzymała oddech na widok powagi widocznej w jego oczach.

- Tak?

- Chciałbym uczynić cię moją żoną. - Uśmiechnął się kpiarsko, a w policzku pojawił się dołek. - Co na to powiesz?

- Nie przypominam sobie, żeby była o tym mowa - odparła tym samym tonem, czując się niewymownie szczęśliwa.

- Przecież tego właśnie chciałaś. Od początku myślałaś o małżeństwie.

- Za to ty nie.

- Rzeczywiście - przyznał. - Nie myślałem o żonie, o założeniu rodziny. Kiedy byłem w górach, podążałem za złotą żyłą, kopiąc, rozbijając i przesiewając ziemię, tylko dlatego, by znaleźć żółty piasek i kilka bryłek. Musisz zaakceptować wszystko, co się z tym łączy, aby mieć to, czego pragniesz.

- A ty mnie pragniesz? - Tak bardzo chciała usłyszeć, co do niej czuje.

- Czy pragnę? To nie jest odpowiednie słowo. — Przytulił ją do siebie i skrył twarz w jej włosach. - Oddychać i nie czuć zapachu twoich włosów, słuchać i nie słyszeć szeptu twoich ust, wypowiadających słowa miłości, patrzeć i nie widzieć oślepiającego blasku twoich oczu, kiedy na mnie spoglądają, dotykać... - Przesunął palcami wzdłuż jej policzka i linii szyi. - I nie czuć jedwabistej gładkości twojej skóry, smakować... - Pochylił się i musnął warga-

mi jej usta. - I nie móc delektować się namiętnością twego pocałunku, to nie byłoby życie, Temple.

- Dla mnie również. - Tylko przy nim czuła, że naprawdę żyje.

Kiedy przycisnęła usta do jego warg, ogarnęło go szalone pożądanie. Nawet gdyby je zaspokoił, nadal by narastało. Czuł, że czas nie złagodzi tego uczucia. Było zbyt potężne - i zbyt piękne.

Kiedy następnego dnia Phoebe i Shadrach nie przyszli do szkoły, Eliza po raz drugi potrząsnęła dzwonkiem. Nie mogąc dłużej zwlekać, rozpoczęła poranne lekcje bez nich.

W czasie południowej przerwy dzieci wybiegły się pobawić przed posiłkiem. Eliza przypomniała sobie o Phoebe i Shadrachu. Zastała ich w kuchni w towarzystwie Czarnej Cassie. Shadrach rzucił jej ukradkowe spojrzenie i pochylił głowę nad kartoflami, które obierał. Wyglądał na zawstydzonego i zmartwionego. Phoebe również starannie unikała jej wzroku.

- Dlaczego nie przyszlście dziś do szkoły? - spytała. - Brakowało mi was.

- Musieli my pracować - wymamrotała Phoebe.

- Musieliśmy pracować - poprawiła ją Eliza.

- Tak. - Dziewczyna spuściła głowę i spojrzała ukradkiem na stojącą przy kuchni matkę.

Eliza wyczuła, że coś jest nie tak. Może boją się, że spotka ich kara za nieobecność w szkole, pomyślała. Ale przecież wiedzą, że nie jestem zwolenniczką kar cielesnych.

- Przyjdźcie jutro wcześniej, to przerobię z wami dzisiejszy materiał - zaproponowała z ciepłym uśmiechem.

Shadrach uniósł głowę, a w ciemnych oczach błysnął wyraz bólu i zawodu.

- My nie będziemy już przychodzić. - Ponownie spuścił głowę i dodał: - Nasza mama tak powiedziała.

- Ale dlaczego? - Eliza odwróciła się w stronę Czarnej Cassie.

- Oni więcej nie przyjdą do tej pani szkoły.

- Tyle się już nauczyli - oznajmiła Eliza tonem protestu. - Shadrach jest jednym z moich najlepszych uczniów. Jak możesz odbierać im szansę zdobycia wykształcenia?



- Mama myśli, że ci biali tu wrócą - wyjaśniła Phoebe.  
Eliza spojrzała na Cassie zaskoczona i rozgniewana.
- Chyba nie pozwolisz zastraszyć się tym draniom? Nie jesteśmy w Georgii. Tu nic nie mogą ci zrobić.
- O tak, mogą. Panienska nie wie, ale ja wiem - odezwała się Cassie. - Oni nie pozwolą żadnemu czarnemu się uczyć. Jestem tego pewna. A ja nie pozwolę skrzywdzić moich dzieci. Dlatego nie pójdą więcej do szkoły. One wiedzą, gdzie jest ich miejsce.
- Eliza już chciała zaprotestować, lecz nagle przypomniała sobie wyraz twarzy mężczyzn, kiedy patrzyli na Shadracha i Phoebe. Kryło się w nim zło. Czyżby tym dzieciom groziło większe niebezpieczeństwo, niż sądziła? Przejęte od południowych stanów zasady dotyczące czarnych nie tylko zabraniały im się uczyć, lecz także surowo karały nauczycieli, którzy ich nie przestrzegali. Nie mogła się więc dziwić, że Cassie boi się o swoje dzieci, widząc, jak te dranie z Georgii nękają Czirokezów.
- Rozumiem - odpowiedziała i wyszła z kuchni. Ogarnęło ją uczucie bezradności, bo nic nie mogła uczynić, by zmienić tę sytuację.

Tęskniła za nimi, zwłaszcza za Shadrachem, który z takim zainteresowaniem słuchał jej lekcji. Przez pierwsze dni spoglądała w okno, mając nadzieję, że może znowu będzie podsłuchiwał, lecz chłopiec się nie pojawił.

Wieczorna pieśń lelka kozodója rozbrzmiewała wśród drzew, kiedy Eliza wracała do szkoły po pozostawiony tam przez zapomnienie szal. Westchnęła z głębi serca, zastanawiając się, czy Shadrach i Phoebe czują się równie oszukani jak ona. Oni, pozbawieni szansy zdobywania wiedzy, ona - szansy przekazywania jej.

Nagle dostrzegła nikły blask w jednym z okien szkoły. Czyżby ktoś podłożył ogień? - pomyślała ze strachem. Pewnie osadnicy z Georgii zamierzali w ten sposób powstrzymać ją przed uczeniem niewolników. Przyspieszyła kroku, a w końcu zaczęła biec. Kiedy dotarła do schodów, posłyszała dochodzące ze środka jakieś odgłosy. Otworzyła drzwi.

- Kto tu jest? - zapytała ostro.

W chwili kiedy przechodziła przez próg, ktoś cicho wymknął się przez boczne okienko. Zatrzymała się gwałtownie, zdając sobie nagle sprawę z otaczającej ją ciemności. Jednak ktoś tu przed chwilą był. Podbiegła do okna. W tej chwili księżyc wyrzał zza chmur, wydobywając z mroku drobną postać znikającą za rozłożystym orzechem. Odwróciła się od okna i rozejrzała po sali. Jej uwagę zwróciły jakieś przedmioty leżące na podłodze. Był to elementarz i świeca. Stopiony wosk był miękki i ciepły. Podniosła z ziemi książkę i uśmiechnęła się.

- Och, Shadrach - szepnęła, przyciskając podręcznik do piersi.  
- Kochany mały Shadrach. A więc chcesz się uczyć. Nie przestraszyłeś się. Pomogę ci, tak żeby nikt się o tym nie dowiedział. To będzie nasz wspólny sekret. Obiecuję.

Zapaliła świecę i postawiła ją na biurku. Ocierając jedną ręką płynące strumieniem łzy, w drugą ujęła pióro, zamoczyła je w kałamarnicy i wypisała na kartce ćwiczenia i polecenia na następny dzień. Nie zaadresowała jej i pozostawiła bez podpisu. Następnie położyła ją na wierzchu elementarza, a obok postawiła świecę. Potem wzięła szal i wyszła ze szkoły.

Kiedy przechodziła obok orzecha, postyszała jakiś szmer, jakby drapanie w korę.

- Przestraszyłeś mnie, panie księżycu - powiedziała głośno. - Myślałam, że ktoś jest w szkole, ale to byłeś tylko ty, prawda? Musiałam wrócić, bo zapomniałam zostawić ćwiczenia na jutrzejszą lekcję.

Z tymi słowami poszła dalej. Następnego dnia ćwiczenia, elementarz i świeca stały prawie dokładnie w tym samym miejscu, w którym je zostawiła. Od tego dnia zawsze pamiętała, by zostawić na biurku podręcznik, kartkę z ćwiczeniami i nową świecę.



Któregoś wiosennego poranka pod koniec marca, kiedy forsycja obsypała się żółtym kwieciami, a dereń oplótł pajęczą koronką drzewa, w domu zjawił się Will Gordon. Temple wracała właśnie z kwater murzyńskich, dokąd poszła, by opatrzeć chorego.

Towarzyszący jej Shadrach zatrzymał się i spojrzał w dół na swoje stopy, w które wplotły się delikatne listki traw. Było już na tyle ciepło, by niewolnicy mogli chodzić boso.

Na widok nadjeżdżającego aleją ojca Temple wcisnęła chłopcu w ręce koszyk z bandażem, ziołami i maścią.

- Biegnij do domu i uprzedź, że ojciec wraca - przykazała Temple. Shadrach popędził przekazać radosną wiadomość.

Tymczasem Temple zboczyła z wysypanej żwirem alejki i przebiegła trawnik, biegnąc na powitanie ojca. Zauważył ją przy głównym wejściu i natychmiast ściągnął wodze.

W tym momencie otworzyły się drzwi frontowe i wybiegli przez nie Kipp i Xandra, a za nimi Eliza i Victoria z małym Johnem na ręku. Temple rychło do nich dołączyła. Eliza usunęła się na bok, pozwalając przywitać się rodzinie.

- Cieszę się, że wróciłeś — powiedziała Xandra, trzymając ojca za nogawkę spodni, kiedy Will unosił w górę najmłodszego syna.

- Stęskniłam się za tobą.

- I ja za tobą. - Pogłodził ją pieszczotliwie po głowie.

Wieść o powrocie Willa z Waszyngtonu natychmiast rozeszła się po okolicy. Po południu, przy stole w jadalni, siedziało dwunastu gości, a wśród nich Blade i jego ojciec, Shawano Stuart. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na relację z pobytu delegacji w stolicy. Była to również okazja do podzielenia się najnowszymi wieściami z domu.

- Sytuacja znacznie się pogorszyła podczas twojej nieobecności, Will.

- Tak - przyznał inny z gości. - Aresztowano ponad tuzin białych za to, że nie zarejestrowali się u lokalnych władz, a wśród nich kilku misjonarzy: Samuela Worceстера, Isaaka Prostora i Nathana Cole'a.

- Zrobili z tego całe przedstawienie - dodał Blade. - Na teren misji wjechali mężczyźni uzbrojeni w muszkiety. Poprzedzał ich wóz z ogromnym bębmem. Walił w niego chłopiec nie większy od twojego Kippa, a za wozem szedł człowiek, który dmuchał w fujarkę. Aresztowali tych ludzi bez nakazu sądowego, pozwalając jedynie pożegnać się z rodzinami, i powieźli do Lawrenceville.

- Powiedziano mi, że ich zwolniono. - Will uniósł w górę brew.

- Tak. Sędzia oddalił stawiane im zarzuty. Uznał, że misjonarzy należy traktować jak urzędników federalnych. Z tego względu lokalne prawo Georgii o rejestracji ich nie dotyczy - wyjaśniła Eliza. - Kiedy Na... pan Cole złożył nam wizytę, zapewnił mnie, że był dobrze traktowany. Powiedział również, że kilku wpływowych obywateli Georgii odnosiło się do niego z sympatią i wyraziło swoją dezaprobatę z powodu tego, co się stało.

- Jednak nawet oni są zdania, że Czirokezi powinni stąd odejść - zauważył siedzący naprzeciw niej mężczyzna.

- Szkoda, że nie słyszałeś, jakie oni piosenki śpiewają — odezwała się Temple, po czym przytoczyła zwrotkę jednej z nich.

*Naprzód, dzieci natury,  
Dziki tereny na was czekają.  
Tam nie sięga nasza dłoń.  
Ruszajcie więc w drogę  
Ku Missisipi.*

- Zapomniałaś o jeszcze jednej - zauważył z ironią Blade.

*Wszystko, czego mi trzeba,  
To śliczna żonka i duża plantacja  
Tam, w krainie Czirokezów.*

- Nie, nie zapomniałam. - Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Temple spuściła oczy.

- Czy to prawda, co mówią, Will? - zapytał Shawano Stuart po angielsku ze względu na obecność Elizy. — Ze ci najeźdźcy coraz śmiej sobie poczynają?

- Tak, czytałem o tym w „Phoenixie” - przyznał Will.

- W takim razie zapewne wiesz o tym, że napadli na kilku naszych braci i usiłowali stratować ich końmi - odezwał się jeden z gości. - Zastrzelili starego człowieka tylko dlatego, że zbyt wolno otwierał im bramę. Drugi powiesił się z tego powodu. Był zbyt przybity tym, co się dzieje, i nie mógł już patrzeć na cierpienia innych.

- Nikt już nie jest teraz bezpieczny - powiedział inny. - Kiedy zjawili się na waszej plantacji...

- Co takiego? - przerwał mu ostro Will. - Kiedy to było?

Zaległa cisza. Temple już chciała coś powiedzieć, lecz Eliza ją ubiegła.

- Na początku marca zjawiała się tu milicja stanowa. Uznałam, że nie ma potrzeby informować pana o tym, bo nikomu nie wyrządzili krzywdy i zaraz odjechali.

- Gdybyś wiedział, jak panna Eliza ich potraktowała, ojczu.

Nauczycielka spłonęła rumieńcem, czując na sobie jego wzrok. Z zakłopotaniem słuchała relacji Temple z incydentu w szkole.

- Jestem pani niewymownie wdzięczny, panno Hall - powiedział cicho.

- To zupełnie zbyteczne, zapewniam pana - rzuciła opryskliwie, czując, jak robi jej się gorąco. - Pańska córka wyolbrzymiła moją w tym rolę, umniejszając swoje zasługi.

- Śmiem w to wątpić - odparł z nutą oschłości w głosie. - Rozumiem jednak, że nie chce pani o tym mówić. - I ku ogromnej uldze Elizy odwrócił głowę w inną stronę.

Rozmowa ponownie zeszła na obecną sytuację. Mówiono o kradzieżach bydła - szacowano, że łupem złodziei padło pięćset sztuk - o domach spalonych do fundamentów i o białych osadnikach, którzy zajmowali ziemie Czirokeezów przydzielone im przez władze stanowe w drodze loterii.

Do obecnych kłopotów doszły jeszcze wozy załadowane whisky, którą biali handlarze zaczęli sprowadzać na terytorium Indian, lekceważąc prawo Czirokeezów zabraniające na ich ziemiach sprzedaży alkoholu. Władze Georgii unieważniły ten zakaz, skutecznie podkopując pozycję czirokeskich sądów i ich konnej milicji, karaniem grzywnami tych, którzy się temu sprzeciwiali. Wielu Czirokeezów zniechęconych i załamanych obecną sytuacją wpadało w nałóg pijaństwa i wywoływało awantury. Wzrosła również liczba hazardzistów, którzy uciekając się do oszustwa wyłudzali od innych to, czego jeszcze nie zabrały im bandy rabusiów.

Pomimo tej trudnej i wydawało się beznadziejnej sytuacji Will Gordon wciąż nie tracił nadziei.

- Nie wolno nam upadać na duchu - przekonywał. - Biermy przykład z naszego wodza Johna Rossa i jego współpracownika majora Ridge'a i przekonujmy wszystkich, że Czirokezi muszą się trzymać razem i jednogłośnie przeciwstawić każdemu układowi mającemu na celu nasze przesiedlenie.

Przekonywał, że nie są osamotnieni w tej walce, że wciąż mają wielu przyjaciół w Waszyngtonie i w Kongresie. Choć ten Śliski Wąż Andrew Jackson jest ich wrogiem, to powszechnie się uważa, że Henry Clay pokona go w następnych wyborach. A Henry Clay jako ich przyjaciel będzie respektował warunki istniejących umów.

Nikt z rodziny Willa Gordona nie wątpił w słuszność jego argumentów. Po skończonym obiedzie wszyscy goście przeszli do salonu, by przekazać sobie dalsze wieści i omówić plany na przyszłość.

# 14



*Gordon Glen.  
7 lipca 1831*

Tłumy gości, sąsiadów, krewnych i przyjaciół przybyłych z bliska i daleka zjechało na ślub córki Willa Gordona z synem Shawano Stuarta, dwóch najbardziej szanowanych czirokeskich rodzin.

Eliza sprawiła sobie na tę okazję lekką suknię z kwiecistego płótna, odpowiedniego na gorący południowy klimat, z długimi rękawami, kołnierzykiem i szalem z białej gazy. Za szczyt ekstrawagancji uznała zakup nowej atłasowej budki w różowym odcieniu. Całości dopełniały czarne pantofelki. W takim stroju czuła się wyjątkowo elegancko i modnie ubrana. Nie mogła tylko pojąć, dlaczego miało to dla niej takie znaczenie.

Pomimo to była zdenerwowana, toteż zdumiewał ją spokój Temple, która sprawiała wrażenie niezwykle opanowanej. Spożywała potrawy podane jej przez matkę i ciotkę i niczym się nie przejmowała. Eliza zazdrościła jej tego spokoju i pewności siebie.

Gdy ceremonialny posiłek dobiegł końca, Temple podeszła do matki. W oczach Victorii Gordon błyszczały łzy, lecz dzielnie z nimi walczyła. Uściskała córkę, po czym wzięła do ręki kłos zboża i koc. Palce jej wyraźnie drżały.

- Już czas - ktoś powiedział.

Eliza czekała, co teraz nastąpi, zastanawiając się, czy to niezwy-

kłóść ślubnej ceremonii tak ją wzruszyła. Temple chciała, by jej ślub z Blade'em był połączeniem tradycyjnego indiańskiego obrzędu z chrześcijańską ceremonią. Eliza cieszyła się, że będzie mogła uczestniczyć w indiańskim ślubie, z drugiej jednak strony czuła zakłopotanie na myśl o pogańskim aspekcie ceremonii.

Kiedy grupa kobiet, głównie krewnych rodziny - należących do orszaku narzeczonej - ruszyła do drzwi, Eliza dołączyła do nich. Za plecami słyszała delikatny szelest jedwabnej sukni Temple w kolorze lawendy.

Orszak szedł na dół po schodach. Przed frontowymi drzwiami stał Nathan Cole z Biblią w dłoniach. Druhny jednak nie podeszły do niego, lecz poprowadziły Temple do drzwi jadalni. Po przeciwnej stronie, w drzwiach salonu, czekał Blade w asyście drużbów.

Jedna z kobiet wręczyła Blade'owi koc i kawałek dziczyzny. Wówczas Victoria podała Temple koc i kłos zboża. Młodzi, patrząc sobie w oczy, wolno ruszyli ku sobie. Eliza miała wrażenie, że w tej chwili cały świat przestał dla nich istnieć.

Kiedy znaleźli się na środku hallu, wymienili między sobą dziczyznę i kłos zboża i złożyli razem oba koce. Wtedy stojący obok Nathana wódz Czirokezów John Ross wystąpił naprzód.

- Koce zostały połączone - oznajmił.

Victoria przycisnęła chusteczkę do ust i zaczęła cicho płakać. Eliza zbliżyła się do niej, obawiając się, że może dostać jednego ze swych ataków kaszlu.

Młoda para podeszła teraz do Nathana. Widać było po nim zdenerwowanie, kiedy usiłował otworzyć Biblię na odpowiedniej stronie. Uśmiechnęła się, wspominając, jaki był dumny, kiedy Temple poprosiła go, by udzielił jej ślubu.

- Najmilsi - zaczął lekko drżącym głosem. - Zebrałiśmy się tu w imię Boga, by połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim...

Słuchając, jak młodzi z uczuciem wypowiadają słowa przysięgi, Eliza poczuła ukłucie zazdrości. Ona nigdy nie zazna takiej miłości. Przez chwilę miała ochotę się rozpłakać. Zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież sama zdecydowała, że nie wyjdzie za mąż. Miała swoją pracę i była niezależna, jako mężatka nie mogłaby nawet o tym marzyć.



- Zgodnie z przysługującym mi prawem ogłaszam was mężem i żoną - powiedział Nathan.

Eliza nie dołączyła do tłumu krewnych i przyjaciół, którzy otoczyli młodych małżonków, lecz podeszła do Nathana.

- Piękna z nich para, prawda? - powiedział z dumą.

- W istocie - przyznała.

- Teraz zacznie się przyjęcie weselne - powiedział Nathan i dodał z uśmiechem: - Wygląda na to, że będzie trwać wiele godzin.

- Żeby tylko nie zabrakło jedzenia - zaniepokoiła się patrząc, jak Will Gordon otwiera drzwi przed nowożeńcami.

Kiedy Blade i Temple wyszli na schody ganku, by powitać czekających na nich gości, każde trzymało za róg złączone koce. W drugim ręku Blade niósł kłos zboża, a Temple kawałek dziczyzny.

- Pójdziemy do nich? - Nathan podał ramię Elizie. Wyszli razem na werandę. - To symboliczny gest - dodał tonem wyjaśnienia. - Złączone koce symbolizują wspólne życie, a wymiana dziczyzny i kłosa to forma przysięgi. Mężczyzna zobowiązuje się dostarczać pożywienie, a kobieta przygotowywać posiłki. Przyrzeczenie bez słów, lecz jakże wymowne, nie sądzisz?

Pawie dawno już opuściły trawnik, ustępując miejsca tłumowi gości, którzy tłoczyli się teraz wokół młodej pary. Zewsząd dochodziły śmiech i wesołe okrzyki. Stojącej na werandzie Elizie również udzielił się radosny nastrój chwili.

Kiedy Nathan uczynił ruch, jakby zamierzał zejść po schodach na dół, przytrzymała go za ramię.

- Spójrz - powiedziała. - Czyż to nie wspaniały widok?

Z miejsca, w którym stali, mogli zobaczyć wszystko: tłum gości ubranych w różnobarwne stroje, suto zastawione stoły i sznur niewolników bez ustanku krążących między stołami i kuchnią. Uroku scenerii przydawało błękitne niebo, rozświetlone słonecznymi promieniami.

- Zdaje się, że będziemy mieli kilku spóźnionych gości — zauważył Nathan.

Podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła zbliżającą się grupę jeźdźców. Sądząc po zakurzonym wyglądzie, musieli przebyć dłu-

gą drogę. Kiedy dostrzegła toczący się za nimi wóz, uderżyły ją dwie rzeczy: byli to mężczyźni i w dodatku uzbrojeni w muszkiety.

- Milicja stanowa. - Instynktownie zacisnęła dłoń na ramieniu Nathana.

Stojący przed nią Will Gordon również ich zauważył.

- Czego oni tu szukają? - wyrzuciła z irytacją i wzrastającym niepokojem.

- Mnie - odpowiedział Nathan.

Spojrzała na niego zaskoczona. Twarz miał bladą i ściągniętą. Czyżby rzeczywiście tak było? Strażnicy stanowi stali się ostatnio wyjątkowo agresywni, znajdując szczególne upodobanie w dręczeniu misjonarzy. Któregoś dnia, będąc świadkami chrztu kilku Czirokezów w rzece, wjechali z końmi do wody i dopuścili się jawnego świętokradztwa, chrzcząc swoje rumaki.

Nathan miał powody przypuszczać, że stanie się celem ataku straży. Nie złożył wszak przysięgi na wierność Georgii. Pogwałcił prawo i musiał za to odpowiedzieć. Nie chroniło go już stanowisko urzędnika federalnego. Został go pozbawiony mocą prezydenckiego zarządzenia.

- Nathanie, musisz natychmiast zniknąć - powiedziała, nagle zaniepokojona o jego bezpieczeństwo.

Zawahał się, jakby zamierzał jej usłuchać, po czym jego wzrok spoczął na licznie zgromadzonych gościach weselnych. Wielu z nich nie zauważyło nadjeżdżających strażników.

- Nie mogę - mruknął z nutą rozpacz w głosie.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Jakże mógł uciec przed tymi, którzy go prześladowali i nadal przekonywać Czirokezów o konieczności przeciwstawienia się próbom wyrzucenia ich z własnej ziemi na drodze pokojowej? Wiedziała też, że będzie musiał dokonać jeszcze jednego wyboru - złożyć przysięgę lub odmówić jej złożenia. Wybrać wolność lub więzienie.

Oddział milicji stanowej wjechał w tłum gości, którzy rozstapili się na boki. Rozmowy ucichły, a nastrój wesela prysł jak bańka mydlana. Zastąpił go stukot końskich kopyt i skrzypienie skórzanych siodeł. Grupa jeźdźców zatrzymała się u stóp werandy. Złowieszczo błysnęły w słońcu bagnety.

- Witam panów. - Will Gordon zszedł po schodach, stając między Nathanem i dowódcą straży. - Czym mogę służyć?

- Kim pan jest? - Ton głosu i spojrzenie były wrogie.

- Will Gordon. Mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

- Jacob Brooks, sierżant milicji stanowej. - Dowódca wyprostował się w siodle, jakby chciał w ten sposób dodać sobie powagi.

W tym momencie do Willa podeszedł Blade.

- Sierżancie Brooks, zapraszamy pana i pańskich ludzi na nasze wesele.

Eliza zauważyła, jak Temple obrzuca swego małżonka gniewnym spojrzeniem. Nawet jeśli to dostrzegł, nie dał po sobie poznać.

- Wesele? A któż dawał ślub? - zapytał sierżant, patrząc na Nathana.

- Ja - odpowiedział Nathan.

- Brać go.

Ten niespodziewany rozkaz zupełnie zaskoczył Elizę. Patrzyła oniemiała, jak trzech ludzi zsiada z koni i zmierza ku stopniom werandy.

- Pastor Cole jest moim gościem - zaprotestował Will Gordon.

- Teraz będzie gościem władz stanowych - odpowiedział krótko sierżant.

Trzej mężczyźni podeszli do Nathana i chwycili go za ramiona.

- Nie macie prawa tego robić - zaprotestowała Eliza, usiłując ich powstrzymać. — Kiedy ją odepchnęli, zwróciła się z pytaniem do sierżanta: - Czy macie nakaz?

- Nie potrzebujemy nakazu.

- W takim razie o co go oskarżacie? I dlaczego jest aresztowany?

- Nie musimy mieć powodu. - Odwrócił się w siodle. — Przyprowadźcie wóz.

W powietrzu rozbrzmiał głośny turkot i brzęk łańcuchów. Eliza z przerażeniem zauważyła, że dwaj biegnący za wozem mężczyźni byli za szyję przywiązani łańcuchami do wozu. W jednym z nich rozpoznała przyjaciela Nathana Samuela Worcestera, misjonarza z New Echota.

Kiedy strażnicy pchnęli Nathana w stronę wozu, Eliza zbiegła ze stopni werandy.

- Nie! Nie macie prawa!

W tym momencie poczuła, jak czyjeś ręce chwytają ją za rękawy sukni i zatrzymują na miejscu.

- Panno Hall, nie - posłyszła głos Willa Gordona.

Mimo to usiłowała wyswobodzić się z żelaznego uścisku, parząc, jak mężczyźni krepują szyję Nathana łańcuchem, a drugi jego koniec przywiązują do siodła jednego z jeźdźców. Wiedziała, że nic nie może zrobić, nie chciała jednak stać bezczynnie i przyglądać się, jak brutalnie traktują tego miłego, dobrego człowieka.

Jeździec nieoczekiwanie wykonał skręt, powodując szarpnięcie łańcucha. Nie spodziewający się tego Nathan upadł na kolana. Udało mu się jednak wstać i uniknąć wleczenia po ziemi, kiedy jeździec ruszył ostro w przód. Na widok gorączkowych wysiłków Nathana, by utrzymać się na nogach, ryknął śmiechem. Reszta oddziału podążyła za wozem, zasłaniając Elizie widok.

Nauczycielka zachwiała się. Will podtrzymał ją, by nie upadła.

- Dokąd oni go zabierają? - zapytała, kiedy mała kawalkada oddaliła się aleją.

- Przypuszczam, że do Camp Gilmer pod Lawrenceville - odpowiedział Will.

Patrzyła na tuman czerwonego kurzu, wzniesianego przez końskie kopyta.

- To nie w porządku. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - To nie powinno tak być.

- Tak.

Wesele trwało dalej, lecz beztroski i radosny nastrój bezpowrotnie się ulotnił.

Purpurowy zmierzch barwił cienie rzucane przez wysokie drzewa na trawnik w Seven Oaks, który otaczał obszerny piętrowy drewniany dwór pomalowany na biało. Front i tylną elewację domu zdobiły werandy. Frontowy ganek wieńczył balkon wspierający się na spiralnych kolumnach. Rzędy okien osłaniały kolorowe okiennice.

Na tyłach dworu Phoebe dostrzegła dwie kuchnie, a trzeci budynek musiał być zapewne wędzarnią. Z zewnątrz Seven Oaks wydał jej się równie okazały jak Gordon Glen. Pochyliła się w stronę okna powozu starając się dokładniej przyjrzeć swemu nowemu domowi.

Czuła się podekscytowana i zarazem przerażona. Żołądek miała ściśnięty niczym u kurczaka na widok czającego się lisa. Nie należała już do pana Willa. Była teraz własnością panienci Temple, która dostała ją od ojca w posagu. Phoebe miała na sobie swoją najlepszą sukienkę, uszytą z kupionego w sklepie materiału, i buciki z mosiężnymi noskami. Reszta jej dobytku mieściła się w wężelku leżącym u jej stóp.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Deu jadącego za powozem. Bardzo chciała, żeby na nią spojrzął. Może gdyby się do niej uśmiechnął, zamiast udawać, że jej nie dostrzega, uspokoiłaby się trochę.

Powóz zatrzymał się przed dworem. Phoebe schwyciła wężelkę i przycisnęła go mocno do siebie. Pan Blade wysiadł z powozu, po czym odwrócił się i pomógł wsiąść swojej żonie. Phoebe wygramoliła się za nimi i rozejrzała niepewnie, nie wiedząc, dokąd ma iść ani co teraz robić. Zerknęła na Deu z nadzieją, że da jej jakiś znak, lecz on stał przed swoim panem, czekając na polecenia.

- Dopilnuj, by wniesiono kufry mojej żony - powiedział Blade, spoglądając ciepło na Temple. - Potem zaprowadź Phoebe do jej chaty. Nie będziecie nam już dziś potrzebni.

- Phoebe jest moją służącą i ja ją odprowadzę - oznajmiła Temple z błyskiem gniewu w czarnych oczach. Pojawiał się on, ilekroć Phoebe zrobiła coś nie po jej myśli.

Panienska Temple była wyjątkowo milcząca w czasie jazdy powozem. Ciekawe, co też pan Blade mógł zrobić, żeby tak rozgniewać jej nową panią? - pomyślała.

Tymczasem Blade uśmiechnął się z rozbawieniem i skinął lekko głową.

- Ależ proszę bardzo, odpraw ją.

Temple nie wydawała się jednak usatysfakcjonowana jego ustępstwem.

- To wszystko, Phoebe. Idź z... Deuteronomy.

- Tak, psze pani. - Phoebe dygnęła przed nią, lecz Temple już się odwróciła ku frontowym drzwiom.

Deu wszedł po stopniach do chaty i pchnął drzwi. Pół ostatniej nocy spędził na sprzątanii zakurzonej podłogi, lecz i tak w niczym nie zmieniło to charakteru pomieszczenia. Nadal była to niewolnicza chata bez okien, z otwartym paleniskiem, łóżkiem w kącie i prostym stołem z kilkoma pniakami do siedzenia pośrodku. Jedyne przytulniejszy akcent stanowił bujany fotel, który podarował mu stary pan Stuart, kiedy porwało się siedzenie. Udało mu się je naprawić, nadal jednak pękało, kiedy źle się na nim usiadło.

- Czy to tu? - zapytała Phoebe, usiłując przeniknąć panującą ciemność.

- Tak. - Zawahał się, po czym wszedł do chaty. - Zaraz zapalę świecę.

Kiedy płomień światła wydobył z mroku kontury wnętrza, Phoebe weszła do środka, przyciskając do piersi tłumoczek. Patrzył, jak uważnie się rozgląda, i czuł, jak rośnie w nim napięcie.

- Phoebe... - Kiedy utkwiła w nim spojrzenie wielkich czarnych oczu, głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Czy coś stało, Deu? - Przechyliła na bok głowę, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

- Nie... tak... - Urwał, po czym dodał: - Pan Blade pozwolił, byś została moją kobietą.

Jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Prosiłeś go?

- Nie. - Odwrócił wzrok. - Ale on wiedział, że tego pragnę. Dlatego nie czekał, abym sam go o to poprosił. Wiem, że jesteś jeszcze zbyt młoda...

- Jestem już kobietą. - Podeszła do niego, jakby płynąc nad podłogą, z twarzą wyrażającą ufność i zdecydowanie. - I chcę być twoją kobietą, Deu.

- Nie wiesz, co mówisz. - Czuł rosnące w nim pożądanie.

- Ależ wiem. - Uśmiechnęła się do niego radośnie. - Często leżałam w nocy i słuchałam, jak mama i tata się kochają. Wiem

o tym wszystko, Deu. Wiem, dlaczego tata tak ciężko oddycha, a mama jęczy cicho. Czasami dotykałam się tam i... i podobało mi się to, co czułam - powiedziała z nagłym onieśmieniem. - I chcę, żebyś ty mnie tak dotykał, Deu. Już od dawna tego chcę. - Przynęła się bliżej. - Proszę.

Nie był w stanie dłużej się opierać. Przyciągnął ją do siebie, a ciałem wstrząsnął mimowolny dreszcz.

- Ja także pragnę cię od dawna, Phoebe - powiedział. - Czekałem tylko, byś dorosła.

- Ale ja jestem dorosła. - Odsunęła zawiniątko ze swym dobytkiem, by ich ciała mogły się zetknąć, tak jak tego pragnęli.

Nie był pewny, czy rzeczywiście dorosła, lecz w tej chwili pragnął jedynie trzymać ją w objęciach.

- Chciałbym usłyszeć słowa, które pastor dziś wypowiedział. Chciałbym, abyśmy stali się prawdziwym mężem i żoną. Chciałbym powiedzieć coś więcej i zrobić więcej, niż tylko przeskoczyć przez miotłę.

- Co tam jakieś słowa czy miotły. I tak będę twoją kobietą do końca życia.

Nie rozumiała go, a Deu nie próbował jej tłumaczyć. Jako świątły niewolnik wiedział, że są inne sposoby - właściwsze - na to, by uczynić z Phoebe jego żonę. Godniejsze od murzyńskiego zwyczaju skakania przez miotłę. Sposoby, które pozwoliłyby wyrazić mu swoje uczucia do niej i sprawić, by stały się czymś wyjątkowym i trwałym.

Kochał ją. Kochał słodycz jej pocałunków, niewinność, z jaką się do niego garnęła, i wątpił, czy ona zdaje sobie sprawę z szalonego pożądania, jakie w nim wzbudza. Starał się nad nim panować, bojąc się, że ją tym wystraszy.

Odsunął ją od siebie i utkwiał wzrok w błyszczących wargach, wilgotnych od pocałunków.

- Jesteś taka młoda, Phoebe. - Głos mu drżał, podobnie jak palce, które pieściły jej policzek. - Kobieta-dziecko. Piękna kobieta-dziecko.

Wyraz bólu i nagłej determinacji błysnął w jej oczach. Odsunęła się od niego, rozwiązała sukienkę i ściągnęła ją przez głowę. Stał jak przemurowany, wpatrując się w jej nagie brązowe ciało i dziewczęce piersi, które zaokrągliły się przez ostatnie miesiące.

- Deu, proszę, dotknij mnie — wyszeptała.

Lecz on nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu. Płonące w nim pożądanie było zbyt wielkie. Miał wrażenie, że za chwilę eksploduje.

- Chcę, byś mnie dotknął.

Wzięła jego rękę i położyła na swojej piersi. Zadrżała przy tym lekko, lecz było to niczym w porównaniu ze wstrząsem, jakiego on doznał. Czuł, że cienka nić samokontroli za chwilę się zerwie. Musiał jednak postępować delikatnie. Wolno zaczął pieścić jej piersi, wiedząc, że za chwilę mu to nie wystarczy. Pragnął dotykać jej wszędzie i poczuć jej ciało pod sobą, gorące, otwarte i chętne.

Wygięła się pod wpływem dotyku jego dłoni, a on zsunął się niżej, pieszcząc szczupłą talię i sprężyste pośladki. Kiedy na koniec ośmielił się położyć dłoń na wzgórku łonowym, zacisnęła kolana i przywarła do niego.

- Tak - jęknęła, po czym uniosła głowę i spojrzała mu w oczy namiętnie. - Pragnę cię, Deu.

Zawahał się, wciąż niepewny, czy ona wie, co mówi. Wtedy poczuł jej dłoń na swoim kroczu. Jęknął gardłowo, niezdolny dłużej się powstrzymać. Zaniósł ją na łóżko, położył na sienniku i pospiesznie zrzucił z siebie ubranie.

- Postaram się, żeby nie bolało, Phoebe - wyszeptał ochryple, pochylając się, by ją pocałować. - Wiedział jednak, że tym razem sprawi jej ból. Dopiero później nauczył ją, jakie to może być przyjemne.

Blade stał w drzwiach prowadzących na balkon w małżeńskiej sypialni i słuchał, jak Temple szorstkim głosem wydaje polecenia odnośnie do swoich kufrów. Nad trawnikiem fruwały świetliki, błyskając to tu, to tam.

W końcu drzwi do pokoju zamknęły się przy akompaniamencie oddalających się kroków. Ciszę zakłócała teraz jedynie krzątnina Temple. Odwrócił się wolno. Temple stała przed wysokim lustrem i odpinała długi tiulowy welon. Spojrzał na jej odbicie w lustrze i dostrzegł zmarszczone czoło i płonący w jej oczach gniew.



- Jesteśmy sami. - Zesztywniała na dźwięk jego głosu i rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Może powiesz mi wreszcie, czemu przez cały wieczór twoje oczy ciskały we mnie błyskawice. To szczęście, że nadal mam tylko jedną bliznę.

Zdjęła % głowy welon, nie patrząc na niego.

- Jak mogłeś zaprosić tych... bydlaków na nasze wesele?

- A co miałem robić? - Wolno ruszył w głąb pokoju. - Powiedzieć im, że nie są tu mile widziani i kazać iść precz? Nie usłuchaliby.

- Z twojego zaproszenia też nie skorzystali - odparowała i odwróciła się w jego stronę. - Zapomniałeś, że to nasi wrogowie?

- Nie, ale miałem nadzieję, że w ten sposób odwrócę na jakiś czas ich uwagę, i pastor Cole będzie mógł się wymknąć. Powinnaś była się domyślić.

- Jeśli tak się nie stało, to dlatego, że twój głos brzmiał nazbyt szczerze.

Odwróciła się do niego tyłem, lecz wyczuł, że jej gniew zelżał.

Stanął tuż za nią i otoczył ramionami ściśniętą gorsetem talię, jednocześnie dotykając wargami jej szyi.

- Zaprosiłem ich, bo nie chciałem, by zepsuli nam wesele.

- I tak zepsuli.

Chwycił ją za ramiona, obrócił ku sobie i przyciągnął bliżej.

- Czy pozwolisz, aby zepsuli również naszą noc poślubną? - zapytał, nie zważając na opór jej ciała.

- Nie.

- Udowodnij to - powiedział, leniwie przeciągając wyrazy.

Spojrzała na niego spod zasłony rzęs.

- Może nie chcę.

- W takim razie pragniesz. - Uśmiechnął się lekko, czując, jak mięknie w jego ramionach.

Natychmiast to potwierdziła, otaczając jego szyję ramionami i wychodząc na spotkanie jego ust. Całowała go z żarliwością i ogniem, wabiąc pieszczotą języka. Przemknęło mu przez myśl, że to ona go uwodzi, nie on ją.

Jej pocałunek wydawał się nie mieć końca. W jednej chwili był

delikatny, by zaraz zmienić się w namiętny, to znów nieśmiały, a za chwilę zaborczy. W końcu oderwała się od jego warg i oddychając spazmatycznie zaczęła obsypywać jego twarz wilgotnymi pocałunkami i delikatnie chwytać zębami ucho.

- Kocham cię - wyszeptła.

- Chyba oszalałem, bo ja też cię kocham - odparł chrypliwie.

- Naprawdę? - Jej palce zaczęły rozwiązywać jedwabny halsztuk. - Jak bardzo?

Po halsztuku przyszła kolej na guziki ozdobnego gorsu i wysoki kołnierzyk. Jednak ani na chwilę nie przestała pieścić wargami jego policzka, ucha i szyi.

- Za bardzo.

Złapał ją za rękę, powstrzymując przed dalszym rozbieraniem, zdając sobie sprawę, że nie może jej pozwolić przejść nad sobą kontroli. Jakiś głos ostrzegał go, by do tego nie dopuścił, w przeciwnym bowiem razie do końca życia będzie tańczył tak, jak mu zagra.

- Czy coś się stało, kochanie? - W jej słowach brzmiała czysta niewinność, lecz oczy były aż nazbyt wymowne.

Uśmiechnął się lekko.

- Zrobiło się tu dziwnie gorąco. - Zdjął surdut, kamizelkę i halsztuk, odkładając wszystko na krzesło, i pozostał jedynie w samej koszuli i jasnoszarych spodniach. — Czy pani również jest gorąco, pani Stuart? - zapytał, unosząc w górę brew.

- Tak, panie, bardzo gorąco.

Z niezwykłą gracją odwróciła się do niego plecami, ukazując rząd guzików spinających jej suknię.

Z wystudiowaną powolnością zaczął je rozpinąć, pieszcząc jej szyję tak jak ona jego, i odsłonił ramiona. Uśmiechnął się, kiedy zdrzała pod wpływem pieszczoty jego dłoni. Następnie zsunął z niej suknię.

Rozwiązał tasiemki podtrzymujące turniurę, którymi była owiązana w talii, kładąc przy tym dłoń na jej brzuchu. W odpowiedzi wygięła się zmysłowo. Teraz przyszła kolej na haftki halek. Odzianą jedynie w koszulę, uniósł w górę, uwalniając ze stosu garderoby, krępującego jej stopy. Odwróciła ku niemu twarz w poszukiwaniu

ust. Nagle zapragnął im ulec, lecz powstrzymał się, chcąc jak najszybciej uwolnić jej ciało z bielizny.

Opuścił Temple na podłogę i chwycił brzeg koszuli. Uniosła ręce, pomagając mu ją zdjąć. Jego oczom ukazał się teraz niezwykle kuszący gorset.

- Należałoby tu coś powiedzieć w obronie czirokeskich zwyczajów - mruknął niecierpliwie, wpatrując się w krągłe wzgórki piersi widoczne spod gorsetu, który przykrywał jedynie brodawki. Jak zahipnotyzowany obserwował ich falujący ruch. - Mężczyzna ma znacznie mniej do wkładania.

Rozchyliła wargi, kiedy dotknął jej piersi. Chwycił za sznurówki gorsetu, rozluźniając je. Sztywny materiał rozchylił się i odsłonił krągłe powabne kształty. Nawet nie czuł, że Temple wyciąga mu koszulę ze spodni. Oprzytomniał dopiero pod wpływem chłodnego dotyku jej rąk na brzuchu.

Zrzucił z siebie koszulę, zaniósł Temple do łóżka i posadził na brzegu. Zsunęła ze stóp pantofelki i pończochy. Błede tymczasem uwolnił ją z resztek bielizny, czując pulsujące napięcie w lędźwiach. W końcu nic już nie broniło mu do niej dostępu.

- Blade - wyszeptała niskim głosem.

Z trudem opanował się, by nie porwać jej w ramiona. Zaciśnął szczęki i świadom jej rozpalonego wzroku zdjął z siebie ubranie. Jej oczy przesunęły się po opalonej piersi, płaskim brzuchu i umięśnionych pośladkach. Poruszona pięknem męskiego ciała zapragnęła go dotknąć i poczuć na własnej skórze.

W tym momencie pomyślała o Elizie i jej głupim poczuciu skromności, kiedy jednak Blade ułożył się przy niej, wszystko inne poszło w zapomnienie. Wtuliła się w jego objęcia tak naturalnie, jakby zawsze to robiła.

Jego pocałunki rozpałały krew w żyłach. Pieścił wargami jej szyję i ucho, uwalniając jednocześnie włosy ze spinek. Przesunęła dłońmi wzdłuż muskularnych ramion i pleców.

Pchnął ją na łóżko. Jego dłonie, wargi i język były wszędzie, penetrowały każde zagłębienie i każdą wypukłość. Smakował jej piersi, wznosząc na szczyty rozkoszy. Zaczęła więc się pod nim, przywierać do niego mocniej i unosić biodra w oczekiwaniu pieszczoty. Odwzajemniała jego pocałunki, pragnąc, by i on zapłonął

równie szalonym ogniem. Kiedy wsunął palce między jej uda i do wilgotnego wnętrza, poczuła w dole brzucha rozkoszne pulsowanie.

- Proszę - wyjąkała.

Położył się na niej, robiąc sobie miejsce między nogami, i uniósł głowę. Czarne jedwabiste włosy miękkimi falami otaczały jej twarz, wargi były wilgotne i nabrzmiące od pocałunków, a policzki płonęły namiętnością.

Starając się panować nad sobą, chwycił ją za biodra. Wygięła się, gotowa przyjąć go w ciasne wnętrze. Kiedy zaczął w nią wchodzić, zeszywniała i cofnęła się instynktownie. Przytrzymał ją mocno za biodra i szybkim zdecydowanym pchnięciem wniknął w nią głęboko, uciszając jej ostry krzyk pocałunkiem.

Znieruchomiał, pozostając w jej wnętrzu, siłą woli starając się powstrzymać przed poruszaniem. Całą uwagę skupił teraz na jej ciele. Całował ją długo i zachłannie, pieszcąc nabrzmiące koniuszki piersi i czekając, aż ból i napięcie zelżeje.

Stopniowo zaczęła się rozluźniać i odpowiadać na jego pieścizoty. Zaczął się wolno poruszać. Jego ciepłowość została wkrótce nagrodzona, bo Temple pochwyliła jego rytm. Jej dłonie rozpoczęły wędrówkę po ciele Blade'a, wsuwając palce w jego włosy i schodząc niżej ku umięśnionym pośladkom, a z ust popłynęły namiętne jęki rozkoszy.

Tempo wrastało, pchnięcia stały się głębsze i mocniejsze. Jak przez mgłę wyczuł, że Temple nieruchomieje, a gwałtowne pulsowanie jej wnętrza wciąga go coraz głębiej i głębiej. Przez chwilę miał wrażenie, że wchłonie go całego. Lecz przestało to mieć znaczenie, bo napięcie eksplodowało i wstrząsnęła nim seria spazmów.

Jakiś czas później, leżąc w jego ramionach, Temple odwróciła ku niemu głowę i spojrzała z zachwytem w jego szczupłą silną twarz. Wolno przesunęła palcami wzdłuż blizny na lewym policzku.

Pochwylił jej dłoń i podniósł do ust.

- Wiesz, że odcisnęłaś na mnie piętno?

- Tak?

- Tak niewinna, a potrafiła tak mnie rozpalić - zażartował i przysunął się do niej, dając odczuć siłę swego pożądania. Przywarł

do niej wargami, usuwając wszystko na bok z wyjątkiem przyjemności, którą jej dawał.

Kiedy Eliza zobaczyła Temple po tygodniu, jaki minął od jej ślubu, zaskoczyła ją zmiana w jej wyglądzie. Temple promieniała spokojem i ufnością. Była teraz żoną, panią własnego domu, kobietą, która poznała namiętność mężczyzny. Mówiły o tym jej oczy, twarz i zachowanie.

Eliza nie mogła jej już traktować jak uczennicy. Obie były teraz kobietami i rozmawiały jak równa z równą. Kiedy Temple zapytała ją o pastora Cole'a, nauczycielka z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że oto zwierza się jej ze swoich niepokojów.

Milicja stanowa aresztowała jedenastu białych, w większości misjonarzy. Musieli przejść - skuci łańcuchami jak niewolnicy i ponaglani bagnietami - sześćdziesiąt mil przez bagna i góry do Camp Gilmer, gdzie zamknięto ich w dusznych celach bez żadnych wygód. Dowódca straży nie zgodził się, by nieśli religijną posługę innym więźniom, oświadczając, że aresztowano ich po to, by „ograniczyć te praktyki, a nie zachęcać do nich”. Mieli stanąć przed sądem pod koniec tego miesiąca.

Dwudziestego trzeciego lipca sędzia sądu okręgowego dla hrabstwa Gwinnette zwolnił wszystkich misjonarzy do czasu rozprawy wyznaczonej na wrzesień. Nathanowi nie pozwolono jednak wrócić na terytorium Czirokezów. Napisał do Elizy z Alabamy wyrażając obawę, że proces może nie być jedynie czystą formalnością. Władze Georgii zamierzały skazać misjonarzy na pełny wymiar kary, to znaczy na cztery lata ciężkich robót w więzieniu w Milledgeville.

*Jeśli trafię do więzienia - pisał - to jak będę mógł służyć Czirokezom duchową pomocą, której tak bardzo potrzebują?*

Eliza wyczuła, że żałuje, iż odmówił złożenia przysięgi na wierność Georgii.

Odpisała mu, że sympatia opinii publicznej od Bostonu po Baltimore, a także w samej Georgii jest po ich stronie. Gdyby stało się najgorsze i został skazany, niesprawiedliwość tego wyroku mogłaby wyjść na korzyść sprawie Czirokezów.

Zgodnie z przewidywaniami Nathana wrześnieowa rozprawa by-

ła zwykłą parodią. Sędzia oświadczył, że „obowiązkiem każdego chrześcijanina jest podporządkować się władzy cywilnej”. A misjonarze się jej przeciwstawili. Dlatego uznał ich winnymi i skazał na cztery lata ciężkich robót w Milledgeville.

Trzy dni później, kiedy zgodnie z wyrokiem Nathan miał rozpocząć odbywanie kary, nieoczekiwanie zjawił się w Gordon Glen. Był chudszy i bledszy niż zwykle. Wyjaśnił, że wszyscy skazani zostali ułaskawieni pod warunkiem, że albo złożą przysięgę na wierność władzom, albo na zawsze opuszczą Georgię. Nathan zgodził się złożyć przysięgę, mógł więc wrócić do swoich wiernych, którzy go potrzebowali.

- Inni również się zgodzili - opowiadał podczas posiłku w jadalni. - Wszyscy z wyjątkiem Samuela Worcestera i Elizura Butlera. Dyrektor więzienia wzywał ich do siebie i starał się namówić ich, by zmienili zdanie. Przez ten czas więzienni strażnicy otwierali i zamykali bramę. Jeszcze słyszę skrzywienie zawiasów przy otwieraniu i głośny złowieszczy stuk, kiedy ją zamykano. - Umilkł z wyrazem przygnębienia na twarzy. - Kiedy widziałem ich ostatni raz, mieli na sobie więzienne ubrania.

Eliza ujrzała tę scenę oczami wyobraźni. Jej serce poszybowało ku tym dwóm dzielnym misjonarzom, którzy woleli pozostać w więzieniu niż się ukorzyć. Jednocześnie zawiodła ją postawa Nathana. Miałaby dla niego więcej szacunku, gdyby postąpił tak jak Samuel Worcester i Elizur Butler.

Kiedy nieco później tego dnia wybrali się na spacer nad strumień, musiał wyczuć jej rozczarowanie, bo próbował się usprawiedliwiać.

- Wiem, należy oddać co cesarskie cesarzowi - powiedziała.

- Tu chodzi o coś więcej, Elizo - tłumaczył. - O sprawę oddzielenia Kościoła od państwa. Dzięki temu mamy wolność wyznania. Nie mogę więc łamać praw cywilnych.

- Ale przecież ty nic nie zrobiłeś. - Nie mogła pojąć, czemu tego nie rozumie. - Nie pogwałciłeś żadnego prawa Czirokezów. A Georgia nie ma tu żadnej władzy. - Kiedy spostrzegła wyraz udręki na jego twarzy, pożałowała swej ostrej krytyki. - Wybacz, Nathanie. Wiem, że zrobiłeś to, co uznałeś za najlepsze, bez względu na to, jak inni mogą to odbierać, łącznie ze mną. Podziwiam cię za to.

Wziął ją za rękę i mocno uściskał.

- Dziękuję, Elizo. Nie mógłbym znieść, gdybyś źle o mnie myślała.

Było coś błagalnego w jego pełnym smutku spojrzeniu. Powinna okazać mu więcej życzliwości. Poczwała wyrzuty sumienia, że tak źle go osądzała.

Zdecydowana postawa dwóch misjonarzy spełniła bardzo ważne zadanie, jak Eliza słusznie przewidziała. Ten akt odwagi stał się przykładem dla całego narodu i na nowo scementował i wzmocnił Czirokeżów.

Nie przypuszczała jednak, że uwięzienie misjonarzy pozwoli prawnikom działającym w imieniu Indian na wniesienie do Sądu Najwyższego kolejnej sprawy. Dwaj biali obywatele wnieśli pozew przeciw władzom stanu Georgia, w którym domagali się, by sąd orzekł, czy prawa tego stanu obowiązują również na terytorium Czirokeżów.

Kiedy Benjamin F. Currey, nowy superintendent do spraw przesiedlenia Indian wyznaczony przez Jacksona, przybył na jesieni z propozycją pieniężnej rekompensaty dla tych, którzy dobrowolnie zdecydują się na emigrację na Zachód, jedynie kilka rodzin przyjęło jego ofertę. Naród wykazał zadziwiającą solidarność.

Chociaż przywódcy narodu uznali za konieczne zorganizowanie dorocznej jesiennej sesji parlamentu w jednym z miast Alabamy, zamiast jak zwykle w New Echota, obawiając się starć z milicją stanową, to fakt, że posiedzenie w ogóle mogło się odbyć, uznano za moralne zwycięstwo.

Wniosek, jaki podjęto na sesji, nie zmienił stanowiska Czirokeżów: wszyscy jednogłośnie orzekli, że nie zgadzają się na przesiedlenie. Wyznaczono kolejną delegację, która miała przekazać prezydentowi decyzję parlamentu. Tym razem do Waszyngtonu miał również pojechać Blade Stuart, syn szanowanego męża Shawano Stuarta i zięć drugiego członka delegacji Willa Gordona, w której skład wchodził również John Ridge.

Kiedy Temple dowiedziała się o tym, uparła się, by zabrał ją ze sobą. Nigdy nie była przecież w żadnym z amerykańskich miast. Zgodził się, by mu towarzyszyła.

Zaraz jednak okazało się, że Temple nie ma odpowiedniej do tego celu garderoby. Z pomocą Elizy przejrzała najnowsze żurnale w poszukiwaniu modnych kostiumów podróżnych, dziennych i wieczorowych sukni. Eliza obawiała się, że ta jej troska o modne stroje jest wynikiem nie licującej z honorem próżności. Temple jednak chodziło o coś innego. Uznała, że jako reprezentantka narodu powinna pokazać się z najlepszej strony. Dlatego jej stroje muszą być eleganckie i w dobrym stylu.

Wybrały więc odpowiednie modele i materiały, które zakupiono w najlepszych magazynach w Auguście. Tak zaopatrzona Temple poleciła swojej czarnej szwaczce zabrać się do dzieła.





*Waszyngton.  
Grudzień 1831*

Po oddaniu wierzchnich okryć do szatni Temple i Blade udali się do wielkiej sali recepcyjnej jednej ze znanych waszyngtońskich restauracji, udekorowanej gałązkami jemiioły i girlandami z sosny. Kiedy stanęli w drzwiach, Blade zauważył, jak głowy gości odwracają się z podziwem na widok kobiety u jego boku, odzianej w oszałamiającą suknię z głębokim dekoltem z białego atłasu przetykanego złotą nitką.

- Widzisz gdzieś mojego ojca? - zapytała Temple.

Dostrzegł go wśród grupy ludzi stojącej w rogu sali.

- Tam. - Poprowadził ją w stronę Willa Gordona, trzymając jej rękę w mocnym władczym uścisku.

Will uśmiechnął się na ich widok.

- Nie zauważyłem, jak weszliście - powiedział. Stojący obok mężczyzna odwrócił się w stronę nowo przybyłych. - Mielicie kłopoty z wynajęciem dorożki?

- Na szczęście nie - odpowiedział Blade.

- Czyżby ta oszałamiająca młoda dama była twoją córką, Will? - zapytał Payton Fletcher.

- W istocie - odparł z dumą Will. - Temple, chciałbym, żebyś poznała mojego starego i drogiego przyjaciela z Massachusetts, Paytona Fletchera. Payton, moja córka, Temple Gor... Stuart.

- Od dawna pragnęłam pana poznać, panie Fletcher. Ojciec często o panu opowiadał.

- Moja droga Temple, wybacz, ale wprost brak mi słów. - Z wystudiowaną galanterią pocałował ją w rękę. — Twój ojciec też często o tobie opowiadał, lecz większość tego, co mówił, brałem za ojcowskie przechwałki. Teraz widzę, że nie przesadził ani na jotę.

- Nie przesadził również z pańskim darem wystawiania się, panie Fletcher. - Uśmiechnęła się kącikami ust.

- Rozumna i piękna... Jestem oszołomiony.

- Zdaje się, że poznałeś już mojego zięcia, Blade'a Stuarta? - wtrącił się do rozmowy Will.

- Tak. Miło mi ponownie pana widzieć, panie Stuart. - Serdeczny uśmiech rozjaśnił twarz prawnika. - Chyba nie muszę mówić, że jest pan wielkim szczęściarzem, mając za żonę tak uroczą kobietę. Będzie o niej mówić... nie, zachwycać się, cały Waszyngton.

Blade uśmiechnął się w odpowiedzi, lecz nie tak serdecznie. Doskonale zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie robiła jego żona, i miał co do tego mieszane uczucia.

- Czyż nie jest to delegat Czirokezów z Zachodu? - zapytał Will, patrząc na wchodzącego właśnie mężczyznę.

- Chyba tak - odparł Payton Fletcher, po czym spojrzął na nich ze smutkiem. - Nie tylko my zabiegamy o wsparcie.

- Niestety im zależy na naszym przesiedleniu, bo dzięki temu mogą otrzymać więcej ziemi i wyższe renty - mruknął Will.

Przed dwudziestoma trzema laty, w 1808 roku, tysiąc dwustu Czirokezów pod wodzą Tahlonteskee dobrowolnie wyemigrowało na Zachód za Missisipi. Rok wcześniej Tahlonteskee i wódz „Dwugłowy” otrzymali łapówki od rządu federalnego w zamian za przekazanie dużej części ziem Czirokezów, łamiąc tym samym prawo krwi. „Dwugłowy” przypłacił zdradę życiem, a Tahlonteskee w obawie, by nie spotkał go ten sam los, opuścił rodzinne strony wraz z grupą swoich ludzi. Od tego czasu zaczęli nazywać siebie zachodnim odłamek plemienia Czirokezów.

- Wątpię, czy uda im się pozyskać więcej ziemi — powiedział Payton, wypatrując kogoś w tłumie. - Will, chciałbym, żebyś

poznał pewnego młodego człowieka. Jed! Jed! Tutaj! - zawołał, machając do kogoś ręką. - Jed to mój chrześniak - wyjaśnił. - Ukończył akademię wojskową w West Point tego lata i otrzymał przydział do Waszyngtonu.

Wzmianka o wojsku natychmiast przypomniała Temple o strażnikach stanowych. Lecz młody barczysty mężczyzna w mundurze, który do nich podszedł, w niczym nie przypominał tych grubiańskich ludzi. Jego włosy miały odcień ciemnego złota, niczym suszone liście tytoniu. Przystojna, gładko wygolona twarz jaśniała świeżością, a jasnyniebieskie oczy spoglądały przyjaźnie na świat.

- Will, pozwól, że ci przedstawię mojego chrześniaka, porucznika Jedediaha Parmelee, do niedawna mieszkańca Bostonu, a teraz na służbie w Waszyngtonie. Jed, to jest mój drogi przyjaciel Will Gordon.

- Witam pana. - Z wojskową precyzją Jed Parmelee wyciągnął rękę do mężczyzny, który przewyższał go o dobre pięć cali. Potem jednak zapomniał o bożym świecie, kiedy dostrzegł stojącą obok Willa niewiarygodnie piękną kobietę.

Do tej pory sądził, że takie piękności istnieją tylko na obrazach lub w męskiej wyobraźni - ta połyskliwa czerń jej włosów, kremowa karnacja skóry i oczy o tajemniczej głębi i jednocześnie tchnące życiem. Spoglądały z taką wyzywającą ciekawością. Chwilę później te oczy wpatrywały się w jego twarz.

- A ta czarująca młoda dama to jego żona, Temple Stuart - posłyszał głos Paytona.

Żona! To słowo poraziło go niczym błyskawica, rozbijając w proch nadzieje, marzenia i pragnienia, jeszcze zanim przybrały konkretny kształt.

- To dla mnie zaszczyt, pani Stuart. - Skłonił się sztywno, niezdolny uczynić nic więcej. Ciekawe, który z nich jest jej mężem? - pomyślał. Pewnie ten z bliźną, bo patrzy na niego, jakby czytał w myślach. Przez jeden krótki moment Jed miał ochotę wyzwąć go na pojedynek. Na pistolety, na dziesięć kroków.

Jednak rozsądek i dyscyplina wpojone mu w akademii przywróciły go do przytomności.

- Właśnie zamierzałem pójść do bufetu - zwrócił się do niej z uśmiechem. - Może coś pani przynieść?

- Do bufetu?

Powiodła wzrokiem po sali. Wyczuł jej ciekawość.

- A może wolałaby pani sama sobie coś wybrać? Stół jest w drugim końcu sali... tam gdzie największy tłum. Byłbym szczęśliwy móc pani tam towarzyszyć.

- Wyborny pomysł, Jed - poparł go Payton. - Mamy parę spraw do omówienia z Willem i Blade'em. Jestem pewien, że Temple uzna je za nieciekawe.

- Tak pan sądzi, panie Fletcher? - odparła. - Mąż zdążył mi już wyjaśnić, że wy, Amerykanie, czujecie się niezręcznie, kiedy przychodzi wam rozmawiać o polityce z kobietą. A więc pozwolicie, panowie, że udam się do bufetu w towarzystwie porucznika Parmelee.

Kiedy wsunęła mu rękę pod ramię, jej mąż nie wydawał się tym zachwycony, lecz nie wyraził sprzeciwu. Zresztą Jeda mało to obchodziło. Zaintrygowała go bowiem uwaga Temple na temat Amerykanów.

- Nie dosłyszałem, skąd pani pochodzi, pani Stuart. - Nie mógł oderwać oczu od głębokiego dekoltu jej sukni.

- Nasza plantacja znajduje się jakąś godzinę drogi od New Echota, na terytorium Czirokezów - wyjaśniła.

- Na terytorium Czirokezów? - Zmarszczył brwi i wnet przypomniał sobie, jak ojciec chrzestny opowiadał mu o swoim indiańskim przyjacielu Willu Gordonie. - A więc jest pani...

- Czirokezka? Tak.

- Proszę wybaczyć...

- Że jestem Czirokezka?

- Nie. — Zatrzymał się. - Proszę wybaczyć moją niezręczność. Przepraszam, jeśli panią obraziłem, pani Stuart. Nie leżało to w moich zamiarach.

- Nic się nie stało, poruczniku - odpowiedziała z uśmiechem. - Jestem przyzwyczajona do takich reakcji. Nie powinnam zwracać na nie uwagi. Proszę wybaczyć moje zachowanie, jak i to, że rozmyślnie wprawiłam pana w zakłopotanie.

- Zasłużyłem na to. - Podziwiał jej dumę, lecz jednocześnie nie mógł się oswoić z myślą, iż ta cudownie piękna kobieta jest z pochodzenia Indianką. Dowodem były czarne włosy

i oczy, ale skórę miała równie gładką i białą jak porcelana jego matki.

- W istocie.

Spojrzał na nią zaskoczony jej szczerością, lecz po chwili wybuchnął śmiechem. Śmiech odpowiadał radości, jaką odczuwał. Zaraz jednak westchnął ze smutkiem.

- Pani mąż musi być bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Podobnie jak ja - odparła gładko i skierowała wzrok w inną stronę. - Co to za taniec?

Odwrócił się, stwierdzając ze zdumieniem, że wesoła muzyka, którą słyszał w swym sercu, jest prawdziwa. Spojrzał na pary wirujące z wdziękiem po parkiecie.

- Walc.

- Jest piękny.

W pewnych kręgach walc uważany był za taniec nieprzyzwoity, lecz jakąż lepszą wymówkę mógł znaleźć mężczyzna, by wziąć kobietę w ramiona? Spojrzał na nią z wahaniem, obserwując, jak z zaciekawieniem śledzi wzrokiem płynne ruchy tańczących par.

- Kroki są bardzo proste i łatwo się ich nauczyć. Byłbym zaszczycony, mogąc je pani pokazać.

Odwróciła głowę w jego stronę.

- Chętnie się nauczę.

- W takim razie wszyscy mężczyźni będą mi dziś zazdrościć - odparł z ukłonem.

Pokazał jej kroki, licząc dla ułatwienia na głos. Już po jednym okrążeniu parkietu złapała rytm i podążała za nim bez wysiłku, smukła i giętka niczym gałązka wierzbowy, reagując na najmniejszy nacisk jego dłoni.

- Czy jest pan pewny, że robię to właściwie? - zapytała z lekkim sceptycyzmem w głosie, przyglądając się innym parom. - Ludzie na nas patrzą.

- Patrz na panią. Jest pani najpiękniejszą kobietą na tej sali... najpiękniejszą kobietą w Waszyngtonie... a może i w całym kraju.

Roześmiała się ciepłym, szczerym śmiechem, niepodobnym do tych piskliwych chichotów dziewcząt, które znał.

- A pan równie ekstrawagancki w prawieniu komplementów jak pan Fletcher - rzuciła z lekką wymówką.

- Mówię prawdę. Nigdy nie spotkałem równie pięknej kobiety. To oświadczenie wzbudziło jej wątpliwości. Spojrzała na niego z nagłą uwagą i zaciekawieniem.

- Pańskiej żonie nie spodobałyby się te słowa. Czy jest pan żonaty, poruczniku?

- Nie.

Nie wspomniał słowem o Cecylii. Nie byli jeszcze przecież oficjalnie zaręczeni. Zresztą nie chciał teraz myśleć o Cecylii, nie tego wieczoru.

Temple siedziała przed toaletką w pokoju hotelowym w Indian Queen, a Phoebe rozsuwając palcami jej gęste sploty kończyła właśnie wyjmować z nich szpilki. Temple podała jej szczotkę i zerknęła na Blade'a. Halsztuk, surdut, kamizelkę i buty zdążył już oddać służącemu. Siedział teraz rozparty w fotelu w samej koszuli. Długie nogi w obcisłych spodniach wyciągnął przed siebie, a stopy w pończochach oparł na otomanie. Wyglądał na dziwnie spokojnego i zamyśłonego.

- Z pewnością musieliście rozmawiać o czymś więcej niż tylko o przygotowaniach do sprawy, którą misjonarze mają wnieść do sądu przeciw władzom Georgii - powiedziała, zastanawiając się, czemu musi go nakłaniać do zdania relacji z ich rozmowy.

- Mówiliśmy o wielu rzeczach, lecz o niczym nowym. Ciągłe o tym samym, aż do znudzenia - mruknął, śledząc wzrokiem jednostajne ruchy rąk Phoebe, która szczotkowała włosy swej pani. Temple wiedziała już, że jego spokój jest tylko pozorny. Wewnątrz szalała w nim burza emocji. Uśmiechnęła się na myśl o tym, gdzie znajdzie ujście ta stłoczona w nim energia.

- To wszystko, Phoebe - powiedziała.

Kiedy dziewczyna wyszła z pokoju, Temple wstała z krzesła.

- Czy mówiłam ci, że porucznik Parmelee zaofiarował się pokazać mi Waszyngton któregoś popołudnia, kiedy ty będziesz zajęty spotkaniami?

Zerwał się z fotela jak oparzony.

- Ten człowiek zakochał się w tobie - mruknął.

- Jesteś zazdrosny?

Uniósł głowę.

- A powinienem?

- Nie. - Podeszła do niego i przesunęła dłońmi wzdłuż jego torsu, czując, jak napinają mu się mięśnie brzucha. - Mając ciebie za męża, nie potrzebuję kochanka.

- Będę o tym pamiętał.

Otoczył ją ramionami i przycisnął usta do jej warg. Przywarła do niego całym ciałem, udowadniając w znany sobie sposób, że całkowicie do niego należy.

Przez część grudnia i pierwsze tygodnie stycznia Jed Parmelee wszelkimi możliwymi sposobami, czy to przekupując kolegów, czy też prosząc, by go kryli przed przełożonymi, starał się wykraść chwilę wolnego czasu, by móc zobaczyć się z Temple Stuart. Bywał na każdym przyjęciu, na które ona została zaproszona, niekiedy zamieniając z nią zaledwie kilka słów, póki ktoś inny jej nie porwał. Raz udało mu się wypić z nią herbatę. Któregoś popołudnia zabrał ją na przejażdżkę po Waszyngtonie, opowiadając o zdobyciu miasta przez Brytyjczyków, spaleniu pałacu prezydenckiego i o uratowaniu portretu Jerzego Waszyngtona przez Dolly Madison.

Początkowo usiłował przekonywać siebie, że dotrzymuje jej towarzystwa jedynie przez uprzejmość. Nie znała tu nikogo, jej mąż przez większość czasu zajęty był rozlicznymi spotkaniami, a ojciec chrzestny życzył sobie, aby jej towarzyszył. Nie mógł jednak dłużej unikać prawdy. Zakochał się w Temple od pierwszego wejrzenia. Brzmiało to absurdalnie i głupio, ale fakt pozostawał faktem.

Lecz jaka przyszłość ich czekała? On był zaręczony, ona zaś mężatką. Poza tym był dżentelmenem, wychowankiem West Point. Postanowił więc nie zachowywać się jak chory z miłości szaleniec i powstrzymać się przed wyznaniem jej, jak głęboko zapadła mu w serce. Udało mu się to, nawet wtedy gdy poinformowała go, że wkrótce wyjeżdża z Waszyngtonu.

- Skąd ten pośpiech? Trwa jeszcze przecież posiedzenie Kongresu, a Sąd Najwyższy nie rozpatrzył jeszcze waszej sprawy.

Czemu więc pani wyjeżdża? - Nagle przypomniał sobie o czymś.  
- Czy pani mąż lub ktoś z delegacji spotkał się z prezydentem?

- Nie. - Powiodła wzrokiem po obszernej sali w hotelu Indian Queen, która służyła za hall, kawiarnię i recepcję. — Pan Jackson odmawia spotkania z nimi, chociaż przyjął delegację Czirokeezów z Zachodu - dodała z goryczą w głosie. - Przesłał nam tylko list przez sekretarza obrony, w którym określił bardzo wyraźnie swoje stanowisko.

Treść tego listu głęboko zapadła jej w pamięć. Śliski Wąz, jak nazywał Jacksona John Ridge, pisał, że mu przykro, lecz im nie pomoże. Radził, by podpisali układ i przenieśli się na Zachód za Missisipi, opuszczając ziemię, w której spoczywają kości ich ojców.

Nie powiedziała jednak tego młodemu porucznikowi.

- Mój mąż i John Ridge postanowili przyłączyć się do Eliasza Boudinot, wydawcy naszej gazety, który wyrusza w podróż po północnych stanach w celu zebrania funduszy. Mój ojciec i reszta delegatów pozostaną zaś w Waszyngtonie, by pilnować naszych interesów — wyjaśniła. — Mąż mówił mi, że odwiedzimy również pańskie rodzinne miasto Boston.

- Napiszę do moich rodziców i poproszę ich, by upewnili się, czy została pani ciepło przyjęta.

Powiedzieli sobie jeszcze wiele słów, lecz nie takich, jakie pragnęłyby wyznać, gdyby byli sami. Patrzył, jak wchodzi po schodach na górę, a kilka kroków za nią jej kolorowa służąca. Prawdopodobnie już więcej jej nie zobaczy. Nieprawda. Będzie ją stale miał przed oczami - we śnie i w marzeniach.

Do Filadelfii pojechali dylizanssem. Blade, którego zaczęły irytować nie kończące się i bezowocne spotkania w Waszyngtonie, z radością powitał zmianę scenerii i działalności. Po frustrującym pobycie w stolicy miasto braterskiej miłości powitało ich z otwartymi ramionami.

Z Filadelfii udali się do Nowego Jorku, rojnego, tętniącego życiem miasta, o zatłoczonych ulicach i setkach ludzi. Na dwóch wiecach zorganizowanych w Clinton Hall udało im się zebrać



osiemset dolarów i zdobyć sześć tysięcy podpisów pod petycją do Kongresu przeciw poczynaniom Georgii wymierzonym przeciw Czirokezom. Podobne wiece odbyły się w New Haven w stanie Connecticut z podobnymi rezultatami.

Pod koniec lutego przybyli do Bostonu. Zorganizowane tu wiece odbyły się w Old South Church i poprowadzili je stateczny pan Lyman Beecher i John Pickering, student języków indiańskich. Pod koniec ostatniego wiecu do Temple podeszła starsza elegancko ubrana para, której towarzyszyła młoda kobieta. Wyjaśnili, że są rodzicami potucznika Jedediaha Parmelee.

- Przesyła pani pozdrowienia z nadzieją, że wizyta w Bostonie przebiegnie w ciepłej atmosferze pomimo zimowej pogody - powiedziała jego matka.

- Syn państwa był dla mnie niezwykle uprzejmy w Waszyngtonie - odparła Temple i usłyszała nikły dźwięk, który bardzo przypominał pogardliwe prychnięcie. Wyszedł on z ust owej młodej damy. Temple dostrzegła bladożółte włosy wyłaniające się spod budki przykrywającej głowę kobiety i bladoniebieskie oczy. Różowe plamy rumieńców przydawały koloru policzkom. Była podobna do chińskiej lalki, jaką Temple bawiła się będąc dzieckiem. Podobnie jak lalka jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, choć czuło się atmosferę wrogości, która ją otaczała.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała pani Parmelee. - Nie przedstawiałam jeszcze narzeczonej mojego syna, panny Cecylii Jane Castle. Cecylia, pani Stuart.

Temple spojrzała ostro na panią Parmelee, dziwiąc się, że porucznik nawet nie wspomniał o narzeczonej. Mogła się tylko domyślać dlaczego.

- Miło mi panią poznać, panno Castle.

- Pani Stuart. - Cecylia skinęła uprzejmie głową. Nie uśmiechnęła się jednak, bo z trudem panowała nad wściekłością. Gardziła tą kobietą, która zachwycała wszystkich urodą. Niektórzy nazywali ją nawet indiańską księżniczką. Mogła sobie nią być w tych aksamitnych sukniach i z królewską postawą, ale nie przestała być Indianką. Wystarczyło jedno spojrzenie na te pełne wargi i kuszące oczy, by każda szanująca się kobieta rozpoznała w niej Jezabel.

Z ulgą przyjęła fakt, że rodzice Jedediaha zdecydowali się z nią pożegnać. Nie zdążyli jeszcze dokończyć zdania, gdy Cecylia odwróciła się i odeszła.

Zmęczony i znudzony toczącą się rozmową, Blade podszedł do okna. Znajdowali się w bostońskiej siedzibie Rady do Spraw Misji Zagranicznych. Stracili trzy miesiące na rozmowy i co im to dało? Fundusze, które pozwolą na wydawanie gazety przez kilka miesięcy, góra przez rok. Czy osiągnęli jednak jakiś postęp w najważniejszej dla nich sprawie? Żadnego. Najbardziej frustrujące było to, że nie wiedział, *co dzisiaj wbić*. Trwali w zawieszaniu, czekając na decyzję Sądu Najwyższego.

- Musimy trzymać się razem - słyszał każdego dnia. Szlachetne słowa, lecz nic poza tym. Przewodniczący rady zalecał cierpliwość, wiarę w Stwórcę i modlitwę. Chwalebne, lecz nic z tego nie wyniknie. Blade nie miał nic przeciwko apelowaniu do sądów i opinii publicznej, lecz jeśli to zawiedzie, co wówczas zrobić?

Wszyscy - łącznie z Temple - uparcie unikali tego pytania, nie dopuszczając do siebie myśli, że niczego nie wskórają. Za każdym razem, kiedy próbował podzielić się z nią swoim niepokojem i zastanawiał się, jakie znaleźć inne wyjście, Temple zbywała go słowami: „Nie przegramy. Nie możemy przegrać”.

Oderwał wzrok od chudych konarów drzew w parku na Pemberton Square i spojrzał na żonę.

- Jak długo trzeba będzie jeszcze czekać na werdykt Sądu Najwyższego, panie Fletcher? - zapytała.

- Jest pierwszy dzień marca. Myślę, że w każdej chwili mogą ogłosić swoją decyzję. - Zakołysał się na piętach, zatykając kciuki o kieszonki kamizelki i wystawiając na pokaz wydatny brzuch. Popatrzył na Blade'a z wyrazem zamyślenia i-powagi w szarych oczach. - Musicie jednak wiedzieć, że nawet jeśli wyrok zapadnie na waszą korzyść, to i tak obecne prawo nie daje prezydentowi możliwości wyegzekwowania go.

- Czy prezydent nie może wyegzekwować wyroku wydanego przez najwyższe władze sądownicze? - zapytał Blade mrużąc oczy.

- Jak to możliwe? A jego spór z Karoliną Południową w sprawie nieprzestrzegania rządowych ustaw? Groził przecież, że wyśle wojsko, jeśli się sprzeciwią, albo wykluczy ich z Unii.

- Najpierw jednak musiałyby uzyskać poparcie Kongresu, żeby to zrobić. Prezydent nie ma prawa wydawać rozkazu wymarszu oddziałom wojskowym.

Zanim Blade zdążył postawić kolejne pytanie, do sali wszedł jeden z członków delegacji, Elias Boudinot.

- Sąd Najwyższy orzekł, że prawo, na mocy którego Samuel Worcester i doktor Elizur Butler zostali skazani na więzienie, jest niezgodne z konstytucją, jak również wszelkie zarządzenia lokalnych władz dotyczące Indian - poinformował zebranych. - Sędzia Marshall uznał, że naród czirokeski jest odrębną społecznością zajmującą własne terytorium i prawa stanu Georgia go nie obowiązują. Stwierdził też, że wszelkie wydane przez władze stanowe rozporządzenia są nieważne.

Zebrani na sali powitali jego słowa wybuchem radości.

- To nadzwyczajne! - wykrzyknął triumfalnie John Ridge.

- Udało się! Zwyciężyliśmy! - Temple ścisnęła Blade'a za ramię.

Wśród powszechnego entuzjazmu nikt nawet nie zauważył powściągliwej reakcji Blade'a. Uśmiechał się wraz z innymi i wymieniał uściski dłoni.

Kwestia prawa Czirokezów do ich własnej ziemi została ostatecznie rozstrzygnięta. Pozostał jedynie spór między rządem Stanów Zjednoczonych i Georgią.

Blade pragnął wierzyć, że oznacza to koniec ich kłopotów, obawiał się jednak, iż jest to początek nowego konfliktu.

Po kilku dniach od ogłoszenia przez Sąd Najwyższy werdyktu dotarły do nich informacje o reakcji Jacksona. Miał odpowiedzieć, że skoro John Marshall podjął taką decyzję, to niech teraz sam ją egzekwuje.

Wkrótce gazety podały, że wiarygodne waszyngtońskie źródła potwierdziły, iż prezydent nie zamierza wprowadzić w życie ogłoszonego wyroku.

Delegaci natychmiast wrócili dylizanssem do Waszyngtonu. Tym

razem Jackson zgodził się ich przyjąć. Kiedy wprowadzono ich do gabinetu, Blade wyczuł panujące napięcie.

Jego oczom ukazał się mężczyzna o szczupłej sylwetce, pociągłej twarzy i mimo rzucającej się w oczy ogłady, pewnej szorstkości w obejściu charakterystycznej dla mieszkańca pogranicza. Jackson dał się poznać jako człowiek o wielkiej energii i determinacji. Nie na darmo jego oponenti nadali mu przydomek „król Andrew”. Blade wyczuł w nim niezwykle groźnego przeciwnika. Jeśli już raz coś postanowił, to nikt nie zdoła go zawrócić z objętej drogi.

Nie tracono czasu na długie powitania i ku wyraźnemu zadowoleniu Jacksona John Ridge przeszedł prosto do tematu.

- Czego Czirokezi mogą oczekiwać? - zapytał. - Czy rząd Stanów Zjednoczonych użyje swej władzy, by wyegzekwować decyzję Sądu Najwyższego i unieważnić rozporządzenia władz Georgii?

- Nie. Nie użyje. - Jackson umilkł i studiując z uwagą twarze delegatów pozwolił im oswoić się z wagą tego oświadczenia. — Wracajcie do domu i powiedzcie swoim ludziom, że jedynym wyjściem z ich obecnych kłopotów jest przeniesienie się na Zachód.

Wyraźnie wstrząśnięty John Ridge nie był w stanie wykrztusić słowa. Zresztą nie były one potrzebne. Odnieśli zwycięstwo, lecz wobec odmowy Jacksona na podjęcie odpowiednich kroków było ono bezużyteczne.

Blade zrozumiał, że wygrali bitwę, lecz nie wojnę. Ona wciąż między nimi trwała. Dopóki Jackson będzie trzymał stronę Georgii, nie ma nadziei na utrzymanie ich ziem. Jeśli nie pogodzą się z tym faktem, to mogą w ogóle nie przetrwać.

W milczeniu opuścili pokój. Nikt nie miał teraz wątpliwości, że oto usłyszeli całą prawdę, z którą trudno było się pogodzić.

Kiedy schodzili po schodach, Blade dostrzegł na dole Temple, niespokojnie przechadzającą się tam i z powrotem. Na ich widok zatrzymała się, po czym wybiegła im na spotkanie.

— Nie mogłam czekać w hotelu — powiedziała. - Jak poszło? Co powiedziały?

— Jackson nie będzie egzekwował wyroku — odpowiedział jej ojciec.

- Nie będzie? - powtórzyła zaskoczona i powiodła wzrokiem po twarzach delegatów. Malujące się na nich przygnębienie było aż nadto wymowne.

- Jeszcze nie wszystko stracone. - Will Gordon objął ją ramieniem i przytulił do siebie. - Na razie Jackson jest prezydentem, ale listopadowe wybory wprowadzą na to stanowisko Henry'ego Claya. On dopilnuje, by władze stanowe respektowały postanowienie sądu. Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość.

- Tak... tak, masz rację - powiedziała, starając się uśmiechem pokryć rozczarowanie.

Blade dostrzegł sceptycyzm malujący się na twarzy Johna Ridge'a. Zauważył też, że i syn majora ma te same co ojciec wątpliwości. Obaj wiedzieli, że ich sprawa jest przegrana. To, czego Blade tak się obawiał, stało się. Jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji było teraz zawarcie nowego układu i emigracja na Zachód.

Delegacja pozostała w Waszyngtonie, nie przestając zabiegać o wsparcie dla swojej sprawy. Lecz tak jak gliniaste brzegi strumieni w ich ojczyźnie usuwały się pod naporem stóp, tak teraz niedawni wierni sojusznicy z Kongresu zaczęli odsuwać się od nich, racząc wyrazami sympatii, ale namawiając do ugody z rządem.

W czasie popołudniowej herbatki porucznik Parmelee jak zwykle nie odstępował Temple ani na krok. Właśnie opowiadał jej jakąś anegdotkę. Ona jednak słuchała go nieuważnie, starając się uszczknąć coś z rozmowy męża z kongresmanem z Tennessee, szczerwanym lisek Davidem Crockettem.

- Podobno rozmawialiście z sędzią Johnem McLeanem — powiedział Crockett, porzucając na chwilę swój barwny akcent mieszkańca pogranicza, którym się często posługiwał w wystąpieniach publicznych. - I cóż wam poradził?

- Poinformował nas, że sąd nie może zmusić Jacksona, by ten respektował jego postanowienia.

- Słyszałem również, że radził wam zawrzeć nowy układ i zafiarował się pełnić rolę jednego z pełnomocników rządowych.

- Tak. Lecz my nie zmieniliśmy zdania. Nie opuścimy naszej

ziemi. - Powtórzył to jakże często wypowiedane zdanie, lecz bez większego przekonania.

- To szlachetna postawa, przyjacielu, ale równie niepraktyczna jak szczerzenie zębów do rozjuszonej starej niedźwiedzicy z małym - rzucił z kwaśną miną i smutnym uśmiechem. - Wiem, że departament obrony zaproponował wam korzystne warunki, ofiarowując patent na tereny w Arkansas i jedno miejsce w Kongresie. Według mnie nie macie innego wyboru. Najmądrzej byłoby usiąść i wynegocjować najlepsze z możliwych warunki.

Jego stanowisko nie różniło się niczym od opinii ich niedawnych sojuszników. Delegacja otrzymała nawet list od Rady do Spraw Misji Zagranicznych, która z takim zapałem broniła ich sprawy, doradzając podjęcie negocjacji z rządem.

Spośród wszystkich delegatów jedynie teść Blade'a, Will Gordon, wciąż wierzył, że jest jakaś nadzieja. Był głuchy na rady dawnych sprzymierzeńców i nie chciał dostrzec radykalnej zmiany ich dotychczasowego stanowiska. Tylko jedna osoba prócz niego nie chciała pogodzić się z bezzasadnością obstawania przy swoim... Temple.

Blade zerknął w jej stronę, zdając sobie sprawę z napięcia, jakie zrodziło się między nimi z powodu różnicy zdań. Już sama wzmianka o tym, że może ci ludzie mają rację, wywoływała w niej gniew. Po dwóch gorących sprzeczkach w ogóle przestał rozmawiać z nią na ten temat.

Jego wzrok zatrzymał się na złotowłosym poruczniku. Z jednej strony był rad, że Parmelee wciągnął Temple do rozmowy, bo dzięki temu nie usłyszała tego, co powiedział Crockett, z drugiej jednak gniewało go zainteresowanie, jakie ten oficer okazywał jego żonie pod pozorem przyjaźni.

- Przekażę pańską radę zgromadzeniu, panie Crockett.

Do uszu Temple dotarła dyplomatyczna odpowiedź jej męża. W tej samej chwili porucznik Parmelee powiedział coś do niej, rozpraszając uwagę.

- Przepraszam, nie dosłyszałam, co pan mówi, poruczniku

- Pytałem, czy napije się pani jeszcze herbaty.

- Nie, dziękuję.

- Czy coś się stało? Proszę wybaczyć śmiałość, ale wydaje się pani czymś zaabsorbowana.

- Myślałam o domu. - Było to bliskie prawdy. - Za kilka dni wyjeżdżamy.

- Waszyngton będzie bez pani strasznie nudny.

- Trudno mi w to uwierzyć. Wszyscy, których tu spotkałam, nie mogą się wprost doczekać naszego wyjazdu — powiedziała z nutką goryczy w głosie.

- Nie ja. Na myśl o tym, że nigdy już pani nie zobaczę... - Urwał, a na twarzy pojawił się wyraz chłodu, jakby starał się ukryć zapał brzmiały w jego głosie i płonący w oczach.

- Może kiedyś się jeszcze spotkamy - zasugerowała delikatnie.

- Może.

Piętnastego maja delegaci wyruszyli w drogę powrotną. Rodziny powitały ich z entuzjazmem, pokrzepione na duchu werdyktem sądu, lecz nieco zdziwione przedłużającym się pobytem misjonarzy w więzieniu i rzeszą mierniczych krążących po Gordon Glen i Seven Oaks, znaczących drzewa, stawiających paliki i dzielących plantacje na stusześcdziesięcioakrowe działki, które miały zostać rozdane nowym osadnikom na jesieni.

Eliza z ciężkim sercem wysłuchiwała relacji Willa Gordona, z której wynikało, że nic się nie zmieniło. On jednak był przekonany, że ich sytuacja zmieni się po listopadowych wyborach, które wyłonią nową administrację bardziej przychylną Czirokezom. Eliza również miała taką nadzieję i żałowała, że kobiety nie mają prawa głosu, bo wówczas mogłyby głosować przeciw Jacksonowi. Miała już dość biernej roli podpory moralnej i tęskniła za bardziej aktywnym działaniem.



*Gordon Glen.  
Boże Narodzenie 1832*

Padający śnieg obsypywał gałęzie drzew w Gordon Glen i puszystym białym dywanem kładł się na trawniku. W jadalni wesoło buzował ogień na kominku, którego gzymsy zdobiły zielone girlandy. Stół zastawiony był półmiskami, tak że niewiele mieli miejsca siedzący wokół niego ludzie - członkowie rodzin Gordonów i Stuartów oraz Eliza i Nathan Cole.

Ze spuszczoneymi głowami słuchali właśnie modlitwy odmawianej przez Nathana, przeznaczonej specjalnie na ten święty dzień Bożego Narodzenia. Wszyscy, z wyjątkiem małego Johna, który wiercił się niespokojnie z typową dla trzylatka niecierpliwością, nie zważając na uciszanie matki.

Kiedy ucichły słowa modlitwy, Will Gordon wziął do ręki nóż i zaczął kroić na porcje pieczone udo jagnięcia, które Czarna Cassie przed nim postawiła.

— Przygotowałam nam doprawdy wspaniałe przyjęcie, Victorio - zwrócił się do siedzącej na drugim końcu stołu żony.

- Nie bez powodu - odpowiedziała z uśmiechem Victoria, szczuplejsza i bledsza niż przed rokiem. - Po raz pierwszy od wielu lat uczestniczysz w nim wspólnie z nami. Jednak podziękowania należą się tu przede wszystkim Elizie. To ona wszystkiego doglądała.

Spojrzała na Elizę z wyrazem głębokiej wdzięczności.



- Jeśli ten udziec barani jest równie soczysty w smaku, na jaki wygląda, to wybornie się pani spisała, panno Hall — powiedział Shawano Stuart. - Barani udziec to moja ulubiona potrawa. Wiedziała pani o tym?

- Nie. Za to należą się podziękowania pani Gordon. Ona bowiem opracowała menu na dzisiejszy obiad. Ja tylko dopilnowałam, aby wykonano jej polecenia.

Z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Victorii Eliza, jak mogła, starała się przez ostatnie miesiące ulżyć jej w domowych obowiązkach, stopniowo przejmując co cięższe prace. Dzięki temu Victoria odzyskała nieco sił. Eliza nie miała nic przeciwko dodatkowym zajęciom, zwłaszcza teraz. Odsuwała od siebie nachodzące ją czarne myśli, nie chcąc pozwolić, aby cień, jaki rzuciła na naród postawa Jacksona, zepsuł świąteczny nastrój.

- Panna Hall zawiesiła też te wszystkie zielone gałązki - oznajmiła z przejęciem Xandra. - I nauczyła nas kolędy, którą zaśpiewamy wam po kolacji.

- Głupia jesteś. - Kipp obrzucił siostrę pogardliwym spojrzeniem. - Nie będziemy niczego śpiewać.

- Dlaczego? - W oczach dziewczynki pojawiło się rozczarowanie.

- Bo Charlie, Tom i inni nie będą mogli zaśpiewać swoich partii. Dlatego - rzucił gburowato.

- Zapomniałam - mruknęła, utkwivszy wzrok w talerzu.

Eliza pochwyciła błysk gniewu, który przemknął przez twarz Willa Gordona. Przy stole zapadła pełna napięcia cisza, spowodowana niefortunną uwagą Xandry. Dotknęła ona bowiem tematu, którego wszyscy starali się unikać.

- Szkoda, że wuj George i ciocia Sarah nie zostali przynajmniej do jutra. Boże Narodzenie bez nich to już nie to samo - westchnęła z żalem Temple.

- To była ich własna decyzja - przypomniał jej Will Gordon.

- Myślicie, że dotarli do Lookout Mountain, zanim zaczął padać śnieg?

- Powinni byli zdążyć - odparł Blade.

- Taki gęsty śnieg często jest powodem lawin w górach. A jeśli gdzieś utknęli?

- Na pewno nic im się nie stało. - Eliza przerwała niezręczną ciszę, jaka zapadła po pytaniu Temple.

- Nie powinni byli pozwolić, aby ci... ludzie... zajęli ich dom. Wuj George sam go zbudował. Należy do niego i cioci Sarah. - Temple z trudem panowała nad gniewem. - Papier z loterii, który pokazał ten człowiek, nie ma żadnej wartości. Władze Georgii nie mają prawa oddawać ziem i budynków, które do nich nie należą.

- Niestety nie możemy im tego zabronić. - Will położył na talerzu Shawano Stuarta potężny plaster baraniny.

- Nigdy nie sądziłem, że dojdzie do takiej sytuacji. Żeby jakiś bilet z loterii upoważniał do zabierania komuś ziemi. - Nathan wpatrywał się w półmiski stojące na stole, lecz nie uczynił najmniejszego ruchu, by nałożyć coś sobie na talerz. - Nie sądziłem, że władze Georgii ośmielą się dopuścić do tak jawnej kradzieży.

- Teraz kiedy Jackson został ponownie wybrany na prezydenta, będą sobie jeszcze śmieiej poczynać - powiedział Blade.

- Nie byłabym tego taka pewna - wtrąciła Eliza. - A spór Jacksona z Karoliną Południową? Wysłał do Charleston okręt wojenny i kilka kutrów i zagroził wysłaniem wojska, gdyby władze Karoliny Południowej zdecydowały się unieważnić federalne prawa i proklamować suwerenność. Jeśli poważnie o rym myśli i bierze pod uwagę groźbę wojny domowej, to nie pozwoli władzom Georgii na łamanie prawa.

- Jackson nie ruszy nawet palcem w tej sprawie, zapewniam panią, panno Hall - oświadczył Blade. - On Indian mierzy zupełnie inną miarą. Karolina Południowa postępuje źle, ale Georgia dobrze. Wyraźnie dał nam to do zrozumienia.

- Słyszałem, że Jackson obawia się, iż gdyby odwrócił się od Georgii, ta przyłączyłaby się do Karoliny Południowej i wystąpiła z Unii - wtrącił Nathan. - Wynikiem tego byłaby wojna domowa.

- Jackson niczego się nie obawia - odparował Blade. - Sam William Wirt powiedział, że po tak ogromnym zwycięstwie w wyborach może jeszcze długo sprawować ten urząd. Wróg jest u władzy i nasza sytuacja może się tylko pogorszyć.

- Przeżyjemy — oświadczył Will ze spokojem.

- Jak? - zapytał Blade. - Czy Ross ma jakiś plan?

Napięcie w jadalni stało się wręcz namacalne. Podczas październ-

nikowej sesji parlamentu Blade, John Ridge i Elias Boudinot wysunęli propozycję, by wysłać do Waszyngtonu delegację, która omówiłaby warunki nowego układu. Will i większość posłów ostro się temu sprzeciwiła. W ich mniemaniu emigracja na Zachód w ogóle nie wchodziła w grę. Jednak wśród członków rady nastąpił rozłam.

- Nie czas teraz na takie dyskusje - rzucił oschłym tonem Will.
- Dzisiejszy dzień jest dniem pokoju. Przeżyjmy go więc w zgodzie.
- Zgadzam się - powiedział Shawano Stuart, rzucając synowi pełne wyrzutu spojrzenie.

Kiedy Phoebe weszła do kuchni, Shadrach stał przy zlewie z podwiniętymi do łokci rękawami i szorował rondle i miski. Dziewczynka zerknęła przez ramię, by upewnić się, czy nie ma w pobliżu mamy, po czym sięgnęła pod fartuch i z kieszeni sukienki wyjęła zwiniętą chusteczkę.

- Masz, to dla ciebie. - Zaczekała, aż brat wytrze w fartuch mokre ręce. - Wiem, jak bardzo to lubisz.

Wymacał palcami zawartość zawiniątka.

- Karmelki sezamowe?
- Mhmm. - Patrzyła, jak brat ostrożnie rozwija brzegi chusteczki, odsłaniając cienkie sezamowe kawałeczki. — Panienska Temple zrobiła ich cały stos. Nie zauważy, że wzięłam parę. - Odgryzł róg twardego cukierka. — Lepiej uważaj, żeby mama nie zauważyła — ostrzegła. - Pomyśli, że podkradłeś go pani Victorii.

- Ona nie robiła w tym roku sezamków — powiedziała, mając policzek wypchany cukierkiem.

- Schowaj resztę do kieszeni, bo jak mama cię zobaczy, to zaraz zaczniesz lamentować, że narobisz sobie kłopotów.

- Ona ciągle lamentuje. - Shadrach ukrył zawiniątko w kieszeni. - Żebyś ją dziś widziała, jak próbowała wszystkiego. Mhmm, ona to nazywa próbowaniem. Spróbowała tak cały obiad.

- Wiem. - Phoebe uśmiechnęła się, przyglądając się bratu i nie mogąc się nadziwić, jak bardzo urósł. Kiedy ostatni raz go widziała, sięgał jej zaledwie do ramienia. A teraz prawie się z nią zrównał. — Wystrzeliłeś w górę niczym młody pęd.

- Długo tu cię nie było. Bez ciebie już nie jest jak dawniej -

przyznał nieśmiało. - Z innymi nie mogiem rozmawiać tak jak z tobą. Mama...

- Nie mogę - poprawiła go Phoebe, tak jak zwykł robić Deu.

- Nie mogę - powtórzył. - A mama choć tego nie mówi, to bardzo za tobą tęskni.

- Ja też za wami tęskniłam. - Chociaż bardzo kochała Deu i była z nim szczęśliwa, to zdarzały się chwile, kiedy brakowało jej rodziny. Ta tęsknota malowała się teraz na twarzy brata.

Spuścił wzrok zawstydzony.

- Opowiedz, jak było na Północy. Naprawdę widzieliście te wszystkie miasta, o których mówi Deu?

- Tak i jeszcze więcej. Wiele razy pan Blade dawał nam wolne i mogliśmy wychodzić, kiedy on i panienska Temple wychodzili z hotelu. Widziałam duży biały dom, w którym mieszka prezydent Stanów Zjednoczonych. Cały czas szli do niego ludzie. Oczywiście my nie mogliśmy tam wejść. A kiedy byliśmy w Filadelfii, Deu pokazał mi Independence Hall. Powiedział, że tam narodziła się Ameryka. Pokazał mi też wielki dzwon, który zawiesili na wieży. Powiedział, że jest na nim napisane „Głoszę wolność dla całej ziemi i wszystkich jej mieszkańców”. Deu powiedział, że to z Biblii. A Nowy Jork... - Pokręciła głową i wzniosła oczy do sufitu. - To najbardziej hałaśliwe miejsce, jakie widziałam. Ile tam ludzi. Deu chciał pokazać mi miasto, ale ja bałam się, że się zgubimy. Powiedziałam, że może sobie iść, a ja za żadne skarby nie wyjdę z hotelu. Ale Boston jest ładny. Tam wszyscy są szczęśliwi. - Zamyśliła się, po czym spojrzała ze smutkiem na brata. - Za to zimy na Północy są straszne. Czasami to nawet włosy mi w nosie zamarały. A raz widziałam, jak woźnicy dyliżansu zwiwały z brody sople lodu. A ile tam śniegu, matko! Siegał mi aż po pas, a pewien człowiek powiedział nam, że widział raz, jak siegał prawie po dach. Ta zima tam trwa i trwa. Tak strasznie tęskniłam za domem, że kiedy zobaczyłam plantację, rozpłakałam się. Co prawda zobaczyłam mnóstwo ciekawych rzeczy, ale nigdy nie chciałabym tam mieszkać.

- Czy są tam czarni tacy jak my?

- Na Północy nie ma niewolników. Niektórzy czarni są nawet wolni.

- Czy skończyli szkoły?

- Nie wiem. - Phoebe wzruszyła ramionami, po czym dodała konspiracyjnym szeptem: - Ale Deu mnie uczy. Pan Blade pozwolił mu wziąć książki z biblioteki. Czytaliśmy o takim rycerzu, który nazywał się Ivanhoe, i o bardzo mądrym Greku... Chyba miał na imię Platon.

- Ja też się uczę - odpowiedział półgłosem Shadrach. - Panna Eliza, wychodząc ze szkoły, zostawia mi zawsze książki i wypisuje ćwiczenia. Czasami nawet kładzie na biurku kartkę papieru. Piszę na niej różne rzeczy i chowam potem do jej szuflady.

- Robi to dla ciebie po kryjomu? Dziwna kobieta - stwierdziła Phoebe, kręcąc głową ze zdumienia.

- Mhm. - Pokiwał głową. Zaraz jednak posmutniał i ściągnął w dół kąciaki ust. - Jak myślisz, co się z nami stanie, Phoebe?

- Nie rozumiem.

- No co będzie, jeśli ci osadnicy z Georgii tu przyjdą i każą panu Willowi opuścić dom? Pan George, kiedy wyjeżdżał, zabrał ze sobą wszystkich niewolników, ale słyszałem, jak mówił panu Willowi, że będzie musiał niektórych sprzedać, żeby zacząć nowe życie w Tennessee. Może i z nami tak będzie.

- Może. - Bała się jednak o tym myśleć.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do kuchni weszła Czarna Cassie. Kiedy zobaczyła ich razem, zmarszczyła brwi.

- Czego stoisz, dziewczyno? Przygotowałaś już sos do puddingu?

- Właśnie miałam to robić - skłamała Phoebe.

- Już to widzę - prychnęła matka. - Ruszasz się jak mucha w smole. Lepiej sama go zrobię. A *ty idź* i zberz ze stołu. Ale migiem. Panienska Temple nie po to cię tu przywiozła, żebyś stała i rozprawiała niczym biała.

- Dobrze, mamó. - Phoebe uśmiechnęła się do Shadracha i wybiegła z kuchni.

Eliza wyglądała przez okno salonu na tchnący spokojem zaśnieszony krajobraz. Czerwona ziemia zniknęła pod puszystym nieska-

zitelnie białym dywanem, pnie drzew tonęły w głębokim śniegu, a cedry ugięły się pod jego ciężarem. Po napięciu, jakie panowało między Willem Gordonem a Stuartami podczas obiadu, spokojny widok za oknem działał jak balsam.

- Już zapomniałam, jaki piękny jest świat, kiedy pada śnieg - powiedziała do Nathana, dorzucającego drew do kominka.

Odrzuciła się od okna i podeszła bliżej ognia, nie zwróciwszy uwagi na dziwne zamyślenie Nathana. Byli sami. Will Gordon siedział w bibliotece po drugiej stronie hallu, mozoląc się nad księgami rachunkowymi. Victoria poszła na górę się zdrzemnąć. Stuartowie odjechali wkrótce po obiedzie, tłumacząc swój pośpiech czekającą ich ciężką drogą. Taki w każdym razie podali powód, choć Eliza podejrzewała, że główną przyczyną była różnica poglądów między Willem Gordonem a Blade'em.

Ogarnął ją smutek. Nie mogła przestać myśleć o tym, jaka pusta będzie szkoła bez czwórki dzieci Murphych.

- Stoimy tu oboje przed wesoło trzaskającym ogniem, syci po wspaniałym obiedzie, tymczasem twoi dwaj przyjaciele misjonarze siedzą zamknięci w celach. Pewnie martwisz się o nich — stwierdziła, wyciągając wniosek z jego przedłużającego się milczenia. - Jak znalazłeś wielbnego Worcester'a i doktora Butlera, kiedy odwiedziłeś ich w zeszłym tygodniu?

Zawahał się, jakby szukał wymijającej odpowiedzi.

- Czy coś się stało? - zapytała Eliza. - Powiedz, proszę.

- Nic się nie stało - odrzekł, po czym znowu umilkł. - Tylko widzisz, kiedy tam byłem, powiedzieli mi, co ich gnębi. Otóż mecenas Wirt wniósł do Sądu Najwyższego kolejną sprawę przeciw władzom Georgii, chcąc je w ten sposób zmusić do podporządkowania się wcześniejszemu wyrokowi i zwolnienia uwięzionych misjonarzy.

- Tak, wiem.

- Gubernator Georgii zaproponował kompromis. Jeśli Worcester i Butler wycofają sprawę, daruje im karę.

- Ale oni przecież są niewinni - zaprotestowała Eliza. - Nie mogą więc poważnie traktować takiej propozycji. Jeśli ją przyjmą, pomyśl, jak to będzie wyglądać. Czirokezi uznają, że się poddali.

- Niektórzy mogliby tak pomyśleć - przyznał Nathan. - Ale przecież ich uwięzienie nie poszło na marne. Czironiezi osiągnęli swój cel. Wygrali sprawę w sądzie. Jeśli nie przystaną na tę propozycję, Georgia może przyłączyć się do zwolenników secesji takich jak Karolina Południowa. Groźba wojny domowej nie została w pełni zażegnana. Ich upór może ją przyspieszyć. Oni są misjonarzami, Elizo. Jakby się czuli, gdyby okazało się, że to ich postawa stała się zarzewiem konfliktu? Nie sądzę, by mogli żyć z takim poczuciem winy.

- Masz rację - przyznała.

- Georgia nie żąda od nich przysięgi na wierność, tylko żeby zaprzestali dalszych działań przeciwko władzom stanowym.

- Cóż więc postanowili? - Była w stanie zrozumieć wagę ewentualnych reperkusji.

- Jeszcze nie podjęli decyzji. Napisali do Bostonu i czekają na opinię rady. Odpowiedź pewnie jest w drodze.

- List od mojej matki idzie do mnie dwa tygodnie - przypomniała sobie Eliza.

- Nie powinienem o tym z tobą mówić - oświadczył Nathan, odwracając się nagle od ognia i patrząc na nią z wyrzutem. - Nie powinnaś zajmować się takimi sprawami.

Zbyt często w ciągu ostatnich dwóch lat brała udział w dyskusjach politycznych, by teraz przejmować się konwenansami lub dawać wiarę głupiej opinii, że jako kobieta nie jest wystarczająco inteligentna, by pojąć takie sprawy. Lecz Nathan był naprawdę zdenerwowany. Zamiast więc dolewać oliwy do ognia, postanowiła obrócić wszystko w żart.

- A z kim innym jak nie ze mną mógłbyś o nich porozmawiać?

Uspokoił się nieco i spojrzał na nią z wyrazem żalu i skruchy.

- Nie tak pragnąłem spędzić z tobą ten dzień.

- Wiem. Moglibyśmy pograć na cztery ręce, ale na górze śpi Victoria, a pan Gordon pracuje w bibliotece, byłoby to nie na miejscu. Może pójdziemy na spacer?

- Nie. Proszę, posiedźmy przy kominku. — Wskazał na sofę.

- Dobrze - zgodziła się i usiadła na jednym końcu, on zaś na drugim. Wyczuła, że jest nadal spięty. To zapewne z powo-

du tej niedawnej wymiany zdań, pomyślała z nagłym poczuciem winy.

- Czy wiesz, że znamy się już przeszło dwa lata? - powiedział, siląc się na obojętny ton.

- A ja mam wrażenie, jakbyśmy znali się od bardzo dawna - odpowiedziała z serdecznym uśmiechem.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Ja również - powiedział, po czym zawahał się. - Myślę, że nie byłoby przesadą powiedzieć, iż poznaliśmy się dość dobrze.

- W istocie. - Miała wrażenie, jakby do czegoś zmierzał. Pewnie został odwołany i przyjechał, by się ze mną pożegnać. - Zostaliśmy przyjaciółmi.

- Właśnie. Uchwycił się tego kurczowo. - Przyjaźń odgrywa wielką rolę w życiu człowieka. Ludziom potrzebne jest wsparcie duchowe.

- To prawda. Bardzo cię polubiłam, Nathanie.

- I ja ciebie... - Ujął ją za rękę. Elizie nagle przyszła do głowy tak dziwna myśl, że natychmiast ją od siebie odepchnęła. - Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś zgodziła się zostać moją żoną, Elizo. Już rozmawiałem o tym z panem Gordonem i powiadomiłem go o swoich zamiarach...

- Nie trzeba było tego robić, Nathanie - wybuchnęła i natychmiast pożałowała tych słów, bo w jego oczach pojawił się wyraz bólu i zaskoczenia. - Jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale nie mogę zostać twoją żoną.

- Dlaczego? Zapewniam cię, że nie ma w tym względzie żadnych przeszkód. Pan Gordon zgodził się zwolnić cię z twoich obowiązków.

- Ale ja nie chcę z nich zrezygnować. - Jak mogła opuścić Gordon Glen i rodzinę, która stała się dla niej równie droga jak własna? Nie może opuścić ich w tak trudnym okresie, jak uczyniło to wielu innych. - Jestem nauczycielką. To całe moje życie.

- Przecież mogłabyś uczyć w szkołach misyjnych, tak jak żony misjonarzy.

- Nie. To... to nie byłoby to samo. - To nie byłoby Gordon Glen.

Kiedy cofnęła rękę, spojrzał na nią podejrzliwie.



- Czy jest może ktoś inny? Powinnaś była mi powiedzieć.  
- Nie - zapewniła go. - Nie ma nikogo takiego.  
- W takim razie nie pojmuję. Lubisz mnie. Doskonale się rozumiemy, nie musiałybyś rezygnować z nauczania. Kochasz dzieci, sądziłem więc, że chciałybyś mieć swoje własne. Czemu nie chcesz zostać moją towarzyszką życia? Chyba nie chcesz zestarzeć się w samotności?

- Oczywiście że nie.

Wiedziała jednak, że właśnie taki los ją czeka. Przypomniała sobie ostatni list od matki, której bardzo dokuczała samotność, Pomyślała, że wkrótce i ona będzie w podobnym nastroju. Spuściła głowę, przez chwilę bojąc się nawet o tym myśleć.

- Wybacz, że to powiem, Elizo, ale... nie jesteś już taka młoda.

- Ani atrakcyjna - dodała niemal wyzywająco, doskonale wiedząc, że może nigdy już nie otrzymać drugiej propozycji małżeństwa.

- To nieprawda, Elizo. - Ujął ją za podbródek, zmuszając do patrzenia mu w oczy. Dotyk jego palców był dziwnie delikatny. — Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

Prawie mu uwierzyła, lecz zbyt długo już spoglądała na swoje odbicie w lustrze i była zbyt inteligentna na to, by dać się omamić jego komplementem, choć bardzo jej pochlebił. Kiedy jednak jego wzrok zaczął wędrować po jej twarzy, włosach, oczach, policzkach, zatrzymując się na wargach, straciła nagle całą pewność siebie i zapragnęła, aby Nathan nie patrzył na nią z takim uwielbieniem.

Zaniepokojona tym nowym dla siebie uczuciem próżności odwróciła głowę i wstała z sofy. Zrobiła dwa szybkie kroki, po czym zatrzymała się i otuliła ramionami.

- Chyba źle się do tego zabrałem, prawda? - zapytał Nathan, nie wstając z sofy. — Byłem zbyt obcesowy. A to dlatego, że zawsze szczerze ze sobą rozmawialiśmy. Nie zachowałem się zbyt romantycznie, prawda?

- To nie ma znaczenia, Nathanie, zapewniam cię.

- Ależ ma. Przyjaźń to nie konkury. Powiniennem o tym wiedzieć.

Zamknęła oczy, starając się wyobrazić siebie w roli adorowanej

przez Nathana kobiety, lecz nie była w stanie. Co więcej, nie chciała. Małżeństwo z nim byłoby pomyłką, której nigdy by nie przestała żałować.

- To niczego by nie zmieniło, Nathanie. Moja odpowiedź byłaby taka sama. Ja w ogóle nie chcę wychodzić za mąż - wyjaśniła beznamiętnym głosem.

- Elizo.

- Wybacz, Nathanie. - Zwróciła się twarzą do niego. - Nie chciałabym cię zranić, ale czuję, że źle bym zrobiła, gdybym przystała na twoją propozycję. Czy przyjmiesz moje wytłumaczenie i zgodzisz się pozostać moim przyjacielem?

- Zdaje się, że nie mam innego wyboru - powiedział ze ściągniętą twarzą.

Eliza zrozumiała, że w tej chwili straciła nie tylko kandydata na męża, lecz także i przyjaciela. Nigdy już nie będzie między nimi tak jak dawniej. Była bliska płaczu. Nie oczekiwała od niego propozycji małżeństwa. Nie pragnęła jej i nie dała mu najmniejszego powodu, by tak sądził. Może uznał, że jako stara panna desperacko pragnie znaleźć męża i jego oświadczyzny przyjmie jako ostatnią deskę ratunku?

Nathan wstał z sofy, starannie unikając jej wzroku.

- Czy mogłabyś poprosić kogoś ze służby, żeby osiodłał mi konia?

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Do New Echota jest zaledwie godzina drogi. Jeśli zaraz wyjadę, zdążę jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Powinna zaprotestować, ale nie mogła się na to zdobyć. Lepiej będzie, jeśli Nathan wyjedzie. Gdyby został, oboje czuliby się niezręcznie, co mogłoby zniszczyć ostatnie nici przyjaźni, a tego nie chciała.

- Zawołam Shadracha.

Wychodząc z pokoju pomyślała, że nigdy nie czuła się równie źle jak teraz.

Spojrzała na zamknięte drzwi biblioteki. Może powinna uprzedzić Willa Gordona o nagłym wyjeździe Nathana. Nie, nie będzie narażać Nathana na taki wstyd. Ale dlaczego, na Boga, powiadomił pana Gordona o swoich zamiarach? - pomyślała z nagłym gniewem.

wem. Teraz będzie musiała poinformować swego chlebobawcę, że odrzuciła propozycję małżeństwa.

Will osuszył bibułą wpis w dzienniku i spojrzął na ostatnie zdanie. Dziennik ten był żywą historią Gordon Glen. Will zapisywał w nim daty zasiewów zbóż, liczbę akrów, daty zbiorów, wysokość plonów, ile sprzedał, komu i za jaką cenę, a ile pozostało w magazynach na użytek plantacji, kiedy kupił, wynajął lub sprzedał niewolnika, kiedy któremuś z nich urodziło się dziecko i kiedy któryś zmarł. Notował w nim również informacje o pogodzie, plagach owadów oraz naprawach i budowach budynków na terenie plantacji. Zawierał też daty przyjścia na świat i śmierci jego dzieci, zapiski o wizytach gości i celach ich odwiedzin.

*Misjonarz Nathan Cole wyraził zamiar poślubienia guwernantki dzieci, Elizy Hall, przeczytał w myślach sucho brzmiącą informację.*

Wiedziony impulsem wstał zza biurka i podszedł do kominka. Chwył za pogrzebacz i energicznie poruszył ogień, który strzelił w górę fontannami iskier. Z pojemnika na drewno wyjął polano i rzucił w płomienie, wsłuchując się w ich trzask, kiedy pochwytyły w gorące szpony nową ofiarę.

Westchnął, zacisnął dłoń na gzymsie kominka i zapatrzył się w zachłanne płomienie. Dlaczego oświadczyzny pastora tak go zaskoczyły? Tyle razy widział ich spacerujących razem. Prędzej czy później i tak musiałyby odejść, a mimo to...

Rozmyślenia przerwało mu pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał zniecierpliwiony.

Kiedy posłyszał skrzypnięcie klamki, odwrócił głowę i zobaczył Elizę. Na jej twarzy malowało się napięcie i lekki niepokój, ale nie one przyciągnęły jego uwagę. Miał oto przed sobą niezwykle piękną kobietę.

Kiedy zaszła w niej ta zmiana? Czemu wcześniej nie zauważył jej urody? Nie zdziwił się tym zbyt. Kobiety są jak kwiaty. Nie wszystkie rozkwitają wczesną wiosną. Niektóre czekają do lata, inne do późnej jesieni, a jeszcze inne rozkwitają nawet zimą.

- Czy mogę z panem porozmawiać, panie Gordon?

- Oczywiście. Proszę wejść.

Podszedł do biurka. Jego wzrok padł na ostatnie zdanie z dziennika, które wkrótce usłyszy z jej ust.

Stała na jego miejscu przed kominkiem, spłotła mocno dłonie i utkwiała wzrok w płomieniach.

- Najpierw powinien pan wiedzieć, że wielebny Cole wyjechał. Postanowił wrócić do New Echota przez zmrokiem. - Umilkła. - Prosił, żebym przekazała panu słowa pożegnania i podziękowała za gościnę.

Odwrócił się w jej stronę.

- Myślałem...

- Nie. - Przerwała mu, zanim zdążył to powiedzieć, po czym dodała już spokojniej: - Moja odpowiedź brzmi: „nie”.

Ruszył w jej stronę, nie w pełni zdając sobie sprawę z ulgi, jaka go ogarnęła. Zatrzymał się i utkwiał wzrok w jasnych lokach wijących się wokół jej szyi. Właściwie to niczego to nie zmienia, pomyślał. Tyle tylko, że nie zostanie żoną tego misjonarza.

- Przykro mi - mruknął.

- Mnie nie - odparła żywo. — Zawsze traktowałam wielebnego Cole'a jak przyjaciela. Żałuję tylko, iż on sądził, że może być kimś więcej i że rozmawiał najpierw z panem, a nie ze mną.

- Nie to miałem na myśli. Widzi pani, panno Hall... - Urwał. Nie było to takie łatwe, jak początkowo sądził. - Moja sytuacja finansowa nie pozwala mi dłużej utrzymywać guwernantki. Kiedy wielebny Cole poprosił mnie, żebym zwolnił panią, byście mogli się pobrać, pomyślałem, że podsunął mi rozwiązanie, które oboje nas usatysfakcjonuje. Teraz jednak zmuszony jestem poinformować, że dłużej nie mogę pani trzymać. Wszystko, co jestem w stanie zaoferować, to miesięczna odprawa i opłata za podróż do domu do Nowej Anglii.

Nie wierzyła własnym uszom. Właśnie została odprawiona. Domyślała się, że sytuacja ekonomiczna Gordon Glen nie jest najlepsza, lecz nigdy nie sądziła, że będzie to jej również dotyczyć.

- Zresztą lepiej, żeby pani wyjechała - mówił dalej. - W każdej bowiem chwili możemy usłyszeć pukanie do drzwi i wtedy znajdzie się pani bez dachu nad głową.

- Pan również - odpowiedziała, spoglądając mu w oczy.

- Tak - przyznał, patrząc na nią łagodnie i jednocześnie z od-

cieniem rezygnacji. - Nie mogę jednak pozwolić, by cierpienia mojej rodziny stały się pani udziałem. Byłoby to nie w porządku.

- To jest nie w porządku! - wybuchnęła. - Ja nie mogę wyjechać i nie wyjadę.

- Elizo. - Pokręcił głową, poruszony jej oświadczeniem.

- Jestem panu potrzebna - mówiła z przekonaniem. - I nie chodzi mi o uczenie Xandry i Kippa. Victoria... pani Gordon nie czuje się dobrze. Potrzebuje odpoczynku. Bez mojej pomocy będzie to niemożliwe. Pieniądze nie mają tu znaczenia. Nie musi pan mi płacić.

- Nie mogę się na to zgodzić. - Pragnął wierzyć, że ona wie, co mówi.

- W takim razie zostanie pan moim dłużnikiem. Jak mogłabym teraz odejść, skoro wiem, jak bardzo jestem wam potrzebna. Może nie panu... ale Kippowi, Xandrze i małemu Johnowi. Oni wszyscy stali mi się bardzo drodzy. Proszę mnie nie odprawiać... - Głos się jej załamał.

Nie błagała. Jedynie prosiła i przekonywała. Jest na to zbyt dumna, pomyślał. Był pełen podziwu dla jej siły i zdecydowania. Mimo to dostrzegł w jej twarzy coś, co przypomniało mu przerażone dziecko, które potrzebuje pociechy i otuchy.

- Nie odeślę pani - obiecał w końcu, nie chcąc się przyznać przed samym sobą, że bardzo jej potrzebuje, ani też do ciepłych uczuć, jakie w nim obudziła.

- Dziękuję - powiedziała. - Obiecuję, że nie będzie pan żałował.

- Mam nadzieję, że żadne z nas nie będzie żałowało - odparł.

Kiedy wychodziła z biblioteki, czuła, że nie spuszcza z niej oczu. Powoli weszła na drugie piętro. Kiedy jednak znalazła się w swoim pokoju, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a w jej sercu szalała burza.

Nie chciała przyznać się przed sobą, dlaczego odmówiła Natha nowi i pragnęła pozostać w Gordon Glen. Teraz jednak nie była w stanie dłużej z tym walczyć. Wszystkie powody, które podała pastorowi, były prawdziwe, lecz pominęła ten najważniejszy. Podświadomie porównała Nathana z Willem Gordonem i zdała sobie sprawę, że nie odpowiada jej jako mężczyzna. W tym, co czuła do

Willa Gordona, kryło się coś więcej niż tylko szacunek i podziw. Niezauważalnie dla niej samej zakiełkowała w niej miłość, która z każdym dniem była coraz silniejsza.

Eliza Hall, zatwardziała stara panna, zakochała się oto w żonatym mężczyźnie. Jakie to romantyczne i tragiczne zarazem. Zbyt było jednak bolesne, by móc się z tego śmiać. Postanowiła, że nikt nigdy nie dowie się o tym uczuciu.

*even Oaks*

**S**Deu stał w drzwiach salonu ze splecionymi z tyłu rękami i przyglądał się swemu panu rozpartemu w fotelu. Nie wiedział, co zaszło dziś w Gordon Glen, lecz coś się musiało zdarzyć. Widział bowiem, jak przez całą drogę do domu rośnie w jego panu gniew.

Nie wszyscy jednak by to dostrzegli. Widząc, jak pan Blade się śmieje, nikt by nie przypuszczał, że w środku wszystko mu się gotuje. Bo on nigdy nie wybuchał gniewem, tylko jego błękitne oczy stawały się zimne jak lód i jednym spojrzeniem potrafił człowieka zmrozić na kamień.

Niełatwo go było wyprowadzić z równowagi. Kiedy jednak to się zdarzyło, omal nie zabił człowieka. Można go było szturchać i szturchać, a on tylko wzruszał ramionami i odwracał się. Lecz Deu nie chciałby być na miejscu tego człowieka.

Blade wychylił do dna szklaneczkę whisky, po czym ponownie sięgnął po kryształową karafkę.

— Czy to mądrze, mój synu? - zapytał Shawano z troską w głosie. - Już trzy razy sobie dolewałeś.

Blade uśmiechnął się zimno i uniósł szklaneczkę tak, by odbił się w niej płonąca na kominku ogień.

- Ale to pozwala zapomnieć. Jeśli wypijesz odpowiednio dużo, nie będziesz wiedział, co się wokół ciebie dzieje. Przystanie cię to obchodzić.

- Wielu naszych braci szuka ratunku w alkoholu, ale w końcu i tak muszą się obudzić.

- To prawda - westchnął Blade z chłodnym uśmiechem. — Wciąż widzi się to samo, tylko za mgłą.

- I cóż takiego widzisz?

Wolno odwrócił twarz ku ojcu i spojrzał mu wyzywająco w oczy.

- Nasz koniec. - Uśmiechnął się lekko na widok zdziwienia ojca. - W ten czy inny sposób, ale nadchodzi. Nie dostrzegasz tego? A możesz jesteś równie ślepy jak John Ross i Will Gordon?

Deu zmarszczył brwi, słysząc ten lekceważący ton w głosie Blade'a. Nigdy dotąd tak nie mówił do starego pana Stuarta.

- Whisky mąci ci w głowie - zauważył ojciec ze smutkiem.

- Chciałbym, żeby tak było. - Spojrzał na pełną szklaneczkę, po czym odstawił ją na stół. Następnie podniósł się wolno z fotela, panując nad każdym ruchem, tak jak panował nad swoimi emocjami. - Siostra Willa Gordona i jej rodzina nie będą jedynymi, którzy zostaną zmuszeni do opuszczenia swoich domów. To dopiero początek. Za nimi pójda następni.

- Powstrzymamy ich. Kiedy Sąd Najwyższy rozpatrzy naszą sprawę, nakaże władzom Georgii zastosować się do jego wyroku.

- Sąd może wydawać polecenia tak długo, póki słońce nie zgaśnie na niebie, lecz to niczego nie zmieni. Nie ma dość siły, by zmusić Jacksona do wydania odpowiednich zarządzeń.

- Ross pojechał do Waszyngtonu, by osobiście z nim porozmawiać.

- Czy Ross naprawdę wierzy, że uda mu się przekonać Jacksona, by stanął po naszej stronie, kiedy wielu innym do tej pory się to nie udało? - zapytał drwiąco Blade. - Jackson nam nie pomoże. Słyszałem, co mówił. Widziałem jego twarz. Postanowił, że wyprowadzi Czirokezów z tej ziemi. Uchwycił się tego kurczowo i na krok nie ustąpi. Zresztą niby dlaczego miałyby ustępować? Zawarł już układy z Czoktawami, Krikami, Czikasawami, a nawet z Seminolami, którzy zgodzili się odstąpić swoje ziemie w zamian za tereny na Zachodzie. Tylko Czirokezi wciąż się opierają. Jesteśmy cierniem, który pragnie wyrwać.

- Czirokezi mają przyjaciół w Kongresie - przypomniał mu Shawano.



- Którzy mogą tyle samo co Sąd, a zwłaszcza teraz, kiedy Jackson wygrał wybory. - Wziął do ręki szklaneczkę z whisky i podszedł do kominka. Chwilę wpatrywał się w płomienie, po czym jednym haustem wychylił całą jej zawartość. - Wiem, o czym marzy Ross. Chce, by terytorium Czirokezów przyłączono do Unii jako jeden ze stanów. Jackson nigdy na to nie pozwoli. Ross jest głupcem, jeśli w to wierzy.

- John Ross jest naszym wodzem. - Shawano zacisnął dłoń na srebrnej gałce laski.

- Ale czy to znaczy, że właściwie postępuje?

- Z bólem przychodzi mi słuchać takich słów z ust własnego syna. Kiedy przyłączyłeś się do Johna Ridge'a i jego zwolenników w czasie październikowej sesji i usiłowałeś przekonać zgromadzenie, by wysłało delegację do Waszyngtonu celem omówienia warunków traktatu, sądziłem, że się opamiętasz, kiedy większość będzie głosować przeciwko tobie. Stanowisko Johna Rossa sprzeciwiające się nowemu traktatowi jest stanowiskiem całego narodu czirokeskiego.

- Czirokezi słuchają Rossa, lecz on nie mówi im całej prawdy. Nie pozwala drukować w „Phoenixie” niczego na temat korzystnych stron przeprowadzki na Zachód. Nie dziwię się Eliasowi Boudinotowi, że zrezygnował ze stanowiska wydawcy gazety. Jak nasi ludzie mogą zdecydować, co dla nich najlepsze, skoro ukrywa się przed nimi inne możliwości? Czy to słuszne, by słuchali tylko jednej strony? Ross uznał, że każdy, kto jest za emigracją, zdradza naród. Ja twierdzę, że dopuszcza się on większej zdrady, każąc wierzyć ludziom, że jest jakaś nadzieja, kiedy nie ma żadnej.

- Jak możesz mówić, że nie ma nadziei? - Po raz pierwszy w oczach Shawano pojawiła się niepewność. - Ta ziemia należy do nas. Nasze prawa do niej potwierdził sąd. Musimy jedynie wytrzymać.

- Jak długo? - zapytał Blade. — Każdego dnia nasi ludzie są bici, okradani, oszukiwani i upokarzani. Białym nie wystarcza już, że zabierają nasze domy, naszą ziemię i dobytek. Sięgają teraz po naszą dumę i godność. John Ross twierdzi, że musimy pozostać razem i trzymać się naszej ziemi. Ale jakim kosztem, Shawano? Jaka cenę gotowi jesteśmy zapłacić za zwycięstwo? Cenę zniszczenia narodu?

- Uważasz więc, że powinniśmy się poddać i przenieść na Zachód - powiedział monotonnym głosem Shawano, jakby zastanawiał się nad taką możliwością.

- To jedyne wyjście, jeśli mamy przetrwać. Musimy negocjować traktat teraz, kiedy jeszcze jest czas na uzyskanie najlepszych z możliwych warunków.

- Nie — wyszeptała Temple, stając nagle w drzwiach pokoju. - Nie masz racji.

Odwrócił się wolno w jej stronę.

- Dlaczego? Bo nie zgadzam się z twoim ojcem? Przecież wiesz o tym od dawna.

- Ale nigdy nie sądziłam, że jesteś zdrajcą! - W jej głosie zabrzmiały niechęć i pogarda.

Zesztywniał. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa oskarżenia. Odwrócił się gniewnie i cisnął szklaneczkę w ogień. Trzask rozpryskującego się szkła przerwał pełną napięcia ciszę. Kiedy ponownie spojrzął w stronę drzwi, Temple już nie było.

- Wielu będzie tak twierdzić - ostrzegł go Shawano.

- Wiem - przytaknął Blade pełnym napięcia głosem. - Lecz który mężczyzna pragnie usłyszeć to od swojej żony?

Shawano postąpił mądrze, gdyż nie odezwał się słowem. Blade odwrócił się i wyszedł z pokoju, podążając za odgłosem kroków Temple na korytarzu. Wbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz i znalazł się w sypialni zaledwie kilka sekund po niej.

Zdażyła się już opanować. O jej gniewie świadczyły jedynie płonące oczy i zacisnięte wargi.

- Czego chcesz? - zapytała. - Wyjdź stąd! Nie rozmawiam ze zdrajcami.

- Jaka szkoda, bo ja mam ci wiele do powiedzenia.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Obok wysokiej szafy stała Phoebe, przyciskając do piersi pelisę Temple i patrzyła na nich szeroko otwartymi oczyma. Blade zrobił krok w tył i przytrzymał otwarte drzwi.

- Zostaw nas Phoebe.

- Tak, odejdz - powtórzyła za nim Temple.

Phoebe ostrożnie złożyła pelisę na krześle i ruszyła do drzwi, które Blade natychmiast za nią zamknął.

- Jesteśmy sami. Tego właśnie chciałeś, prawda? - rzuciła Temple wyzywająco. - Możesz teraz krzyczeć na mnie i bić...

- Nigdy w życiu nie podniosłem na ciebie ręki w gniewie! - wybuchnął. - Choć stale mnie prowokujesz. Doskonale wiesz, że nie biję kobiet, podobnie jak nie jestem zdrajcą.

- Nie jestem taka pewna - odparowała. - Nigdy nie przypuszczałam, że będziesz chciał oddać ziemie naszych ojców. Widocznie myliłam się. Jak mogłeś w ogóle brać taką możliwość pod uwagę? - W jej głosie prócz gniewu zabrzmiał ból.

- Sądzisz, że mi to odpowiada? Sądzisz, że chcę opuścić te wzgórza i doliny, które od niepamiętnych czasów były naszym domem?

- Niewiele dla ciebie znaczą, w przeciwnym razie nie pragnąłbyś ich oddać.

- Więcej niż ziemia znaczą dla mnie ludzie, Temple. Naród czirokeski to właśnie ludzie. To nie jest kawałek ziemi, choćby był najcenniejszy. Nie mogę dłużej stać i patrzeć, jak bezkarnie biją i poniżają naszych braci na oczach ich rodzin. Wielu straciło już nadzieję. Zaczął się powolny upadek naszego narodu. Ile jeszcze czasu trzeba, by złamać ducha? - Starał się ją przekonać, lecz spostrzegł, że nie dochodzą do niej jego argumenty. Odwrócił się więc i zacisnął dłoń w pięść. — To wszystko twoja wina, Temple.

- Moja? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Tak, twoja. To przez ciebie, mojego i twojego ojca dałem się wciągnąć w tę politykę. Nie chciałem mieć nic wspólnego ze zgromadzeniem czy negocjacjami. Lecz wasza trójka wywierała na mnie subtelną presję, namawiając, bym zaangażował się w sprawę narodu, zamiast zajmować się własnymi. Teraz kiedy to się stało, masz do mnie pretensję.

- Zawsze starałeś sobie ułatwiać życie.

- Ułatwiać życie. - Zaśmiał się, po czym podszedł bliżej. - Kobieta, którą kocham, patrzy na mnie z nienawiścią i pogardą i nazywa mnie zdrajcą. Niemal wszyscy traktują mnie z nieufnością i podejrzliwością. Otrzymuję nawet zawołane groźby. Gdybym chciał sobie ułatwiać życie, to stanąłbym po stronie Johna Rossa.

Wzrok jej zaczął łagodnieć. Uśmiechnął się lekko, czując, że burza minęła. Wiedziała, że mówił prawdę.

- Temple. - Uniósł jej brodę i zmusił do patrzenia w oczy. Spojrzała na niego chmurnie z odcieniem bólu i niepewności. - Możesz się ze mną nie zgadzać, nie pozwól jednak, by ta sprawa stanęła między nami. Kocham cię.

- Ja też cię kocham. - W jej oczach zabłyśły łzy. - Tylko chciałabym, żeby...

- Ciii. — Pochylił się i złożył na jej ustach długi i czuły pocałunek.

Lecz nie wziął jej w ramiona. To ona musiała zrobić pierwszy krok. Wyprostował się wolno i czekał, by udowodniła, że tak jak on nie chce, by cokolwiek ich rozdzieliło.

- Blade. - Ból w głosie wyrażał głębię jej uczucia. Przesunęła dłońmi wzdłuż surduta, po czym otoczyła Blade'a ramionami.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Przygarnął ją do siebie i przywarł spragnionymi ustami do jej warg. Rozumiał jej strach, który kazał jej się do niego przytulić, ponieważ i on go odczuwał. Byli tak blisko utraty siebie. Jak długo jeszcze będą w stanie chronić swą miłość, skoro każde z nich było wierne innej sprawie?

# *Część druga*



„Na tej ziemi się rodziliśmy.(...) Trwamy na niej, bo jest naszą pierwszą miłością i ostatnią”.

*John Howard Payne*

*Gordon Glen.  
4 grudnia 1835*

Ciche stukanie drutów towarzyszyło Elizie czytającej na głos gazetę. Temple słuchała, lecz nic do niej nie docierało. Obserwowała matkę. Nie widziała jej przeszło miesiąc i przez ten krótki czas policzki Victorii zapadły się, a pod oczami pojawiły cienie. Niegdyś kruczoczarna, coraz więcej miała siwych włosów, które przydawały jej lat. Temple dostrzegła również, że matka często przerywa robotę na drutach. Jej palce nie poruszały się już z taką szybkością i zwinnością jak dawniej. Victoria wykorzystywała te przerwy, by przyjrzeć się pracy dwunastoletniej Xandry, lecz Temple podejrzewała, iż matka chce po prostu ukryć zmęczenie.

- Przyjaciele - czytała Eliza. - Nastał oto dla nas czas powolnej śmierci. Nasz los się dopełnia. Jeśli o nas zapomnicie, ogień strawi drzewa naszego losu i po zimie nie nastanie wiosna.

„Nasz los się dopełnia”. Temple zadrżała instynktownie. Jak złowieszco brzmiały te słowa.

— To piękne — odezwała się Victoria stłumionym głosem, a w jej promiennych oczach błysnęły łzy. - Właśnie tak to czuję. Prochy moich drogich dzieci spoczywają w tej ziemi. Jak mogłabym ją opuścić? Prędzej uschnę jak te drzewa, o których czytałaś.

Słowa matki potwierdzały złe przeczucia Temple. Toteż szybko zareagowała.

- Nie ma powodu, by się tym trapić, mamó. Nie oddamy naszej ziemi.

- Wiem. - Victoria wróciła do przerwanej robótki. Nawinęła nitkę na palec, przygotowując się do przerobienia oczka. Ale nagle znieruchomiała i utkwiała wzrok w częściowo już zrobionej pończosze. - Jednak nie mogę przestać myśleć o tej nocy, kiedy niebo zapłonęło nagle ogniem. A w zeszłym roku słońce nagle zniknęło z nieba i zrobiło się ciemno... To nie wróży nic dobrego.

- Wbrew temu, co mówią szamani, to są naturalne zjawiska, Victorio. Przecież ci tłumaczyłam — powiedziała Eliza z lekkim wyrzutem. - Pierwsze zjawisko to był deszcz meteorytów. Dość widowiskowy, to prawda, lecz niczym się nie różnił od spadających gwiazd, które można zobaczyć każdej nocy. Potem zaś byliśmy świadkiem całkowitego zaćmienia słońca. To się zdarza od czasu do czasu. Nie powinnaś wierzyć w te stare przesady.

Temple wiedziała, że matka, podobnie jak wielu nieoświeconych Czirokezów, uważa te zjawiska za oznaki zbliżającego się nieszczęścia.

- Zagraj nam coś, Elizo - poprosiła Xandra.

- Chętnie, bo chyba tego właśnie nam trzeba - orzekła Eliza, dochodząc do wniosku, że nagle zapanował zbyt ponury nastrój.

Odłożyła gazetę, podeszła do fortepianu i zaczęła grać popularną balladę. Dźwięki sentymentalnej melodii wypełniły pokój. W tym momencie Temple posłyszała odgłos otwieranych drzwi wejściowych, po którym nastąpiło głośne ich zamknięcie. W hallu rozbrzmiały szybkie kroki i po chwili zobaczyła zmiernego w stronę salonu Kippa. Na widok siostry natychmiast podszedł do niej.

W wieku szesnastu lat chłopiec mierzył już prawie sześć stóp, jedynie włosy i oczy nie zmieniły się i pozostały równie czarne jak niegdyś. W tych ciemnych oczach płonął teraz gniew, który wydawał się nigdy go nie opuszczać.

- Czy on tu jest? - zapytał.

Dotknął ją ten nienawistny ton, odnoszący się bezsprzecznie do jej męża.

- Nie. - Nie zapytała, o co mu chodzi, ze względu na obecność matki.

- Widziałś to? - Sięgnął ręką za surdut i wyciągnął dużą, niestarannie złożoną kartkę papieru.

Starając się zachować spokój, Temple odłożyła na bok robotkę i wzięła kartkę do ręki. Zaszleściła hałaśliwie, kiedy ją rozkładała. W tym momencie zdała sobie sprawę, że w salonie zaległa cisza. Czy Eliza skończyła utwór, czy toż nagle go przerwała?

- Co to jest, Temple?

Nikłe zainteresowanie brzmiące w głosie matki było niczym w porównaniu z trwogą, jaka ją ogarnęła, kiedy przebiegła wzrokiem treść ogłoszenia. Zawiadamiało ono o posiedzeniu zgromadzenia, mającym się odbyć w trzeci poniedziałek grudnia w New Echota. Jego celem było zatwierdzenie warunków traktatu. Ci, którzy wezmą w nim udział, mieli otrzymać ekwiwalent pieniężny i koce.

- Co to jest, Temple? - zainteresowała się również Eliza, wstając od fortepianu.

- Nic takiego - powiedziała, starając się nadać głosowi lekki ton. - Informacja o zbiegłym niewolniku. To nas nie dotyczy, mamó. - Rzuciła Kippowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Ale Kipp...

- Kipp jak zwykle panikuje - wpadła jej w słowo Temple. - Uważa, że to ten niewolnik ukradł nasze dwie krowy.

- Tak — odpowiedział po pełnej napięcia chwili.

- Nieprawdopodobne - stwierdziła i odetchnęła z ulgą na widok wchodzącego do salonu ojca.

Wzrok Willa spoczął na trzymanej przez Temple kartce papieru, po czym przeniósł się na twarz córki. Nieznacznie pokręciła głową, dając do zrozumienia, że matka o niczym nie wie.

- Zdażyliśmy z Kippem wyjść i wrócić, a wy wciąż tu siedzicie — rzucił swobodnym tonem.

- Mamy przecież gościa - powiedziała Victoria, uśmiechając się do Temple. - Tak rzadko się widzimy, że nabierało się dużo spraw do omówienia.

- Obiecałaś, że po południu się położysz - przypomniął.

- Wiem...

- To moja wina - wtrąciła Temple. - Zasiedziałam się dłużej, niż zamierałam. Teraz już czas na mnie. Czemu nie pójdziesz się położyć, mamó?

- Odprowadzę cię do pokoju - zaofiarowała się natychmiast Eliza.

Obie z Victorią wyszły z salonu, a Xandrę wysłano na poszuki-



wanie młodszego braciszka. Temple została sama z ojcem i bratem. Dostrzegła pytanie w oczach ojca, lecz to Kipp je zadał.

- Wiedziałś o tym?

- Oczywiście że nie. - Spojrzała na kartkę, którą trzymała w rękach. — Blade nic mi nie mówi, chyba że go zapytam. Nie miałam o co go pytać, bo o niczym nie wiedziałam.

- Schermerhorn chyba zdaje sobie sprawę, że nikt nie przyjdzie.

- Will mówił o komisarzu przysłanym tu przez Jacksona w celu zawarcia traktatu z Czirokezami. - W każdym razie nie wtedy kiedy John Ross jest w Waszyngtonie.

- Za tym kryje się Ridge i ci jego zdrajcy - rzucił oskarżycielsko Kipp. - Brzydzą mnie te wszystkie ich kłamstwa, że John Ross nie jest naszym wodzem, bo nie było wyborów. Kto da im wiarę? Wysyłają delegację do Waszyngtonu i podpisują wstępny traktat. Chcą nas wszystkich zdradzić. - Wyrwał jej kartkę z rąk. - Po prostu chcą przekupić ludzi pledami i pieniędzmi. Sprzedali się temu Śliskiemu Wężowi Jacksonowi i myślą, że inni też to zrobią. Jeszcze grożą, że jak ktoś nie przyjdzie, będzie to oznaczać, że popiera wszystkie uchwały podjęte przez zgromadzenie.

Temple przyznała rację bratu, czując, że robi jej się słabo na myśl o udziale jej męża w czymś takim.

- Czy oni myślą, że zyskają dzięki temu poparcie? - zapytał szyderczo.

- Nie wiem, co oni myślą - wybuchnęła Temple. Miała już dość aluzji brata, posądzającego ją o to, że wie więcej o poczynaniach Blade'a, ale nie chce o nich mówić.

- Lepiej im powiedz, że życiem przypłacą każdą zdradę! - krzyknął.

Odwróciła się, by ukryć nagłą bladłość twarzy. Przez ostatnie dwa lata musiała żyć z tymi ciągłymi groźbami rzucanymi pod adresem Blade'a. Pięciu - a może sześciu - jego popleczników zginęło z rąk tych, którzy postanowili wyegzekwować prawo krwi, mimo ciągłych nawoływań Johna Rossa do zachowania spokoju.

Poczwała na ramionach dotyk rąk ojca.

- Nie przejmowałbym się tym spotkaniem, Temple. Zarówno John Ridge jak i Stand Watie pojechali przeciw z Johnem Rossem do Waszyngtonu. Wątpię, by to zgromadzenie podjęło jakie-

kolwiek decyzje pod nieobecność dwóch najważniejszych członków. Jestem pewny, że to jedynie kolejna próba zdobycia popleczników.

- Tak, chyba masz rację.

Uspokojona jego logicznym wyjaśnieniem, odwróciła się do ojca, wdzięczna za rozwianie jej obaw. Ojciec nie dopuszczał, by różnica poglądów między nim a Blade'em zmieniła się w osobistą niechęć. Zawsze traktował go z szacunkiem i nie chciał dopuścić do tego, by córka musiała wybierać między nim i mężem. Chwilami Temple wątpiła, czy jej małżeństwo wytrzymałoby tę próbę, gdyby nie zdecydowana postawa ojca.

Czasami zastanawiała się, czy ojciec wie, że Blade wstawił się za nim u gubernatora Georgii, by ten pozwolił mu zatrzymać Gordon Glen, podczas gdy inne plantacje, łącznie z plantacją Johna Rossa, zostały przejęte w ramach loterii. Takie przywileje mieli jedynie ci Czirokezi, którzy opowiedzieli się za traktatem. Jako zwolennikowi traktatu Blade'owi udało się uzyskać zgodę na pozostawienie w spokoju jej rodzinnego domu. Podejrzewała, że ojciec o tym wie.

- Już późno - powiedziała. - Jeśli mam przygotować mężowi kolację, powinnam już wracać.

- Jak możesz tam wracać? - wybuchnął Kipp. - Jak w ogóle możesz tam mieszkać?

- Zabraniam ci tak mówić do swojej siostry, Kipp - oświadczył podniesionym głosem Will.

- Ale ona mieszka w domu zdrajców - nie ustępował Kipp.

- A ty mieszkasz w moim domu. Co oznacza, że masz słuchać moich poleceń. Czy to jasne?

- Jasne — odparł Kipp niechętnie.

- Kipp... - Temple chciała jakoś załagodzić tę ostrą wymianę zdań, lecz brat odwrócił się na pięcie i wyszedł z salonu. - Przepraszam, ojcze.

- Nie masz za co przepraszać, Temple. Twój brat musi nauczyć się tolerancji.

- Wiem. - Jednak nie zmniejszyło to jej poczucia winy, że oto stała się przyczyną konfliktu między ojcem i synem.

- Kipp może się nie zgadzać ze stanowiskiem twojego męża, ale musi jednocześnie zrozumieć, że Blade kocha nasz naród równie

mocno jak my. Nie można nazywać zdrajcą kogoś tylko dlatego, że ma inne poglądy.

- On naprawdę kocha nasz naród - powiedziała z mocą. - Uznano go za wyrzutka, jest obrzucany obelgami i grozi mu się śmiercią. Byłam tego świadkiem. Tak jak ty uważam, że nie ma racji, lecz wiem również, że głęboko wierzy w słuszność swego postępowania. Nie mogę go przez to nienawidzić... Nie mogę go za to przestać kochać.

- Wiem.

Kiedy Eliza zeszła na dół do hallu, powitała ją cisza. Zatrzymała się zaskoczona na myśl o tym, że Temple mogła wyjechać bez pożegnania. To było do niej niepodobne.

Zajrzała do salonu, lecz fotel, w którym siedziała Temple, był pusty, podobnie jak inne. Już zamykała za sobą drzwi, gdy usłyszała cichy dźwięk fortepianu. Odwróciła się przekonana, że to mały Johnny bawi się klawiszami.

Tymczasem to Will siedział przy instrumencie. Zatrzymała się, by na niego popatrzeć. Ciemny materiał surduta ciasno opinał szerokie ramiona. Wpadające przez okno popołudniowe promienie słońca podkreślały ciemnorudy odcień jego włosów i kształtny profil twarzy. Palcami prawej ręki przesuwał pieczołliwie po klawiszach. Wyobraziła sobie nagle, że jego dłoń w ten sam sposób pieści jej ciało. Wszystkie pragnienia, które niegdyś uważała za niestosowne i ostrzegała przed nimi Temple, ożyły w niej, tamując oddech i rozpalając krew.

Musiał wyczuć jej obecność, bo popatrzył przez ramię i spojrzął jej w oczy. Po trzech latach praktyki nauczyła się kryć swe uczucia. Spokojnie ruszyła w jego stronę.

- Temple już wyjechała? - Zadała pierwsze pytanie, które przyszło jej do głowy.

- Tak. - Odwrócił się w jej stronę. - Prosiła, by cię pożegnać.

- Nie sądziłam, że tak szybko wyjedzie.

- Była zdenerwowana.

- A ta kartka? - Przypomniała sobie nagle. - Co na niej było?

Opowiedział jej w skrócie o zebraniu zwołanym w celu zatwierdzenia warunków traktatu.

- Zrobiono to rozmyślnie, wiedząc, że John Ross jest w Waszyngtonie.

Początkowe oburzenie, że wyjechała nie pożegnawszy się nawet, natychmiast zmieniło się we współczucie dla Temple. Wiedziała, jak musi ją boleć, że Blade jest w to zamieszany.

- Biedna Temple.

- Powiedziałem jej, żeby się nie przejmowała, bo nic z tego zebrania nie wyniknie - powiedział, po czym westchnął ciężko. - Chciałbym tylko, żeby Kipp nie mówił takich rzeczy. Ma w sobie tyle nienawiści.

- Tak - przyznała Eliza. - Czasami wydaje mi się, że zamiast serca ma zaciśniętą pięść. - Natychmiast pożałowała swych słów. - Wybacz mi. Nie powinnam tego mówić.

- Ależ nie, powiedziałaś prawdę. Żałuję tylko, że Temple cierpi z tego powodu. Jej sytuacja i tak jest wystarczająco trudna.

- Da sobie radę. Jest silną kobietą.

- Podobnie jak ty, Elizo.

Niezmiernie wdzięczna mu była za ten prosty komplement i ciepłe spojrzenie.

- Dziękuję. - Udało jej się stłumić gwałtowne bicie serca. - Niestety z powodu wizyty Temple zaniedbałam nieco swoje obowiązki. Muszę to nadrobić.

Ze względu na pogarszający się stan zdrowia Victorii Eliza przejęła większość jej obowiązków. W tak dużym gospodarstwie jak Gordon Glen stałe było coś do zrobienia. Zajęta pracą nie miała czasu na rozmyślanie.

- Może zagrałabyś dla mnie wieczorem - poprosił Will, kiedy odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. - Kiedy usłyszałem dziś dochodzącą z salonu muzykę, zdałem sobie sprawę, że dawno już nie słuchołem twojej gry.

- Zobaczymy. - Chciała się upewnić, że nie będzie grać tylko dla niego. W żadnym razie nie powinna tego robić.

# 19



Temple zsiadła z konia i oddała wodze stajennemu, po czym skierowała się w stronę domu. Zaraz jednak zatrzymała się i obrzuciła niechętnym spojrzeniem nieruchomą postać kryjącą się za kasztanem. Ten człowiek był jednym z sześciu ludzi, którzy stale obserwowali dwór i jego mieszkańców.

Twarze zwykle skrywali pod kocami, którymi się owijali, co uniemożliwiało rozpoznanie. Nigdy nic nie mówili. Stali jedynie nieruchomo i patrzyli, traktując swoją obecność jako ostrzeżenie dla mieszkających we dworze zdrajców.

Jakby pragnąc ją zapewnić, że z ich strony nic jej nie grozi, mężczyzna kiwnął głową. Temple zawahała się, po czym odpowiedziała tym samym, nie mogąc się jednak wyzbyć strachu.

Tajemnicze postaci pojawiły wkrótce po tym, jak John Ridge i inni delegaci powrócili z Waszyngtonu ze wstępnym traktatem. Usiłowała przekonywać siebie, że powinna już przywyknąć do ich obecności, lecz nie bardzo jej się udawało.

Drzwi otworzyła jej Phoebe.

- Pan Blade jeszcze nie wrócił - powiedziała, odczytując pytanie w oczach swej pani.

Temple bez słowa wręczyła jej szpicrutę i zaczęła ściągać rękawiczki. Blade wyjechał wczesnym rankiem, nie informując, dokąd

jedzie ani kiedy wróci. Nie pytała go o nic. Była to niepisana umowa między nimi.

Kiedy rozwiązywała tasiemki podtrzymujące budkę, usłyszała stuk laski Shawano. Zdjęła kapelusz, oddała go Phoebe, po czym odwróciła się w stronę teścia. Dostrzegła w jego oczach błysk rozczarowania. Wiedziała, że on również niepokoi się o Blade'a. Temple była całkiem wytracona z równowagi. Wrogość współplemieńców, rzucane pod adresem męża groźby i coraz częstsze pogłoski o morderstwach, nie dawały jej spokoju. Toteż by choć na chwilę oderwać myśli od troski o Blade'a, wybrała się z wizytą do Gordon Glen.

- Przyjemnie spędziłaś czas z rodziną? - zapytał Shawano, opierając się ciężko na lasce.

- Tak.

- Jak się czuje matka?

- Chyba lepiej. Czy Blade wróci do domu na kolację? - zapytała po chwili wahania.

- Tak - odpowiedział krótko, nie kwapiąc się z dalszymi wyjaśnieniami. Choć nie tak aktywnie jak Blade, on też popierał stanowisko syna w sprawie traktatu. Tak więc uczestniczył w zмовie milczenia.

Odwróciła się i ruszyła schodami na górę. Zupełnie zapomniała o obecności Phoebe, póki nie weszła do sypialni i nie usłyszała jej głosu.

- Proszę się nie martwić, panienko. - Phoebe uśmiechnęła się do niej z sympatią. - Nic się panu Blade'wi nie stanie. Mój Deu jest z nim. Opiekuje się panem Blade'em tak samo jak ja panienką.

Temple ponieważ przypominała sobie, że Deu jak zwykle towarzyszy jej mężowi, wystawiając się na takie samo niebezpieczeństwo. Phoebe wiedziała o tym, w przeciwnym razie nie starałaby się jej pocieszać.

- Obaj wrócą szczęśliwie, Phoebe. - Uśmiechnęła się do służącej i uściśnęła jej dłonie, na chwilę zapominając o dzielącej je pozycji. - A teraz pomóż mi się przebrać i przygotować dla nich kolację.

- Tak, psze pani.

Wieczorna mgła otulała brzegi strumienia i snuła się nisko nad wąskim traktem. Towarzyszące jej długie cienie zapadającego zmroku przydawały scenierii niesamowitości.

Blade puścił konia wolno, lustrując uważnie teren. Droga w tym miejscu opadała w dół ku brodowi osnutemu teraz mgłą. Panowała niczym nie zmacona cisza. Spojrzał na konia. Zwierzę zastrzygło uszami, okazując lekki niepokój.

Deu pchnął swego wierzchowca naprzód, by zrównać się ze swoim panem.

- Coś tu jest nie w porządku - mruknął półgłosem.

- Wiem - odparł Blade. - Zdaje się, że wracamy tą samą drogą, co poprzednim razem. - Przeklął siebie w duchu za ten brak rozwagi.

Kiedy przed półtora rokiem zastrzelono Johna Walkera, Blade przestał traktować rzucane pod jego adresem pogrożki za czcza gadaninę. Nigdy dwa razy nie jechał tą samą drogą. Nigdy też nie wsiadał na tego samego konia. Ta ostrożność opłacała się, bowiem uniknął dwa razy zasadzki.

Tym razem jednak popełnił błąd. W pobliżu znajdowały tylko dwa naturalne brody. Mordercy mogli na niego czekać przy obu.

- Pojadę przodem i sprawdzę teren - zaofiarował się Deu.

Blade zdawał sobie sprawę z tego, że to on, a nie jego służący ich interesuje, lecz mimo wszystko nie chciał narażać Deu na niebezpieczeństwo. W tym właśnie momencie olbrzymi czarny kruk podleciał do drzewa rosnącego po drugiej stronie strumienia i nagle z głośnym krzykiem zmienił kierunek.

- Są tam. Jedziemy. - Blade dał ostrogę koniowi i pognął prosto do strumienia.

Deu trzymał się tuż za nim. Przebyli bród, wzbijając w górę fontanny wody. Deu jako pierwszy znalazł się na przeciwległym brzegu. W momencie kiedy Blade pokonał stromy stok, zakotłowało się wokół niego i na plecy skoczyła mu ciemna postać, chwytając go za gardło.

Blade poczuł ostry ból w boku i złapał napastnika za rękę. Z mgły wyłoniła się druga postać i szarpnęła za wodze. Koń cofnął się przerażony. Blade'owi udało się uwolnić z uścisku i zepchnąć napastnika akurat w momencie, kiedy koń przewrócił się na ziemię. Momentalnie przetoczył się po trawie i ciężko dysząc poderwał na nogi. Krew pulsowała mu w żyłach jak szalona. Z mgły wyłonił się kolejny napastnik. W rękę błysnął mu nóż.

Blade uskoczył w tył, unikając ciosu, po czym rzucił się do przodu, złapał mężczyznę za rękę i uderzył nią o kolano, wytrącając tym samym ostrze z dłoni.

- Panie Blade! - krzyknął Deu.

Odwrócił się i zobaczył wyłaniającą się z mgły czarną zjawę, która wnet przybrała postać konia i jeźdźca. Chwycił Deu za ramię i podciągnął się w górę, przerzucając nogę przez zad zwierzęcia, które wyrwało do przodu, nie zważając na zagradzającą mu drogę ciemną postać.

Prawie milę pędzili galopem, po czym zwolnili, nasłuchując, czy nikt ich nie goni. Odpowiedziała im cisza.

- Dali nam spokój - powiedział Blade, uważnie wpatrując się w drogę za nimi. - Przegapili okazję. Będą teraz szukać następnej.

- Jeśli przetniemy to pole indygo, do planatacji pozostanie tylko mila. Lepiej zjechać z drogi.

Zastanawiając się nad słowami Deu, przycisnął dłoń do palącego boku. Dotyk zamiast złagodzić, spotęgował jeszcze ból. Spojrzał na dłoń. Była mokra od krwi. Dostał nożem. Przypuszczał, że to tylko powierzchowna rana, lecz nie miał teraz czasu, by się tym martwić.

- Ruszamy przez pole.

Temple była w jadalni, kiedy usłyszała, że drzwi frontowe się otwierają. Zaraz potem rozległy się ciężkie kroki. Poczowała ulgę i podniecenie. Wcisnęła Phoebe do rąk porcelanowe talerze i podbiegła do drzwi. Otworzyła je i szybkim spojrzeniem ogarnęła sylwetkę męża.

- Wróciłeś - powiedziała, starając się ukryć niepokój.

Odwrócił się ku niej. Zrobiła krok w jego stronę i stanęła, zaskoczona jego chłodnym spojrzeniem i widocznym napięciem w twarzy.

- Tak - rzucił lakonicznie, jakby szydził z jej tak oczywistego stwierdzenia.

Czy on nie zdaje sobie sprawy, że martwi się o niego? Czy nie wie, jaką torturą są dla niej te wszystkie pogróżki pod jego adresem?

- Kolacja będzie gotowa za godzinę - poinformowała go oschle.



- Powiedz ojcu, że zaraz do niego przyjdę. - Ruszył w stronę schodów, a tuż za nim Deu.

Poczuła, jak ogarnia ją gniew. Wciąż jeszcze miała przed oczami to zdradzieckie ogłoszenie, a w uszach brzmiały jej mściwe słowa brata i rozmowa z ojcem, w której broniła swej miłości do męża. Tymczasem on traktuje ją jak służącą. Patrzyła, jak wolnym krokiem wchodzi po schodach, i po chwili podążyła za nim.

Znalazłszy się na górze, obejrzał się za siebie. W oczach błysnęła mu irytacja, a usta zacisnęły się w wąską linię, lecz nic nie powiedział. Nie zwalnając kroku wszedł do sypialni. Wściekła za ignorowanie jej podążyła za nim.

Zatrzymał się i spojrzał w jej stronę.

- Życzysz sobie czegoś?

- Byłam dziś w Gordon Glen.

- Ach, tak - stwierdził obojętnie i zaczął rozpinać kaftan.

- Tak. I wiem o zebraniu w New Echota - rzuciła buntowniczo. — Widziałam ogłoszenie.

- Pomogę panu - powiedział Deu, kiedy Blade odpiął już wszystkie guziki.

- Nie. - Blade uniósł rękę, kiedy służący chciał zdjąć z niego kaftan. - Nie teraz.

- Czy naprawdę wierzycie, że dając łapówkę uda wam się skusić ludzi do przyścia?

- Pieniądze i koce to pomysł Schermerhorna, komisarza Jacksona. Sygnatariusze traktatu nie mają z tym nic wspólnego.

- Mój ojciec twierdzi, że niczego nie osiągniecie. Ludzie nie dadzą się nabrać na wasze oszustwo. Nie przyjdą, zwłaszcza że John Ross wyjechał do Waszyngtonu.

- Nasze oszustwo? - powtórzył gniewnie. - A jak w takim razie nazwiesz metody Rossa? Przedstawiliśmy zgromadzeniu warunki traktatu, które gwarantują pieniądze na budowę szkół dla naszych dzieci, godne odszkodowanie za pozostawione tu domy i majątki, prawo do ziem na Zachodzie i zapłatę za wszystkie nasze grunty, o jakiej nikt nawet nie marzył.

- Tak, pięć milionów dolarów. Same kopalnie złota są tyle warte.

- A co proponuje w zamian John Ross? Jedynie cierpienia i upokorzenie, które znosimy od z górą pięciu lat. - W jego oczach

pojawił się wyraz zniechęcenia i goryczy. - Powiedz, co nam proponuje w zamian? Pragnie, byśmy stali się obywatelami Georgii i mieli prawo zostać na naszej ziemi pośród tych białych, którzy ją nam zabrali i traktują nas z pogardą, bo jesteśmy Czirokezami. To byłoby jeszcze bardziej upokarzające. Nie, John Ross nie robi nic, tylko czeka i kluczy. Uczepił się tej głupiej nadziei, że kiedy skończy się kadencja Jacksona, nasza sytuacja ulegnie poprawie. Ale Jackson już wyznaczył Van Burena na swego następcę. A Van Buren będzie trzymał stronę Georgii przeciwko nam. Mimo to Ross, nie chce spojrzeć prawdzie w oczy.

- Tego właśnie wszyscy pragniemy - oświadczyła gniewnie Temple. - Mniej niż jedna dziesiąta narodu myśli podobnie jak ty i tobie podobni. Cała reszta pragnie pozostać na ziemi naszych przodków. Jedynie Ross jest posłuszny woli narodu.

- Tak, posłuszny - warknął Blade. - Ale nic więcej. Potrafi tylko słuchać. A nam jest potrzebny przywódca, ktoś, kto ma odwagę robić to, co jest najlepsze dla jego ludu.

Poczuła, że rodzą się w niej najgorsze podejrzenia. Nie podobał jej się ton tej wypowiedzi.

- Czemu zwołaliście to zebranie? Co chcecie osiągnąć?

- Nie zadawaj mi pytań, kiedy wiesz, że nie spodobają ci się odpowiedzi.

Odwrocił się od niej i wówczas dostrzegła na kaftanie ciemną plamę.

- Jaśnie panie, pan krwawi. - W tej samej chwili Deu zauważył krew. - Nie powiedział mi pan, że jest ranny.

Blade przycisnął dłoń do prawego boku i niecierpliwie odepchnął Deu od siebie.

- To nic takiego.

- Ranny? - powtórzyła Temple, marszcząc brwi. - O czym ty mówisz? Deu, zdejmij panu kaftan. - Kiedy Blade chciał go odepchnąć, przyszła mu z pomocą. Spojrzała na mokrą od krwi koszulę i zrobiło jej się słabo. - Co się stało? - zapytała, starając się nad sobą zapanować.

- Kilku twoich przyjaciół czekało na nas, kiedy przejeżdżaliśmy przez strumień. Chcieli uczynić cię wdową. - Jego sarkazm ciął jak nożem. - Może następnym razem będziesz miała więcej szczęścia.

- Jesteś okrutny. - Odwróciła się, by ukryć łzy.  
- Temple. - Chwycił ją za ramię. - Ja... przepraszam.  
- Trzeba oczyścić i zabandażować ranę. - Wyrwała się i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie mów nic ojcu. Nie chcę go denerwować.  
- Ale mnie możesz, prawda? - rzuciła gniewnie. - Jestem w końcu tylko twoją żoną.

Spojrzał na nią ze skruchą.

- Gdybym mógł cofnąć te słowa, natychmiast bym to zrobił. Byłem zły i zraniłem cię. Nie zasłużyłaś sobie na to.

- Nie zasłużyłam.

Poślała po wodę i koszyk z opatrunkami. Wiedziała, że wkrótce mu wybaczy, choć długo będzie pamiętać.

Tak jak przewidywał Blade, rana nie była groźna. Stracił trochę krwi, ale mięśnie nie zostały naruszone. Dzięki grubemu wełnianemu kaftanowi nóż nie wszedł głębiej. Jednak widok rozerwanego ciała potwierdził jej najgorsze obawy. Ręce jej się trzęsły, kiedy bandażowała ranę i zawiązywała końce opatrunku.

- Ty drżysz — zauważył.

Odwróciła się od niego, walcząc z napływającymi łzami.

- Chciałabym, żebyś dał spokój temu traktatowi.

- Nie mogę.

Poczuła, jak ją obejmuje. Przytuliła się do niego, ukryła twarz na jego nagiej piersi i rozpłakała cicho. Ciepła dłoń gładziła ją uspokajająco. Postanowiła na razie nie myśleć o tym zebraniu, które wkrótce znowu go jej zabierze.



Temple przyjrzała się błyszczącej srebrnej tacy, którą właśnie skończyła czyścić, starając się nie dotknąć jej brudnymi palcami. Skrzywiła się lekko, widząc swe czarne ręce. Bardziej od czyszczenia sreber nienawidziła solenia mięsa. W obu przypadkach cierpiały na tym jej dłonie.

Zaniosła tacę na stolik i położyła obok innych wyczyszczonych przedmiotów, po czym wróciła do drugiego stołu, by sprawdzić, jak radzą sobie jej dwie służące. Do oczyszczenia pozostało jeszcze tylko sześć sztuk. A potem wszystko w domu będzie lśnić.

Udało jej się mnóstwo zrobić podczas tygodniowej nieobecności Shawano i Blade'a. Wyczerpujące domowe prace pozwalały zasypiać w pustym łożu i nie myśleć o zakapturzonych postaciach, które zniknęły, jak tylko Shawano i Blade wyjechali. Lecz ich nieobecność była chyba jeszcze bardziej denerwująca niż obecność.

- Proszę pani, proszę pani! - Phoebe wpadła do pokoju z wyrazem podniecenia na twarzy. — Ktoś do nas jedzie. Widziałam z okna na górze.

- Blade?

- Nie wiem. Pędził przez las, jakby go szatan gonił. Może to i on. Pan Blade i Deu często tak gnają do domu.

Temple spojrzała na swoje ubrudzone ręce, potem na poplamiony fartuch i starą sukienkę.

- Spójrz na mnie - jęknęła. - Pomyśli, że jestem jakimś popychadłem. Prędko, Phoebe, pomóż mi się przebrać.

Popędziła tylnymi schodami na górę, ściągając po drodze z głowy biały czepek i rozwiązując tasemki fartucha. Wbiegła do sypialni, cisnęła obie rzeczy na łóżko i podeszła do umywalni.

- Rozwiąż mi suknię - poleciała i zanurzyła dłonie w misce z wodą. - I wyjmij tę niebieską perkalową.

- Tak, psze pani.

Temple wyszorowała pośpiesznie ręce i zaczęła ściągać z siebie sukienkę. Kiedy zmagala się z opornym rękawem, usłyszała, że frontowe drzwi się otwierają.

- Temple! Temple! - rozległ się z dołu głos, lecz nie należał do Blade'a.

- Kipp?

Temple wyjrzała na korytarz.

- Temple, gdzie jesteś? - usłyszała gniewne wołanie i nie miała już wątpliwości, że przyjechał jej brat.

- Jestem tutaj! - zawołała. Kiedy podszedł do schodów i spojrział w górę, przeraził ją wyraz jego twarzy. - O co chodzi? Co się stało?

- Czy on tu jest? - zapytał.

- Nie, jeszcze nie wrócił.

Wbiegł do niej, pokonując po dwa, trzy stopnie naraz.

- Pakuj swoje rzeczy. Zabieram cię stąd.

Kiedy chwycił ją za rękę, zaparła się z całych sił.

- Nigdzie nie pójdę, póki mi nie powiesz, o co chodzi.

- Jesteś moją siostrą! - rzucił z wściekłością. - Nie pozwolę ci zostać ani minuty dłużej w tym domu zdrajców.

- Dość tego! - Wyrwała mu rękę i zacisnęła dłonie w pięści. - Nie masz prawa obrzucać obelgami mego męża.

- Nic nie rozumiesz, Temple. Ci dranie podpisali tej nocy traktat z człowiekiem Jacksona. Sprzedali naszą ziemię.

- Nieprawda. - Cofnęła się odruchowo, kręcąc głową w odrętwieniu. - Blade nie brał w tym udziału. On by tego nie zrobił.

- Jesteś głupia - rzucił wściekle Kipp. - Jego nazwisko figuruje obok nazwisk innych zdrajców. Jak myślisz, dlaczego tu jestem?

- Nie wierzę ci. - Z trudem wykrztusiła te słowa.

- "Myślisz, że kłamałbym?"

- Nie wiem. - Odwróciła się twarzą do ściany. W głowie czuła taki zamęt, że nie była w stanie zebrać myśli.

- Jakiego chcesz dowodu? Zobaczyć traktat na własne oczy? Mówię ci, że jest na nim jego nazwisko. I jego ojca również. Złamali prawo krwi. Chyba nie masz zamiaru zostać z Judaszem, który zdradził nasz lud? Tym razem nie skończyło się na gadaniu. Podpisali traktat. - Umilkł. - Ja nie kłamię, Temple. Jeśli mi nie wierzysz, to zapytaj go.

- Zapytam.

Poruszona jego urągliwym tonem odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Blade'em. Patrzył na nią z kamienną twarzą i zimnymi jak stal oczyma.

- No zapytaj - szydził Kipp. - Zapytaj, czy podpisał traktat sprzedający naszą ziemię.

Przestraszyła się wyrazu jego oczu.

- To prawda? - wyszeptwała.

- Tak - odpowiedział.

- Przypłacisz to życiem - zagroził Kipp.

- Za to ty będziesz żył. I gdzie tu sprawiedliwość - mruknął cynicznym tonem Blade. — Wynoś się stąd, Kipp, bo zapomnę, że jesteś bratem Temple.

- Idziesz ze mną? - zapytał Kipp.

Lecz ona nie była w stanie się ruszyć. Mogła tylko patrzeć na męża, którego darzyła miłością, a który zdradził własny naród.

- Otrzymałeś odpowiedź - powiedział Blade. - Ona zostaje.

Kipp odwrócił się bez słowa i zbiegł po schodach. Kiedy trzasnęły drzwi wejściowe, badawczy wzrok Blade'a przywrócił jej zdolność mówienia.

- Jak mogłeś? - rzuciła zduszonym głosem. - Zabijają cię za to.

- Wiem.

Patrzył na nią, lecz przed oczami miał scenę z ostatniej nocy w domu Eliasa Boudinot, gdzie przy świecach zebrało się dwadzieścia osób, by wypalić fajki i przeczytać dokument, który przekazywał Amerykanom ziemię Czirokezwów. Potem przyszedł moment składania podpisów. Po chwili wahania, w pełnej napięcia ciszy, każdy z nich podchodził i brał do ręki pióro. Major Ridge był ostatni.

- Właśnie podpisałem wyrok śmierci - oznajmił, wpatrując się w dokument.

Podobnie jak oni wszyscy. Złamali prawo krwi. Groziła za to śmierć.

Patrzył na pobladłą twarzyczkę Temple i czerwone usta. Niezdolny dłużej się im opierać podszedł do Temple i otoczył ramionami wiotką kibić. Nie zwracając uwagi na opór żony, przyciągnął ją do siebie.

- Kochaj mnie, Temple, kochaj człowieka skazanego na śmierć.

Przywarł wargami do jej ust, uciszając jęk protestu. Po chwili przestała mu się opierać. Wsunęła mu palce we włosy i wygięła ciało. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, nie zwracając uwagi na Phoebe, która dyskretnie wymknęła się na korytarz zamykając cicho za sobą drzwi.

Po chwili oboje leżeli już nadzy. Ich niecierpliwe dłonie pieściły każdy centymetr ciała, starając się zapamiętać wszystkie korjuty i zagłębienia, a wargi chłonęły nawzajem swój smak i kształt. Unoszące się nad nimi widmo śmierci sprawiło, że jak szaleni rzucili się w wir namiętności, która zniosła wszelkie nieporozumienia, pozostawiając jedynie gorące uczucie.

Później znowu wróciły ból i strach. Wkładając niebieską perkalową suknię, ulubioną suknię Blade'a, słyszała, jak i on się ubiera. Wciąż czuła jego ciepło, zapach jego ciała, wargi pulsowały jeszcze od jego pocałunków, lecz umysł wzdragał się przed tym, co zrobił.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Niepotrzebnie to podpisałeś. Wasz traktat nigdy nie zostanie uznany za ważny.

Zawahał się.

- Jeśli to zmusi Rossa do podpisania innego, wówczas mój trud nie pójdzie na marne. - Wstał i spojrzął jej w oczy. - Zostajesz?

- Na razie.

Nie wiedziała, co będzie trudniejsze - opuścić go czy zostać i być świadkiem jego śmierci.



*Gordon Glen.  
Czerwiec 1836*

Natrętna pszczoła zabręczała tuż przy jej twarzy, kiedy Eliza opierając się o płot spoglądała w zamyśleniu na ogród. Przed jej oczami przesuwały się równe rzędy dorodnej kukurydzy, kapusty, słodkich ziemniaków, buraków cukrowych, grochu, cebuli, dyni i mnóstwa innych warzyw. Dwoje czarnych dzieci i ich matka pochylonych nad ziemią wrywało chwasty z czerwonej ziemi.

- Czy coś cię trapi, Elizo? - zapytała Temple, przerywając jej zadumę. - Widzę, że jesteś niespokojna.

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie - powiedziała Eliza, odrywając się od płotu. - Ta sprawa z traktatem dręczy nas wszystkich. - Dostrzegła błysk bólu w oczach Temple. - Może nie powinnam tego mówić.

- Dlaczego nie? To prawda - odparła Temple, odrzucając w tył głowę buntowniczym gestem. - Ten układ to farsa, w którą Jackson usiłuje nas wciągnąć, lecz na próżno. Zbyt wielu znaczących przedstawicieli Kongresu, takich jak Henry Clay, Daniel Webster, Davy Crockett i John Quincy Adams jest temu przeciwnych. Ten oszukańczy traktat nigdy nie zostanie ratyfikowany. Szesnaście tysięcy podpisów pod petycją, którą John Ross zawiózł do Waszyngtonu, jawnie dowodzi, że układ nie został przyjęty większością głosów.

Elizę zaskoczyła wrogość, jaka kryła się za słowami Temple.



Potępiając tak ostro traktat, potępiła jednocześnie swego męża. Mimo to nie opuściła go.

- Bardzo go kochasz, prawda?

- Tak. - Twarda, zdecydowana odpowiedź była aż nazbyt wymowna. - Temple odwróciła się od płotu. - Twój ogród wygląda wspaniale.

- Deszcz bardzo jest potrzebny. - Eliza uszanowała życzenie Temple, by zmienić temat, lecz określenie „twój ogród” przyjęła ze skurczem serca. Postępujące suchoty uniemożliwiały Victorii udział w prowadzeniu gospodarstwa i Eliza stała się teraz gospodynią domu w pełnym tego słowa znaczeniu.

- Dawno już nie wspominałaś o wielebnym Cole'u. Masz od niego wiadomości?

Temple ruszyła ścieżką ku stajniom, a Eliza podążyła za nią.

- W zeszłym miesiącu dostałam od niego krótki list. - Była to pierwsza wiadomość od Nathana po przeszło rocznym milczeniu. - Zawiadamia mnie, że wyjeżdża na Zachód.

Podobnie jak wielu misjonarzy i on podzielał pogląd, że wkrótce Czirokezi dołączą do swojego zachodniego szczepu.

- Kilka lat temu byłam przekonana, że go poślubisz - stwierdziła Temple.

- Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Niczym więcej.

W tym momencie Temple nagle zachwiała się i przycisnęła dłoń do czoła. Eliza przestraszyła się, że zaraz zemdleje. Pospieszenie objęła ją ramieniem i podtrzymała.

- Co ci jest, Temple?

- Nic - odpowiedziała, starając się zbagatelizować sprawę.

Eliza jednak miała do czynienia ze zbyt wieloma chorymi na plantacji, by nie dostrzec wyraźnych objawów choroby.

- Shadrach! - zawołała do chłopca, idącego za nimi w pewnej odległości. - Pomóż mi zaprowadzić panienkę Temple do domu.

- Nie, nic mi nie będzie - zaprotestowała Temple, dochodząc do siebie i odsuwając Elizę. - To za chwilę przejdzie.

Eliza dostrzegła kropelki potu błyszczące nad jej górną wargą, lecz bladeść twarzy powoli ustępowała i policzki zaczęły nabierać rumieńców.

- Prawie nie tknęłaś obiadu - przypomniała sobie nagle.
- Nie mogłam. - Temple wyraźnie unikała jej wzroku. - Ja...

jestem przy nadziei.

Powiedziała to tak cicho, że dopiero po sekundzie dotarł do Elizy sens jej słów. W odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko.

- Temple, to cudowna wiadomość! - wykrzyknęła, zaraz jednak zmarszczyła brwi, dostrzegając strapienie w oczach Temple. - A ty nie cieszysz się?

- Pragnę tego dziecka. - Dotknęła dłonią brzucha czułym i zarazem opiekuńczym gestem, po czym spojrzała na Elizę. - Ale czy mogę się cieszyć, gdy ojciec jest zdrajcą?

- Jest twoim mężem — przypomniała jej Eliza delikatnie.

Temple odsunęła się od niej gwałtownie.

- Czasami chciałabym... - Urwała i westchnęła. - Już sama nie wiem, czego bym chciała. Może powinnam posłuchać Kippa i odejść od niego, kiedy po raz pierwszy zaczął mówić o traktacie.

- Chyba tak nie myślisz.

- Nie? - Zaśmiała się gorzko i spojrzała w niebo. - Gdybym wiedziała, na co się zanosz, odeszłabym od niego. Ale zostałam. Może sądziłam, że zdołam go przekonać. Nie wiem.

- Czy on wie... o dziecku?

Temple pokręciła głową.

- Nikt nie wie prócz ciebie i Phoebe. - Spojrzała Elizie w oczy z rozpaczą. — Jak mogę pozwolić na to, by moje dziecko urodziło się w domu zdrajców, by spadła na nie ta hańba? A tak się stanie, jeśli nie odejdę.

Eliza rozumiała rozterkę Temple. Jakakolwiek by podjęła decyzję, zawsze będzie bolesna.

- Chcę tego dziecka, Elizo - powiedziała nagle Temple z mocą i podjęła przerwany spacer. - Tylko ono mi pozostanie po mężu. Za tydzień, za miesiąc, za rok Blade poniesie karę za zdradę, jakiej się dopuścił. Wie, że pewnego dnia dosięgnie go ręka mściciela. Ja potrafię to znieść, ale dziecko... Nie chcę, by było świadkiem jego śmierci. Myślę, że Blade też by nie chciał.

- A więc opuszczasz go.

- Chcę, by moje dziecko urodziło się tu, w Gordon Glen. - Było coś wzruszającego w spojrzeniu, jakim Temple objęła dwór,

częściowo skryty za drzewami. - To miejsce, w którym mój syn będzie mógł dorastać dumny i silny.

Czując pod powiekami piekące łzy, Eliza starała się zapanować nad ogarniającym ją smutkiem.

- Jesteś pewna, że to będzie chłopiec? - zapytała, starając się nadać głosowi ciepły ton.

Temple zamyśliła się.

- Może byłoby lepiej, gdyby to była dziewczynka. Ludzie rzadziej naznaczają dziewczęta piętnem zdraycy.

- Temple - szepnęła Eliza ze współczuciem.

- Nie trzeba. Bez względu na to, co powiedziałam, nie żałuję niczego - oświadczyła z mocą.

Jakaż ona jest dzielna, pomyślała Eliza z ukłuciem zazdrości. Chciałabym mieć chociaż połowę tej odwagi co ona. Temple odwróciła się do idącego za nimi czarnego chłopca.

- Shadrach, biegnij do stajni i powiedz Ikemu, żeby osiodłał moją klacz.

- Tak jest, psze pani.

Pobiegł naprzód, wznecając bosymi stopami tumany kurzu.

Po odjeździe Temple Eliza ruszyła w stronę dworu. Znajome ścieżki przypominały jej dziś te beztróskie dni, kiedy jeszcze nie zdawała sobie sprawy z rosnącego w niej uczucia do Willa Gordona. Mijając strumień, przypomniała sobie gorące popołudnia, kiedy bawiła się tu z dziećmi, brodząc w wodzie i łapiąc kijanki.

Zatrzymała się przy salce lekcyjnej. Od ponad dwóch lat nikt do niej nie wchodził. Ze względu na rozliczne domowe obowiązki Eliza uznała, że praktyczniej będzie uczyć pozostałą trójkę dzieci - Xandrę, Kippa i małego Johna - w jednym z pomieszczeń dworu. Wiele razy zamierzała zajrzeć do szkoły, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, lecz zawsze jakieś pilniejsze sprawy stawały jej na drodze.

W chwili kiedy ruszyła w stronę drzwi, wyprzedził ją Shadrach i otworzył je przed nią szeroko. Uśmiechnęła się lekko, myśląc jednocześnie z niepokojem o tym, co może zastać wewnątrz: pewnie będzie tam pełno myszy lub innych równie strasznych stwo-

rzeń. Jednak żadne odgłosy umykających pospiesznie gryzoni nie powitały jej w progach.

Weszła do środka i zatrzymała się zdumiona. Na podłodze, oknach, ławkach i biurku nie było śladu kurzu. Przed kominkiem leżał zapas drewna, a na jej biurku stała butelka z wodą, a w niej purpurowy irys.

Mimowolnie dotknęła miękkich płatków. Kątem oka dostrzegła ruch i odwróciła się w stronę Shadracha. Uciekł spojrzeniem w bok, przestępując niepewnie z nogi na nogę.

- Pilnuję, by w kałamarzu był zawsze świeży atrament, na wypadek gdyby chciała pani coś napisać.

- To dzięki tobie to wszystko, Shadrach?

- Tak, psze pani. - Skinął głową i rozejrzał się tęsknie po sali.

- Pomyślałem, że może kiedyś będzie chciała pani tu uczyć.

Eliza poczuła, jak jej oczy wypełniają się nagle łzami, a gardło ścisnęło boleśnie.

- Nie miałam czasu zajmować się twoją nauką. - Zajęta własnymi problemami zapomniała, jak bardzo garnał się do wiedzy.

- Nic nie szkodzi - odpowiedział. - Czytam, kiedy tylko mogę. Kilka razy brałem sobie książki z biblioteki pana Willa. Ciężko je było zrozumieć, ale próbowałem jakoś je rozszyfrować.

- To najlepszy sposób, by się czegoś nauczyć, Shad. Nie najłatwiejszy, ale... Rada jestem, że nie tracisz zapału. Nie przestawaj się uczyć, bez względu na trudności.

- Nie przestanę - obiecał.

Zamrugnęła oczami i uśmiechnęła się do niego.

- Ze wszystkich moich uczniów z ciebie jestem najbardziej dumna.

- Naprawdę? - Oczy chłopca zajaśniały radością.

- Naprawdę. - Uśmiechnęła się szerzej. - Wiesz, co myślę?

- Co? - Cały zamienił się w słuch.

- Jest tak gorąco, że chyba zrobimy sobie wakacje. Może poszlibyśmy się pobawić nad strumień?

- Ja też mogę?

- Ja też mogę - poprawiła Eliza i dodała z błyskiem w oku. - Oczywiście że możesz. Musisz przecież pilnować małego Johna, prawda?

- Tak, psze pani. Pewnie, że muszę - odpowiedział z uśmiechem.

Wracając z pola do domu Will Gordon usłyszał śmiechy i głośne pluski, dochodzące od strony strumienia. Jego uwagę zwrócił przede wszystkim kobiecy radosny pisk. Podjechał bliżej, domyślając się już, kogo zobaczy.

Bosa, z sukienką podciągniętą do kolan i włosami w nieładzie, Eliza biegła przez strumień ku brzegowi, a Xandra z Shadrachern ochlapywali nauczycielkę fontannami wody. Nawet mały Johnny brał udział w zabawie, choć nie dorównywał zęczością dwojgu starszym dzieciom.

- Trzy na jednego to nie fair.

- Tata! - krzyknęła Xandra, a Eliza odwracając się momentalnie w stronę Willa, poczuła, jak serce skacze jej w piersi. Dawno już nauczyła się kryć swe uczucia, toteż kiedy zsiadł z konia, powitała go szczerym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że wybawisz mnie od tych diabełków - rzuciła lekko.

- Nie - odpowiedział, podchodząc do brzegu i obrzucając rozbawionym spojrzeniem dwie swoje najmłodsze pociechy. - Pomogę ci je rozgromić.

Ze zwinnością, która zadziwiła ich wszystkich, skoczył z głośnym krzykiem ku sześciolletniemu Johnowi. Malec pisnął i udając przerażonego rzucił się do ucieczki. Kiedy Will wskoczył za nim do strumienia, nie zważając na buty, Eliza zaczęła gonić Xandrę.

Wkrótce zapędzili dzieci ku wysokiemu brzegowi. Mały Johnny usiłował się wymknąć, lecz Will pochwycił go na ręce. Chłopiec zapisał z uciechy i krzyknął do siostry:

- Ratunku! Xandra, ratuj mnie!

Kiedy dziewczynka ruszyła mu na pomoc, Eliza zrezygnowała z zabawy i wyszła na brzeg. Usiadła na zwałonym pniu i przyglądała się z uśmiechem całej trójce. Zmuszony dzielić swój czas między obowiązki obywatelskie a prowadzenie plantacji, Will Gordon rzadko mógł poświęcić dzieciom kilka chwil.

Eliza obserwowała, jak śmieje się i mocuje z chichoczącą parą,

stając się wkrótce równie mokry jak one. Lata nie odcisnęły swego piętna na tym silnym, przystojnym mężczyźnie, który wzrostem i posturą górował nad swoimi ziomkami. Miło było patrzeć, jak bawi się beztrzesko, zapominając o codziennych kłopotach i ciężących na nim obowiązkach.

Nie omieszkała mu tego powiedzieć, kiedy wracali razem do domu. Johnny i Xandra jechały na wielkim koniu Willa.

- Ta chwila swawoli dobrze zrobiła zarówno tobie, jak i dzieciom. Każdy musi od czasu do czasu oderwać się od kłopotów i oddać się prostym przyjemnościom, jakie oferuje nam życie. To jest potrzebne dla utrzymania równowagi.

- I właśnie dzieciom ją zawdzięczasz — domyślił się Will, spoglądając na idącą obok niego wysoką kobietę w pochłapanej wodą sukni.

- Tak.

W oczach Elizy pojawiło się ciepło i złagodziło napięte rysy twarzy. Ciekawe, czy ona zdaje sobie sprawę, jak głębokie uczucie w tej chwili ujawniła, pomyślał.

- Dzieci bardzo ciebie lubią, Elizo.

Już dawno zniknęła gdzieś sztywność w stosunkach między nimi. Will nie pamiętał, kiedy ostatni raz zwracał się do niej per „panno Hall”. Traktował ją jak członka rodziny.

- I ja bardzo je lubię - odparła szczerze.

Kiedy podeszli do dworu, Will dostrzegł jeźdźca zbliżającego się podjazdem.

- Mamy gości.

- Może przywozi dobre wieści od Johna Rossa z Waszyngtonu.

Tak też było, lecz wieści nie były dobre. Siedemnastego maja Kongres Stanów Zjednoczonych zatwierdził oszukańczy traktat. Sześć dni później umowę podpisał prezydent Jackson.

Nieprawdopodobne stało się faktem.

Tego wieczoru, po położeniu dzieci do łóżek, Eliza siedziała z robótką w salonie, energicznie poruszając drutami.

- Jeden głos - mruzczała gniewnie. - Zaledwie jeden głos wystarczył, by ten traktat nabrał mocy prawnej. Gdyby tylko jeden członek Kongresu głosował przeciw, ta potworna farsa nigdy by nie stała się rzeczywistością.

- Wiem. - Will siedział w głębokim fotelu, przytłoczony ciężarem strasznych wieści.

Eliza, słysząc twardą nutę w jego głosie, przerwała robienie na drutach.

- Co teraz zrobicie?

- Oczywiście sprzeciwiemy się temu - odpowiedział.

- Jak? Będziecie walczyć tak jak Seminolowie na Florydzie? - Czytała relacje o potyczkach amerykańskich żołnierzy z Indianami z plemienia Seminolów, w których zginęło wielu ludzi. Przerazenie ogarniało ją na myśl o tym, że Gordon Glen mogłoby się stać terenem walk.

- Walczyć? Czym? - zaśmiał się Will. - Jesteśmy farmerami. Nie mamy broni, jedynie dubeltówki na drapieżniki.

- Ale jakie jest inne wyjście? - zapytała, kręcąc ze smutkiem głową.

- Tylko jedno - odparł. - Musimy zdwoić nasze działania w Waszyngtonie. Ten upiorny traktat został uchwalony jednym głosem. Gdyby udało nam się przedsięwziąć odpowiednie kroki zmierzające do unieważnienia go, może wówczas nasz wniosek odniósłby jakiś skutek. Mamy na to dwa lata. Potem rząd federalny zacznie egzekwować warunki traktatu.

- Dwa lata to... - Urwała, bo tym momencie posłyszała, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę. Uśmiechnęła się i odłożyła robótkę. - Zdaje się, że Johnny znowu wypadł z łóżka.

- To zdarza się prawie co noc - zauważył Will.

- To prawda - przyznała i wstała z fotela. - Pójdę do niego.

W tym momencie rozległo się zaniepokojone wołanie.

- Proszę pana, proszę pana! Szybko! Pani Victoria!

Była to Sulie May, służąca, która zajęła miejsce Phoebe i czuwała nad chorą Victorią.

Will zerwał się z fotela, a Eliza wybiegła z salonu. Dopadł schodów zaledwie o krok przed nią, lecz długa suknia tamowała jej ruchy, nie mogła więc biec tak szybko jak on.

Kiedy dotarła na pierwsze piętro, usłyszała stłumiony odgłos gwałtownego kaszlu Victorii dochodzący z sypialni. Wpadła do środka i znieruchomiała, poruszona widokiem Willa Gordona podtrzymującego żonę wstrząsaną szarpiącymi spazmami.

- Ja się nią zajmę — powiedziała podchodząc do niego. Victoria uniosła głowę, a w jej czarnych oczach błyszczał strach i nieme błaganie o pomoc. - Wszystko będzie dobrze - dodała zmuszając się do uśmiechu.

- Te ataki idą jeden za drugim. - Sulie May podeszła do łóżka. - Pani nie ma czasu nawet odpocząć.

- W górnej szufladzie nocnej szafki jest butelka z laudanum. Przynieś mi ją, proszę.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim atak kaszlu zelżał na tyle, by Eliza mogła zaaplikować środek usmierzający. Wilgotnym ręcznikiem delikatnie otarła twarz Victorii i uspokajała ją, póki lekarstwo nie zaczęło działać. Wyczerpanie znacznie ten proces przyspieszyło.

Kiedy Eliza upewniła się, że atak minął, wyjęła chusteczkę z bezwładnych rąk Victorii. Już miała ją odłożyć, kiedy dostrzegła na niej plamy krwi. Zaniepokojona spojrzała na Willa.

- Co się stało? - spytał.

Pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, że należy zachować milczenie.

- Dam jej czystą chusteczkę - powiedziała wręczając mu poplamioną.

W głównym hallu rozbrzmiały pospieszne kroki. Po chwili do sypialni wpadł Kipp, a tuż za nim Czarna Cassie. Zatrzymał się i spojrzał z lękiem na matkę. Wyczerpanie i laudanum sprawiły, że Victoria wyglądała jak nieżywa.

- Mamo... - Głos mu się załamał.

- Ona teraz śpi, Kipp - powiedziała Eliza. Pomyślała, że nie miała racji podejrzewając go o brak serca.

Kiedy chłopiec odwrócił się w stronę ojca, dostrzegła, jak Will chowa w ściśniętej dłoni poplamioną krwią chusteczkę.

- Sprowadziłem tu Czarną Cassie tak szybko, jak mogłem - powiedział Kipp.

- Dobrze zrobisz. - Will położył dłoń na ramieniu syna i wsunął chusteczkę do kieszeni. - Z twoją matką już jest lepiej.

- Zaopiekuję się panią Victorią. Niech pan będzie spokojny. - Cassie wzięła czystą chusteczkę z rąk Elizy i delikatnie włożyła ją w dłoń Victorii. - Czy mam postawić pani bańki?



- Nie - powiedziała szybko Eliza, nie dopuszczając Willa do głosu. - Teraz potrzebny jest jej tylko sen.

- Tak - potwierdził Will. - Cassie, jutro przeniesiesz rzeczy panny Elizy do dawnego pokoju Temple. - Odwrócił się do Elizy.

- Chciałbym, żebyś była blisko, na wypadek gdyby Victoria potrzebowała cię w nocy.

- Naturalnie.

- Wracaj do swojego pokoju, Kipp - powiedział Will. - Nic już tu nie możesz zrobić.

Kipp z ociąganiem opuścił pokój. W ciszy przerywanej jedynie krzątaniem Cassie Will obserwował, jak Eliza pielęgnuje Victorię. Podziwiał jej opanowanie i zręczne ruchy. Tak niedawno kipiała gniewem, kiedy rozmawiali o traktacie.

- Teraz będzie spała. - Eliza odeszła od łóżka i spojrzała na niego. - Chodźmy. - Dała znak, żeby wyszedł z nią na korytarz. - Pomogę Cassie przenieść na dół moje rzeczy - powiedziała. - Jeśli Victoria zanowu zacznie kaszleć, daj jej laudanum, lecz nie więcej niż dziesięć kropli.

- Dziesięć kropli - powtórzył, po czym dodał: - Wygląda na to, że wszyscy staliśmy się od ciebie zależni, Elizo.

- Spodziewam się - odparła zawstydzona.

Kiedy przez chwilę spróbował wyobrazić sobie Gordon Glen bez niej, ujrzał zimne i ponure domostwo. Eliza stała się dla nich czymś więcej niż tylko nauczycielką i ochmistrzynią. Była matką dla jego dzieci. Śmiała się wraz z nimi, opatrywała rozcięcia i zadrapania, utulała do snu.

Nie tylko dzieci by za nią tęskniły, gdyby wyjechała. On również. Brakowałoby mu tych uroczych konwersacji przy obiedzie, jej opinii na różne sprawy, wieczornych rozmów na temat dzieci i listów, które do niego pisała, kiedy wyjeżdżał, wypełnionych zabawnymi anegdotami i informacjami, co dzieje się w domu i plantacji.

- Zastanawiam się, czy wielebny Cole zdawał sobie sprawę, co stracił, kiedy odmówiłas mu swojej ręki, Elizo.

- Już drugi raz ktoś dziś wspomnina wielebnego Cole'a. Najpierw Temple, a teraz ty. Nie pojmuję tego nagłego zainteresowania jego osobą.

- Może oboje zrozumieliśmy, jakie mamy szczęście, że jesteś tu z nami. Cieszę się, że zostałeś, Elizo.

- Dziękuję, ale twoja wdzięczność jest zbyt duża.

- To nie wdzięczność miałem na myśli - powiedział po prostu, lecz w utkwionym w niej spojrzeniu nie było nic prostego.

Milczała, bojąc się, że źle zrozumie jego słowa. Kiedy odwrócił się i zniknął za drzwiami sypialni, pomyślała, że jej serce rozpadnie się zaraz na milion kawałków. Cóż za głupstwa przychodzą jej do głowy? Serce przecież się nie rozpada, podobnie jak nie wlatuje w górę. To tylko ludzie wyobrażają sobie takie rzeczy.



Temple strzepnęła niebieską perkalową suknię, starając się nie myśleć o tym, że jest to ulubiona suknia Blade'a. Przez dwa i pół tygodnia zwlekała z poinformowaniem męża o spodziewnym dziecku i o swojej decyzji opuszczenia go. Zresztą rzadko go w tym czasie widywała. Bardzo często przebywał poza domem, co mogło dziwić, zważywszy na ratyfikację traktatu przez Kongres i potępiające go stanowisko Rossa. Kiedy zaś wracał, nie potrafiła znaleźć odpowiedniej chwili na rozmowę.

Postanowiwszy, że nie będzie z tym dłużej zwlekać, zaczęła pakować swoje rzeczy. Kiedy Blade wróci, poinformuje go o swej decyzji. Za jej plecami Phoebe głośno wydmuchała nos, czym jeszcze bardziej rozdrażniła Temple.

- Przezań pociągać nosem, Phoebe - warknęła. - Ile razy mam ci powtarzać, że nie wyjedziemy, póki oni nie wrócą? Zdażysz się jeszcze zobaczyć z Deu.

- Wiem - odpowiedziała służąca.

- Przecież nie rozstajesz się z nim na zawsze. Mówiłam, że może odwiedzać cię w Gordon Glen. - Złożyła suknię i cisnęła ją do kufru.

- Wiem.

- Więc przezań lamentować. Czy chcesz mi to jeszcze bardziej utrudnić? - Zapanowała nad cisnącymi się do oczu łzami i chwyciła kolejną suknię.

Nagle zeszywniała, wyczuwając obecność Blade'a. Odwróciła się: stał w drzwiach sypialni. Na pociągłej twarzy nie malował żaden wyraz, a oczy były chłodniejsze od zimowego nieba. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz się uśmiechał. Wyglądał tak, jakby na zawsze pogrzebał radość w swoim sercu.

Jego spojrzenie zatrzymało się na kufrze.

- Wyjeżdżasz - stwierdził obojętnie.

- Tak. - Nieświadomie wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję.

Kiedy ruszył w jej stronę, cofnęła się o krok, obawiając się, że wyrwie jej suknię z dłoni i opróżni kufer. Tymczasem minął ją, podszedł do drzwi balkonowych i utkwiał wzrok w wierzchołkach drzew.

W końcu zrozumiała, że nie zamierza przerwać pełnej napięcia ciszy.

- Spodziewam się dziecka i chcę, by urodziło się w Gordon Glen - oznajmiła, rozmyślnie łącząc obie te nowiny.

- Kiedy... - Urwał, po czym zapytał beznamytnym głosem: - Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Tak szybko jak to możliwe.

Gardło miała ściśnięte. Z trudem mówiła. Poza tą krótką chwilą Blade zachowywał się tak, jakby wcale nie dotarła do niego wiadomość, że spodziewa się dziecka.

- Każę przygotować wóz na twoje rzeczy i przyślę kilku ludzi, by pomogli przy ładowaniu kufrów - powiedział, po czym nie patrząc na nią wyszedł z pokoju i Temple więcej go już nie widziała.

Temple czekała w Gordon Glen na wizytę Blade'a. Jeśli nie przyjedzie dowiedzieć się o jej zdrowie, to z pewnością zjawi się, by przekazać wieści o przybyciu wojsk federalnych pod dowództwem generała Woola, przysłanych tu w lipcu przez Jacksona dla zademonstrowania ich siły. Nie pojawił się jednak. Nie przyjechał też skrytykować zabiegów Rossa, zmierzających do zawarcia nowego traktatu, na którego mocy miały być oddane ziemie Czirokezów znajdujące się w granicach Georgii.

Nie przywiózł też kopii rozkazu numer 7A wydanego przez generała Woola w październiku, nakazującego wypełnić warunki traktatu.

Jedynie wiadomości, jakie o nim miała, pochodziły od Phoebe, którą często odwiedzał Deu. Były one jednak skape i nie satysfakcjonujące. Według Deu Blade był rozdrażniony i przy najmniejszej okazji wybuchał gniewem. Podobnie zresztą zachowywała się Temple. Rodzina zrzuciła to na karb jej stanu. Nie chciała się przyznać, nawet przed Elizą, jak bardzo tęskni za mężem i jak bardzo ją boli, że ani razu jej nie odwiedził, chociaż wiedział, że spodziewa się jego dziecka.

W początkach stycznia, na dwa tygodnie przed rozwiązaniem, do Gordon Glen przyjechał z pożegnalną wizytą Shawano Stuart. Miał dołączyć do grupy emigrantów składającej się wyłącznie z sygnatariuszy traktatu, która za kilka dni wyruszała w długą drogę na Zachód. Zapewnił Temple, że Blade zostaje, by załatwić parę spraw, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że najważniejszą z nich były zbliżające się narodziny dziecka.

Na koniec Shawano uściśnęła jej dłoń.

- Rad jestem, że mój wnuk przyjdzie na świat tu, na naszej ukochanej ziemi, w ojczyźnie Czirokezów. To dobrze. To bardzo dobrze - dodał ze łzami w oczach.

- Tak. - Zapłakała cicho nad swoją i jego dola.

- Bądź zdrowa, moja córko.

Ścisnęła jej dłoń, po czym odszedł, wspierając się ciężko na lasce.

Blade stał przed sklepem i patrzył, jak właściciel sklepu odprawia na zaplecze trzy konie czystej krwi. Pieniądze za nie leżały już w kieszeni Blade'a. W ten sposób pozbył się ostatnich sztuk inwentarza. Seven Oaks było teraz własnością posiadacza talonu loteryjnego, chyba że nowy właściciel zdążył już sprzedać go jakiemuś spekulantowi. Tak czy inaczej nie musiał się już martwić o plantację, plony i robotników. Był czas, że tego właśnie pragnął - nie mieć żadnego domu, żony, rodziny. Tymczasem zamiast odetchnąć z ulgą, poczuł w sercu straszliwą pustkę.

Wyjął cygaro, które kupiec w swej wątpliwej szczodropliwości

dorzucił mu gratis. Odgryzł koniec, wypluł na brudną ulicę i zapalił. Przesunął cygaro między wargami i zmrugał oczy patrząc przez opary dymu na nędzne resztki tego, co pozostało z dawnej stolicy. Mieszkańcy New Echota byli kiedyś bardzo z niej dumni. Teraz popadała w ruinę, podobnie jak cały naród.

Kilku żołnierzy wałęsało się bez celu w pobliżu wojskowych kwater. Za nimi wznosiły się w górę dymy z palenisk małego obozowiska, w którym rozlokowali się jego współziomkowie, w większości zniechęceni i bez środków do życia, w oczekiwaniu na wymarsz na Zachód. Wiatr niósł pijackie pokrzykiwania.

Dziś miasto wyglądało jak wymarłe. Dziesięć dni temu było tu zupełnie inaczej. Wtedy wydawało się, że New Echota odzyskała swoją dawną świetność. Starannie wybrukowane ulice zatłoczone były najróżniejszym pojazdami. Mężczyźni odziani w ciepłe futra dosiadali najpiękniejszych czirokeskich wierzchowców. Roześmiane kobiety i dzieci w towarzystwie swych czarnych służących wyglądały przez okna powozów, czarni woźnice siedzieli na wozach wyładowanych zapasami, przedmiotami domowego użytku i meblami, a inni pędzili duże stada bydła.

Tamtego ranka Blade pomachał ojcu na pożegnanie i patrzył, jak długa karawana, złożona z około sześciuset Czirokezów, wyrusza na Zachód. I on mógł być wśród nich... I Temple. Ta myśl wywołała ból w sercu, na nowo rozdrapując krwawiącą ranę. Zacisnął zęby na cygarze, uświadamiając sobie, że wciąż nie może pogodzić się z faktem, że muszą stąd odejść.

Van Buren z pewnością wygra w marcu wybory, ale to człowiek Jacksona. Ross wskóra u niego tyle samo co u Jacksona. Wódz nazwał traktat „upiornym”. Członek Izby Reprezentantów, John Quincy Adams, określił go jako „wieczną hańbę dla kraju”.

Blade oderwał się od tych gorzkich myśli i rozejrzał po okolicy. Gdzież, u diabła, podziwia się Deu? Najwyższy czas stąd wyjeżdżać.

Za plecami usłyszał jakiś hałas. Objerzał się i zobaczył, jak ze sklepu wytacza się Czirokez w zawoju na głowie. W rękę trzymał butelkę whisky, a na ramiona zarzucił koc z dostaw rządowych. Kiedy dostrzegł Blade'a, zatrzymał się, zachwiał lekko i utkwiał wzrok w bliźnie na policzku Blade'a. Na jego twarzy pojawił się

wyraz głębokiej nienawiści i pogardy. Blade wytrzymał z chłodnym spokojem wzrok mężczyzny, wiedząc, że gdyby stanął do niego tyłem, mógłby skończyć z nożem między żebrami.

Mężczyzna wolno uniósł głowę i plunął Blade'owi w twarz. Ten wzdrygnął się, kiedy ślina trafiła w policzek, lecz nie uczynił najmniejszego ruchu, by ją zetrzeć. Ogarnęła go wściekłość i pogarda dla tego wykolejonego nieszczęśnika, który wolał wlewać w siebie whisky, miast spojrzeć prawdzie w oczy. A może to sobą powinien gardzić za to, że dał się wciągnąć w sprawy narodu? Który z nich był większym głupcem?

Kiedy mężczyzna odszedł chwiejnym krokiem, Blade wytarł policzek rękawem kurty, po czym wyjął cygaro z ust i rzucił na ulicę. Dlaczego został? Dlaczego nie wyjechał z Shawano? Odpowiedź była jedna: Temple.

Nie widział jej od miesiący. Początkowo, kiedy groźby pod jego adresem przybrały na sile, trzymał się z dala ze względu na jej bezpieczeństwo. Przybycie wojsk federalnych zlikwidowało część tych obaw. Potem już sam nie wiedział, czemu nie chce do niej pojechać. Może czekał, aż dziecko się urodzi, a może duma mu na to nie pozwalała. A może pragnął, żeby to ona przyszła do niego i przyznała mu rację. A może miał nadzieję, że zdoła o niej zapomnieć. Jednak czas nie złagodził bólu.

Czy ona zapomniała, że to dzięki jego wstawiennictwu jej rodzinny dom wyłączono z loterii? Czyż nie powinna być mu wdzięczna za dach nad głową? Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie?

- Panie Blade! - Deu wybiegł z za rogu sklepu z rozjaśnioną twarzą.

- Gdzieżeś się podziewał? - rzucił Blade z irytacją, nie mając ochoty słuchać żadnych nowin, które Deu zapewne zdobył u czarnego pomocnika sklepikarza. Podszedł gniewnie do barierki, gdzie stały uwiązane ich konie. - Czekam na ciebie już od dziesięciu minut.

- Panie Blade, chwileczkę. - Deu chwycił go za ramię, po czym szybko je puścił. - Stary Cato właśnie mi powiedział o dziecku. Ma pan syna.

Cisza. Powoli się odwrócił.

- Syna? Jesteś pewny?
- Tak, panie.
- A Temple...
- Z nią wszystko dobrze.
- Jedziemy — rzucił Blade energicznie.

Wskoczył na siodło, zanim Deu zdążył odwiązać swego konia i nie czekając na niego ruszył galopem drogą prowadzącą z miasta.

Victoria leżała na boku i wpatrywała się z zachwytem w leżące jej na ramieniu otulone kocykiem dziecko. Końcem palca przesunęła wzdłuż linii rączki.

- Czyż on nie jest śliczny? - zapytała stojącej przy łóżku Elizy.
- Rzeczywiście śliczny - przyznała Eliza, uważnie obserwując Victorię, na wypadek gdyby chora okazała zmęczenie.

- Jak na trzydniowe dziecko jest bardzo duży - powiedziała Victoria i delikatnie wygładziła czarny meszek na główce niemowlęcia. - Jak dobrze mieć znowu dziecko w domu - dodała, starając się powstrzymać atak kaszlu.

- Może już go zabiorę. - Eliza pochyliła się i wzięła na ręce śpiące dziecko. - Myślę, że twoja mama chciałby cię mieć przy sobie.

- Która mama? - zapytał Will. - Chłopiec ma ich trzy. A nawet cztery, jeśli doliczyć Xandrę.

- Przynajmniej nikt nie powie, że nie ma należytej opieki - odpowiedziała z uśmiechem Eliza, kiedy Will podszedł, by przyrzec się swemu wnukowi.

- Ojczy, rozpieszczasz go tak samo jak one - powiedziała Temple, stając nagle w drzwiach.

- Temple. - Eliza odwróciła się zaskoczona. - Nie powinnaś wstawać.

- Nie mogę wечно leżeć. - Weszła do pokoju, nieco wolniej niż zazwyczaj. - Tym bardziej jeśli chcę pobyc z moim synem. Kiedy tylko zamknę oczy, natychmiast ktoś mi go zabiera.

- Twoja matka chciała go zobaczyć - wyjaśniła Eliza, przekazując Temple dziecko.

- Wiem.



- Proszę pani! - Phoebe wpadła do pokoju i na widok Temple z dzieckiem na ręku dodała ciszej: - Pan Blade tu jest.

- Tutaj? - wyszeptwała Temple bez tchu.

- Tak. Jest na zewnątrz. Chce zobaczyć dziecko.

- Ależ naturalnie. Powiedz mu, żeby wszedł.

- On... - Phoebe zawahała się, a w oczach błysnął żal. - On nie chce wejść. On chce, żebym... wyniosła mu dziecko.

Temple patrzyła na nią, zbyt zszokowana, by wydobyć z siebie głos.

- Oczywiście - mruknęła w końcu i szczerzej otuliła synka kocem. - Na zewnątrz jest zimno. Pilnuj, żeby się nie odkrył.

Kiedy służąca wyszła z pokoju, Temple narzuciła szal i ruszyła w stronę balkonu.

- Temple, chyba nie chcesz wyjść na zewnątrz? - zaprotestowała Eliza.

Temple zatrzymała się z ręką na mosiężnej klamce i nie odwracając głowy powiedziała:

- Chcę go zobaczyć.

Po czym otworzyła drzwi i wyszła w mroźne styczniowe popołudnie.

Siedzący na koniu Blade wpatrywał się z natężeniem we frontowe drzwi. Wierzchowiec parskął i przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Kiedy pojawiła się Phoebe z tobołkiem na ręku, Blade mimowolnie pochylił się w przód.

- Oto pański syn. - Phoebe wyciągnęła w górę ręce z zawiniątkiem.

Przez chwilę wpatrywał się w nie bez słowa, ogarnięty nagłym strachem, następnie pochylił się i niezgrabnie wziął od niej tobołek, czując pod palcami ruchy drobnego ciała. Było tak małe, że nie wiedział, co ma z nim zrobić, jak trzymać to maleństwo. W końcu ułożył je w zgięciu ramienia i odsunął brzeg kocyka.

Gardło mu się ścisnęło na widok drobnej twarzyczki i spoglądającej na niego pary oczu. Czarne włoski, gładkie niczym jedwab, pokrywały główkę dziecka i wiły się przy ślicznych kształtnych uszkach. Nagle maleństwo odezwało się i zamachało drobnymi

rączkami. Potężne uczucie, zbyt nowe, by go nazwać, wezbrało mu w piersi, wywołując łzy.

- Pani Temple nazwała go Elijah William Stuart - powiedziała Phoebe.

- Elijah. - Blade ujął drobną rączkę między kciuk i palec wskazujący. Uśmiechnął się, kiedy małe paluszki usiłowały objąć kciuk - Elijah.

- Panie Blade - mruknął cicho Deu, dając mu coś do zrozumienia.

Blade natychmiast wyczuł, że jest obserwowany. Spojrzał w górę. Na balkonie pierwszego piętra stała Temple. Jej czarne włosy opadały kaskadą na ramiona, a koszulę nocną okrywał szal. Wydała mu się piękniejsza niż zwykle. Nieruchoma, bez cienia uśmiechu na twarzy, a mimo to sprawiała wrażenie, jakby wrywała się do niego.

Nagle do balustrady podeszła Eliza i nastrój przysł. Przeniósł spojrzenie na swojego syna, dziecko, które mu dała, żywy dowód ich miłości. Pogładził paluszki, które tak mocno trzymały się jego kciuka.

- Czy to ona nauczyła cię tak kurczowo trzymać, Lije? - mruknął. - Musisz się też nauczyć puszczać. - Jego koń szarpnął łbem i poruszył się niespokojnie pod siodłem. - ...puszczać - wyszeptał chrapliwie i oddał dziecko Phoebe.

Następnie zawrócił konia i odjechał, nie oglądając się za siebie. Słyszał, jak Deu rusza za nim.

- Piękny chłopak - powiedział.

- Nie zobaczę już, jak dorasta.

Po ciemnym policzku Deu wolno spłynęła łza. Nie mógł nic zrobić, by ulżyć bolesnej samotności swego pana.

Temple patrzyła z bólem, jak Blade odjeżdża. Poczuła, że Eliza otacza ją ramieniem, lecz nie przyniosło jej to ulgi.

- Wydaje się szczuplejszy. - Przypomniała sobie, jak na nią patrzył, hipnotyzując wzrokiem. Przełknęła łzy, uświadamiając sobie, że nadal go kocha.

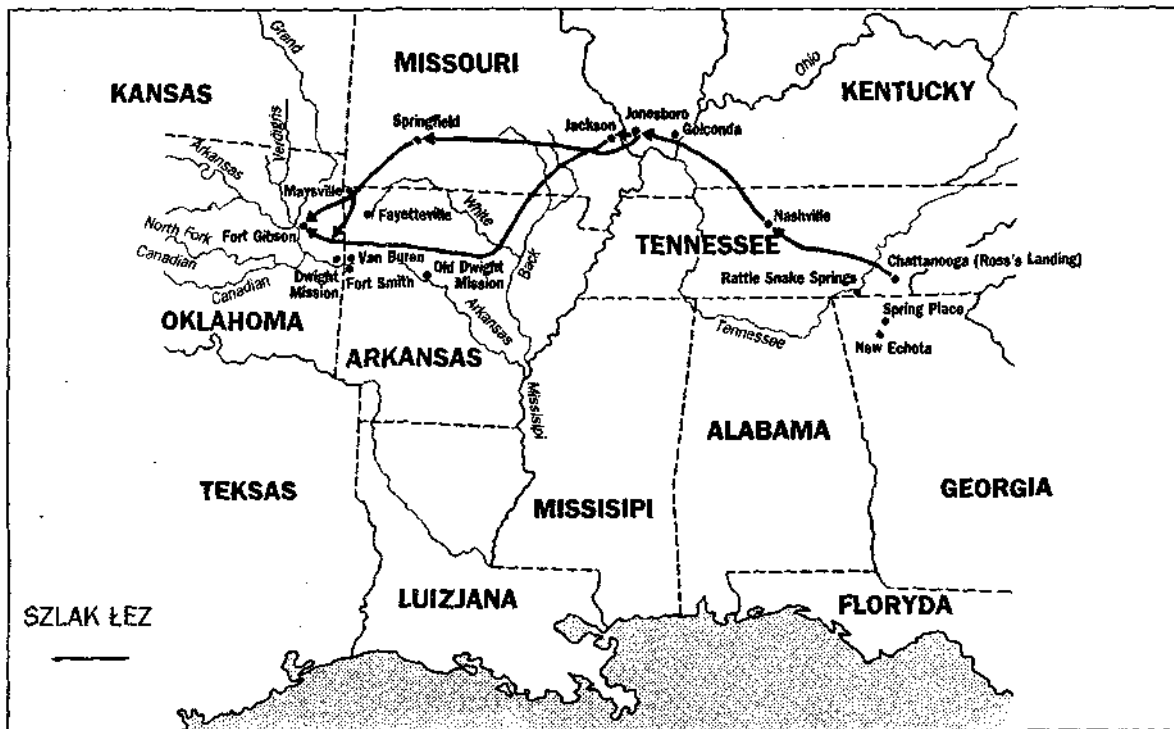
- Wejdźmy do środka, Temple - powiedziała cicho Eliza. - On już odjechał.

# *Część trzecia*



„(...) Powszechnie przyjęła się opinia, że Indian nie sposób ucywilizować w naszym tego słowa znaczeniu. Oto dowody, które podają w wątpliwość to twierdzenie. Cały indiański naród zerwał z pogańskimi wierzeniami swoich przodków i przyjął wiarę chrześcijańską, czyta książki pisane w ich własnym języku, słucha rad starszych, buduje domy i świątynie, uprawia ziemię i wychowuje ludzi, by posiadli mądrość i nimi kierowali, a oni okazywaliby im posłuszeństwo. Czyż nie są to zasady cywilizowanego społeczeństwa? Tymczasem wyrzuca się ich z tego religijnego i światłego państwa nie dlatego, że nie można ich ucywilizować, lecz ponieważ pseudocywilizowane istoty, którym oni nie są w stanie się przeciwstawić, pożądamy ich własności”.

*George W. Featherstonhaugh*





*Hiwassee,  
10 maja 1838*

Porucznik Jed Parmelee stał w paradnym mundurze na placu apelowym, patrząc na sześćdziesięciu czirokeskich wodzów, których wezwano do kwatery głównej przed oblicze generała Winfielda Scotta, nowego dowódcy oddziałów federalnych. Jed nie był już tym niewinnym idealistą, który dopiero co opuścił mury West Point. Ostatnie cztery lata spędził na bagnach Florydy, walcząc z Seminoiami i tracąc resztę swych złudzeń, łącznie z chwałą bitewną.

Walczył i żył, podczas gdy inni umierali. Przestał pytać dlaczego. Porucznik Jed Parmelee był teraz zawodowym żołnierzem, weteranem zaprawionym w bojach, który walczył, bo tego go nauczono. Był wierny mundurowi, chociaż nie zawsze czuł się z niego dumny.

Podzwrotnikowe słońce opaliło jego jasną skórę i rozjaśniło mały wąsik nad górną wargą. Bokobrody i ciemnozłote włosy również znacznie wyblakły od słońca. Oczy nabrały twardego wyrazu, jaki nabywa się wraz z doświadczeniem, podobnie jak oczy tych *stojących*, przed nim Indian, spoglądające ostro i czujnie. Obserwował ich kamienne twarze, kiedy w pełnej napięcia ciszy słuchali odezwy generała Scotta.

- Czirokezi! Prezydent Stanów Zjednoczonych przysłał mnie tu wraz z silną armią, by nakłonić was, abyście, zgodnie z warunkami traktatu z 1835 roku, dołączyli do waszych braci, którzy żyją już dostаточно po drugiej stronie rzeki Missisipi.

Generał mówił zdecydowanie, lecz uprzejmie. Jed spojrzał na swego dowódcę, obejmując wzrokiem paradny kapelusz, bogaty złoty szamerunek i błyszczącą szablę. Przesadne zamiłowanie generała do pompy było powszechnie znane. Jego podwładni nazywali go „starym upierzonym kogutem”, wiedzieli jednak, że nie należy go lekceważyć. Ten postawny, mierzący sobie sześć stóp i cztery cale generał z Wirginii prowadził zwycięską kampanię przeciw Seminolom.

W zeszłym miesiącu Jed przyjechał do Waszyngtonu, by objąć stanowisko adiutanta przy generale Winfieldzie Scotcie. Cecylia nie posiadała się z radości i ponownie rozpoczęto przygotowania do ich ślubu, już dwa razy przekładanego - z powodu jego wyjazdu na Florydę, a potem z powodu odniesionych ran. Zanim Cecylia z matką przyjechały do Waszyngtonu, generała Scotta wyznaczono do kierowania operacjami mającymi zmusić Czirokezów do wypełnienia warunków przesiedleńczego traktatu. Mieli wyruszyć za kilka dni. Ślub odłożono więc po raz trzeci.

- Majowa pełnia się skończyła - mówił Scott. - A do następnej wszyscy Czirokezi, mężczyźni, kobiety i dzieci, muszą być już w drodze do swoich braci na Dalekim Zachodzie.

Nieprzekraczalny termin mijał 23 maja 1838 roku. Do tego czasu wszyscy Czirokezi musieli opuścić zajmowane obecnie tereny. Jednak upłynęły już dwa dni, jak Jed przybył do kwatery głównej, a Czirokezi wcale nie szykowali się do wymarszu. Jeżdżąc po terenie Jed widział, że większość pracuje w polach, jakby sądziła, że będą tu jeszcze jesienią, by zebrać plony.

- Pragnieniem naszym jest wypełnić ten przykry obowiązek w humanitarny sposób - oświadczył Scott. - Czy zatem będziecie stawiać opór i zmusicie nas do użycia broni? Boże uchowaj nas przed tym! A może podejmiecie ucieczkę w góry i lasy i zmusicie nas do pójścia waszym śladem?

Odpowiedziała mu cisza. Jed lustrował wzrokiem tłum, starając się wyczytać z twarzy zebranych ludzi, co może go czekać w najbliższej przyszłości. Nagle wydało mu się, że dostrzega kogoś znajomego. Przyjrzał się uważniej i zauważył górującego wzrostem nad innymi płomiennorudego mężczyznę. Był to Will Gordon.

Jed nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo starał się o niej nie

myśleć i nie pamiętać, że jest tutaj. Lecz świadomość, że może ją ponownie zobaczyć, nie dawała mu spokoju. Temple. Wciąż miał ją przed oczami. Czas nie zatarł jej wizerunku zapierającego dech w piersiach.

- Jestem starym wojownikiem — stwierdził na zakończenie pięćdziesięciosześcioletni generał. - I przelałem już morze krwi. Dlatego błagam was, oszczędźcie mi konieczności uczestniczenia w zagładzie Czirokeezów.

Słyszając tę groźbę, Jed zesztyniał na myśl o tym, co to może oznaczać dla Temple i jej rodziny. Kiedy czirokescy wodzowie zaczęli się powoli rozchodzić, Jed skorzystał ze sposobności, by odnaleźć Willa Gordona, i stwierdził, że ojciec Temple niewiele się zmienił przez te sześć lat. Nie przybyło mu zmarszczek, jedynie smutek w brązowych oczach stał się bardziej wyraźny. Pomimo kilku siwych włosów na skroniach wyglądał jak mężczyzna w pełni sił.

Kiedy Jed zawołał go po nazwisku, Will Gordon odwrócił się w jego stronę.

- Słucham?

- Nie wiem, czy pan mnie pamięta - powiedział, starając się nadać swemu głosowi lekki ton - ale spotkaliśmy się przed kilku laty w Waszyngtonie. Payton Fletcher jest moim ojcem chrzestnym.

W oczach Willa pojawił się błysk przypomnienia.

- Porucznik... Parmelee, nieprawdaż?

- Tak. Miło mi pana znowu spotkać. Żałuję tylko, że w takich okolicznościach.

- Ma pan rację - przyznał Will Gordon ze smutkiem.

- Mam nadzieję, że pańska córka miewa się dobrze.

- Temple? Tak, doskonale. - Uśmiechnął się lekko, a w oczach, błysnęła duma. - Dała mi wnuka w zeszłym roku.

- Gratuluję. - Jed stłumił w sobie uczucie zazdrości i natychmiast pożałował, że zaczął Willa Gordona. - Wiem, że chciałby pan już wracać.

- Tak. Mam długą drogę przed sobą.

- Proszę przekazać wyrazy uszanowania pańskiej rodzinie i mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w bardziej

przyjacielskich okolicznościach. - Zawahał się, po czym dodał: - Generał Scott bardzo wyraźnie podkreślił stanowisko armii. Otrzymaliśmy rozkazy. Każda próba oporu może mieć tragiczne konsekwencje.

- Niby jak możemy się bronić, poruczniku? Dawno już oddaliśmy nasze strzelby, porzuciliśmy łuki, strzały i tomahawki. Nie mamy broni. Jesteśmy zdani na waszą łaskę. — Smutek w jego oczach stał się dojmujący. - Jednak musi pan zrozumieć, że ta ziemia od zawsze była nasza i nie opuścimy jej dobrowolnie. Czy jest pan w stanie to pojąć?

To pytanie prześladowało Jeda Parmelee przez wiele dni.





*Gordon Glen.*

*6 maja 1838*

**2** Eliza rzuciła okiem na stół, po czym wyszła z jadalni. Temple schodziła właśnie po schodach, niosąc tacę z jedzeniem.

- Zjadła coś dziś? - zapytała Eliza.

Temple pokręciła głową.

- Wypiła tylko bulion.

Eliza westchnęła, zdając sobie sprawę, że to zbyt mało, by podreperować wątłe siły Victorii.

- Czy twój ojciec już wrócił?

- Zdaje się, że jest w bibliotece.

- Pójdę mu powiedzieć, że obiad gotowy. Powiesz innym, żeby siadali do stołu?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do drzwi biblioteki, zapukała, po czym je otworzyła. Will stał przy oknie, tyłem do drzwi, z rękami założonymi na plecach. Najwyraźniej nie usłyszał pukania.

Za oknami słoneczne promienie prażyły trawnik, już i tak wysuszony z powodu skąpych opadów. Deszcz meteorytów, zaćmienie słońca, wyjątkowo ostra zima, wszystkie te zjawiska mogły zwiastować suche lato.

- Obiad jest już na stole - powiedziała Eliza. Will spojrzał na nią z wyrazem zatroskania i niepewności na twarzy. Natychmiast wyczuła, że to nie anomalie pogody są tego przyczyną. -

Czekamy, prawda? Ostateczny termin minął, tymczasem nic się nie dzieje.

- Jak ty dobrze mnie znasz.

Uśmiechnęła się.

- John Ross wciąż jest w Waszyngtonie - przypomniała mu. - Może udało mu się renegocjować traktat lub go unieważnić, a my nic o tym nie wiemy.

- Może. W każdym razie nie ustaje w walce.

- I wszyscy go wspierają. - Niezupełnie wszyscy, dodała w myślach. Blade kilka razy przyjeżdżał do Gordon Glen zobaczyć syna. Wiedziała, że nie zamienił ani jednego słowa z Temple, ale ona nic na ten temat nie mówiła. - Człowiek może wiele znieść, jeśli wie, że nie jest sam.

- Nikt tego nie wie lepiej ode mnie.

- Wszyscy czekają już w jadalni - powiedziała.

- W takim razie chodźmy.

Kiedy półtoraroczny Lije zobaczył Willa, stanął na kolanach trzymającej go Xandry i wyciągnął do niego rączki, na przemian to zaciskając, to prostując palce.

- Dada, dada! - zawołał radośnie.

- Mój chłopiec. - Will podszedł do niego i wziął na ręce. - Będziesz jadł dziś z nami obiad?

- Uparł się. - Temple uśmiechnęła się z pobłażliwością do syna.

- A Xandra zgodziła się nim zająć.

- Lije będzie dobry dla cici Xandry, prawda? - powiedziała piętnastoletnia Xandra, chwytając malca za stopki. Jej czerwona bluzka uwydatniała zmysłowe kobiece krągłości.

- Dobli - powtórzył z powagą Lije, wywołując tym śmiech Willa.

Dwupiętrowy ceglany dwór stał na niewysokim pagórku, sprawiając wrażenie, jakby wyłaniał się z czerwonej ziemi. Jed wstrzymał konia, podziwiając przez chwilę imponującą budowlę.

- A niech mnie diabli! - mruknął jeden z jego żołnierzy. - Tu musi mieszkać jakiś bogaty czirkoeski sukinsyn.

Jed również miał ochotę kłać i to od dnia, kiedy Scott wyznaczył

go do trzeciego okręgu. Miał nadzorować zajmowanie indiańskich domów i chwywanie upartych Czirokezów.

Zakrojona na szeroką skalę akcja odbywała się jednocześnie na całym terytorium Czirokezów. Brały w niej udział wszystkie wojskowe placówki. Żołnierzom polecono rozproszyć się po całym obszarze i wyłapać wszystkich Indian.

Jed od rana obserwował, jak żołnierze pod bagnietami wyganiają ludzi z pól i domów. Płacz, krzyki, lamenty i błagania, by pozwolono im zabrać choć trochę dobytku, będą go odtąd prześladowały do końca życia. Jak również masowe grabieże i plądrowanie pozostawionego przez Indian mienia.

- Otoczyć dom — rzucił Jed przez zaciśnięte zęby.

Jego oddział ruszył cicho w kierunku dworu. Błyskały ostrza bagnetów. Jed ruszył za nimi i zatrzymał się przed werandą. Żołądek ścisnął mu się na myśl o tych kulturalnych ludziach znajdujących się wewnątrz. Bez względu na to, jak elegancko się zachowają, nie zmieni to okrutnego charakteru stojącego przed nim zadania.

Jego sierżant podszedł do frontowych drzwi i spojrzął pytająco na Jeda, czekając na jego rozkaz. Przełykając dławiacą w gardle gorycz, wolno skinął głową.

- Ned Rain Crow uważa, że wojsko jest tu po to, by chronić nas przez białymi z Georgii. - Kipp wziął od Temple miskę z ugotowaną na gęsto kukurydzą i nałożył sobie potężną porcję na talerz.

- Ja... - Eliza uniosła głowę i zobaczyła kogoś za oknem w jadalni. - Kto tam jest? - zapytała.

W tej samej chwili usłyszała trzask otwieranych drzwi i stukot biegnących stóp. Will podniósł się z krzesła, kiedy do jadalni wpadli żołnierze z wycelowanymi w nich karabinami i groźnie połyskującymi bagnietami. Czarna Cassie krzyknęła i wypuściła z rąk wazę. Kawałki szkła rozprysły się po całej podłodze, a zupa wylała. Lije rozpląkał się przestraszony.

- Co to ma znaczyć? Czego tu chcecie? — Will stanął przed żołnierzami, nie zwracając uwagi na wycelowane w niego ostrza.

Do pokoju wszedł oficer. Temple spojrzała na niego i natychmiast go rozpoznała. Był to Jed Parmelee, młody porucznik, którego poznała w Waszyngtonie. Ojciec mówił jej, że go spotkał.

Teraz stał przed nią wyprostowany, wpatrując się w nią onieśmiąły. Nie był to ten sam Jed Parmelee, jakiego zapamiętała. Nie chodziło tu o zmianę w wyglądzie, choć nosił teraz jasny wąsik i długie bokobrody. Z jego twarzy zniknęła młodzieńcza świeżość. Nie był już szarmanckim młodym oficerem. Miał teraz twardy wzrok żołnierza. No, może niezupełnie, pomyślała, dostrzegając błysk współczucia w jego oczach, zanim zwrócił się do jej ojca.

- Bardzo mi przykro, ale pan i pańska rodzina będą zmuszeni pójść z nami - rzucił oschle. — Proszę nie próbować uciekać ani stawiać oporu. Dom jest otoczony.

- Dokąd nas zabieracie? - Will położył dłoń na ramieniu najmłodszego syna i przyciągnął go do siebie.

- Mamy rozkaz sprowadzić wszystkich Czirokeezów do fortu celem przygotowania ich do podróży na Zachód - wyjaśnił służbistym tonem.

Odpowiedział mu przeraźliwy lament Lijego, który wyciągał swe pulchne rączki do Temple. Kiedy zrobiła krok w jego stronę, jeden z żołnierzy uniósł ostrzegawczo broń. Zatrzymała się i spojrzała na Jeda z wyrazem gniewu i niechęci.

- Czy mogę podejść do mojego syna?

Zawahał się, po czym skinął głową przyzwalająco. Temple ominęła żołnierza, podeszła do siostry i wzięła synka na rękę, starając się go uspokoić. Nad ich głowami rozległy się stłumione kroki biegnących stóp.

- Na górze leży moja żona. Jest zbyt chora, by podróżować — zaprotestował Will.

- Mam nadzieję, że zrobi ten wysiłek, panie Gordon - odpowiedział Jed. - Nie chcemy rozdzielać rodzin. Skoro jednak nie może iść z wami, będzie musiała tu pozostać, dopóki nie zostanie przygotowany odpowiedni transport. Zezwalam, aby została z nią jedna osoba do opieki. Reszta pójdzie ze mną... w tej chwili.

- Chyba nie mówi pan tego poważnie?! - wykrzyknęła Eliza.

- Jak najbardziej, proszę pani.

- Musimy mieć czas na spakowanie... - zaczął Will.

- Miał pan na to czas i nie wykorzystał go. Generał radził, byście zjawili się w wyznaczonych miejscach z rodzinami i dobytkiem. Ostrzegał, by nie czekać na żołnierzy. — W jego głosie brzmiał zawód i gniew. - Teraz nic już nie możecie zrobić. Ja również - dodał ciszej, odwracając wzrok. — Daję wam pięć minut na zabranie niezbędnych rzeczy. Dzieci pozostaną tu pod strażą. Co do pańskiej żony, to byłoby nierozsądne ją tutaj zostawiać. Jeśli ma pan wóz i konie, każe je sprowadzić. To wszystko, co mogę zrobić.

- W takim razie nie mam innego wyboru, jak się na to zgodzić - stwierdził krótko Will.

- Czy w domu jest jeszcze ktoś prócz pańskiej żony? - zapytał, wciąż unikając jego wzroku.

- Moi czarni służący.

- A pani mąż, pani Stuart? - zwrócił się do Temple. - Gdzie on jest?

Uniosła nieco wyżej brodę i mocniej przytuliła płaczącego syna.

- Nie wiem.

- Czy nie mieszka tu z panią?

- Nie.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił się.

- Za pięć minut, sierżancie, wszyscy mają być na zewnątrz.

- Tak jest.

Pięć minut przeciągnęło się do piętnastu, częściowo z powodu Victorii, którą trzeba było uspokoić i znieść na dół, częściowo zaś z powodu żołnierzy, którzy musieli przeszukać każdy kąt obszerne-go domu i powyciągać z różnych kątów chowającą się służbę.

Kiedy cała rodzina znalazła się przed domem, dwaj niechlujnie wyglądający biali mężczyźni podskoczyli do Willa i usiłowali przekonać go, by sprzedał im dom, wyposażenie, zwierzęta, pola i niewolników, proponując śmiesznie niską cenę. Kiedy Will odmówił, nie godząc się takie oszustwo, od strony stajni nadbiegł czarny kowal Ike.

- Proszę pana, jacyś biali zabierają pańskie konie. Chciałem ich zatrzymać, ale mnie odepchnęli. - Z rozcięcia na czole płynęła mu krew.

— Nie zamierza pan interweniować? - zapytała Eliza Jeda Parmelee.

- Nie - odpowiedział, wsiadając na konia.

Nic nie mógł na to poradzić. Nawet jeśli udałoby mu się odebrać konie tym złodziejom, znajdą się inni, a on nie mógł zostawić swoich ludzi na straży dobytku Gordonów.

Wciąż starał się przekonywać siebie, że nie ponosi winy za to, co się stało, że wykonuje tylko rozkazy. Kiedy jednak jego ludzie prowadzili Gordonów i czarnych służących na punkt zborny, nie miał odwagi spojrzeć Temple w oczy. Dlaczego to właśnie on musiał wziąć ją do niewoli?

# 25



Błade wolno podprowadził konia do palisady. Jej ściany zrobiono z grubych pni zaostzonych na końcu i wbitych w ziemię. Dobiegał zza niej szum głosów uwięzionych tam ludzi. Podobny szum słyszał już w trzech innych obozach, które odwiedził w poszukiwaniu Temple i syna.

Tydzień temu zobaczył wojskowe patrole przetrząsające okolicę i wyganiające Czirokezów z ich domów i pól. Pędzili przerażonych ludzi jak bydło do odosobnionych fortów, poganiając opornych bagnietami i wiązanką przekleństw, a krnąbrnych okładając batem. Natychmiast pojechał do najbliższego posterunku, przedstawił się jako rzecznik traktatu i uzyskał przepustkę zezwalającą na poszukiwanie rodziny.

Stojący przy bramie wartownik sprawdził przepustkę i zezwolił na wejście. Idąc w stronę kwatery oficerskiej, Błade dostrzegł zagrody o wysokości szesnastu stóp, służące za schronienie uwięzionym Czirokezo.

Zsiadł z konia przed biurkiem i oddał wodze Deu.

- Zaczekaj tu na mnie.

Ruszył do środka, stąpając prawie bezszelestnie w miękkich mokasynach. Siedzący za biurkiem sierżant uniósł wzrok na jego widok.

- Przyszedłeś się poddać? - zapytał, omiatając spojrzeniem

mokasyny, skórzane spodnie, myśliwską bluzę i czerwony zawój na głowie i zatrzymując się na bliźnie na policzku.

- Szukam mojej żony i syna. - Blade ponownie wyjął z kieszeni przepustkę. - Zostali zabrani jakieś dziesięć dni temu. Nazywają się Stuartowie.

- Nazwisko nic tu nie da. Większość z nich nie chce podawać nazwisk i nie stawia się na apel. Do diabła, nawet nie wiemy, kogo tu mamy.

- Czego pan chce, poruczniku? - zapytała Temple, patrząc na niego z wyrazem wrogości i nieufności w oczach. Na niebieskiej sukience widać było brudne smugi. Brzeg miała rozdarty i poplamiony. Jed starał się zapomnieć, jak wyglądała zaledwie przed dwoma tygodniami.

Poczuł strumienie potu spływające mu po szyi i za kołnierz munduru. Słońce prażyło niemiłosiernie, dręcząc swymi promieniami obóz i stłoczonych w nim ludzi. Powiódł wzrokiem wzdłuż rzędu długich zagród, po szesnaście stóp kwadratowych każda, w których gnieździli się jeńcy, a właściwie więźniowie. Tylko nieliczni, jak Gordonowie, mieli częściowo dach nad głową, zapewniający schronienie przed upałem. Zdawał sobie sprawę, że jego złe samopoczucie nie wynika jedynie z bezlitosnego upału.

- Dałem ojcu pani pozwolenie na powrót do domu i zabranie pozostawionego tam dobytku. - Osobiście wątpił, by cokolwiek z niego zostało, wiedząc, jak plądrowano i łupiono domy Cziroków. — Zabrał wóz i waszego Murzyna Ikego. Spodziewam się go z powrotem za jakieś dwa lub trzy dni.

- I martwi się pan, że nie wróci? - rzuciła z pogardą. - Niepotrzebnie. Trzyma pan tu całą jego rodzinę jako zakładników.

- Wiem, że wróci - odparł oburzony jej słowami, choć nie mógł mieć do niej o to pretensji. - Chciałem tylko poinformować o wyjeździe pani ojca i zapytać, czy mógłbym w czymś pomóc... oczywiście w ramach moich możliwości.

Uśmiechnęła się kwaśno, słysząc to zastrzeżenie. W tej właśnie chwili przydreptał do niej syn z kromką chleba w rączce. Ponownie



spojrzała na Jeda. Tym razem zamiast wrogości zobaczył troskę i niemą prośbę w jej oczach.

- Czy mógłby pan postarać się o lepsze jedzenie?

Żywność, jaką otrzymywali mieszkańcy obozu, były to typowe więzienne racje, składające się z solonej wieprzowiny i mąki. Zdecydowanie odbiegały one od tradycyjnej czirokeskiej diety, w której przeważały warzywa, wołowina i świeże owoce.

- W zapasach nie ma nic innego... - powiedział z ociąganiem.

- W takim razie proszę pozwolić kobietom pójść do lasu po jagody, cebulę, cokolwiek.

Jed zaważał się, zdając sobie sprawę, że takie rozwiązanie niektóre z kobiet mogłyby wykorzystać na ucieczkę.

- Myślę, że mogą to załatwić.

Na własną odpowiedzialność pozwolił sześciu kobietom, razem z Temple, wyjść z obozu. Na wszelki wypadek wyznaczył dwóch strażników jako obstawę. W ostatniej chwili zdecydował się, że też pójdzie.

Powietrze w lesie było równie ciężkie, za to wolne od panującego w obozie smrodu. Drzewa zapewniały przyjemny cień przed bezlitosnymi promieniami. Lecz i tu widoczne były szkody, jakie wyrządziła panująca susza. Ziemia była twarda i spękana, strumienie wyschnięte. Liście na krzewach wyschły, a jagody były nieliczne i drobne.

Jed patrzył, jak Temple sięga po jeżynę, ukrytą w gąszczu krzewów. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie trwać ta susza. Raporty informowały o wysychaniu źródeł i studni, obniżaniu się poziomu wody w rzekach, co uniemożliwiało nawigację. Pierwsza partia około ośmiuset Czirokezów została już wyprawiona na początku miesiąca drogą wodną, na parowcu i sześciu łodziach. Kolejna miała wyruszyć lada dzień. Jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, przewiezienie piętnastu tysięcy Czirokezów drogą wodną na Zachód trzeba będzie wstrzymać.

Temple chwyciła palcami dorodną jagodę, jedną z nielicznych. Kiedy cofała rękę, ostry kolec rozerwał jej skórę. Ze skaleczenia zaczęła kapać krew. Jed zauważył, że stara się ją zatamować rąbkim sukienki i wyjął z kieszeni czystą chusteczkę.

- Proszę pozwolić.

Ujął jej rękę i przycisnął chustkę do rozcięcia, przyglądając się,

jak czerwona plama rozpływa się po materiale. Przede wszystkim zaś czuł ciepło dłoni Temple i jej bliskość. Wolno unióśł głowę i zobaczył, że patrzy na niego.

- Pobrzdził pan chusteczkę - powiedziała.

- Nie szkodzi. - Obwiązał delikatnie jej rękę, lecz nie wypuścił z dłoni. - Nigdy nie zapomniałem tych wspólnie spędzonych chwil w Waszyngtonie. Pamięta pani, jak uczyłem ją tańczyć walca owego wieczoru, kiedy się poznaliśmy? - Wciąż miał ją przed oczami w białej sukni ze złotymi nitkami.

- Tak. - Uśmiechnęła się lekko, lecz zaraz spoważniała. - To było dawno temu. Tyle wydarzyło się od tamtego dnia... tyle zmieniło.

Jed odniósł wrażenie, że myśli o swoim mężu. Poczul gniew, choć wiedział, że nie powinien.

- Temple... proszę wybaczyć, pani Stuart. Jeśli pani chce, mógłbym popytać w innych obozach, czy nie ma tam pani męża.

Nie było to łatwe. Czirokezi odmawiali bowiem podawania swoich nazwisk i nie przychodzili na apel. Ten upór utrudniał armii łączenie tych członków rodzin, którzy zostali zabrani osobno i umieszczeni w różnych obozach.

Twarz Temple rozjaśniła się na moment.

- Nie - powiedziała po chwili.

- Co się stało? - zapytał. - Porzucił panią?

- Ja od niego odeszłam.

Jej słowa zabrzmiały mu w uszach niczym cudowna muzyka. Po raz pierwszy pomyślał z nadzieją, że może jeszcze ma jakąś szansę.

- Temple... - zaczął i urwał zawstydzony, że znowu zwraca się do niej po imieniu. Roześmiał się zmieszany. - Nie potrafię myśleć o pani inaczej jak Temple - powiedział, po czym dodał poważniejąc: - Temple, chciałbym, żebyś wiedziała, jak mi przykro z powodu tego, co się stało, i jak bardzo żałuję, że musiałem brać w tym udział. Masz absolutne prawo...

- Nie mogę cię za to winić - odparła zwięźle. - Jeśli w moich słowach brzmiała gorycz, to z powodu... warunków, w jakich się znaleźliśmy.

- Ale to przeze mnie się w nich znalazłaś. - Nienawidził siebie za to.

- To ci, którzy podpisali ten oszukańczy traktat, są temu winni.

Twoja rola nie ma tu znaczenia. - Odwróciła się. - Jeśli pozwolisz, wolałabym o tym nie mówić.

Odsunęła się, ściskając w rękach koszyk z niewielką ilością jagód. Jed instynktownie chwycił ją za ramię, chcąc powstrzymać przed ponownym odejściem, jak to się zdarzyło przed laty.

- Temple...

Kiedy poczuł pod palcami jej ciało, zapomniał, co chciał powiedzieć. Przestało to mieć znaczenie. Zachęcony jej brakiem oporu, przysunął się bliżej i dotknął drugiego ramienia, przesuwając po nich dłońmi. Cała miłość, którą, jak sądził, głęboko pogrzebał, wybuchła teraz z nową siłą.

- Nie sądziłem, że to możliwe, ale stałaś się jeszcze piękniejsza - rzucił schrypniętym głosem.

Temple przypomniała sobie, że ją kiedyś kochał. Czy nadal tak jest? Pragnęła, by ją ktoś objął i kochał. Przez dwa lata czuła się pusta i samotna. Zaczynała wierzyć, że jej życie zawsze już będzie takie. A tu czekało na nią ciepło, sympatia i miłość, namiętność i spełnienie - wszystkie te rzeczy, których jej brakowało. Wystarczyło jedynie, by się odwróciła. Ogarnęły ją wspomnienia szczęśliwych dni, kiedy śmiała się i tańczyła z tym człowiekiem, kiedy istniała jeszcze nadzieja na przyszłość. Zapragnęła nagle znaleźć się w nich ponownie i uciec od wstrętnej rzeczywistości. Tak bardzo tego chciała, lecz nie poruszyła się. Coś ją powstrzymywało.

Mimo to poddała się naciskowi jego rąk i pozwoliła, by ją ku sobie zwrócił. Serce biło miarowym rytmem, kiedy patrzyła na jego usta i krótko przyszczyżone jasne wąsy. Powoli zaczęły się do niej zbliżać. Jakiś głos w jej wnętrzu krzyknął „Nie!”, lecz nie odsunęła się.

- Poruczniku Parmelee! - rozległo się natarczywe wołanie.

Jed natychmiast oprzytomniał i cofnął ręce. Podbiegł do niego jeden z żołnierzy, stanął na baczność i zaszalutował.

- Jedna z indiańskich kobiet zniknęła, panie poruczniku.

- Co to ma znaczyć? - rzucił ostro Jed.

- Uciekła. - Grdyka drgnęła mu nerwowo.

Jed zaklął pod nosem.

- Jak dawno?

- Dopiero co była, panie poruczniku, a zaraz potem zniknęła.

- Znajdźcie ją - polecił. — Tymczasem zaprowadzimy pozostałe

kobiety do obozu. I... Private, zawiadom innych strażników, że nie będzie więcej wyjść do lasu.

- Tak jest.

Blade w towarzystwie jednego ze strażników szedł wolno wzdłuż rzędu drewnianych ogrodzeń, przyglądając się ich mieszkańcom. Pół kroku za nim Deu również wpatrywał się w ludzi stłoczonych niczym zwierzęta. Po dwóch tygodniach chodzenia od obozu do obozu w poszukiwaniu Temple i Elijaha widok tysiąca ludzkich istnień żyjących na niewielkiej przestrzeni przestał na nim robić wrażenie. Przyzwyczał się też do wrogich spojrzeń, ostentacyjnego odwracania wzroku i cichych gróźb rzucanych w języku cziroke-  
skim przez tych, którzy rozpoznawali w nim rzecznika haniebnego traktatu.

Jednak dzięki złożonemu pod nim podpisowi, który uczynił z niego wyrzutka, mógł teraz szukać żony i syna. Przepustka chroniła go przed patrolami przeczesującymi okolicę i otwierała bramy wszystkich obozów. W jednym z nich musiała być Temple.

Podchodząc do następnej zagrody, dostrzegł w oddali niebieską plamę materiału. Ten sam odcień miała perkalowa suknia jego żony. Wyteżył wzrok i zatrzymał się gwałtownie na widok zmierzającej w jego stronę Temple.

- Jest - mruknął do Deu, wpatrując się w nią intensywnie. Zobaczył poplamioną i poszarpaną sukienkę, brudne włosy i rękę owiniętą kawałkiem materiału, trzymającą koszyk. Wyglądała na zgrzaną, zmęczoną i wychudzoną. Boże, jak on ją kochał. Serce ścisnęło mu się z bólu, a kolana zeszywniały. Ruszył w jej stronę, z każdym krokiem odzyskując siłę. Idącego obok niej oficera nie raczył nawet zauważyć.

Kiedy Temple zachwiała się, Jed podtrzymał ją za ramię. Jednocześnie dostrzegł nienaturalną błądź twarży i roszerzone oczy wpatrujące się w jeden punkt. Podążył za jej wzrokiem. W ich stronę szedł Czirokez odziany w skórzane spodnie i myśliwską bluzę, któremu towarzyszyli strażnik i Murzyn. Kiedy Indianin zbliżył się, Jed dostrzegł intensywnie błękitne oczy i białą bliznę na policzku. Jej mąż, człowiek, którego zaofiarował się odnaleźć.

- Witaj, Temple - powiedział Blade, stając przed nią.  
- Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? - wyszeptła.  
- Nie wiedziałem. Jeden z waszych Murzynów powiedział Deu, że was zabrali. Jeździłem od obozu do obozu.

- Czy Phoebe jest z panią? - zapytał Deu z nadzieją w głosie.  
- Tak.  
- Nic jej się nie stało?  
- Nie, miewa się dobrze. - Temple starała się uśmiechnąć, lecz nie mogła oderwać oczu od męża. - Co masz zamiar teraz zrobić?  
- Zostać tu... z tobą i moim synem.

W tym momencie przy boku Temple stanął Jed.

- Nie panu o tym decydować, panie Stuart — oznajmił.

Blade utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie.

- Parmelee, nieprawdaż?

- Tak.

- Dlaczego chcesz zostać? - zapytała Temple.

- Byśmy mogli razem podróżować /na Zachód.

W kieszeni miał list, który nosił przy sobie od ponad roku, a który chciał pokazać Temple. Podyktował go jego ojciec, opisując czekające na nich lesiste pagórki, czyste strumienie i żyzne gleby.

Chyba zdała sobie wreszcie sprawę, że emigracja jest nieunikniona. Nie mogła bez końca trwać przy swoim. Przeszłość nie wróci. Trzeba patrzeć w przyszłość. Może w końcu zrozumie, że nie był winny temu, że ich bracia zostali zapędzeni jak zwierzęta do zagród, pozbawieni dobytku, poniżani. To John Ross do tego doprowadził, mając fałszywą nadzieją i namawiając do stawiania oporu. Może inni też to rozumieją i przestaną patrzeć na niego i na pozostałych sygnatariuszy traktatu jak na wyrzutków.

- Lije ucieszy się, gdy cię zobaczy — powiedziała.

A ona? Nie potrafił na to odpowiedzieć. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Poczuli, że ogarnia go irytacja i zawód. Cierpliwość nie była jego mocną stroną.

- Więc chcesz, żeby został? - W głosie Jeda brzmiało zdumienie i wątpliwość.

- Może zostać albo iść, jak woli - odparła Temple.

Przez krótką chwilę Blade miał ochotę porwać ją w ramiona i scałować z niej ten chłód. Kobieta, która kryła się za tą maską,

była pełna żywych uczuć. Musiał jednak poczekać. Znał tę jej dumę. Nie darowałaby mu, gdyby zmusił ją do przyznania, że nadal go kocha.

- Mam tu dwa osiodłane konie i muła. Proszę o pozwolenie przyniesienia tu moich rzeczy, poruczniku.

- Zezwalam - zabrzmiała wstrzemięźliwa odpowiedź.

Dwadzieścia minut później Blade i Deu z siodłami i workami na plecach weszli do drewnianej zagrody. Deu nie zdążył postawić wszystkiego na ziemi, kiedy przypadła do niego Phoebe, zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała mu twarz pocałunkami, z płaczem powtarzając jego imię.

Blade'a nikt tak nie powitał, zresztą nie oczekiwał tego. Złożył w milczeniu siodło i worki na twardej ziemi i omiół wzrokiem wnętrze zagrody, nie pomijając żadnego szczegółu. Jedna jej część przykryta była dachem. W samym jej końcu na puchowym materacu leżała Victoria Gordon przykryta kocami. Klęczała przy niej Xandra, trzymając w ręku wachlarz z liścia palmy. Najmłodszy synek Gordonów, Johnny, siedział zgarbiony przy ścianie, blady, z podkrążonymi oczyma. Obok niego Kipp, w którego czarnych oczach płonęła nienawiść. Nieco dalej Czarna Cassie i brat Phoebe Shadrach czekali niecierpliwie, by przywitać się z Deu. Do stojącej w milczeniu Temple podeszła Eliza. A ten mały tłumoczek z tyłu to jego syn, śpiący teraz na twardej ziemi.

Na jego widok poczuł ciepło koło serca, zaraz jednak jego uwagę przykuł brak najbardziej podstawowych rzeczy. W pośpiechu nie pomyśleli o tym, że będą im potrzebne. Jedyne, co zabrali, to koce, kilka sztuk ubrań i kociołek do gotowania strawy. Opuszczając dom pomyśleli jedynie o zabraniu najcenniejszych pamiątek i o zapewnieniu wygody chorej matce.

- Mam tu kilka niezbędnych przedmiotów i żywność: kawę, fasolę, mąkę, trochę suszonych owoców i suszone mięso - poinformował Temple, wskazując na leżący na ziemi worek.

- Nie potrzebujemy tego - rzucił nienawistnie Kipp. - Ojciec przywiezie wszystko. Możesz sobie to zabrać.

- Nie pleć głupstw, Kipp - zganiła go Eliza. - Twój ojciec wróci dopiero za trzy dni, a twojej matce potrzeba czegoś więcej niż gotowanej wieprzowiny.

- Może i tak, ale ja niczego z tych rzeczy nie tknę.

Eliza zignorowała uwagę Kippa i uśmiechnęła się niepewnie do Blade'a.

- Dziękuję.

- Żałuję tylko, że nie ma tego więcej.

Podniósł z ziemi siodło i koc i zaniósł je do nie zadaszonej części zagrody.

Mógł im powiedzieć, że teść wróci z pustymi rękami. Był w Gordon Glen i widział puste stajnie i pastwiska, magazyny ogołocone z zapasów i sprzętu. Dwór został doszczętnie splądrowany, piwnice opróżnione z zapasów, żyrandole pozrywane z sufitów, a kinkiety ze ścian. Meble, ubrania, talerze, książki, wszystko zabrali szabrownicy. Jedyne, co znalazł w domu, to połamany kołowrotek, kawałki krzesel i pióra z materaca na podłodze w sypialni. Nie oszczędzono nawet małego rodzinnego cementarza. Groby zostały rozkopane w nadziei na znalezienie złota i biżuterii. Uznał jednak, że Will Gordon powinien sam to zobaczyć.

Trzy dni później wrócił Will. Jedyne, co przywiózł, to wielki kosz warzyw z ogrodu. Rodzina otoczyła go kołem, lecz Blade pozostał w swoim kącie, trzymając się jak zwykle na uboczu.

Kiedy Will Gordon zdał relację z dewastacji dworu, Temple podeszła do Blade'a.

- Wiedziałeś, prawda?

- Tak.

- Dlaczego...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Nie uwierzyłabyś mi.

W następnym tygodniu generał Winfield Scott zdecydował o odroczeniu wymarszu do jesieni ze względu na panującą suszę. Rzeka Tennessee w górnym biegu nie nadawała się do żeglugi. Trzecia i ostatnia grupa Czirokezów wysłana na Zachód musiała podróżować sto sześćdziesiąt mil łądem do Waterloo w Zachodniej Alabamie, zanim mogła ponownie wsiąść do łodzi. Pięcioro Indian

zmarło w drodze. Niedostatek wody czynił podróż łądem niemożliwą, zwłaszcza przy panujących upałach.

Nowy termin wymarszu, wyznaczony na pierwszy dzień września, był dla Czirokezów błogosławieństwem i zarazem przekleństwem. Musieli bowiem pozostać w zatłoczonych obozach, nie zapewniających właściwej higieny, czystej wody do picia i wystarczającej ilości solonej wieprzowiny i mąki. Złe warunki i duże skupisko ludzi stały się przyczyną wielu chorób. Żniwo zaczął zbierać koklusz, odra, żółtaczkę i dyzenteria.

Lipiec przyniósł kolejną falę upałów. Wieczorami i nocami były tylko niewielkie spadki temperatury. Spieczona ziemia jeszcze długo po zachodzie słońca trzymała ciepło.

Blade leżał zły potem z głową opartą na spalonej od słońca skórze siodła, słuchając cichych jęków chorych i kapryśnienia gorączkujących dzieci. Jego zagroda również nie była od nich wolna.

W oddali rozległ się pomruk grzmotu. Otworzył oczy i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. Kolejny, tym razem nieco głośniejszy jęk dobiegł od strony zadaszonej części zagrody. Blade wstał i omijając śpiące na ziemi postacie przykucnął przy sienniku Johnny'ego Gordona. Chłopiec leżał skulony, rękami obejmując brzuch. Wokół unosił się zgniły zapach dyzenterii. Mały miał zapadnięte oczy i suchą skórę. Kiedy Blade dotknął jego czoła, poczuł, że jest bardzo rozpalone. Siedząca z drugiej strony chłopca Eliza wyciskała wodę ze szmatki i obmywała mu twarz.

- Gorączka wzrosła - zauważył.

- Wiem - skinęła głową, po czym dodała: - Myślałam, że wszyscy śpią.

- Mam lekki sen.

- Jest tak gorąco, że nie mogę spać. Marzę o kropli deszczu.

Uniosła rękę do twarzy i otarła rękawem pot nad górną wargą. Wyglądała na bardzo wyczerpaną. Blade wyciągnął rękę po szmatkę.

- Daj, jak to zrobię, a ty się połóż.

- Nie. — Zignorowała jego wyciągniętą rękę i zmoczyła szmatkę w letniej wodzie.

- Jesteś zmęczona. Jeśli nie będziesz się oszczędzać, rozchorujesz się. Kto im wtedy pomoże?



- Później się prześpię - odparła poirytowanym tonem i westchnęła. - Chyba obudzę Willa za jakąś godzinę. Posiedzi przy Johnnym do rana. Wtedy będę mogła odpocząć.

Pomimo panującej ciemności wyczuł pytanie w jej spojrzeniu.

- Dlaczego zostałeś? Przecież mógłbyś dołączyć do twojego ojca, zamiast tkwić w tym strasznym obozie -' powiedziała.

- A ty czemu tu jesteś? - odparował. - Wystarczy, byś zawołała jednego ze strażników i powiedziała, że jesteś biała, a w ciągu godziny będziesz wolną kobietą.

- Jestem tu... z wielu powodów, lecz głównie dlatego, że oni są dla mnie jak rodzina.

- Ja też kocham moją żonę i syna.

- Mamo! - jęknął głośno chłopiec.

- Ciiii. - Eliza pospiesznie zaczęła wycierać mu twarz.

- Johnny? - Victoria uniosła się na łokciu. - Mój synek, jak on się czuje?

- Ma gorączkę - powiedziała Eliza. - Ale nie martw się, Victorio, posiedzę przy nim. A ty...

Chłopiec ponownie wezwał matkę.

- On mnie potrzebuje. Muszę pójść do niego.

Kiedy zaczęła wstawać, chwycił ją kaszel.

Blade w jednej chwili znalazł się przy niej, podtrzymał i ułożył na materacu.

- Nic już nie możesz zrobić.

- Ale on mnie wzywa. - Pomimo osłabienia próbowała go odepchnąć. - Chcę do mojego dziecka.

Nad Blade'em wyrosła nagle ciemna postać.

- Zabierz ręce od mojej matki - warknął Kipp. - Zostaw ją.

- Dość tego. - Will stanął między nimi, rzucając synowi ostrzegawcze spojrzenie.

Blade zmękł w ustach gniewną ripostę i wrócił na swoje posłanie. Victoria nadal upierała się, że jej miejsce jest przy chorym dziecku. Żadne argumenty Willa jej nie przekonały. W końcu przeniósł Johnny'ego na materac żony. Otuliła dziecko ramionami, szepcząc coś, gładząc po włosach i całując w czoło. Nie pozwoliła, by Will wycierał mu twarz i poił.

Na krótko przed świtem rozległ się jej przeraźliwy krzyk.

- Johnny!

Lecz on już jej nie słyszał. Odszedł do krainy ciemności.

Johnny'ego Gordona pochowano w wykopanym pośpiesznie grobie poza terenem obozu. Victoria nie przestawała rozpaczać, nawet kiedy wrócili do zagrody. Kiedy Will usiłował ją pocieszyć, odwróciła się od niego i przytuliła do Xandry, pragnąc w swoim dziecku znaleźć ukojenie. Will odszedł na bok i spuścił głowę przytłoczony ojcowskim smutkiem.

Po chwili podeszła do niego Eliza. Przyglądająca się im Temple usłyszała jej ciche słowa.

- Pamiętasz to popołudnie nad strumieniem? Wciąż widzę go śmiejącego się i piszczącego z radości, kiedy wskakujesz za nim do wody.

Z piersi Willa wydarł się gardłowy bolesny jęk. Wyciągnął rękę, którą Eliza natychmiast pochwyciła i mocno ścisnęła.

Trzy dni po śmierci Johnny'ego obóz obieżyła wiadomość, że John Ross wrócił z Waszyngtonu. Wszystkie jego wysiłki, zmierzające do unieważnienia traktatu, spełzły na niczym. Nie było już żadnej nadziei. Tak więc cierpienia, niedostatki i poniżanie, jakie musieli znosić, poszły na marne.

Mimo to żaden głos nie podniósł się przeciw Johnowi Rossowi. Wyrzuceni z własnych domów, spędzono do zagród jak bydło i przetrzymywano jak więźniów na własnej ziemi, ale nikt nie winił za to Rossa. To Eliasa Boudinota, Johna Ridge'a, jego ojca majora Ridge'a i innych członków grupy traktatowej obwiniano za wszystkie nieszczęścia.

Błade sądził, że gdy raz John Ross przyzna się do porażki, on zostanie oczyszczony z zarzutów. Przecież to właśnie Ross zdradził Czirokezów, obiecując im nadzieję tam, gdzie jej nie było. Nie tak jednak myśleli stronnicy wodza. Ich nienawiść do sygnatariuszy traktatu wzrosła.

Z każdym dniem jego syn stawał mu się coraz droższy. I z każdym dniem obojętność Temple sprawiała mu większy ból.



Temple przepchnęła się przez tłum kobiet, czekających na swoją kolej przy studni. Na ich twarzach odbijały się choroby, rozpacz i osłabienie wywołane upałem.

Temple odwróciła się i powiodła wzrokiem wzdłuż długiej, wolno posuwającej się kolejki. Ludzie czekali na odbiór tygodniowych racji żywnościowych. Jednak nigdzie nie zauważyła Xandry. Zobaczyła ojca, brata, Elizę i Shadracha, lecz Xandry z nimi nie było. Gdzież się ona podziewa? Przed godziną wyszła po wodę i do tej pory nie wróciła. Czy to możliwe, żeby się minęły? Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy. Strażnicy nie pozwoliliby jej przecież wyjść z obozu, a znając uległość siostry, nie sądziła, by mogła się poważyć na coś tak śmiałego jak ucieczka. Temple ruszyła więc z powrotem do zagrody.

W połowie drogi dostrzegła Blade'a niosącego kogoś w ramionach. Xandra! Puściła się biegiem ku niemu. Boże nie, modliła się w duchu. Jej matka jeszcze nie doszła do siebie po stracie Johnny'ego. Nie zniosłaby kolejnej straty.

Temple weszła do zagrody i przyjrzała się matce. Victoria spała. Nie zwracając uwagi na wesołe szczebiotanie syna, pospieszyła do miejsca, gdzie Blade położył Xandrę. Czarna Cassie pomagała mu właśnie położyć dziewczynkę na kocu. Jednak siostra opierała się, jęcząc cicho. Czyżby majączyła w gorączce? To niemożliwe.

Temple ukucnęła i odsunęła na bok Czarną Cassie.

- Idź posiedzieć przy mamie - poleciła i pochyliła się nad siostrą w momencie, kiedy Blade usiłował uwolnić się od jej ramienia otaczającego mu szyję.

- Nie! - jęknęła Xandra i mocniej się do niego przytuliła.

Temple patrzyła na siostrę zszokowana. W jej długich brudnych włosach było pełno trawy i liści, na policzkach widniały szare smugi od łez, a wzrok miała dziwnie błyszczący. Choć obejmowała Blade'a, jej ciało sprawiało wrażenie bezwładnego.

- Co jej się stało? - zapytała, starając się odciągnąć ją od Blade'a. W tym momencie Xandra odwróciła głowę w jej stronę i Temple poczuła ostry zapach whisky i wymiotów. - Ona jest pijana. Jak... - Nie musiała o to pytać. Whisky i tania wódkę stale szmuglowano do obozu. Dla wielu Czirokezów była lekarstwem na rozpacz. - Och, Xandro, dlaczego?

- To nie jej wina - powiedział Blade.

W tym momencie Xandra z urywanym szlochom odwróciła twarz i ukryła ją na piersi Blade'a. Temple dostrzegła, że siostra ma rozerwaną z przodu sukienkę.

- Porwałeś sukienkę, Xandro - zauważyła z wyrzutem i niechęcią w głosie, zastanawiając się, jak siostra może być tak nieuważna, wiedząc, że nie mają wielu ubrań na zmianę.

- To nie ona, to oni zrobili.

- Oni? - powtórzyła Temple zaskoczona. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z twardego tonu w głosie Blade'a. - Jacy oni?

- Dwaj żołnierze twojego porucznika zabrali ją do lasu. Chyba zwabili ją dzikimi winogronami. Nie bardzo potrafiła mi to wyjaśnić, kiedy ją znalazłem. - Umilkł. - Upili ją whisky, a potem trzymali na zmianę - wyjaśnił po chwili.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak - rzucił gniewnym głosem.

Jej mała siostrzyczka o gołębim sercu, tak nieśmiała, że kuliała się przy każdym ostrym słowie. Jak oni mogli ją zgwałcić?

- Xandro, o mój Boże. - Chciała ją objąć, lecz siostra skuliła się i przywarła mocniej do Blade'a.

- Zajmę się nią - powiedział.

Odsunęła się niechętnie, czując do niej lekką urazę, że wy-

brała Blade'a. Trzymał ją jak dziecko i delikatnie gładził po głowie.

- Jesteś już bezpieczna - powiedział stłumionym głosem. - Nie musisz się już bać. Nie pozwolę, by coś ci się stało.

- Oni... skrzywdzili mnie - załkała Xandra.

- Wiem - powiedział. - Ale już ich nie ma. Teraz ja jestem przy tobie.

- Nie zostawiaj mnie.

- Nie zostawię - przyrzekł.

Szeptał ciche uspokajające słowa, a Temple patrzyła w milczeniu i czuła, jak ogarnia ją wściekłość na własną bezradność, a jeszcze bardziej na tych mężczyzn, którzy skrzywdzili jej siostrę. Kiedy Blade położył Xandrę na swoim kocu, natychmiast obróciła się na bok, tyłem do Temple, i skuliła, jakby chciała się ukryć.

Zawsze była wstydliva i cicha, zbyt bojaźliwa, by zdobyć to, czego pragnęła, a nawet, by o to poprosić. Teraz leżała bez ruchu, w poplamionej i podartej sukience, z potarganymi włosami i smugami brudu na twarzy, niczym sponiewierana lalka.

Kipiąc z wściekłości Temple podniosła się z ziemi, zdecydowana zrobić wszystko, by sprawcy zapłacili za swój czyn. Poczowała czyjaś dłoń na swoim ramieniu i odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła przed sobą Blade'a, lecz nie mogła się na niczym innym skupić z wyjątkiem oślepiającego pragnienia zemsty.

- Którzy to? - zapytała niskim głosem.

- Nie wiem. Kiedy ją znalazłem, była sama.

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Powinno się ich powiesić. Najchętniej zabiłabym ich gołymi rękami. Żałuję, że nie mam broni, noża, czegokolwiek. Nienawidzę ich.

Przyglądał jej się spod oka.

- Jesteś nareszcie tą Temple, którą poślubiłem, porywczą i pełną życia - mruknął. - A nie zimną, beznamietną kobietą, którą widzę od miesięcy.

- A ty nie jesteś już tym mężczyzną, którego poślubiłam, lecz zdrajcą! - wybuchnęła, nie dostrzegając, że się cofnął, jakby go uderzyła. Była zbyt wściekła, by się przejmować, że go zraniła, zbyt przepełniona nienawiścią, by docenić jego troskę o Xandrę. Odwróciła się i wybiegła z zagrody prosto do biura komendanta, by

domagać się ukarania strażników, którzy dopuścili się tak haniebnego czynu na jej siostrze.

Tydzień później Jed Parmelee złożył jedną ze swych rzadkich wizyt w obozie. Wiedział już o wszystkim i wezwał Temple i jej ojca do biura komendanta, by poinformować ich o podjętych w tej sprawie krokach.

Nie był jednak w stanie patrzeć Willowi w oczy, widząc w nich rozpacz po stracie syna i gniew z powodu krzywdy wyrządzonej jego córce.

- Żołnierze, którzy dopuścili się tego godnego pożałowania czynu, są już w areszcie.

- Na jak długo? - zapytała Temple.

Zawahał się, po czym odpowiedział:

- Biorąc pod uwagę ich dotychczasową wzorową służbę, zostali skazani na dwa tygodnie odosobnienia. - Kiedy Temple wciągnęła gwałtownie powietrze, spuścił wzrok i dodał sztywno: - Przykro mi, lecz taki zapadł wyrok.

- Rozumiem - powiedział Will Gordon po długiej chwili ciszy.

- Ale ja nie.

Jeda zmroziły te pełne goryczy słowa.

- Czy zechciałby pan zaczekać na zewnątrz, panie Gordon? Chciałbym zamienić z pańską córką kilka słów na osobności.

- Naturalnie.

Kiedy Will odwrócił się z zamiarem wyjścia z pokoju, Jed spojrzał znacząco na komendanta obozu, starszego rangą oficera.

- Proszę nie zamykać za sobą drzwi, dobrze? - rzucił za nim.

Wątpił, by major miał coś przeciwko temu. W końcu był adiutantem generała.

Temple wstała z krzesła i podeszła do małego okna. Zbyt była zdenerwowana i rozsierdzona łagodnym wyrokiem, by docenić troskę Jeda o jej dobre imię.

Gorący wiatr wzbiał w górę chmurę czerwonego kurzu. Ten widok przypominał o własnym niechlujnym wyglądzie. Jej ciało, sukienkę i włosy pokrywała wielodniowa warstwa brudu. Od tygodni nie mieli mydła ani wystarczającej ilości wody. Nienawi-

dziła swego wyglądu. Nie chciała, by ktoś widział ją w tym stanie. Czuła się upokorzona i poniżona, lecz było to nic w porównaniu z tym, przez co przeszła Xandra.

Kiedy przebrzmiały kroki w pokoju, odwróciła się do Jeda z godnością, dumą i gniewem.

- Dwa tygodnie! I to ma być kara za to, co zrobili mojej siostrze? Powinieneś ją zobaczyć - rzuciła schrypniętym głosem. - Powinieneś zobaczyć ten strach i wstyd w jej oczach.

- Przykro mi.

- Nie potrzebuję twojej litości. Chcę, by ci mężczyźni ponieśli karę.

- Nic nie rozumiesz. - Westchnął i zmarszczył brwi z zakłopotaniem. - Ja... nie mogłem tego powiedzieć twemu ojcu, ale ci żołnierze przysięgali, że twoja siostra... wcale się nie broniła. Twierdzili, że piła z nimi whisky.

- To kłamstwo!

- Temple, nie ma żadnego dowodu na to, by kwestionować ich zeznania. Twoja siostra nie chciała rozmawiać z komendantem żandarmerii ani odpowiadać na żadne pytania.

- Ona z nikim nie chce rozmawiać - powiedziała Temple. Z wyjątkiem Blade'a, dodała w myśli. Od owego pamiętnego ranka Xandra stała się jego cieniem. Nigdzie się bez niego nie ruszała. Nawet sypiała obok niego. Kuliła się, kiedy tylko zbliżył się do niej ktoś z rodziny.

- Chciałbym móc coś zrobić - mruknął Jed.

- Wiem - przyznała w końcu.

- Nie mogę znieść, że przebywasz w tym obozie - wybuchnął. - To nie jest twoje miejsce.

- Podobnie jak żadnego z nas - odparła ze smutnym uśmiechem. - Zostaliśmy uwięzieni za to, że kochamy naszą ojczystą ziemię. I za to właśnie nas wypędzają.

Postąpił krok w jej stronę.

- Żałuję, że musisz stąd odejść. Żałuję... - Urwał. - Powiedz ojcu, że John Ross rozmawiał z generałem Scottem - dodał po chwili. - Zażądał, aby zamknięto wszystkie bary w pobliżu obozów i zakazano szmuglowania wódki. Generał wyraził na to zgodę. Wiem, że twojej siostrze to nie pomoże, ale...

- Wódz będzie rad, że innym zostanie to oszczędzone. Gorycz i złość są mu obce.

- Ross wyznaczył też komisję, która będzie dokonywać regularnych inspekcji w obozach i zbierać informacje o tym, czego ludziom brakuje z żywności, ubrań czy też medycznej pomocy.

- Mydła. Brakuje nam mydła - powiedziała, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

Spoglądał za nią, poruszony determinacją w jej głosie. Chciał czuć dla niej litość, lecz zamiast litości rósł w nim podziw i głęboki szacunek dla tej dzielnej kobiety. Po tym wszystkim, przez co przeszła, wciąż pozostawała nieugięta i dumna.

Ross uzyskał od generała Scotta znacznie więcej. Otrzymał pozwolenie na zorganizowanie i poprowadzenie ekspedycji Czirokezów na przeznaczone dla nich tereny na Zachodzie. Zwołana w tym celu rada miała opracować trasę marszruty, wyznaczyć specjalne oddziały konnej milicji i podzielić ludzi na grupy. Ross zgodził się przejąć na czas wędrówki odpowiedzialność za swoich ludzi.

Teoretycznie Czirokezi zostali zwolnieni z obozów na ich własną odpowiedzialność do dnia pierwszego września, wyznaczonego na termin wymarszu. Nie mieli jednak dokąd pójść. Obozy stały się teraz ich domami; zapewniały pożywienie, schronienie i pomoc medyczną. Ale przynajmniej mogli swobodnie chodzić po lesie, zbierać zioła, dzikie jagody i orzechy i w samotności żegnać się z ukochanymi górami i dolinami. Do dziennych racji dodano teraz kawę, cukier i mydło.

Ross powołał też komisję, która przyjmowała roszczenia o odszkodowanie za pozostawiony majątek. Lista, którą przedstawił Will Gordon, była jedną z dłuższych. Domagał się zwrotu pieniędzy za dwór, wszystkie piękne meble, liczne budynki gospodarcze, żywy inwentarz i powozy. Znalazły się też na niej bardziej skromne przedmioty, takie jak skrzypce czy imbryk do kawy.

Nadszedł wrzesień, lecz nie przyniósł spodziewanych opadów. Scott ponownie więc przesunął termin wymarszu, tym razem na październik.





*Rattlesnake Springs, Tennessee.  
Październik 1838*

Rzeńskie ranne powietrze pachniało ostro dymem unoszącym się z tysięcy ognisk. Cały teren, z górą dziesięciu mil kwadratowych, zajmowały namioty, wozy, konie, woły i ludzie czekający w punkcie zbornym na wymarsz w długą drogę na Zachód.

Dziwne zamyślenie i cisza panowały w obozowisku, które Will Gordon śledził wzrokiem. Ostatniego dnia września znad Smoky Mountains na północy napłynęły nad Tennessee i Georgię chmury burzowe, przynosząc deszcz spieczonej ziemi i kończąc długi okres suszy. Ponownie w strumieniach pojawiła się woda, przybyło jej w rzekach, znów też ruszyły młyńskie koła.

Respektując słowo dane Scottowi przez Johna Rossa, który przekonał generała, aby pozwolił Czirokeezom zorganizować i poprowadzić marszrutę, ludzie zgromadzili się w Rattlesnake Springs - miejscu zbiórki. Zebrało się ich tu około trzynastu tysięcy, wliczając w to Murzynów. Na twarzach Czirokeezów malowała się powaga, a serca przepełniał smutek.

- Will?

Odwrócił się, słysząc głos Elizy.

- Już czas - powiedziała.

- Tak. - Przez chwilę zatrzymał na niej wzrok, przyglądając się złocistym plamkom w piwnych oczach i burzy jasnoblonde loków okalających twarz. Poczul, jak wzbiera w nim miłość i wdzięczność

dla tej niezłomnej kobiety. Nie chcąc, by dostrzegła jego uczucia, ponownie utkwiał wzrok w rozległym obozowisku. Wyczuł, że poszła za jego spojrzeniem.

- Blade miał rację - powiedziała po chwili. - Naród to ludzie, nie ziemia. To zbiorowy duch, nie granice. Wszyscy ci ludzie tworzą naród, z prawami, konstytucją, władzami i dziedzictwem. To wielka rzecz. Można być z tego dumnym.

Znajdujące się w siedzibie Zgromadzenia Narodowego w Red Clay świadectwa narodowej tożsamości starannie zapakowano, by można je było zabrać do ich nowej ojczyzny. Zawierały one nie tylko konstytucję i kodeks praw, lecz także traktaty, jakie Czirokezi zawarli z białymi, by zaspokoić ich apetyty, i korespondencję ze wszystkimi prezydentami Stanów Zjednoczonych, poczynając od Jerzego Waszyngtona, a kończąc na Martinie Van Buren.

Lecz uwagę Willa zwróciło pierwsze zdanie wypowiedziane przez Elizę.

- Nie rozumiem go.

- Kogo?

- Blade'a. Zdradził nas wszystkich podpisując ten układ. Mimo to w obozie nie domagał się lepszego traktowania. Wiadomo, że sygnatariuszom traktatu rząd przyznał specjalne przywileje. Jednak Blade nie upomniał się o zwiększone racje żywnościowe. Jednocześnie wyruszyła grupa siedmiuset czy ośmiuset osób z wozami, końmi i służącymi. Mógł się do nich przyłączyć i odbyć fysiędwustumilową trasę we względnie dobrych warunkach. Byłby wśród przyjaciół, a nie w otoczeniu tych, którzy uważają go za zdrajcę i traktują z pogardą i lekceważeniem.

- On nigdy nie kierował się osobistymi korzyściami. I twoje słowa są tego najlepszym dowodem - powiedziała Eliza. - Myślę, że inni zaczynają to rozumieć. Może się mylę, a może przywykłam już do tego, ale okazywana mu wrogość nie jest już tak silna jak na początku. Nawet Kipp traktuje go życzliwiej.

- Muszę przyznać, że odzyskał część utraconego szacunku - stwierdził Will. - Może z czasem mu wybaczę, lecz nigdy nie zapomnę tego, co zrobił.

- Wiem. - Skinęła głową, a w jej oczach rozbłysły łzy. - On również o tym wie. Zastanawiam się tylko, co jest gorsze.

Nie potrafili znaleźć na to odpowiedzi. Przed nimi ciągnął się długi rząd wozów, który znikał w gęstym lesie. Temple i pozostali członkowie rodziny zgromadzili się przy jednym z nich.

Cztery grupy już rozpoczęły długą podróż. Oni byli w piątej. Było w niej około czterdziestu wozów załadowanych paszą dla koni i wołów, kocami, garnkami i zapasami, które miały wystarczyć na pierwszy etap. Resztę mieli dokupić po drodze.

Tylko osobom starym, bardzo małym dzieciom, chorym i słabym pozwolono jechać na wozach. Z wyjątkiem dziesięciu jeźdźców tworzących oddział czirokeskiej milicji, reszta miała iść pieszo, niosąc na plecach jedynie niezbędne rzeczy.

Will ułożył Victorię na wozie, starając się nie zauważać jej wychudzonego wyglądu i ziemistej cery, a także głębokiej melancholii i smutku w oczach. Moszcząc jej posłanie pocieszał się w duchu, że towarzyszy im medyk. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie się do kogo zwrócić.

- Spróbuj odpocząć - powiedział.

Kiedy chciał odejść, chwyciła go za ramię.

- Pomyśl o naszych zmarłych dzieciach, Will. Zawsze pragnęłam być z nimi pochowana. A teraz wyjeżdżamy.

- Wiem. - Poklepał ją po dłoni. Dzieci, zawsze te dzieci.

Kiedyś czułyby się dotknięty, że nie chce być pochowana razem z nim. Teraz już się z tym pogodził. Pochylił się i pocałował żonę w policzek.

Temple przełożyła wiercącego się synka na drugie ramię i spojrzała na wyłaniającego się z wnętrza wozu ojca.

- Jak mama? - spytała.

- Dobrze.

Oboje wiedzieli, że to nieprawda, ale Temple przyjęła jego odpowiedź i powiodła spojrzeniem wzdłuż rzędu wozów, wyznaczającego kierunek ich marszruty. Ludzie żegnali się z przyjaciółmi i krewnymi, którzy mieli wyruszyć w następnych grupach.

Z przodu wozu stał Blade, a obok niego Xandra. Temple poczuła na sobie jego wzrok, lecz nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

Do jej uszu dobiegł tętent kopyt końskich. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła jeźdźca w czaku z piórem i niebieskim mundurze

z oficerskimi epoletami. Natychmiast domyśliła się, że to Jed Parmelee. Ściągnął wodze i uśmiechnął się do niej. Narowisty rumak zatańczył w miejscu. Na ten widok Lije zaklaskał w ręce z uciechy.

- Konik, mama - powiedziała i spojrzała na nią z dumą błękitnymi jak mundur Jeda oczami.

- Tak, to konik, Lije - zaśmiał się Jed. - Wkrótce koniki przestaną być dla niego nowością - rzucił lekkim tonem, jakby widzieli się zaledwie wczoraj, a nie prawie przed miesiącem.

- Miałam nadzieję, że będę mogła pożegnać się z tobą przed odjazdem - powiedziała Temple i złapała Lije za rączkę wyciągającą się ku końskiemu pyskowi.

- Nie żegnamy się. Jadę z wami aż do Terytorium Indiańskiego. Oczywiście jako obserwator — dodał z kwaśnym uśmiechem.

W tej chwili koń Jeda obrócił się wokół własnej osi, zmuszając Temple do usunięcia się na bok. Nie była pewna, czy cieszy się z tego, że Jed z nimi jedzie. W tej chwili czuła jedynie zakłopotanie.

- Przed nami długa droga - powiedziała niepewnie.

Natychmiast spowaźniał i spojrzał na nią ze smutkiem.

- I jeszcze dłuższy marsz.

Dano hasło, by ruszać. Strzeliły bity. Zewsząd dochodziły pokrzykiwania i przekleństwa woźniców. Wozy zaskrzypiały i potoczyły się w przód. Temple odwróciła się od Jeda i zaczęła iść, niosąc syna na rękach.

Niecierpliwy rumak rwał się do biegu, lecz Jed mocno go trzymał. W pewnym momencie dostrzegł konia niosącego na swym grzbiecie dwie osoby. Był to mąż Temple i jej siostra. Ich oczy na chwilę się spotkały. Porucznik dostrzegł w nich niechęć. Nie czuł wyrzutów sumienia. Mimo że Temple była poślubiona Stuartowi, nie układało się między nimi najlepiej. Może był głupcem, wierząc, że ma jeszcze jakąś szansę, ale musiał spróbować.

Popuścił wodze i koń niecierpliwie wyrwał do przodu. Z lewej strony minęli las mieniący się kolorami jesieni.

Kawalkada wozów i ludzi miała długość ponad ćwierć mili. Jedowi przypominała przemarsz wojska: na przedzie jechali oficerowie wskazujący drogę, w środku wozy, a z tyłu kolejna grupa jeźdźców i piechota - mężczyźni, kobiety i dzieci, idący w niewielkich grupkach przy swoich wozach.

Po przejściu kilku mil na północ karawana wozów przekroczyła rzekę Hiwassee i podążyła wraz z jej nurtem, do miejsca, gdzie rzeka wpadała do Tennessee. Stąd szlak wiódł na południe od Pikesville do McMinnville i Nasłmle, a dalej do Cumberland. Najpierw jednak musieli przekroczyć rzekę Tennessee.

Temple z Lije przytroczonym na plecach stała wraz z Elizą przy barierce promu, spoglądając na rozciągającą się przed nimi taflę wody. Ich długa podróż dopiero się rozpoczęła, a ona już miała obolałe stopy, nogi i całe ciało. Po drugiej stronie rzeki widać było wzniesienie Walden's Ridge. Kiedy Temple patrzyła na wznoszące się przed nią szczyty Wyżyny Cumberland, które mieli pokonać, czuła, jak mięśnie odmawiają jej posłuszeństwa. Instynktownie przysunęła się bliżej Elizy.

- Jak długo będziemy musieli się wspinać? - zapytała.

- Wolę nie wiedzieć - odpowiedziała Eliza, odwracając wzrok. W swoim dotychczasowym życiu przeszła na piechotę wszystkiego jakieś dwie mile. Tu zaś miała do pokonania ponad tysiąc.

Kiedy prom wpłynął w nurt rzeki, zadrżał, zmagając się z silnym prądem usiłującym go zepchnąć z kursu. Napięte grube liny trzeszczały groźnie. Gdy dopłynęli na drugi brzeg, do Willa podjechał dziwnie ubrany biały mężczyzna.

- To pan jest tym Gordonem, który miał plantację z dworem w Georgii.

- Tak - odpowiedział Will wyprowadzając konia na brzeg.

- W takim razie jest mi pan winny osiemdziesiąt dolarów za ziarno. Myślałeś pan, że uda ci się wyjechać bez zapłacenia, co?

- Za ziarno płacę w chwili, kiedy je nabywam. Musiał się pan pomylić.

- To pan się mylisz, jeśli sądzisz, że ci dam z tym spokój. Od-daj mi moje osiemdziesiąt dolarów - zażądał mężczyzna. - I nie mów, że ich nie masz, bo rząd zapłacił wam niezłe odszkodowa-nie.

- Przekazałem listę osobistych dóbr, które zmuszeni byliśmy zostawić, ale nie otrzymałem jeszcze żadnego odszkodowania. Niewielu z nas je otrzymało - dodał szorstko. - Pańskie informacje sa równie fałszywe, jak ten pański dług.

- Mam zamiar odzyskać moje osiemdziesiąt dolarów w ten czy

inny sposób - oświadczył mężczyzna, po czym spojrzął na schodzącego z promu Kippa, który prowadził konia. - Kto to jest?

- Mój syn.

- Skoro pan twierdzisz, że nie masz pieniędzy, zabieram wasze konie. - I wyrwał Willowi wodze z ręki.

Will usiłował protestować, lecz na próżno. Czirokeska milicja była bezradna, bo nie miała władzy nad białymi. Rozkazy wydane Jedowi Parmelee też zabraniały jakiegokolwiek interwencji. Mógł jedynie obserwować i odnotowywać w dzienniku takie incydenty.

Tego wieczoru zapisał więc całe zdarzenie, zaznaczając również wysokość żądanej przez mężczyznę kwoty. Był to jeden z pierwszych takich zapisów, które potem zaczęły się mnożyć. Od tego dnia biali oszuści stali się istną plagą Czirokezów. Zabierali srebro, konie, woły, a czasami nawet wozy w zamian za domniemane długi. Ta forma kradzieży była zaledwie jednym z wielu sposobów rozboju, jakich dopuszczano się na Indianach. Podnoszono opłaty za prom. Kazano sobie płacić za przejście przez dany teren. Farmerzy i kupcy podnosili ceny towarów, podwajając, potrajając, a czasami nawet cztery razy zwiększając cenę.

Ta chciwość przyprawiała Jeda o mdłości, zwłaszcza kiedy widział, jakie trudy musieli znosić ci dumni ludzie. Wbrew otrzymanym rozkazom starał się pomagać, kiedy i gdzie mógł, pchając wóz, który utknął w koleinie, podnosząc tych, którzy upadli lub zbierając żywicę z sosny, z której po podgrzaniu robiło się klej do kół.

Po przejściu jednej trzeciej części stromego odcinka Temple zatrzymała się dla złapania oddechu. Lije zmęczony i zniecierpliwiony niewygodną pozycją na plecach matki, nie przestawał wiercić się i kaprysić. Od dźwigania go bolały ją ramiona. Nie miała siły ani chęci dalej iść. Zbierało jej się na płacz.

Minał ją wóz, ciągnięty przez parę koni. Zwierzęta nisko pochyłały łby, wbijając kopyta w ziemię. Woźnica popędzał je przekleństwami i strzelaniem z bata. Temple przyglądała się temu bezmyślnie, wsłuchując się w trzaski i jęki ciężkiego wozu.

- Nic ci nie jest, Temple? - postężyła tuż obok głos Elizy.

W tym momencie zimny wiatr smagnał ją po twarzy. Uśmiech-

nęła się lekko na widok spalonych słońcem i wiatrem policzków Elizy. Z brązowymi włosami i piwnymi oczyma wyglądała jak Cziro-keзка. Już miała jej to powiedzieć, lecz zdobyła się jedynie na krótkie:

- Nie, nic.
- Daj, poniosę trochę Lijego.

Propozycja była kusząca, lecz zrezygnowała z niej, kiedy zauważyła potężny toból na plecach Elizy. Poczowała wyrzuty sumienia. Ona miała do niesienia tylko syna.

- Nie trzeba. Dam sobie radę.

Spuściła głowę i ruszyła pod górę stromym stokiem. Skórzane podeszwy jej trzewików były niemal zupełnie zdarte. Przy każdym kroku czuła pod stopami kamienie i grudki ziemi. Miała również obtartą skórę na wewnętrznej stronie ud.

Przy wyjątkowo ostrym odcinku drogi pochyliła się w przód, starając się w ten sposób zrównoważyć niesiony na plecach ciężar. Tiiż przed sobą dostrzegła zgarbioną sylwetkę starej pani Hanks podpierającej się kijem. Staruszce nigdy nie uda się wejść na szczyt bez pomocy, przemknęło jej przez głowę. W tym momencie poczuła, jak kawałek skały usuwa jej się spod nóg. Poleciała w przód, instynktownie wyciągając przed siebie ręce, by zamortyzować upadek. Przez kilka sekund nie mogła się ruszyć. Dłonie ją piekły, a kolano boleśnie pulsowało.

- Temple! - dobiegł do niej głos Elizy.

Lije zaczął głośno płakać. Nie ruszała się, czekając, aż ból i zmęczenie zelżeją, potem ostrożnie oparła ciężar ciała na kolanie.

Nagle tuż przed sobą zobaczyła obute w mokasyny stopy i silne ręce Blade'a uniosły ją w górę.

- Nic ci się nie stało?
- Nie.

Spojrzała na jego mocno zarysowaną szczękę i zaciśnięte usta i natychmiast odwróciła wzrok w stronę stojącego obok konia. Siedziała na nim Xandra, jak zwykle cicha i obojętna i jak zwykle wpatrzona w Blade'a. Byli tak nierozłączni, że mogłoby się wydawać, iż Xandra jest jego żoną. Zazdrość to wstrętne uczucie i Temple nienawidziła go.

- Wsiadaj na konia za Xandrą. Dojedziesz na szczyt na koniu
- oznajmił Blade.

Już chciała się zgodzić, kiedy uświadomiła sobie, że ręce Blade'a nadal ją podtrzymują. Odsunęła się instynktownie.

- Nie.

- Może jechać na moim koniu - odezwał się Jed Parmelee, zeskakując na ziemię.

- Pojedzie na moim, poruczniku. Pan jest tu tylko obserwatorem. - W spokojnym tonie Blade'a czaiło się wyzwanie.

- Nie pojedę na żadnym - rzuciła gniewnie. - Pomóżcie lepiej pani Hanks albo temu chłopcu z obandażowaną stopą. Ja mogę iść pieszo.

- Może i możesz, ale nie pójdziesz. - Blade nie dał jej czasu do namysłu, chwycił ją w tali i uniósł na siodło.

- Mogę iść - próbowała protestować, lecz on już się odwrócił i ruszył w górę stoku.

Wystarczyło zsunąć się z siodła, jeśli chciała iść, lecz nie miała na to siły. Cudownie było tak po prostu siedzieć z luźno zwisającymi nogami. Objęła Xandrę w tali i przytuliła policzek do jej ramienia, poddając się wszechogarniającemu zmęczeniu. Przynajmniej raz milczenie siostry jej nie przeszkadzało.

Kiedy mijali panią Hanks, Temple poczuła wyrzuty sumienia, lecz po kilku minutach uspokoiła się, widząc, jak Jed zatrzymuje się przy niej.

Byli jednak inni. Zawsze byli inni. Starła się nie patrzeć, jak z mozołem pną się w górę. Blade wziął na ręce kulejącego chłopca i pozwolił, by starszy mężczyzna chwycił się końskiego ogona. Reszta jednak musiała radzić sobie sama.

Kiedy dotarli na szczyt, koń stanął. Temple niechętnie zsunęła się na ziemię i kolana się pod nią ugięły. Oparła się na chwilę o bok konia, po czym spojrzała na siostrę.

- Nic ci nie jest, Xandro - rzuciła tonem wymówki. - Inni muszą iść pieszo i ty też możesz.

Odpowiedzią było milczenie. Później, kiedy dotarli do miejsca postoju, zobaczyła, że Xandra idzie pieszo. Następnego dnia również nie wsiadła na konia.





*Nashville, Tennessee.  
Początek listopada 1838*

Blade zgarbił się i szczerzej otulił kołnierzem kurtki. Przez cały dzień siał zimny drobny deszcz. Kurtka pachniała moką wełną, a całe ciało przenikała wilgoć. Stopy w przemoczonych mokasynach zupełnie zdrętwiały. Na grzbiecie konia siedziała tym razem matka z trojgiem małych dzieci. Jedno z nich, niewiele młodsze od jego syna, było chore.

Jadący przed nim zatłoczony wóz podskakiwał i kołysał się na wyboistej drodze. Z jego wnętrza dochodziły jęki chorych i niedołączonych. Tysiące kopyt i stóp, które przeszły tędy przed nimi, rozryły ziemię, tworząc poszarpane koleiny. Nieprzerwanie padająca mżawka zmieniła drogę w gęste czerwone błoto, utrudniając marsz. W powietrzu unosiła się mgła utrudniająca widoczność. Lecz nawet przy ładnej pogodzie Blade wątpił, by mógł zobaczyć jadące na czele kawalkady wozy. Rozciągała się ona bowiem na długość mili. Pierwsze pojazdy dotarły już zapewne do miejsca postoju w pobliżu miasteczka kiedyś noszącego nazwę French Lick, a obecnie Nashville.

W tym momencie przypomniał sobie, że gdzieś tu niedaleko mieszka Andrew Jackson. Po odejściu ze stanowiska wrócił on na swoją farmę Hermitage pod Nashville. Przed dziesięciu laty tego właśnie dnia wybrano go na prezydenta. W inauguracyjnym przemówieniu ogłosił, że przesiedli wszystkie indiańskie plemiona na

Zachód. Twardo i zdecydowanie parł do celu, odrzucając wszelkie kompromisy. I w końcu dopiął swego. Ich exodus był tego najlepszym dowodem.

Ciekawe, czy Jackson choć raz przyjechał, by popatrzeć na wędrujących Czirokezów. Wątpliwe. Ostatnio pojawiły się pogłoski, że niedomaga - coraz gorzej słyszy, stracił wzrok w prawym oku i cierpi na zaniki pamięci. Podobno miał też kłopoty finansowe. W końcu dosięgła go sprawiedliwość, pomyślał. Na pewno ani jeden Czirokez nie pomyśli o nim ze współczuciem.

Idąca obok Xandra poślizgnęła się na grudzie błota. Usiłował ją powstrzymać przed upadkiem, lecz nie zdążył.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, kucając przy niej.

Pokręciła przecząco głową i usiłowała wstać, lecz dłonie ześlizgnęły się po błocie.

- Pomogę ci.

Kiedy otoczył ją ramieniem w talii, przypadkiem dotknął ręką brzucha. Zesztywniała, wyczuwając jego zaokrąglony kształt, wskazujący na brzemienny stan. Ostrożnie podciągnął dziewczynkę w górę. Spuściła głowę i unikała jego wzroku, starając się ukryć twarz pod kocem.

- Jesteś przy nadziei, Xandro? - zapytał spokojnie, choć kipiał gniewem.

Skinęła głową.

- Ale nikt nie może się o tym dowiedzieć - szepnęła.

Zamknął na moment oczy.

- Xandro, musisz im powiedzieć.

- Nie - załkała, po czym odepchnęła go i poszła dalej.

Kiedy utrudzeni marszem dotarli na miejsce wyznaczone na obóz, mżawka przeszła w regularny deszcz, który nie pozostawił suchego kawałka do spania, ani suchej gałęzi do rozpalenia ognia. Jakos jednak zebrali chrust, ścinając gałęzie ze środka drzewa i rozpalili małe ogniska pod płóciennymi dachami, by móc przygotować ciepły posiłek i przynajmniej trochę się wysuszyć.

Blade nalał kawy do blaszanego kubka i odstawił dzbanek na płaski kamień przy ognisku. W samym rogu namiotu, w najciemniejszym

kącie, siedziała skulona Xandra. Unikała Blade'a, odkąd odkrył jej sekret, który starała się ukryć pod fałdami sukienki i kocem.

On jednak patrzył nie na nią, lecz na płócienny dach wozu, czekając, aż pojawi się Eliza. Przed kilunastoma minutami weszła do środka z talerzem papki z mąki kukurydzianej dla Victorii.

Temple stała pod płóciennym dachem. Spojrzała w stronę Blade'a, po czym przysunęła się do ogniska i wyciągnęła ręce nad płomienie, drżąc na całym ciele. Zaprzagnął podejść do niej i rozgrzać jej zmarznięte ciało, lecz ona dała mu jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie jego towarzystwa ani miłości.

Trudno było mu to znosić, zwłaszcza kiedy widział, jak rozmawia z porucznikiem Jedem Parmelee. Musiała wiedzieć, że ten człowiek jest w niej zakochany. Miała wiele wad: była uparta, nieprzejednana, zmienna, lecz nie była ślepa. Nie zachęcałaby porucznika, gdyby tego nie chciała. Dziwiło go, że jeszcze się tu nie zjawił. Ale wieczór przecież się nie skończył.

Otulona kocem postać zeskoczyła z wozu na ziemię. Odstawił kubek na odwróconą dnem do góry beczkę i wyszedł spod dachu na deszcz. Pokonał biegiem grząski odcinek, mijając po drodze Kippa niosącego naręcze mokrego chrustu. Eliza nie zauważyła Blade'a i omal na niego nie wpadła, uciekając przed zimnymi strugami deszczu.

Zatrzymała się w ostatniej chwili i uniosła w górę głowę. Koc zsunął jej się z czoła, odsłaniając mocno skręcone wilgotne loki.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała nieco drżącym głosem.

- Przepraszam.

Z wozu dobiegł szarpiący kaszel. Blade spojrzał w tamtym kierunku, a potem na opróżniony do połowy talerz w dłoni Elizy.

- Jak ona się czuje?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Mocno się dziś wytrzęsła. W dodatku to zimno i wilgoć... tylko wzmaga jej kaszel.

Zrobiła ruch, jakby zamierzała iść w stronę ogniska.

- Muszę z tobą zamienić parę słów na osobności.

- Naturalnie. - Spojrzała na niego z ciekawością. - O czym?

- O Xandrze. Jest przy nadziei — powiedział bez ogródek, starając się w ten sposób stłumić płonący w nim gniew.

Eliza spojrzała na niego zaskoczona, po czym przeniosła wzrok na skuloną postać pod płóciennym dachem. W jej oczach błysnęła smutek i litość.

- Jest przerażona i zawstydzona. Potrzebuje kobiety. Jesteś jej potrzebna, Elizo.

Nie musiał nic więcej mówić. Eliza przebiegła szybko po grząskim błocie. Kiedy znalazła się pod dachem, strząsnęła wodę z koca i odstawiła talerz na kamień przy ognisku.

W głowie huczała jej jedna myśl: Biedna Xandra. Biedna kochana Xandra. To niesprawiedliwe. Dziewczyna dość już wycierpiała. Wiedziała jednak, że nie litość była jej potrzebna. Podeszła wolno i przykucnęła przy niej, zbierając pod siebie fałdy sukni, by ochronić je przed błotem. Xandra jeszcze bardziej spuściła głowę i ukryła twarz pod kocem. Cała się trzęsała. Eliza nie potrafiła powiedzieć, czy z zimna, czy ze strachu.

- Xandro, wiem wszystko - powiedziała cicho. - Blade mi powiedział. - Dziewczyna zaczęła mocniej dygotać. - Spójrz na mnie - poprosiła. Kiedy nie doczekała się żadnej reakcji, ujęła w dłonie otuloną kocem twarz i uniosła ku sobie. Z zaciśniętych oczu Xandry spływały łzy, a broda i wargi drżały. - Proszę, spójrz na mnie. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie będzie - wymamrotała.

Eliza miała ochotę się rozpłakać. Odczuła ulgę. Były to pierwsze słowa, które Xandra do niej wypowiedziała od czasu owego strasznego wydarzenia.

- Wszystko się ułoży - powiedziała zdecydowanie. - Bez względu na to, co myślisz, wszyscy nadal cię kochamy i zawsze będziemy kochać.

Xandra nieznacznie uniosła powieki. Wargi miała mocno zaciśnięte, a twarz skrzywioną z bólu. Eliza, która też zaczęła płakać, objęła ją i przytuliła.

- Wszyscy się teraz dowiedzą, prawda? - wyszeptwała Xandra. - Tak mi wstyd.

- Ciiicho. Jakoś to będzie.

- Zaczną patrzeć na mnie jak na Blade'a. Będą mnie nienawidzić.

- Nieprawda, kochanie.

Lecz Xandra nie chciała jej słuchać. Eliza pozwoliła jej się

wypłakać i po prostu ją obejmowała, kołysząc w przód i w tył. Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia.

- Co się stało? — zapytała Temple, stając nad nimi.

Eliza zawahała się. Wiedziała, że nie może pozostawić pytania Temple bez odpowiedzi, ale nie chciała też urazić Xandry.

- Twoja siostra jest przy nadziei.

- Powiedziała ci to?

Eliza pokręciła głową i wskazała na Blade'a.

- Ona myśli, że teraz będziemy jej nienawidzić, ale powiedziała, że jest niemądra. Mam rację?

- Tak, oczywiście - mruknęła Temple, zaskoczona, że jej mąż właśnie Elizę wybrał na powiernicę sekretu Xandry.

Wyprostowała się i odwróciła wolno. Blade pił coś z kubka i patrzył na nią. Przemoczone włosy połyskiwały mu w świetle ogniska. Podeszła do niego, czując złość i rozgoryczenie.

- Dlaczego? - zapytała ze ściśniętym gardłem. - Dlaczego powiedziałeś o tym Elizie? To ja jestem siostrą Xandry. Dlaczego mnie nie powiedziałeś?

- Bo uznałem, że Eliza potrafi okazać zrozumienie i wsparcie, którego Xandra potrzebuje.

- I uważasz, że ja nie mogę?

- Nie tak dobrze jak Eliza.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Jeszcze nie rozumiałaś? Twoja siostra cię potrzebuje, tymczasem to Eliza jest przy niej. A ty stoisz tu i dyskutujesz ze mną. Dlaczego? Bo twoje uczucia zostały zranione. Bo dbasz tylko o to, co ty czujesz.

- To nieprawda!

- Nigdy cię nie obchodziło, co ja mogłem czuć, kiedy ode mnie odeszłaś. I teraz też cię nie obchodzi. - Z tymi słowy odwrócił się i odszedł.

Chciała krzyknąć za nim, że obchodzi ją, co on czuje, i to bardzo. Dlatego tak ją zranił, kiedy nie przyszedł się z nią zobaczyć. Obchodzi ją siostra! Podeszła do Xandry i pomogła Elizie ją uspokoić.

Zostali w Nashville przez trzy dni, odpoczywając po trudach podróży przez Wyżynę Cumberland. Leczyli chorych i rannych,

naprawiali wozy i gromadzili zapasy na dalszą drogę. Przez dwa dni padał deszcz. Dopiero trzeciego mogli wysuszyć ubrania i koce.

Zbliżała się zima, a oni przeszli mniej niż trzecią część drogi. Zaczynał się dawać we znaki brak odpowiedniego przyodziewku. Złapani latem i spędzeni do obozów tak jak stali, nie mieli teraz czym ochronić się przed chłodem. Musiały im wystarczyć koce, które otrzymali od wojska. Brakowało im butów, a jeśli je nawet mieli, tak jak Temple i Eliza, były dziurawe.

Przemęczenie, zła pogoda, noclegi na wilgotnej ziemi i lato spędzone w opłakanych warunkach obniżyły ich odporność. Kiedy wyruszyli w dalszą drogę, na północny zachód do Kentucky, wielu chorowało.

Groby zaczęły znaczyć ich szlak. Pod Hopkinsville, nad drewnianą płytą pomalowaną na biało, powiewała biała flaga, znacząc grób Białej Ścieżki, jednego z ich sędziwych wodzów. Temple zatrzymała się przy nim wraz z ojcem, by pomodlić się za czcigodnego starca i za nich samych.

Wieści, które docierały do nich z innych grup, mówiły o powszechnym zniechęceniu i rozpacz. Wielu obawiało się, że ich petycje o odszkodowanie za pozostawione mienie, które przekazali przed odjazdem komisarzom rządowym, nie zostaną uczciwie rozpatrzone albo że zabiorą je fałszywi wierzyciele.

Mieli już za sobą przeszło dwieście mil. Zawrócić nie mogli. Ruszyli więc w dalszą drogę, która jednego dnia była zmarznięta, drugiego zaś błotnista. Nie zmieniał się tylko wiatr wiejący im w oczy.



*Missisipi po stronie Illinois.  
Styczeń 1839*

Wolne rytmiczne uderzenia kilofa przywodziły na myśl bicie dzwonów żałobnych. Eliza patrzyła w milczeniu, jak Blade, Deu i Shadrach wykopują grób w zmarzniętej, zasypanej śniegiem ziemi. Obok spoczywało owinięte w koc ciało Ikego. Klęczała przy nim Czarna Cassie, kiwając się wolno w przód i w tył, nie zwracając uwagi na Phoebe, która starała się ją pocieszyć. Ochrypłe zawodzenie zrozpaczonej kobiety mieszało się z wyciem wiatru.

Ike, czarny kowal Willa, zakończył życie. Trudno było uwierzyć, by ten wielki i silny mężczyzna mógł umrzeć na zapalenie płuc. Choć tak wielu już zmarło, tę śmierć Eliza odczuła wyjątkowo boleśnie. Otuliła się mocniej kocem, chowając nawet nos.

Może to nie śmierć Ikego zrobiła na niej takie wrażenie, lecz przerażająca świadomość, że znaleźli się oto w pułapce bez wyjścia. Kiedy dotarli tu przed dziesięcioma dniami, okazało się, że dalsza podróż jest niemożliwa. Missisipi zamarzła, lecz lód był zbyt kruchy, by utrzymać ciężar wozów, ale jednocześnie zbyt gruby, by mógł przebić się przez niego prom. Wszyscy ugrzęźli na tym skrawku ładu między rzekami Ohio i Missisipi, wydani na pastwę siarczystego mrozu i szalejących śnieżyc. Właściwie wszyscy już teraz chorowali. Do chorób, jakie dosięgły ich w obozach, takich jak dyzenteria, odra, koklusz, doszły teraz odmrożenia, grypa, suchoty i zapalenie płuc.

Po drugiej stronie skutej lodem Missisipi leżało Cape Girardeau. Nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy tam dotrą. Mieli już za sobą ponad połowę drogi. Podróż przewidziano na około dziewięćdziesiąt dni. Tymczasem trwała o wiele dłużej, a do przejścia pozostało im jeszcze czterysta mil.

Eliza zastanawiała się, czy wytrzymają, czy ona wytrzyma. Właściwie co ona tu robi? - pomyślała w panice. W tym momencie przysunął się do niej Will i osłonił ją przed wiatrem. Natychmiast poczuła się bezpieczniej. Wiedziała już, dlaczego tu jest i dlaczego nie odejdzie.

Do grobu podjechał Jed Parmelee. Eliza patrzyła z zazdrością na jego grubą opończę, wełniany szalik i grube rękawiczki. Zsiadł z konia, rzucił wodze na śnieg i podszedł do grobu. Bez słowa wziął od Shadracha szpadel i zaczął kopać zmarzniętą ziemię. Shadrach przyglądał się jego pracy, chuchając w owinięte szmatkami dłonie.

- Już czas, mamó - powiedział, kiedy grób był gotowy, spoglądając w jej zalane łzami oczy.

Wybuchnęła na nowo łkaniem, patrząc, jak syn klęka przy ojcu i odwija brzegi koca.

- Co ty robisz? - zapytała przez łzy.

- Tacie on już się nie przyda, a nam tak.

- Nie! - Chwyciła go za rękę. - Nie możesz włożyć go wprost do tej zimnej ziemi.

- On już nie czuje zimna. Na pewno by chciał, byśmy wzięli jego koc.

- Shad ma rację. - Phoebe zadrżała pomimo otulającego ją pledu i pary spodni Deu, które miała pod cienką letnią sukienką.

- Na pewno by nam kazał go zabrać.

Cassie płakała rozpaczliwie, kiedy Shadrach odwijał długie ciało jej męża, odziane w podartą koszulę i domowej roboty spodnie, które przytrzymała para szelek. Stopy, ręce i głowę miał odkryte.

Cała rodzina, prócz Victorii, patrzyła, jak Deu, Blade i Jed Parmelee składają ciało Ikego do grobu. Było zbyt zimno, by przedłużać ceremonię. Wszyscy postąpili krok w przód, by oddać hołd zmarłemu, wyrazić współczucie jego żonie i dzieciom. Prze-



rażliwy mróz nie pozwalał na żadne gesty. Potem całą grupą wrócili do błogosławionego ciepła ogniska. Został tylko Deu, by zasypać grób.

Jed stanął przy ogniu i ściągnął szalik, by odetchnąć cieplejszym powietrzem. Nie zdejmując rękawiczek grzał dłonie i wpatrywał się w płomień, nieświadomie poruszając zeszywniałymi z zimna ustami.

Letnie upały były już tylko odległym wspomnieniem. Niedostatek wody wstrzymywał wówczas wymarsz Czirokezów. Jed był przekonany, że gdyby Scott wiedział, jak bardzo ci ludzie będą cierpieć z powodu okrutnej zimy, ponownie odroczyłyby termin.

Jej ofiarą padły już setki ludzkich istnień. Śmiertelność wśród Indian dochodziła do dwudziestu procent, nie wliczając w to niewolników takich jak Ike. Kiedy to się skończy? Ilu jeszcze zostanie po drodze?

Nigdy dotąd nie czuł się taki bezradny. Oddał wszystkie zapasowe ciepłe ubrania - koszule, skarpety, flanelowe kalesony, spodnie, buty i mundury, nie bacząc, że są własnością wojska. Niech go za to ukarzą. Nie będzie stać i patrzeć na cierpienia innych. Nie tylko on starał się pomóc. Brat Johna Rossa, prowadzący jedną z grup obozujących w pobliżu Jonesboro, pojechał na północ do St. Louis kupić za własne pieniądze koce i ubrania.

Do uszu Jeda dobiegł ostry kaszel, zagłuszający przyjemny trzask ognia. Początkowo nie zwrócił na niego uwagi, sądząc, że to Blade. Słyszał, jak kaszle przy kopaniu grobu, i przypuszczał, że mąż Temple przeziębził się. Jednak ten dźwięk był inny.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak dwuletni synek Temple zachłystuje się powietrzem, wstrząsany atakiem kaszlu, po czym wypływa przezroczysty lepki śluz. Natychmiast rozpoznał te symptomy.

- Czy doktor oglądał Ljiego?

Temple pokręciła przecząco głową i mocniej owinęła płaczące dziecko.

- Do tej pory miał tylko lekki kaszel.

- Sprowadzę lekarza.

Po niecałej godzinie wrócił w towarzystwie zmarzniętego, przemęczonego i przepracowanego medyka. Obejrzał on dziecko, po czym nalał sobie kawy i stał chwilę grzejąc się przy ognisku.

- Pani syn ma koklusz — poinformował Temple. - W tej chwili niewiele mogę zrobić. Jeśliby wymiotował w czasie kaszlu, proszę go często karmić. I potrzeba mu dużo snu. Mam w torbie buteleczkę laudanum. Zostawię ją pani, ale proszę nie dawać mu więcej niż cztery krople, najwyżej trzy razy dziennie. Jeśli będzie miał kłopoty z oddychaniem, proszę posłać po mnie. W przeciwnym razie... - Wzruszył ramionami i wypił łyk kawy. - Jak tam pani matka? Mógłbym ją obejrzeć, skoro tu jestem — powiedział ciężko wzdychając.

- Pójdę z panem - zaproponowała Eliza. — Właśnie zamierzałam włożyć jej pod materac kilka gorących kamieni.

- Moja matka też nam wkładała ciepłą cegłę do łóżka na noc, kiedy ja i mój brat byliśmy dziećmi. Piekielnie niewygodne, jeśli przypadkiem się jej dotknie.

Ruszył w stronę wozu i w tym momencie Blade zakaszła. Doktor zatrzymał się przy nim.

- Nie podoba mi się ten kaszel. Czy boli pana w piersiach? Może i pana powinienem zbadać?

- Nie - machnął ręką Blade.

- Jak pan uważa. I tak mam pełne ręce roboty. Proszę mi przypomnieć, bym zostawił buteleczkę laudanum - dodał.

Północy wiatr hulał wśród drzew, kiedy Eliza szła przez las w poszukiwaniu suchych gałęzi. Każdego dnia trzeba było zapuszczać się coraz głębiej. Ciekawe, na jak długo starczy jeszcze chrustu, pomyślała. Potem trzeba będzie zacząć ścinać drzewa. Dobrze, że w ogóle są. Trudno sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby nie mieli czym rozpalić ognia.

Poczuła pod stopą coś twardego. Odgarnęła śnieg i dorzuciła kolejną suchą gałązkę do już zebranych. Stanęła, by zobaczyć, jak sobie radzą Kipp i Xandra. Przez chwilę wydało się jej, że jest zupełnie sama, otoczona jedynie nagimi pniami drzew. Wreszcie

dostrzegła jakiś ruch z lewej strony. Ktoś opierał się drzewo. Xandra. Ale Kippa nigdzie nie było.

Zerknęła niespokojnie w niebo pokryte gęstymi szarymi chmurami. Zrobiło się późno i w każdej chwili mógł spaść śnieg. Gdzie się podziewa Kipp? Czemu pozwoliła im odejść tak daleko?

Ruszyła spiesznie w kierunku dziewczyny.

- Xandra! Gdzie jest Kipp? - zawołała. W odpowiedzi Xandra zaczęła powoli osuwać się na ziemię.

Eliza zamarła z przerażenia, po czym rzuciła się do biegu, czując zimny dreszcz przebiegający jej po plecach. Kiedy znalazła się przy niej, nie mogła złapać tchu, a nogi bolały ją od wysiłku. Uklękła przy skulonej pod drzewem dziewczynie.

- Xandro, co ci jest?

Nie zwracając uwagi na zsuwający się koc i wiązkę chrustu, chwyciła Xandrę pod brodę i uniosła jej głowę. Dziewczyna była kredowobiała i najwyraźniej strasznie cierpiała. Eliza wciągnęła gwałtownie powietrze widząc śmierć i przerażenie w jej oczach. Xandra otworzyła usta, lecz nie była w stanie niczego powiedzieć. Po chwili stłumiony jęk wydarł jej się z piersi. Eliza zauważyła, że trzyma się za brzuch.

- O Boże, nie. Tylko nie dziecko - wyszeptwała. Było jeszcze za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie. - Musimy cię zabrać do obozu. No chodź, Xandro. Pomóż mi. - Chwyciła ją pod pachy i usiłowała podnieść. Wtedy zobaczyła czerwoną plamę krwi na białym śniegu. - Kipp! - krzyknęła. Wiedziała jednak, że nie może na niego czekać.

Chwyciła Xandrę pod pachy i przyciskając jej ręce do piersi, zaczęła ją wlec po śniegu. Xandra wiła się z bólu, także Eliza musiała wyteńczyć wszystkie swe siły. Kiedy myślała już, że nie da rady i będzie musiała zostawić Xandrę i pobiec po pomoc, pojawił się Kipp.

Nie mogąc ustać w miejscu Eliza odeszła od ogniska płonącego przy namiocie doktora. Nie chciała grać się przy ogniu. Will stał przy ognisku i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w płomień. Gdyby tylko Xandra nie odeszła tak daleko lub gdyby po prostu

zapytała ją, jak się czuje, zanim poszły do lasu po chrust, może zauważyłaby, że coś jest nie w porządku. Boże, czy to ona zawiniła? Zacisnęła mocno powieki, starając się w ten sposób stłumić ból i wyrzuty sumienia, i natychmiast zobaczyła przed oczami czerwoną plamę krwi na śniegu. Wciągnęła gwałtownie powietrze, usiłując powstrzymać szloch, ściskając gardło.

Odwróciła głowę i zobaczyła Blade'a opartego o róg wozu. Podeszła do niego. Ostatnio ludzie przestali się nim interesować. Pochłaniała ich teraz walka o przetrwanie. Dawne urazy odeszły na bok.

Xandra mogła umrzeć. Tak bardzo krwawiła, przypomniała sobie z drżeniem Eliza.

- Tak długo to trwa - mruknęła.

- Tak - odpowiedział Blade i zaniósł się ciężkim kaszlem.

- Temple pewnie się tam martwi. Może któreś z nas powinno wrócić i powiedzieć jej, że jeszcze nic nie wiadomo.

- Poślij Parmelee. Nie przepuści okazji, by ją pocieszyć. — W jego słowach była gorycz i zazdrość, choć głos brzmiał obojętnie.

Eliza z bólem obserwowała Blade'a i Temple. Jeszcze tak niedawno łączyło ich silne uczucie, uczucie, przejawiające się w każdym słowie, geście i spojrzeniu.

Z namiotu wyszedł doktor. Natychmiast wszystkie oczy skierowały się ku niemu. Przez kilka sekund się nie odzywał. Kiedy podniósł głowę, malujące się na twarzy przygnębienie wystarczyło za słowa.

- Bardzo mi przykro. - Westchnął i podszedł do ognia. - Nie udało mi się jej ocalić.

- A dziecko? - zapytał Will.

- To był chłopiec. Nie miał żadnej szansy.

- Boże. - Eliza starała się stłumić płacz. - Czemu wcześniej jej nie znalazłam?

- Nawet gdyby była tu ze mną, kiedy to się stało, i tak bym jej nie uratował. - powiedział. - Nie w tych warunkach. A może i w ogóle nie byłoby to możliwe.

Zapewne miał rację, lecz Eliza wiedziała, że do końca życia będzie ją to dręczyć. Kiedy Will ruszył w jej stronę, miała ochotę

uciec, przekonana, że zobaczy w jego oczach oskarżenie. Dostrzegła jedynie ból i rozpacz. Dotknął dłonią jej policzka i wytarł kciukiem spływającą łzę.

- Wiem, że ty też bardzo ją kochałeś - szepnął.

Ukryła twarz na jego piersi i rozpłakała się na dobre.

Następnego ranka pochowali Xandrę i jej martwego synka.

..Johnny, jego syn, służący, córka i jej dziecko nie żyli. Will siedział owinięty kocem przy ogniska. Czuł w sobie ogromną pustkę. Ciało miał zdrętwiałe od mrozu, a umysł ogarnęła apatia. Znalazł się w punkcie, w którym nie mógł już płakać.

Posłyszał czyjeś kroki na śniegu, lecz nie odwrócił głowy. Temple przykucnęła obok niego. W rękę trzymała talerz, z którego unosiły się cienkie smużki pary.

- Mama nie chce nic jeść. Wciąż pyta o Xandrę. - Umilkła, czekając na jego reakcję, lecz on milczał. - Nie możemy dłużej utrzymywać tego przed nią w tajemnicy. Już się domyśliła, że coś się stało. Musimy jej powiedzieć.

Zamknął oczy, pragnąc uciec od jej głosu. Żeby rozmawiać, trzeba było myśleć. A żeby myśleć, trzeba było coś odczuwać. Wolał stan odrętwienia, który ogarnął go dziś rano nad grobem.

- Ja jej powiem - usłyszał cichy głos Elizy.

- Nie. - W pierwszej chwili nawet nie zdawał sobie sprawy, że to on wypowiedział to słowo. Myśli zaczęły płynąć jedna za drugą. Nie mógł pozwolić Elizie, żeby przekazała Victorii wiadomość o śmierci Xandry. Nie z powodu wyrzutów sumienia, którymi się gryzła, ale dlatego, że to był jego obowiązek. Xandra jest... była ich córką. W tej samej chwili poczuł promieniujące od ognia ciepło, chłód od ziemi i... tępy ból w piersi. - Ja jej powiem.

Wstał. Zesztywniałe mięśnie nóg protestowały przy każdym kroku, lecz zmusił je do wysiłku. Kiedy wchodził na wóz, pojazd jęknął, zatrzeszczał i zakołysał się pod jego ciężarem. Nisko pochylony przeszedł wąskim przejściem do miejsca, w którym leżała Victoria, i usiadł przy jej materacu.

- Temple powiedziała, że nie chcesz jeść.

Victoria leżała otulona niczym mumia egipska. Spod koców wystawała jedynie chuda twarz o zapadniętych oczach. Poczuł unoszący się w powietrzu zapach choroby. Jego żona wyglądała na zmęczoną i apatyczną. Obawiał się, jak zareaguje, gdy jej powie.

- Może ci zimno? Poproszę Czarną Cassie, żeby rozgrzała kilka kamieni.

- Co z Xandrą? - zapytała schrypniętym głosem. Odwrócił wzrok od czarnych oczu, w których zawsze widział troskę. - Nie żyje, prawda?

- Tak. Pochowaliśmy ją dziś rano.

Nastawił się na wybuch rozpacz, tymczasem z jej piersi wydarło się jedynie drżące westchnienie.

- Wiedziałam - szepnęła. - Tej nocy przyszła do mnie we śnie. Trzymała w ręku popsutą lalkę i płakała, bo nie umiała jej naprawić. - Poczuł w piersi ostry ból, tak silny, że nie był w stanie oddychać. Victoria wpatrywała się w dach wozu, falujący lekko pod wpływem wiatru. - Przyrzeknij, że pochowasz mnie razem z nią, Will.

Już miał skinąć głową, lecz nagle dotarł do niego sens jej słów. Powiedziała „z nią”, jakby spodziewała się rychłej śmierci.

- Nie mów tak, Victorio - odparł z lekką irytacją w głosie. - Przecież nie umierasz.

- Przyrzeknij. - Próbowała usiąść, nie spuszczać z niego rozgorączkowanego spojrzenia.

Straszliwy, szarpący kaszel wstrząsnął jej ciałem. Przytrzymał ją, czekając, aż atak minie. Żałował, że od razu nie przystał na jej prośbę.

W końcu kaszel ustał, ale Will miał wrażenie, jakby pozbawił ją resztek sił. Jeszcze bardziej zbladła i patrzyła na niego błagalnie, poruszając ustami w niemej prośbie.

- Przyrzekam.

Zamknęła oczy i usmiechnęła się lekko. Siedział przy niej długo, po czym cicho wyszedł z wozu.

Victoria umarła we śnie tej samej nocy. Kiedy Will powiedział, że Victoria prosiła, by pochowano ją razem z Xandrą, Temple natychmiast zaprotestowała.

- To się nie godzi.

- Tego życzyła sobie twoja matka, a ja przyrzekłem spełnić jej wolę.

- Kiedy? Tego wieczoru? - Nagle uświadomiła sobie, co to znaczy. - A więc wiedziała... wiedziała, że umrze.

Pokręciła głową.

- Myślę, że nie mogła już znieść rozłąki z dziećmi. Nie tylko z Johnnym i Xandrą, lecz także z twoimi braciszkami i siostrzyczkami, które umarły dawno temu.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem.

- Jesteś matką, Temple. Powinnaś wiedzieć. Dzieci są zawsze na pierwszym miejscu. Dla Victorii zawsze były... Zawsze. — W jego głosie zabrzmiały ból i rozpacz.

Powoli zaczynała rozumieć sens jego słów. Matka bardziej kochała dzieci niż jego, ich potrzeby były zawsze najważniejsze. Czuł się tym głęboko zraniony.

Jasne błękitne niebo i świecące słońce sprawiały, że świat wyglądał weselej, lecz mróz nadal trzymał. Temple usiadła blisko ognia, tuląc do siebie kaszlącego synka. Potrzeba ciepła zdominowała wszystkie inne, nawet tak podstawowe jak jedzenie i woda. Mróz zagłuszał smutek i nadzieję, nie dopuszczając żadnych uczuć. Przed trzema dniami pochowali matkę, a potem wrócili do ogniska, by ją opłakiwać.

Ogień stał się najważniejszy.

Temple usiłowała przypomnieć sobie senne letnie popołudnia w Gordon Glen, gdy na niebie świeciło słońce, a gorący wiatr niósł wytchnienie. Te chwile wydały jej się takie odległe. Teraz istniało tylko zimno, nie kończące się zimno oraz skupisko grobów wokół obozu i wzdłuż całego szlaku ich wędrówki. Może oni też umrą.



Przytuliła mocniej synka do piersi. Lije zapiszczał w proteście, odchylając głowę do tyłu. Nechętnie rozluźniła uścisk.

Na oblodzonej ziemi zachrząściły kopyta końskie. Temple obejrzała się przez ramię. Jed Parmelee zsiadł z konia, przywiązał wodze do wozu i podszedł do ognia. Przysiadł na piętach i wyciągnął ręce do ciepła. Przy każdym oddechu wydobywał się z jego ust biały obłoczek pary. Jed popatrzył na Temple, potem przeniósł wzrok na dziecko.

- Jak tam Lije?

- Bez zmian.

Ani lepiej, ani gorzej. Temple jednak potrafiła znaleźć w tym jakąś pociechę. Już trzy osoby zmarły w jej rodzinie, a także ich kowal Ike.

- To dobrze. Doktor mówił, że koklusz trwa parę tygodni. Wyzdrowieje. - Jeśli nie nastąpią jakieś komplikacje, takie jak zapalenie płuc. Lecz tego Jed już nie powiedział. Dość było tragedii w jej życiu, by straszyc ją ewentualnością następnej. - Byłem nad rzeką. Lód wydaje się topnieć. Jeśli taka pogodna utrzyma się przez kilka dni, prom wkrótce ruszy.

- Proszę pani! - rozległ się zaniepokojony głos Phoebe. - Lepiej niech pani przyjdzie.

- Co się stało? - Poderwała się na nogi.

- Pan Blade. Jest bardzo chory. Nie pozwala Deu sprowadzić doktora, a w płucach mu strasznie rżęzi. Nie wiem, co robić. — Słowa wydobywały się z jej ust z kłębami pary. Musi mu pani pomóc. Jest w namiocie. Deu jest z nim, ale...

Kiedy Jed dostrzegł w oczach Temple przerażenie i strach, stłumił uczucie zazdrości. Jednak nie przestała go kochać. Przez cały czas wiedział, że Blade pragnie, aby do niego wróciła, mimo to sądził, że Temple... Zresztą co to ma teraz za znaczenie?

- Zaopiekuj się Lije. - Oddała dziecko Elizie i odwróciła się w jego stronę. - Mógłbyś sprowadzić doktora?

- Ale pan Blade powiedział... - zaczęła Phoebe.

- Nie dbam o to, co powiedział! - W jej głosie zabrzmiały niecierpliwość, irytacja i troska. — Sprowadź doktora.

- Już po niego jadę - obiecał Jed. Odwróciła się szybko i pobiegła do namiotu Blade'a. Odprowadził ją wzrokiem.

- Wciąż go kocha - mruknęła stojąca obok Eliza.

Jed rzucił jej wściekłe spojrzenie. Na twarzy Elizy malowało się zamyślenie, a usta lekko się uśmiechały.

Kiedy Temple wsunęła się do namiotu, powitał ją gwałtowny kaszel. Spojrzała na owiniętą kocami postać leżącą na zimnej mokrej ziemi, z głową opartą na kolanach Deu.

- Bałem się, że pani nie przyjdzie - powiedział Deu, unosząc głowę na jej widok.

- Jak on się czuje? - zapytała, klękając przy chorym.

- Źle. Robiłem, co mogłem, by go z tego wyciągnąć. Naprawdę.

Przez chwilę Temple spoglądała w jego czarne oczy. Deu kochał Blade'a równie mocno jak ona. Blade nigdzie się bez niego nie ruszał. Nie przypuszczała jednak, że łącząca ich więź wykracza daleko poza troskę pana o służącego i lojalność sługi wobec pana. Było w niej coś głębszego. Deu obejmował Blade'a, jakby był jego bratem. Zaskoczyło ją to odkrycie, zaraz jednak przestała o tym myśleć.

- Doktor jest już w drodze. - Dotknęła czoła Blade'a: było rozpalone.

Chory drgnął, otworzył oczy i spojrzał na nią błyszczącymi oczyma.

- Temple? - Głos z trudem wydobywał mu się z gardła.

- Tak.

Starąła się uśmiechać, lecz zbyt była przerażona jego stanem i chrapliwym oddechem. Tak niedawno jeszcze pomagał kopać grób dla Ikego, potem sam wykopał grób dla Xandry i zaledwie przed trzema dniami pomagał chować jej matkę. A teraz sam był umierający.

Zmarszczył brwi, a w oczach pojawił się błysk irytacji.

- Deu, mówiłem, żebyś nie... - Ostry kaszel nie pozwolił mu dokończyć zdania.

Temple starała się go nie słyszeć, walcząc z ogarniającym ją uczuciem bezradności.

- Deu, przynieś kilka gorących kamieni. Musi być mu ciepło. Zostanę przy nim do przyjazdu doktora.

- Ale musi go pani nieco unieść. Ciężko mu oddychać, kiedy leży.

- Potrzymam go. - Tego właśnie jej brakowało. Tak dawno już go nie obejmowała.

Kiedy minął kolejny atak kaszlu, zamieniła się miejscami z Deu i ułożyła głowę Blade'a w zgięciu ramienia.

Zrobił ruch, jakby chciał ją odepchnąć.

- Lije...

- Eliza się nim zajmie.

Ta odpowiedź najwyraźniej go uspokoiła. Czy też może nie miał już siły się sprzeciwiać? Temple nie zastanawiała się nad tym. Ich syn nie potrzebował jej tak bardzo jak mąż.

Zapalenie płuc, orzekł doktor. Dwa dni i dwie noce przesiedziała Temple przy mężu, pojąc go gorącym bulionem i zmieniając okłady na piersi, jedynie na krótko pozwalając, by zastąpił ją Deu. Bała się usnąć w obawie, że Blade może jej potrzebować i że umrze, jeśli nie będzie przy nim czuć.

Przestało mieć znaczenie, że od trzech lat była przygotowana na jego śmierć. Teraz kiedy prawie się o nią otarł, bała się, że może go stracić na zawsze. Nie miały znaczenia powody, dla których opuściła go przed dwoma laty.

Kiedy Deu pod koniec trzeciego dnia wszedł do namiotu, była odrętwiała z niewyspania i zimna. Zachwiała się, wyciągając rękę po kubek z gorącym bulionem.

- Ja go nakarmię - powiedział Deu.

Nie miała siły zaprotestować. Zabrał bezwładne ciało Blade'a z jej kolan, a Temple z trudem usunęła się na bok. Zesztywniałe mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa.

- Byłoby dobrze, gdyby pani trochę odpoczęła - powiedział Deu.

Skinęła głową, jednak nie była w stanie się położyć. Siedziała z podkulonymi nogami i wpatrywała się w twarz Blade'a, czując się strasznie samotna bez ciężaru jego ciała na kolanach.

Unióś powieki, kiedy Deu przytknął mu kubek do ust. Bronił się przed jedzeniem, odwracając głowę i mamrocząc coś cicho.

- Proszę to wypić - przekonywał go Deu. - Phoebe specjalnie dla pana ugotowała bulion. Będzie zła, jeśli pan go nie spróbuje. No proszę, chociaż troszeczkę.

Blade zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

- Myślałem... myślałem, że Temple tu jest - wyszeptał.

- Jestem. - Walcząc ze sztywnością nóg, podpełzła do niego i pochyliła się, by mógł ją zobaczyć. - Jestem przy tobie.

- Nie zostawiaj mnie... - jęknął ledwie dosłyszalnie.

- Nie zostawię. Będę cały czas przy tobie.

Wraz z tą obietnicą spłynął na nią spokój. Nie opuści go ani teraz, ani kiedy wyzdrowieje. Wszelkie wątpliwości zniknęły. Gdyby mogła cofnąć miesiące, które spędzili z dala od siebie, natychmiast by to zrobiła. Wyrządziła mu krzywdę, opuszczając go. Wyrządziła krzywdę im obojgu.

Przed dwoma laty była przekonana, że tak będzie lepiej dla ich syna. Teraz przypomniła sobie wszystkie te chwile, które Blade spędzał z Lije, bawiąc się z nim lub po prostu pozwalając, aby się wokół niego kręcił. Czy dziecko nie powinno doświadczać ojcowskiej miłości? Czy nie powinno dorastać przy ojcu, nawet gdyby dowiedziało się o haniebnym postępku, jakiego się dopuścił? Blade źle postąpił, lecz ona również popełniła błąd, opuszczając go. Teraz to rozumiała i modliła się, by nie było za późno.

- Wypij ten bulion - powiedziała drżącym głosem. - Musisz wyzdrowieć. Proszę cię, wyzdrowiej. - Oparła mu głowę na brzuchu i rozplakała się cicho, kryjąc twarz w kocu.

Po pewnym czasie zamknęła oczy - tylko na chwilę. Kiedy je otworzyła, w namiocie było ciemno. Natychmiast wyczuła, że coś się zmieniło. Usiadła na kolanach i pochyliła nad Blade'em. Leżał zupełnie płasko.

- Nie - wyszeptała przerażona i przysunęła się, by go unieść, lecz czyjeś ręce ją powstrzymały.

- Proszę mu pozwolić spać - szepnęła jej do ucha Deu.

- Ale...

- Ciii. Proszę posłuchać. Lżej teraz oddycha. Nie słychać już tego rżenia w płucach.

Znieruchomiała.

- Polepszyło mu się, prawda? - Wprost bała się w to uwierzyć.

— Za tydzień lub dwa będzie jak nowo narodzony. Proszę się teraz przespać, bo inaczej to on będzie musiał panią pielęgnować. - Rozpłakała się czując ogromną ulgę. Deu ułożył ją delikatnie przy przy chorym i przykrył oboje kocem. - Proszę się o nic nie martwić. Będę czuwał przez całą noc.

Prom załadowany pierwszą partią wozów odpłynął od brzegu, rozpychając lodowe kry. Jed Parmelee obserwował go ze wschodniego brzegu Missisipi. Znowu ruszali w drogę.

Tej nocy zanotował w swoim dzienniku datę rozpoczęcia następnego etapu podróży po miesięcznym postoju. Obserwować i raportować - takie było jego zadanie. Jednak wiele z tych obserwacji zachował dla siebie. Między innymi tę, że Temple wraz z czarnym służącym jej męża wsadziła Blade'a na konia i przywiązała do siodła. Gdzieś w głębi duszy Jed miał nadzieję, że ten człowiek umrze. Nienawidził siebie za to, ale nie mógł temu zaprzeczyć. Faktem było również to, że Blade nadal był chory, a do końca podróży pozostało jeszcze wiele mil.

Kiedy już wszyscy znaleźli się po drugiej stronie Missisipi, na północ od Cape Girardeau, okazało się, że wzdłuż południowego szlaku prowadzącego przez Arkansas nie ma zwierzyny ani wystarczających zapasów żywności. Dlatego zmuszeni byli ruszyć północną trasą przez Missouri.

Lodowaty arktyczny wiatr hulał po prerii chłoszcząc i mroząc wędrowców. Zmęczeni, źle ubrani, osłabieni ciężką wędrowką i chorobami musieli teraz stawić czoło okrutnej zimie.

Zdarzały się chwile, kiedy Jed miał tak skostniałe z zimna nogi, że ledwo mógł usiedzieć w siodle. Zatrzymywał się przy każdym ognisku rozpalonym przez prowadzących grupę, po czym jechał do następnego, mijając po drodze idących z mozołem Cziorokozów.

Każdego dnia mijał coraz więcej grobów. Jedne wyrąbywano w zmarzniętej ziemi, drugie właśnie zasypywano. Prawie każdej nocy ktoś umierał. Jednak każdego ranka widział Blade'a przywiązanego do siodła i otulonego kocami i idącą obok niego Temple.

Rzadko zdarzało się, by grupa przechodziła dziennie piętnaście

mil. Dziesięć to było maksimum, a każda mila ponad to była uważana za sukces. Pogoda się nie zmieniała - trzymał silny mróz, któremu towarzyszył lodowaty wiatr. Jed nigdy nie był pewny, czy to, co słyszy, to wichura, jęki chorych czy też płacz żałobników. Towarzyszyły mu one nieprzerwanie od Cape Girardeau, przez Jackson, Farmington, Potosi, Rolla i Lebanon aż do Springfield w Missouri. Tu droga skręcała na południowy zachód. Wraz ze zmianą kierunku zaczęły padać deszcze, przechodzące niekiedy w deszcze ze śniegiem. Nadal jednak było bardzo zimno.

Biali mieszkańcy okolicznych miasteczek i farm rzadko oferowali wędrowcom strawę i nocleg pod dachem. Jed nie bardzo im się dziwił. Czirokezi bowiem zmienili się w wynędzniałą, obdartą gromadę, nękaną zakaźnymi chorobami, bez środków na zapłacenie za żywność i nocleg.

W dodatku Missouri był pogranicznym stanem, który dopiero co uwolnił się od walczących Indian. Słowo Indianie kojarzyło się mieszkańcom tych stron z okrucieństwem. Mało kto chciał uwierzyć, że Czirokezi niewiele wiedzą o wojnie. Większość z nich była farmerami, niektórzy, jak Gordonowie, mieli wielkie plantacje, inni zaś uprawiali małe poletka kukurydzy, bawełny, tytoniu, podobnie jak farmerzy z Missouri.

Niewiedza rodzi niefność. Jed nic nie mógł na to poradzić.

Temple objęła Blade'a ciasno ramionami, starając się powstrzymać dreszcze, które wstrząsały jego ciałem. Jej ubranie i koc były kompletnie mokre z powodu nieprzerwanie padającego deszczu. Za każdym razem, kiedy wydawało się jej, że stan Blade'a ulega poprawie, wszystko zaczynało się od nowa. Bała się, że nie będzie w stanie znieść kolejnej nocy, leżąc w przemoczonym ubraniu na mokrej ziemi.

Urywany kaszel towarzyszył miarowemu bębnieniu deszczu. Temple spojrzała na brnącą w błocie Elizę. Wielki garb, który miała na plecach, to był jej syn. Lije również potrzebował suchego odzienia i ciepłego kąta do spania. Przy tym deszczu nie było na to szans.

Prowadzący konia Deu odwrócił się w jej stronę.

- Tam na wprost rozbijają obóz. Widzę kilka namiotów.

Idąc za jego ręką, dostrzegła białą smużkę dymu wydobywającą się z komina pobliskiej chaty. Obok stała solidna stodoła. Temple nie namyślając się zsunęła się z siodła, wzięła wodze od Deu i pociągnęła konia we wskazanym kierunku.

- Temple, dokąd idziesz? - zawołała za nią Eliza.

- Chodźcie za mną - poleciła, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia. Nie miała siły niczego wyjaśniać. Była zbyt zmarznięta, zbyt zmęczona i zbyt mokra.

Kiedy dotarła do domu, rzuciła wodze i podeszła do siodła. Chwilę mocowała się z małym tobołkiem przytroczonym z lewej strony. Wreszcie go odwiązała. Gdy zbliżyła się do stopni ganku, powitało ją wściekłe ujadanie psa. Stanęła i spojrzała niepewnie na drzwi, zastanawiając się, czy zdoła do nich dojść. Pies szczekał coraz bardziej zajadle, kiedy nadeszli ojciec i Eliza.

- Temple, to nie ma sensu — powiedział Will.

- Skąd możesz to wiedzieć? - rzuciła gniewnie.

W tym momencie w drzwiach stanął mężczyzna i krzyknął na psa. Szczekanie natychmiast zmieniło się w skomlenie. Kiedy jednak Temple zrobiła krok w przód, pies zastąpił jej drogę, warcząc groźnie.

- Jesteście z tej gupy wędrujących Indian, tak? - zapytał mężczyzna, spoglądając na nich spod grubych krzaczastych brwi. Siwe włosy poprzytykane czarnymi okalały starą pomarszczoną twarz, ogorzałą od ciągłego przebywania na powietrzu. Temple starała się nie dostrzegać strzelby, którą trzymał w rękach. - Jeśli przysłicie tu żebrac, to się wynoście. Nic nie dostaniecie. No, jazda. Wynocha stąd, bo poszczuję was psem.

- Proszę mnie wysłuchać... Mój mąż i synek są chorzy. Potrzebny nam jakiś suchy kąć do spania. Czy pozwoliłby im pan przenocować w stodole? - Zaczęła szarpać nerwowo za mokry węzeł, zaciskający worek. - Zapłacę panu. - Wsunęła zeszywniałe palce do sakiewki i wyciągnęła z niej srebrną broszkę. - Proszę.

Spojrzał na nią podejrzliwie i podszedł do schodów. Wielki ametyst błysnął ciemną purpurą, a otaczające go perły wyglądały niczym płatki śniegu.

Eliza aż westchnęła na widok klejnotu.

- Nie powinnaś się tego pozbywać - zaprotestowała gwałtownie.

Ale mężczyzna wziął już broszkę do ręki, by lepiej się jej przyjrzeć. Temple starała się nie myśleć, że oto oddaje cenną pamiątkę, która od lat była w jej rodzinie. Oddałaby więcej za ciepłe i suche legowisko.

- Ile was jest? - zapytał mężczyzna, lustrując ich wzrokiem.

- Dziesięcioro - odparła Temple. - Mój ojciec, brat, moja... - tu zawahała się, niepewna, jak nazwać Elizę - kuzynka, ja, mój syn, mąż i czwórka czarnych. Pozwoli nam pan przespać się w stodole? Na pewno nic nie zginie.

Obracał broszkę w palcach.

- Chyba da się to załatwić. Stoicie tu i trzęsiecie się jak zmokłe kury. Byłbym bez serca, gdybym was odprawił - rzucił burkliwie.

- Możecie spać w stodole.

Temple poczuła, jak kolana się pod nią uginają. Zanim zdążyła mu podziękować, powiedział.

- Ładne cacko. Mojej żonie by się spodobało, ale już trzy lata, jak ją pochowałem. A mnie takie rzeczy niepotrzebne. Niech pani to sobie zatrzyma. - Wcisnął Temple broszkę w dłoń, odwrócił się i ruszył do drzwi. Zaraz jednak zatrzymał się i spojrzął na nich przez ramię. - W stodole mam krowę z cielakiem. Może sobie pani wziąć trochę mleka dla małego.

- Dziękuję.

Mruknął coś pod nosem i zniknął we wnętrzu domu.

Godzinę później pojawił się w stodole z koszykiem świeżych jajek i kołdrami pod pachą.

- Pewnie się wam przydadzą,

Położył wszystko na podłodze i wyszedł. Temple wybiegła za nim.

- Przepraszam, jak się pan nazywa?

Spuścił głowę, a z ronda kapelusza spłynął strumień wody.

- Cosgrove. Hiram Cosgrove.

- Ja jestem Temple Stuart - powiedziała, wyciągając do niego rękę. Ucisnął ją niezręcznie. - Dziękuję, panie Cosgrove. Teraz będę mogła powiedzieć synowi, kto nam pomógł. Dziękuję.



- To nie miejsce i czas na podziękowania. Lepiej niech pani wraca do stodoły - rzucił szorstko.

Postała chwilę, po czym odwróciła się i wbiegła do środka.

Jakiś czas później Temple leżała obok Blade'a. Oboje byli zakopani głęboko w sianie i owinięci w jedną z ciepłych suchych kołder pana Cosgrove'a. Ich własne mokre koce i ubrania schły rozwieszane na belkach. Wciągnęła w nozdrza intensywny zapach siana, starając sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz było jej tak dobrze i ciepło. Blade poruszył się i zadrżał.

- Zimno ci? - szepnęła i natychmiast przytuliła się do niego, by ogrzać go swoim ciałem. - Tak lepiej?

- Nie chcę czuć się lepiej - mruknął schrypniętym głosem.

- Dlaczego?

Obrócił się twarzą do niej. Siano głośno zaszeleściło.

- Przecież oboje wiemy, że kiedy wydobrzeję, nie będziesz już przy mnie leżała. Nie chcę wyzdrowieć, bo to oznacza, że znowu cię stracę.

- Mylisz się. - Pogładziła go po twarzy. - Nie opuszczę cię. Musisz wyzdrowieć, bo chcę znowu być twoją żoną.

Chwycił jej dłoń i przytrzymał w zaskakująco silnym uścisku.

- Nie mów tak, skoro tak nie myślisz - rzucił zduszonym głosem.

- Tak właśnie myślę.

Nic na to nie odpowiedział, tylko przycisnął jej dłoń do ust. Poczwała, jak cały drży, jednak nie z zimna czy gorączki, lecz z powodu uczuć, jakie w nim wezbrały. Ciałem Temple również wstrząsnął dreszcz. Po chwili Blade puścił jej rękę i westchnął głęboko.

- Brakowało mi cię. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Może powinienem bez słowa zaakceptować to, że chcesz do mnie wrócić, ale nie mogę. Dlaczego, Temple? Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Ponieważ twój syn cię potrzebuje, lecz nie tylko on. Kocham cię - szepnęła i położyła mu głowę na piersi. Słyszała jego świszczący oddech i miarowy rytm serca. - Oboje popełniliśmy błąd, choć wówczas tak nie uważaliśmy. Kiedy podpisałeś ten traktat,

byłeś przekonany, że postępujesz słusznie. Ale myliłeś się, bardzo się myliłeś. Kiedy cię opuściłam, sądziłam, że tak będzie lepiej dla naszego dziecka, ale również się myliłam. Wiele się zmieniło przez ostatnie dwa lata, lecz nie moja miłość do ciebie. - Zamknęła oczy, delektując się ciepłem jego ciała i żałując, że jest tak bardzo zmęczona. — Obejmij mnie.

Poczuła jego usta na swoich włosach, lecz zaraz atak kaszlu zmusił go do odwrócenia głowy.

- Mam tylko tyle siły, by cię objąć - powiedział niskim schrypniętym głosem. - Kocham cię, Temple. Nigdy nie chciałem, byś ode mnie odeszła, lecz nie mogłem cię prosić, byś została.

- Wiem.

Sama musiała o tym zdecydować. Nie mógł jej do tego zmuszać. W przeciwnym razie odrzuciłaby jego miłość.

Deszcz bębnił o dach stodoły, ale im było sucho i ciepło. Przytuleni do siebie zapadli w sen.



*Fort Gibson, Terytorium Indiańskie,  
Koniec lutego 1839*

Wielki gniady rumak parskął i szarpał łbem, czekając niecierpliwie, aż jeździec da mu znak do szybszego biegu. Jed jadący drogą łączącą Fort Gibson z Fort Smith już miał puścić konia galopem, kiedy dostrzegł grupę namiotów rozstawionych nad brzegiem rzeki Arkansas. Nie był to wojskowy biwak, lecz ostatni postój czirokeskiej karawany.

Grupa, której towarzyszył, w Fayetteville skręciła na zachód do Fort Gibson. Większość jednak powędrowała na południe przez Ouachitas do Fort Smith. Przed dwoma dniami dobiegła wreszcie końca ich wędrówka.

Jed przespał dwadzieścia cztery godziny w ciepłym łóżku, pod suchymi kocami i na wojskowym materacu. Gorąca kąpiel, golenie, czysty mundur i solidny posiłek znacznie poprawiły mu nastrój, lecz ból tkwiący w duszy pozostał.

Przyglądając się teraz tym ludziom, którzy spędzili kolejną noc na dworze, mając do dyspozycji tylko koce i ciepło ogniska, a za posiłek soloną wieprzowinę i papkę z mąki, którzy nie mieli na zmianę żadnych ubrań, doszedł do wniosku, że nie ma prawa narzekać. W oficerskiej mesie słyszał dziś rano śmiech i wesołe rozmowy. Tu w obozie panował smutek i przygnębienie.

Kiedy przed dwoma dniami karawana przybyła na miejsce, nie dostrzegł u nikogo nawet cienia uśmiechu i nie usłyszał słów ulgi,

że oto ich znojna wędrówka dobiegła wreszcie końca. Ci, którym udało się tu dotrzeć, po prostu rozproszyli się wzdłuż brzegu rzeki i zaczęli rozstawiać namioty.

Narowistego gniadosza spłoszył nagle ptak, który wyfrunął z błotnistego gaju bambusowego. Jed ściągnął konia i zaczął go uspokajać łagodnymi słowami. Żałował, że nie wziął swego konia, tylko pożyczył od kawalerzystów. Jednak wszystkim jego wierchowcom należał się odpoczynek.

Jed zjechał z drogi, kierując się ku rozległemu obozowisku. Była to zapewne ostatnia okazja, by się tym ludziom przypatrzeć. Po dwóch dniach odpoczynku spodziewał się, że ujrzy w nich jakąś zmianę. Lecz na twarzach Indian malowały się te same uczucia: oszołomienie, rozpacz i gorycz.

Nie powinien się temu dziwić. Wędrówka dobiegła końca, lecz ile ofiar ich kosztowała. Setki zmarły w obozach i w drodze. Czirokezi nazwali ten marsz „Szlakiem Łez”. Chyba już do końca życia będzie słyszał w poszumie wiatru jęki rozpaczliwych.

I cóż zastali po przybyciu na miejsce? Takie samo lekceważenie, jakiego doświadczyli w czasie wędrówki. Ziemia, która na nich czekała, była urodzajna i dobra. Gęste lasy zapewniały wyżywienie i materiał na budowę nowych domów. Żyzne doliny wkrótce wydadzą obfite plony. Ale reszta obietnic zawartych w traktacie, którego nigdy nie zaakceptowali, stała pod znakiem zapytania. Mógł się o tym przekonać w ciągu jednego krótkiego ranka. Ta sprawa nie leżała w gestii wojska, lecz i o tym zamierzał napisać w raporcie.

Dostrzegł przed sobą grupę ludzi i podjechał, by zobaczyć, co się tam dzieje. Właśnie zaczęli się powoli rozchodzić, wymieniając uściski dłoni z mężczyzną odzianym w kurtę z grubego sukna i kapelusz z szerokim rondem, spod którego wyłaniały się płowe włosy. W ręku trzymał książkę. Czyżby to była Biblia? - pomyślał. Postanowił podjechać bliżej, by się upewnić.

Domyślił się, że mężczyzna nie był na szlaku. Ciepłe ubranie, mocne buty, rumiane policzki i dobrze wypasiony koń ciągnący wóz dowodziły, że jest to albo jeden z tych, którzy zdążyli się tu osiedlić, albo biały kupiec, albo misjonarz. Zaczekał, aż mężczyzna zostanie sam, i podjechał bliżej.

Nieznajomy powitał go uśmiechem, zatrzymując na chwilę wzrok na naramiennikach munduru.

- Dzień dobry, poruczniku.

Jed mógł teraz dostrzec złote litery na okładce książki. A więc jednak Biblia.

- Dzień dobry, pastorze. Nie myłę się, prawda?

- Nie. Jestem Nathan Cole z Dwight Mission.

- Dwight Mission. To gdzieś w połowie drogi między Fort Gibson i Fort Smith? - przypomniał sobie Jed, a misjonarz potwierdził skinieniem głowy. - Kawał drogi. Zapisał się pastor dość daleko.

- Możliwe. Ale tyle grup przybyło tu ze Wschodu, iż uznałem, że powinienem być tam, gdzie mogę im służyć pomocą. Sądząc po tragicznych opowieściach, tym ludziom potrzebne jest duchowe wsparcie.

Jed zaśmiał się mimowolnie.

- Proszę wybaczyć, pastorze. Nie leży w moim zamiarze lekceważenie Boga czy Jego duchowej mocy. Nie sądzę jednak, by modlitwa oczyściła z robactwa ich mąkę, poprawiła smak mięsa czy przydała tuszy chorym i wychudzonym sztukom bydła, które otrzymali zamiast dorodnych sztuk, które obiecał im rząd. Jeśli chce się pastor za kogoś modlić, to za tych, którzy otrzymali rządowe kontrakty na dostawy dla Indian i teraz zbijają majątki, dostarczając im towary niskiej jakości. Jeśli chce pastor pomóc tym ludziom, to proszę dać im ciepłe ubrania, znaleźć domy dla sierot i zaopiekować się chorymi. To szybciej odbuduje ich wiarę w bożą sprawiedliwość niż fragmenty z Biblii. - Umiłkł i uśmiechnął się przepaszająco. - Wygląda na to, że wygłosiłem kazanie. Proszę wybaczyć, pastorze.

- Nic się nie stało. Było w pełni zasłużone.

- Lecz to nie moja sprawa. Nie będę pastorowi przeszkadzał w pracy. Muszę się jeszcze z kimś pożegnać.

Z tymi słowy ruszył ku ustawionym półkolistym namiotom widocznym w oddali, miejscu obozowania Gordonów.

Na widok zbliżającego się jeźdźca stojąca przy ognisku Eliza uniosła dłoń do oczu. Trudy wędrówki odbiły się na jej wyglądzie: wskazywały na to zgarbione plecy i cienie pod oczami. Jed poczuł się nieswojo, patrząc na jej zlepione włosy i zniszczone, poplamione ubranie.

- Porucznik Parmelee. Bez brody trudno pana poznać - powiedziała, kiedy podjechał do niej. - Proszę zsiąść z konia i ogrzać się przy ogniu. Chociaż dzisiaj nie jest tak zimno. Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego na szlaku nie mieliśmy takiej pogody?

- Nie sędzę, by ktokolwiek znał na to odpowiedź - odparł, po czym zsiadł z konia i rozejrzał się po obozie. - A gdzie reszta? - Z wyjątkiem tęgiej czarnej kobiety i jej syna nie było nikogo.

- Will i Kipp poszli po nasze racje żywnościowe - wyjaśniła, po czym zawahała się. - A Temple wyjechała dziś rano do ojca Blade'a. Przybył tu przed rokiem i osiedlił się tam dalej na północ nad Grand River.

- Dlaczego nie pojechaliście z nimi?

- Blade i jego ojciec podpisali traktat. Nie mogliśmy z nimi mieszkać nawet przez krótki czas. - Za tymi słowami kryła się głęboka uraza, ból i cierpienie Willa, a także nienawiść Kippa.

Jed usiłował myśleć o czymś innym, lecz nie był w stanie. Temple odjechała, a on się z nią nie pożegnał.

- Ja... nie wiedziałem, że Temple wyjeżdża. Chciałem jej życzyć szczęścia.

- Temple nigdy nie wątpiła w pańską życzliwość.

- Ja też jutro wyjeżdżam. Wracam parowcem — powiedział. - Chciałem... się pożegnać. - Tylko to mu przyszło do głowy. Był zawiedziony, że nie zastał Temple.

- Przekażę pańskie słowa. Willowi będzie przykro, że pan odjechał. Był pan dla nas wszystkich prawdziwym przyjacielem. Dziękuję.

- Życzę pani szczęścia. - Jed wskoczył na konia i zawrócił w stronę fortu.

Przez całą drogę przekonywał siebie, że dobrze się stało, iż nie zobaczył się z Temple. Dokonała przecież wyboru. W kieszeni miał list od Cecylii. Napisała tuż przed Bożym Narodzeniem, czekała na jego przyjazd. Proponowała, by pobrali się na wiosnę. Czemu nie? - pomyślał zrezygnowany.

Rozkładając świeżo upraną koszulę Willa na kocu w namiocie, Eliza dostrzegła rozdarcie na rękawie. Westchnęła i przyjrzała mu

się dokładniej. Chyba uda jej się w to miejsce wstawić łatę z kawałka halki, która była tak zniszczona, że nie nadawała się do noszenia.

- Proszę pani! - usłyszała głos Shadracha.
- Cóż takiego? - zapytała z irytacją w głosie.

Nie chciała, by tak to zabrzmiało, lecz była rozdrażniona po odjeździe Temple i czuła się samotna. To głupie, ale już za nią tęskniła. Obóz wydawał się taki cichy i pusty bez niej, bez Blade'a i małego Lijego... A także bez Deu i Phoebe.

- Ktoś do nas jedzie - powiedział Shadrach.
- Już idę.

Rozłożyła koszulę, niechętnie myśląc o przyjmowaniu gości. Pewnie to ktoś do Willa. Wstała i podeszła do klapy zasłaniającej wejście do namiotu. Kiedy ją uniosła, poczuła piekący ból w spierzchniętych dłoniach. Obojętnie przyglądała się jeźdźcowi na koniu.

- Dzień dobry - powiedział i pochylił się w jej stronę. - Czy mówisz po angielsku?

Skinęła głową. Ten głos wydał jej się znajomy. Jakby należał do kogoś, kogo dawno temu znała. A może to wyobraźnia płata jej figle? Skośne promienie zachodzącego słońca rzucały cienie na twarz mężczyzny.

- Jestem pastor Cole z Dwight Mission - powiedział, zsiadając z konia.

- Nathan! — wykrzyknęła zaskoczona i postąpiła krok w jego stronę. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Czy pod tą grubą kurtą kryje się charakterystyczna koścista sylwetka? Czy pod kapeluszem naprawdę dostrzegła płową czuprynę? - Czy to naprawdę ty, Nathanie?

- Tak. - Popatrzył na nią niepewnie. - Przepraszam, ale czy my... Eliza? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak. - Miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem. Wiedziała, że mógł jej nie poznać. Włosy zawsze spięte w kok, teraz były brudne i matowe, opadały luźno na ramiona, zamiast eleganckiej sukni - podarta i brudna szmata, a zamiast szala bury koc. I jeszcze te czerwone spierzchnięte dłonie zamiast gładkich i delikatnych, nie mówiąc już wychudzonym ciele i cieniach pod oczami.

- Wiem, że nie przypominam dawnej Elizy, ale to naprawdę ja.  
- jak... - Nathan chwycił ją za ramiona i przytrzymał przed sobą. - Co ty tu robisz? Myślałem, że wróciłaś do domu do Nowej Anglii. Ja się tu znalazłaś?

- Przybyłam z Gordonami. - Poczowała, jak do oczu napływają jej łzy.

- Przeszłaś z nimi całą tę drogę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak.

- Ale... jak? Przecież jesteś...

- Powiedziałam, że jestem ich kuzynką. Chociaż właściwie to nikt mnie nie pytał, czy jestem Czirokezka, czy nie - przypomniała sobie nagle. —Nie mogłam ich zostawić, Nathanie - dodała widząc zdziwienie w jego twarzy. - Nie mogłam pozwolić, by sami przez to przechodzili. Potrzebowali mnie...

Głos jej się załamał, a z oczu popłynęły łzy. Nathan objął ją delikatnie. Przytuliła policzek do wełnianej kurtki, pozwalając, aby łzy wsiąkały w materiał.

- Mały Johnny zmarł, kiedy byliśmy w obozie. Potem na szlaku umarła Xandra i... Victoria. Zmarł również Ike, ojciec Shadracha.

Płakała cicho, rozpaczając po tych, którzy odeszli, po utraconym Gordon Glen, szkole, w której uczyła, a także wszystkich cennych pamiątkach, które przepadły bezpowrotnie.

- Bardzo ci współczuję - szepnął Nathan, kiedy skończyła swą opowieść.

- Straciliśmy dosłownie wszystko. - Odetchnęła głęboko, by powstrzymać potok łez. Następnie odsunęła się i wytarła mokre policzki. - Już zapomniałam, jak dobrze się z tobą rozmawia. Brakowało mi tego.

- Ja... często o tobie myślałem.

- Nie zapytałam, jak ci się wiedzie - powiedziała przeprasza-  
jąco.

- Dobrze. - Zbył jej pytanie machnięciem ręki.

- Napijesz się kawy? Powiem Cassie, żeby zagotowała wodę w dzbanku. Ale uprzedzam, więcej jest w tej kawie cykorii niż kawy.

- Dziękuję za kawę - odpowiedział niecierpliwie. - Elizo, nie mogę pozwolić, byś dalej tak żyła. - Wskazał ręką na namiot,



prymitywną kuchnię i na nią samą, tak bardzo zaniedbaną. - Musisz wrócić ze mną do misji. Tam kobiety się tobą zaopiekują i...

- Nie.

- Zastanów się, Elizo. Za tydzień lub dwa wyjeżdżam do Tennessee. Jedź ze mną.

- Jestem ci wdzięczna za troskę, Nathanie, ale nie odejdę stąd, zwłaszcza po tym, przez co przeszłam.

- Ale co tu będziesz robić?

W tym momencie do obozu weszli Will z Kippem.

- Mamy gościa, Will! - zawołała.

Zawahał się na ułamek sekundy, po czym ruszył w ich stronę. Po raz pierwszy zauważyła, że lekko się garbi, a włosy przyprószone są siwizną.

- Pamiętasz Nathana Cole'a?

- Tak, naturalnie. - Wyciągnął rękę na powitanie.

- Dawno się nie widzieliśmy, panie Gordon - powiedział Nathan.

- Tak - przyznał Will, po czym spojrzał ze smutkiem na Elizę i ponownie na Nathana. - Przed kilkoma laty dawał pan ślub mojej córce. Czy mógłby pan teraz dać ślub mnie i Elizie? - Udał, że nie dostrzega zaskoczonego wzroku pastora, i popatrzył na Elizę. - Naturalnie jeśli się zgadzasz, Elizo.

Nie mogła pojąć, czemu w ogóle o to pyta.

- Tak.

Nigdy nie rozmawiali o małżeństwie, nawet po śmierci Victorii. Gdzieś głęboko w jej głowie kołatała myśl, że Will jest wolny i nic nie stoi na przeszkodzie, by ją poślubił, lecz zbyt byli zajęci walką o przetrwanie, by się nad tym zastanawiać. Przyjdzie na to czas, kiedy ciężka wędrówka dobiegnie końca, myślała. Teraz ten czas nadszedł.

Zupełnie zapomniała, że kiedyś powiedziała Nathanowi, że nie ma zamiaru wychodzić za mąż. Kiedy ogłaszał ich mężem i żoną, nawet nie zwróciła uwagi na jego spiętą twarz i lekkie drżenie głosu. Była teraz panią Gordonową.

*Terytorium Indiańskie.  
Czerwiec 1839*

Przy stole panowała napięta atmosfera, kontrastująca z radosnym świergotem ptaków. Eliza obserwowała kątem oka, jak Czarna Cassie nakłada Nathanowi na talerz porcję gotowanej zielonej fasolki z glinianej miski, którą Eliza sama uformowała i wypaliła. Łyżkę zaś wyciął z drewna Kipp, podobnie jak większość naczyń kuchennych.

Utkwiwszy wzrok w nierównych deskach stołu, pomyślała, że nigdy nie znalazła się w tak niezręcznej sytuacji. Czuła się okropnie. Nie miała obrusa, by przykryć blat. Zresztą i tak wystające sęki podarłyby materiał. Niepotrzebnie przygotowała popołudniowy posiłek na dworze. Słońce tylko podkreślało surową prostotę ich egzystencji. Jednak byłoby jeszcze gorzej, gdyby Nathan zobaczył wewnątrz ich prymitywnie wyposażonej chaty.

Instynktownie dotknęła ręką włosów, sprawdzając, czy niebieska wstążka nadal trzyma gęste loki. Nie miała czasu, by zebrać je w kok. Kiedy Nathan zjawił się tu późnym rankiem, zdążyła jedynie ściągnąć chustkę z głowy, poczesać się i związać włosy na karku.

Sukienki i tak nie mogła zmienić, bo miała tylko tę jedną. Górę zrobiła z koszuli Willa, a spódnicę ze zszytych ze sobą halek. Z pomocą Cassie przyrządziła z indygo trochę farby i ufarbowała obie części na niebiesko. Fartuch zaś dostała od Temple. Wsunęła

stopy głębiej pod krzesło, by ukryć skórzane mokasy, jedyne buty, jakie miała.

Kiedy Cassie postawiła już wszystko na stole, Eliza odprawiła ją skinieniem głowy. Kiedy włożyła pierwszą porcję do ust, prędko odłożyła widelec i ukryła dłonie pod stołem, by Nathan nie zobaczył jej zniszczonych rąk. Udawała, że słucha tego, co on mówi, lecz w duchu myślała, że to wszystko zakrawa na farsę. Siedziała przy stole, wydawała polecenia czarnej służącej i zachowywała się jak pani wielkiej plantacji.

Dlaczego tak rozpaczliwie usiłowała przekonać Nathana, że wszystko jest w porządku? Will siedział naprzeciwko niej, jak przystało na gospodarza domu. Obserwowała, jak dokładnie przeżuwa każdy kawałek.

Kiedy wybrał tę działkę, leżącą w odległości kilku mil od Stuartów, sądziła, że przeszłość zostawili za sobą i zaczną nowe życie. Tak jak Shawano Stuart, który zamieszkał z Temple i Blade'em.

Wiele zdołali już osiągnąć przez trzy miesiące, lecz wiedziała, że mogli zrobić więcej. Mieli dach nad głową, prymitywne sprzęty, jarzyny w ogrodzie, lecz pola były nie zaorane, ziarno nie zasiane, brakowało im żywego inwentarza, z wyjątkiem kilku kur. Willowi przestało na czymkolwiek zależeć. Świat mu zobojętniał.

Bardzo ją to bolało. Dawniej rzadko się uśmiechał. Teraz w ogóle. Kiedyś, gdy przyjeżdżał gość, zadawał mu nie kończące się pytania o sytuację w innych stanach, najświeższe wydarzenia polityczne i ekonomiczne. Teraz zamienił z Nathanem zaledwie kilka słów.

Na początku zrzucała winę za jego zobojętnienie na fizyczne i emocjonalne zmęczenie wielomiesięczną wędrówką. Nie oczekiwała, że Will zapomni o tym, co przeżyli. To straszne wspomnienie na zawsze pozostanie w ich pamięci.

Starła się być cierpliwa i wyrozumiała. Czarna Cassie i Shadrach pomogli jej skopać ziemię pod ogród, zasadzić warzywa i wypielić chwasty. Nie prosiła Willa o pomoc. Shadrach i Kipp ścięli drzewo, porabiali je na kawałki i zrobili prosty stół i krzesła. Eliza starała się radzić sobie sama i nie zmuszać Willa do niczego. Nie wypowiedziała jednego słowa skargi, kiedy siedział godzinami wpatrzony w przestrzeń, gdy ona starała się, by na stole była ciepła strawa i mieli co na siebie włożyć.

Nie wiedziała jednak, na jak długo starczy jej cierpliwości. Była jego żoną, a jednocześnie służącą mężczyzny, pozbawioną prawa do własnej wolności, choć kiedyś przysięgła sobie, że nigdy do tego nie dopuści. Po cóż była jej edukacja, skoro resztę życia miała spędzić na praniu, cerowaniu i gotowaniu - dla niego, dla jego dorosłego syna i dwójki czarnych służących?

- Jak sobie radzi Temple?

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że to pytanie skierował Nathan do niej.

- Dobrze - odpowiedziała szybko, obawiając się, że wzmianka o Temple wywoła kolejną mściwą przemowę Kippa na temat tych, którzy podpisali traktat i pozbawili ich własnej ziemi.

- W drodze do was mijałem ich pola. Będą mieli świetne zbiory kukurydzy — napomknął Nathan.

- Nic dziwnego - rzucił wyzywająco Kipp. - Ci zdrajcy zagarnęli dla siebie najlepszą ziemię.

- Kipp - mruknęła ostrzegawczo Eliza.

Nie usłuchał jej. Zresztą nigdy nie słuchał.

- To prawda - obstawał przy swoim. - Sprzedali naszą ziemię, przyjechali tu i zabrali dla siebie wszystko, co najlepsze. Zabili moją matkę, braciszka i siostrę. To przez nich wszystko straciliśmy i dlatego teraz żyjemy w ubóstwie. To oni są wszystkiemu winni.

Pchnął krzesło i odszedł od stołu. Eliza spojrzała na Willa, który jednak nie zawołał syna i nie kazał mu przeprosić za swoje zachowanie.

- Kipp obwinia za wszystko sygnatariuszy traktatu. Jest opętany nienawiścią do nich.

- Rozumiem go - powiedział Nathan cicho.

Ona nie potrafiła tego zrozumieć.

Kiedy Will skończył jeść, przeprosił i wstał od stołu. Zapewne pójdzie teraz gdzieś usiąść i będzie wpatrywał się w przestrzeń, pomyślała, odprowadzając go wzrokiem. Poczwała dłoń Nathana na swojej. Patrzył na nią ze współczuciem.

Miała ochotę się rozpłakać, lecz powstrzymała łzy. Dość już było w rodzinie uzalających się nad sobą.

- Skończyłeś? - zapytała lekkim tonem, chociaż głos jej drżał.

- To może pójdziemy na spacer? Cassie posprząta ze stołu.

Udawała, że jest wielką damą, która stara się zabawić gościa.

- Bardzo chętnie.

- Kiedy przyjeżdżałeś do Gordon Glen, często spacerowaliśmy, pamiętasz?

Kiedy to powiedziała, natychmiast zdała sobie sprawę, że ona również nie może uwolnić się od wspomnień.

- Tak, pamiętam - odpowiedział dziwnie zmieszany.

- Jak twoja podróż na Wschód? Nawet o niej nie wspomniłeś.

- Chciała zmienić temat, lecz sądząc z wyrazu twarzy Nathaha, chyba źle trafiła. - Co się stało?

- Nic.

- Ależ widzę, że coś cię gnębi. Chyba możesz mi powiedzieć.

- Chciałem uniknąć tego tematu. Właśnie dlatego nie wspominałem o tej podróży, by nie powiedzieć o...

- O czym?

- Pojechałem do Red Clay z doktorem Butlerem, by pomóc mu spakować dobytek i sprowadzić tu jego rodzinę - wyjaśnił z wahaniem.

- To już wiem.

- Byłem ciekaw, jak się sprawy mają, pojechałem więc do Gordon Glen. - Spojrzał w niebo. Grdyka drgnęła mu nerwowo.

- Lecz nie byłem przygotowany na to, co ujrzałem.

- To znaczy co? - Eliza mimowolnie zeszytniała, obawiając się tego, co usłyszy.

- To zakrawa na ironię, Elizo. Pojechałem tam, spodziewając się, że zobaczę... Zresztą nieważne. - Pola zarosły chwastami, a dom... był pusty. Wszystkie domy w okolicy wyglądają podobnie. Opustoszałe. Porzucone. Biali zabrali je, a potem porzucili. Tak bardzo pragnęli wyrwać te ziemie z rąk Czirokezów, a kiedy wreszcie je dostali, nic z nimi nie robią. To szaleństwo.

Eliza nagle przypomniała sobie gorące suche lato, które spędzili zamknięci w obozie, i groby znaczące szlak ich wędrówki.

- Dlaczego?

- Poradziłem niektórym z nich, by spakowali się i przenieśli na Zachód, by przekonać się, czy te tereny są rzeczywiście tak dobre, jak rząd zapewniał Czirokezów.

- Niestety — jęknęła.

~ Tak myślałem.

Wyobraziała sobie Gordon Glen, jak go opisał: popadający w ruinę i opustoszały. Ciemne otwory okien patrzą na zarosnięty chwastami trawnik. Przypomniała sobie fragment z poezji Wordswortha: *Dobry Boże! Te wszystkie domy wydają się uspięne. A drzewiца w nich siła pogrążona w bezruchu.*

- Powiniennem był to przemilczeć - powiedział Nathan.

- Nic nie poradzimy na taką niesprawiedliwość. I właśnie z tym najtrudniej jest się pogodzić. - Poczwała łyzy pod powiekami i zamruwała szybko, by nie popłynęły. - Nie można wciąż płakać po tym, co się straciło. Trzeba żyć dalej.

- A więc wciąż masz nadzieję?

- Tak.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Całkiem zapomniałem - powiedział nagle. - Miałem ci to już wcześniej dać. - Z wewnętrznej kieszeni czarnego surduta wyjął kwadratową paczkę. - Kupiłem to dla ciebie, kiedy byłem na Wschodzie. Na prezent ślubny. Chyba niezbyt praktyczny.

- Książka - domyśliła się, jak tylko dotknęła paczki.

- *Natura* Emersona. Podobno całkiem niezła.

Zerwała brązowy papier. Palce z pieszczotą dotknęły pięknie wyprawionej skóry.

- Książka. Tak dawno nie dotykałam książek. - Przycisnęła ją do piersi i spojrzała na Nathana oczami pełnymi łez. - To wspaniały prezent, Nathanie, najcenniejszy ze wszystkich. Dziękuję ci - powiedziała drżącym głosem.

- Chyba... - Popatrzył na chatę. - Żałuję, że nie mam nic więcej... Żałuję...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Will będzie szczęśliwy, kiedy mu ją pokażę. To pierwszy tom do naszej biblioteki.

Miał wątpliwości, czy kiedykolwiek zobaczy w ich domu bibliotekę.

- No tak - powiedział, po czym dodał, siląc się na obojętny ton: - Już czas na mnie, muszę ruszać w drogę.

Eliza unikała jego wzroku, wyczuwając napięcie, które się między nimi wytworzyło.

- Jeśli mógłbym w czymś pomóc, wystarczy tylko dać znać do misji...

- Dziękuję. Będę o tym pamiętała.

Kiedy wrócili na polanę, Eliza poleciła Shadrachowi, by przyprowadził konia Nathanowi. W pobliżu nie było ani Willa, ani Kippa. Pastor odjechał bez pożegnania się z nimi.

Odprowadzając go wzrokiem, przypomniała sobie ów dzień, kiedy się jej oświadczył. Nie mogła oprzeć się myśli, że jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby za niego wyszła. Nadal by uczyła, zamiast pracować od świtu do nocy. Łzy urazy i gniewu zaczęły ją palić pod powiekami.

- Czy to książka? - zapytał Shadrach, patrząc na tom, który przyciskała do piersi.

- Tak. - Bezwiednie przesunęła palcami po miękkiej skórze, czując jednocześnie szorstkość własnych dłoni. - Od tak dawna nie miałam w rękę książki. Wydaje się, że całe wieki minęły. Co się z nami stało, Shadrach?

- Jest pani zmęczona. Czemu pani nie odpocznie?

Przez chwilę miała ochotę poddać się znużeniu ogarniającemu jej ciało i duszę, lecz pokręciła głową.

- Jest zbyt dużo roboty. Gdzie Will? Miał załatać tę dziurę w kurniku, aby szopy nie wyciągnęły pozostałych kur.

- Chyba poszedł nad rzekę.

- Idź i powiedz... Zresztą sama mu powiem. Masz, zanieś to do domu.

Wcisnęła mu książkę do ręki i ruszyła nad rzekę.

Will siedział nad brzegiem, opierając się o pień topoli. Rękę położył na podciągniętych pod brodę kolanach. Wpatrywał się obojętnie w czerwonobrazową taflę wody. Nawet nie spojrzął na Elizę, kiedy podeszła.

- Nathan odjechał. Prosił, by cię pożegnać. - Słyszac swój łagodnie brzmiący głos, doszła do wniosku, że już dość tej cierpliwości i pobłażania. — Miałeś naprawić kurnik dziś po południu. Skoro jednak zamierzasz tu siedzieć, to mógłbyś przynajmniej złowić kilka ryb na kolację.

- Zapomniałem o tym kurniku. Powiedz Kippowi... Ale nie, on przecież wyjechał.

- Wyjechał? Dokąd?
- Do Takatokah na sesję Zgromadzenia.
- Ale ty nie pojechałeś?
- Nie.
- Dlaczego? Kiedyś brałeś udział we wszystkich sesjach.
- To było kiedyś.

Nie mogła znieść tej obojętności w jego głosie.

- To pierwsza sesja na tym terenie. Po raz pierwszy od trzydziestu lat będą w niej uczestniczyć Czirokezi z Zachodu. Jak możesz to lekceważyć?

- To nie ma już teraz znaczenia - odpowiedział, wpatrując się w przestrzeń.

- Jak możesz tak mówić? Oczywiście, że ma.

- Znajdą się inni na moje miejsce. - W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Tacy jak Kipp, ogarnięci nienawiścią. Wiesz równie dobrze jak ja, ile jest wokół nas wrogości. Jak długo Johnowi Rossowi uda się jeszcze odpiierać wołania o zemstę. Co się z tobą dzieje, Will?

- Jestem zmęczony, Elizo.

- Ja też jestem zmęczona. Mam dość patrzenia, jak się nad sobą uzalasz. Myślisz, że tylko ty jeden cierpisz? Tysiące innych pochowało członków swych rodzin na tym strasznym szlaku. John Ross także. Jego żona oddała koc choremu dziecku, a potem zmarła na zapalenie płuc. Czy nie widzisz, że czas żałoby się skończył? Teraz nadszedł czas budowania.

- Dla kogo mam budować? - Spojrzał na nią przepełnionymi bólem oczyma. - Czy dla Johnny'ego? Pochowaliśmy go w obozie. Grób Xandry jest nad Missisipi. Victoria też nie żyje. Więc powiedz mi, dla kogo mam budować?

- Dla nas! Dla naszego dziecka!

Zaskoczenie w jego oczach natychmiast zmieniło się w żal.

- Och nie, Elizo.

Wstrząśnięta jego reakcją, odwróciła się i pobiegła do chaty. Miała nadzieję, że usłyszy jego kroki za sobą, że on pobiegnie za nią i powie, że pragnie tego dziecka. Nie usłyszała jednak nic tylko szum wysokiej trawy i poświstywanie muchołówki na łące.

Czuła w sercu głęboki ból, lecz nie pozwoliła sobie na płacz.



Płacz oznaczałby, że jest równie słaba jak on. A ona nigdy się nie podda. Urodzi dziecko i postara się, by miało prawdziwy dom, z jego pomocą lub bez.

Podchodząc do chaty, zobaczyła, że Shadrach siedzi na rozchwianym stopniu i czyta książkę, którą dostała od Nathana. Rozgniewało ją to.

- Co ty robisz z tą książką? Powiedziałam, żebyś ją odłożył. Nie pozwoliłam ci jej czytać. - Wyrwała mu ją z ręki, nie dostrzegając jego zaskoczonego i zranionego spojrzenia. - Znajdź jakąś deskę i napraw ten kurnik, a potem powyrywaj chwasty w ogrodzie. Nie będę więcej tolerować takiego leniuchowania.

Minęła go i wpadła do chaty. Kiedy zobaczyła stojącą przy misce do zmywania Cassie, zatrzymała się gwałtownie.

- Jeszcze nie pozmywane? Czy muszę wszystkich gonić do roboty? Czy może mam wszystko robić sama?

Rzuciła książkę na stołek i podeszła do drewnianego stolika służącego do kuchennych prac.

- Jeśli tak się będziesz grzebać, nie skończysz do kolacji. Daj mi to.

Chwyliła glinianą miskę, którą Cassie właśnie myła, lecz mokre brzegi wysunęły jej się z rąk. Krzyknęła skonsternowana, kiedy naczynie upadło na podłogę i rozbiło się na kawałki.

- Moja miska. - Opadła na kolana przy skorupach.

- Ja to pozbieram, proszę pani.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - odparowała. - Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Odejdź... zostaw mnie samą.

Zdążający właśnie do chaty Will słyszał każde jej ostre słowo, które cięło niczym smagnięcie bata. Nie chciał jej zranić, ale to zrobił. Będzie miała dziecko - jego dziecko. A tyle przecież pochował.

Podszedł wolno do drzwi. Czarna Cassie nadal kręciła się przy Elizie. Dał jej znak, by zostawiła ich samych. Po wyjściu Cassie Eliza nadal klęczała na podłodze, zgarbiona, ze spuszczoną głową. Cóż on jej uczynił? Postąpił krok w jej stronę.

Natychmiast zaczęła zbierać rozrzucone kawałki.

- Rozbiłam miskę - rzuciła tonem obrony. - To była najlepsza miska, jaką zrobiłam. Shadrach będzie musiał wykopać trochę gliny i zrobić drugą.

- Nie przejmuj się tym - powiedział. - Wracając z sesji, wstąpię do sklepu i kupię kilka naczyń i inne potrzebne rzeczy.

Spojrzała na niego pytająco, lecz nie skomentowała zmiany decyzji.

- Przecież nie stać nas na takie rzeczy.

- Wezmę je na kredyt. Zrób listę potrzebnych rzeczy.

- Dobrze.

Odwracając się, zauważył leżący na stołku oprawny w skórę tom.

- Co to za książka?

- Prezent od Nathana.

- To miło z jego strony.

- Tak.

- Byłoby ci teraz lepiej, gdybyś za niego wyszła, Elizo. Oszczędziłoby to ci wiele trudu i cierpienia.

- Czy ja się na coś uskarżam?

- Nie, ale...

- I nadal nie będę. Nigdy nie oczekiwałam, że będę miała wygodne życie. I nie żałuję, że nie wyszłam za Nathana. Nie kochałam go. - Zebrała skorupy na fartuch. - Kiedy wyjeżdżasz?

- zapytała jeszcze.

- Dziś po południu.

- W takim razie spiszę, co trzeba kupić. Powiedz Cassie, żeby dokończyła zmywania.

Około sześciu tysięcy delegatów przybyło na sesję zgromadzenia, zwołaną przez Czirokeków z Zachodu pod pretekstem powitania przybyszów. Pierwsze dni upłynęły na powitaniach i wzajemnym poznawaniu. Will starał się brać w tym udział, lecz było to dla niego zbyt bolesne. Odetchnął z zadowoleniem, kiedy John Brown, wódz Czirokeków z Zachodu, wstał ze swego miejsca, dając sygnał do rozpoczęcia oficjalnych wystąpień.

- Z radością witamy was w naszej ojczyźnie. Ta ziemia należy do was. Możecie swobodnie chodzić, gdzie chcecie i wybierać, jakie chcecie tereny na osiedlenie się, nie naruszając jednak praw innych. Jesteście pełnoprawnymi obywatelami, macie prawo głosu we wszystkich okręgach i możecie ubiegać się o każde stanowisko.

W październiku kończy się kadencja okręgowych wodzów i każdy z was może zająć ich miejsce. W lipcu odbędą się wybory do obu izb naszego zgromadzenia, sędziów, szeryfów i tak dalej. Będziecie mogli brać w nich udział i ubiegać się o te stanowiska. Przed wielu laty zostały ustanowione władze i kodeks praw, który pozwolił nam żyć w spokoju i dostatku. Oczekujemy, że wy również się temu podporządkujecie, dopóki nie zostaną one zmienione lub uchylone i że również okażecie się dobrymi miłującymi pokój obywatelami.

John Ross w swoim wystąpieniu sprzeciwił się dość luźnej formie zarządzania, którą praktykowali miejscowi Czirokezi, i opowiedział się za poprawieniem i rozszerzeniem kodeksu praw i opracowaniem nowej konstytucji. W trakcie tej dyskusji na salę weszli Shawano Stuart z Blade'em, major Ridge z synem, Elias Boudinot i inni sygnatariusze traktatu. Natychmiast skierowano ku nim wrogie spojrzenia.

- Po co tu przyszli ci zdrajcy? - warknął Kipp. - John Ross powinien kazać im wyjść.

- On chce pokoju i zjednoczenia całego narodu. Zawsze do tego dążył - odpowiedział Will, uświadamiając sobie, że ich wódz nigdy nie przestał o to walczyć, pomimo osobistych strat.

- On zapomina o naszych prawach - rzucił Kipp i odszedł na bok.

Will po raz pierwszy uświadomił sobie, jak nieprzejednany był Kipp w swojej nienawiści. Zawsze coś go złościło, lecz teraz w jego zachowaniu było coś więcej niż zwykły gniew i uraza. Twarze mężczyzn, którzy podeszli teraz do jego syna, wyrażały taką samą żądę zemsty, która płonęła w oczach Kippa.



*Plantacja Grand View,  
Terytorium Indiańskie.  
21 czerwca 1839*

Phoebe, kiwając się na boki z powodu zaawansowanej ciąży, podeszła do krzesła stojącego obok krzesła Temple, wolno na nim usiadła i odchyliła na oparcie, rozkoszując się ożywczym powiewem wiatru, omiatającym ganek podwójnego drewnianego domu. Kiedy położyła dłoń na wydatnym brzuchu, Temple spojrzała na nią z niepokojem.

- Dobrze się czujesz?

Patrząc na pokojówkę, nie przestawała łuskać fasoli. Dziecko miało się urodzić dopiero za dwa miesiące, ale dzieci nigdy nie przychodzą na świat w terminie.

- Dobrze. - Phoebe wzięła miskę z fasolą i ustawiła ją między kolanami. - Tak kopie i wierci się, że to musi być chłopiec. Lije też kopał, prawda?

- Był dość ruchliwy.

Temple uśmiechnęła się do syna, który bujał się na drewnianym koniku, zrobionym przez Shawano.

Z tego miejsca widziała zarys jej nowego domu. Drewniane deski otaczały dolną partię szkieletu jednopiętrowego dworu. Usytuowany wśród drzew, osłonięty przed północnym wiatrem ścianą wzgórza, zapowiadał się okazale, na większy nawet od jej rodzinnego domu.

W kilka dni po przyjeździe Blade zaczął robić projekt, a miesiąc później zatrudnił mistrza ciesielskiego z Arkansas i budowa ruszyła.

W ciągu tych pierwszych miesięcy Temple często zastanawiała się nad zmianą, jaka zaszła w mężu. Przedtem większość decyzji pozostawiał ojcu, a tu sam zajął się wszystkim, i to już od chwili ich przybycia. Gdziekolwiek się obróciła, dostrzegała rezultaty jego pracy: chaty dla Murzynów, ogród z młodymi jabłonkami i brzoskwiniami, pola bawełny i kukurydzy, nowe magazyny. Nigdy nie pracował tak ciężko i wytrwale. No ale miał teraz syna.

Ponownie spojrzała z uśmiechem na Lijego, który popędzał okrzykami swego rumaka. Błyszczące czarne włosy odziedziczył po obojgu rodzicach, za to intensywnie błękitne oczy po ojcu. Nie skończył jeszcze trzech lat, a miał już swój rozum.

Słyszac szept za sobą, odwróciła głowę. Phoebe krzyknęła i usiłowała wstać z krzesła, upuszczając miskę z fasolą na brudną podłogę. Temple szybko poderwała się na nogi.

- Kipp. - Na widok brata całe napięcie z niej opadło. - Nie słyszałyśmy, jak przyjechałeś. Gdzie twój koń?

- Zostawiłem go wśród drzew. Jesteś sama?

Stał w głębokim cieniu pod ścianą domu, rozglądając się podejrzliwie. Kiedy przestraszony Lije ukrył się za jej plecami, Temple rzuciła poirytowanym tonem:

- Nie, nie jestem sama. Phoebe i Lije są ze mną.

- Nie ich miałem na myśli.

- Nie, nie ma ich - warknęła, doskonale wiedząc, że chodzi mu o Blade'a i Shawano. Pochyliła się i delikatnie popchnęła synka ku kłęczącej Phoebe. - Pomóż Phoebe pozbierać fasolę - powiedziała starając się zapanować nad gniewem. Z wyrzutem spojrzała na Kippa. - Nigdy więcej się tak nie podkradaj.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- Ale przestraszyłeś. Czego chcesz?

- Zobaczyć się z tobą. - Przesząpił niepewnie z nogi na nogę, lecz nie ruszył się z miejsca. - Wracam właśnie do domu. Zgromadzenie zakończyło dziś obrady. Twój mąż nie zabawił tam długo.

Blade uczestniczył tylko w jednym dniu sesji. Z jego skąpych informacji domyśliła się, że on jak i inni sygnatariusze traktatu nie zostali mile powitani.

- Był tam wystarczająco długo, by przysporzyć kłopotu. On, major Ridge i jego syn rozmawiali z Brownem. Wszyscy wiedzą, że namawiali miejscowych Czirokezów, by wyszli z zebrania, nie głosując nad propozycją Rossa, by przygotować nową konstytucję i kodeks praw.

- Nic o tym nie wiem.

W oddali rozległ się stuk młotka.

- To twój nowy dom?

- Tak.

- Nowy dom, ogród, pola. A my mieszkamy w chacie, w której w Gordon Glen nie zamieszkaliby nawet Murzyni.

- Możecie zbudować sobie lepszą.

- Za co? - zapytał gniewnie. - Rząd jeszcze nam nie wypłacił odszkodowania. A kiedy to zrobi, to i tak będzie to mniej niż twój mąż i teść otrzymali za swój.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, a tobie jeszcze mniej - odparowała Temple. - Jeśli przyszedłeś tu rzucać oskarżenia na mojego męża, to możesz sobie iść. Nie chcę tego więcej słuchać.

- Ja... przyszedłem cię prosić, żebyś odwiedziła jutro Elizę. Czuje się ostatnio bardzo samotna. Powinna mieć jakieś towarzystwo. Ojciec też chętnie by cię zobaczył.

Zaskoczona jego niespodziewaną prośbą, nie wiedziała, co powiedzieć. Ta troska o Elizę i ojca wydała jej się podejrzana.

- Przyjedziesz jutro?

Zabrzmiało to niemal jak żądanie.

- Nie wiem, czy będę mogła. Błede przesłał wiadomość, że jutro wraca.

- A gdzie jest?

Zawahała się.

- Pojechał do Arkansas po nowych Murzynów.

- I wróci jutro? O której?

- Chyba wczesnym popołudniem. Czemu pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Skoro go nie będzie do południa, mogłabyś przyjechać rano, zjeść z nami obiad i wrócić.

- Zapewne.

- Czy stary nie jeździ rano do młyna?

- Jeździ. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Skąd wiesz?  
- Tak mówią. Słyszałem, że możesz ustawiać zegar, kiedy wraca na obiad punktualnie o wpół do dwunastej.

- Wraca, jeśli wszystko jest w porządku - przyznała Temple, po czym zmarszczyła czoło. - Czemu zadajesz mi te wszystkie pytania?

- Bo chce cię przekonać, że możesz do nas jutro przyjechać.

- Akurat jutro?

- Dlaczego nie? Dwa miesiące już u nas nie byłaś.

- Rzeczywiście. - Budowa domu, wiosenne prace, gwałtowne burze, zawsze znalazło się coś, co ją zatrzymywało.

- Temple, czy kiedykolwiek o coś cię prosiłem? Przyjedź do nas jutro. To ważne. Inaczej bym nie prosił.

Ta prośba w jego głosie była równie niepokojąca jak wyraz jego czarnych oczu.

- Przyjedziesz czy mam cię błagać?

- Dobrze, przyjadę.

Nawet nie przypuszczała, jak bardzo był spięty, póki nie dostrzegła wyraźnej ulgi w jego twarzy.

- Świetnie - uśmiechnął się.

Stał jeszcze przez kilka minut, po czym odszedł. Temple z ganku patrzyła, jak mija wąski prześwit na tyłach domu. Przebiegły i tajemniczy. Nie chciała łączyć tych określeń ze swoim bratem, lecz same się nasuwały.

Stał się już mężczyzną. Miał szerokie muskularne ramiona, takie jak ojca, lecz nie dorównywał mu wzrostem. Dziwnie było o nim myśleć jako o przystojnym mężczyźnie, lecz był nim niewątpliwie.

Przyzwyczała się już do jego mściwego gniewu i zięjących nienawiścią uprzedzeń. Zapominała jednak, jak bardzo przeżył śmierć Xandry, a jeszcze bardziej matki. Rodzina i pomyślność najbliższych wiele dla niego znaczyły. Mimo że nienawidził Blade'a i był wściekły, że do niego wróciła, nie potępił jej i nadal się z nią widywał. Nie powinna jej dziwić ta nagła troska o Elizę i ojca ani to naleganie, żeby ich odwiedziła.

Właśnie dotarł do miejsca, w którym zostawił konia. Odwiązał wodze i wskoczył na siodło. Kiedy koń i jeździec wyjechali z cienia w słońce, zauważyła, że boki zwierzęcia są pokryte pianą. Dlaczego

tak tu gnał? Skąd ten pośpiech? Znowu zrodziły się niepokój, wątpliwości i podejrzenia.

Czarna chmura zasłoniła księżyc, pogrążając świat w gęstych ciemnościach. Płomienie pochodni chwiała się na wietrze, jakby tańczyły w takt niewidzialnych bębnow. Ich migoczący blask oświetlał twarze zebranych mężczyzn. Niektóre z nich były ukryte pod maskami. Noc poza kręgiem światła wydawała się jeszcze czarniejsza, zmieniając tłum mężczyzn w niewyraźne cienie.

Stojący wśród nich Kipp miał wyschnięte wargi i ściśnięty ze zdenerwowania żołądek. Krew pulsowała mu w żyłach. Oddychał szybko i płytko. Na szyi miał zawiązaną czarną chustę, która miała ukryć dolną część twarzy. Nad górną wargą poczuł kropelki potu, lecz ich nie wytarł. Nie chciał zwrócić na siebie uwagi. Zadrżał, czując ogarniające go lodowate podniecenie. Bał się, lecz jednocześnie był w swoim żywiole. Pobudzone zmysły napełniały go jakąś dziką radością i lękiem. Tak musieli się czuć starzy wojownicy w przeddzień wyprawy na wroga.

Na środek sekretnego kręgu wystąpił mężczyzna. Drgający płomień pochodni rzucał cienie na jego twarz. W rękę trzymał kartkę papieru, której treść zaczął teraz odczytywać głosem wyzbytym z wszelkich emocji.

- Istniejące od wieków niepisane prawo mówi, że jeśli członek tego narodu odda bez zgody większości najmniejszy nawet skrawek ziemi będący wspólną własnością, wówczas grozi mu kara śmierci.

Było to prawo krwi Czirokezów.

Po odczytaniu padły nazwiska oskarżonych: major Ridge, który kiedyś był w grupie egzekutorów wykonującej wyrok na wodzu „Dwugłowym”; jego syn John Ridge, twórca spisanej, a teraz odczytanej, wersji prawa krwi; jego kuzyn Elias Boudinot i brat Boudinota, Stand Watie, John A. Bell, George Adair, James Starr, Shawano Stuart, Blade Stuart i inni, którzy podpisali oszukańczy traktat.

Potem, o tej najczarniejszej z godzin, został powołany sąd, który wydał wyrok na oskarżonych. Był jednakowy dla wszystkich: winny. Karą była śmierć.



Następnie do kapelusza wrzucono numery odpowiadające liczbie zgromadzonych mężczyzn. Wśród nich znalazło się dwanaście oznaczonych znakiem X. Ci, którzy wybiorą taki numer, mieli być egzekutorami wyroku. Każdy podchodził i wyciągał swój numer. Wyjątkiem był Allen Ross, syn ich wodza, któremu polecono, by wrócił do domu i pilnował, by ojciec nie dowiedział się o ich planach.

Przyszła kolej na Kippa. Zaszło mu w ustach, kiedy wyciągał swój los. Był na nim znak X. Krew zaszumiała mu w uszach jak wicher wojny. Kiedy minął pierwszy szok, był już spokojny. Pomyślał o krwi, która splamiła sukienkę Xandry. Przypomnił sobie jej zapach i lepka wilgoć, a także plamy, które zostawiła na jego ubraniu. Pomyślał o krwi, którą pluła jego matka, o małym braciszku. Miał teraz szansę, by pomścić ich śmierć i był z tego rad. Bardzo rad.

Tuż po śniadaniu następnego dnia jedna z czarnych kucharek przypadkiem potrafiła garnek i wylała wrzątek na młodą pomocnicę. Przed dom zajechał właśnie powóz, który miał zawieźć Temple i Lijego do Willa Gordona. W tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk. Temple wpadła do kuchni i ujrzała wijącą się z bólu dwunastoletnią czarną dziewczynkę. Miała poparzone całe nogi. W niektórych miejscach zaczynały się już tworzyć pęcherze.

Następna godzina upłynęła na bieganiu, wydawaniu pospiesznych poleceń i nie kończących się radach, którym towarzyszył płacz poszkodowanej. Temple kazała sobie przynieść koszyk z medykamentami. Posmarowała grubo maścią nogi dziewczynki i kazała zanieść ją na noszach do chaty. Na koniec zaaplikowała jej jeszcze potężną porcję laudanum, by uśmierzyć ból.

Kiedy wyszła z chaty, ujrzała Lijego, bawiącego się w kałuży z dwoma czarnymi chłopcami, swoimi rówieśnikami. Ubranie, twarz i włosy Lijego oblepione były błotem. Zabrała go więc do domu, wykapała i przebrała w czyste ubrania.

- Proszę pani. - W drzwiach pokoju stanęła Phoebe. - Dulcie właśnie mi powiedziała, że w całym tym zamieszaniu w kuchni nie włożyła pieczeni do piekarnika. Pyta, co ma teraz przygotować panu Stuartowi na obiad.

- Jak mogła o tym zapomnieć? - Zniecierpliwiona zbyt mocno przejechała grzebieniem po włosach synka, nie zwracając uwagi na jego skrzywioną minę, kiedy ostre zęby wbiły się w skórę głowy. - Właściwie nie powinno mnie to dziwić - stwierdziła. - Od rana nic się nie układa. Która godzina?

- Słyszałam, jak zegar bił w pół do jedenastej.

- Jest tak późno? - Poderwała się na nogi. - Skończ czesać Lijego, a ja tymczasem pójdę do kuchni zająć się obiadem.

- Ale przecież...

- Jest zbyt późno, by jechać do ojca i Elizy. Musiałabym zaraz wracać. Pojedziemy jutro. Kipp zrozumie, że w tej sytuacji musiałam zostać w domu.

Niecałą godzinę później zamiast pieczeni wołowej na stole nakrytym do obiadu stała przygotowana wędzona szynka. Temple odetchnęła i wyszła na dwór, zobaczyć, co robi Lije. Karcił właśnie swego drewnianego konika trawą.

- Zobacz, mama. Smakuje mu. Zaraz dam mu jeszcze. - Wybiegł na trawnik przed domem. Tu zatrzymał się i wskazał rączką na drogę. - Patrz, mama. Dziadzio Stuart. Biegnijmy do niego. Chcę pojechać w jego bryczce.

Skinęła głową, nie mogąc się oprzeć prośbie widocznej w tych błękitnych oczach.

- Ale musisz iść przy mnie. Nie pozwolę ci wybiegać przed konia.

- Prędko, mama.

Tak ją ciągnął, że w końcu zaczęła biec. Kiedy znaleźli się na drodze, zobaczyła zbliżającą się bryczkę i uniosła rękę w geście powitania.

W tym momencie z gęstwiny wyskoczyło dwunastu zamaskowanych mężczyzn. Trzech z nich chwyciło konia za uzdę i zmusiło do zatrzymania.

- Nie! - krzyknęła Temple i przyciągnęła Lijego do siebie. W słońcu błysnęła srebrna gałka laski Shawano, próbującego odpchnąć napastników. - Phoebe! - krzyknęła Temple i pchnęła Lijego ku domowi. - Idź do Phoebe i zostań z nią. Prędiutko.

Nie namyślając się, pobiegła w kierunku Shawano.

- Nie! Co wy robicie? - zawołała z mieszaniną strachu i gniewu. - Przestańcie!

Napastnicy nie zwracali na nią uwagi. Wyciągnęli Shawano z bryczki. Walczył zaciekle, wykazując siłę i sprawność doświadczonego wojownika, którym był niegdyś. Wtedy otrzymał pierwszy cios w plecy.

- Nie! - krzyknęła Temple.

Jeden z napastników zagroził jej drogę. Kiedy zobaczyła parę ciemnych, oskarżycielskich oczu nad czarną chustką, zatrzymała się. Nie musiała oglądać twarzy. Rozpoznała te oczy.

- Kipp, nie - jęknęła cicho.

Zanim się odwrócił, ujrzała płonąca w jego oczach żądze zemsty. Kiedy dołączył do pozostałych, zrozumiała, co się dzieje. Shawano Stuart płacił właśnie za zbrodnię przeciw swemu narodowi. Zmartwiała ze zgrozy patrzyła, jak nóż raz za razem zagłębia się w ciele starego człowieka. Nie mogąc dłużej na to patrzeć, zacisnęła powieki.

- Dziadzio Shawano! Dziadzio Shawano! - usłyszała za sobą rozpaczliwy głos Lijego.

Obejrzała się i zobaczyła, że biegnie w jej stronę. Za nim szła Phoebe na tyle szybko, na ile pozwalał jej wydatny brzuch. Temple złapała syna na ręce i ukryła jego głowę na piersi, żeby nie patrzył na egzekucję swego dziadka. Chętnie zatkałaby mu uszy, by nie słyszał odgłosu noża wbijającego się w ciało i jęków konającego.

Trzymała go mocno, nie zważając na jego szmotaninę i łzy spływające jej po policzkach. A więc nadszedł ten dzień, którego tak się obawiała. Czy Blade'a też zabili, czy jego godzina jeszcze nie nadeszła? Osunęła się na ziemię, tuląc syna w ramionach.

Blade. Przy każdym ciosie noża wykrzykiwała bezgłośnie jego imię. Nie mogła błagać, by jego życie zostało oszczędzone. Wiedziała równie dobrze jak on, że kiedy podpisał ten traktat, jednocześnie podpisał na siebie wyrok śmierci. Tym jednym gestem przekreślił swoje prawo do życia.

Głuche uderzenia ucichęły. Wtedy dopiero otworzyła oczy i zobaczyła, jak dwunastu egzekutorów przestępuje jeden za drugim po martwym ciele, by dopełnić rytuału, po czym znika wśród drzew. Posłyszała parskanie koni i tętent kopyt.

Nie zauważyła, że zaczynają się wokół niej gromadzić ludzie. Widziała tylko Phoebe.

- Zabierz Lijego. - Przekazała jej wystraszonego, płaczącego chłopca, załaniając mu twarz przed widokiem leżącego na drodze dziadka. - Nie pozwól, żeby go zobaczył - szepnęła.

Kiedy Phoebe zabrała chłopca, Temple z trudem podniosła się z ziemi i na chwiejących się nogach podeszła do Shawano. Uklękła przy nim i utkwiała wzrok w szkarłatnych plamach rozplływających się po piersi. Następnie spojrzała na twarz i nieruchome oczy, zapatrzone w słońce i niepewnym ruchem zamknęła mu powieki.

Jego życie dobiegło końca.

- Shawano - wyszeptęła, podkładając mu rękę pod głowę i przyciągając do siebie. - On nie widział, Shawano. - Przesunęła dłońią po śnieżnobiałych włosach. - Twój wnuk nie widział.

Ktoś zabrał z drogi konia i bryczkę. Temple nie zwracała na nic uwagi. Nie była w stanie nawet płakać. Czuła jedynie straszliwą pustkę, rozpacz, oszołomienie i strach.

Nagle do jej uszu dobiegł ostry tętent kopyt końskich, który umilkł tuż przy niej. Zobaczyła przed sobą przednie nogi wierzchowca. Nie uniosła głowy. Pomoc nadeszła zbyt późno.

- Ojczy - jęknął chrapliwy głos.

Blade. To głos Blade'a. Kiedy ukląkł przy ciele, podniosła na niego oczy. Była przekonana, że nie zobaczy go już żywego. Jednak był tu.

- Ty żyjesz - wyszeptęła drżącym głosem. - Myślałam, że ciebie też zabili.

Wściekłość, jakiej dotąd nie widziała, wykrzywiła mu twarz.

- Kto to zrobił? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Czekali na niego... w lesie... kiedy wracał do domu na obiad.

- Z trudem wymawiała słowa. W gardle paliły ją wstrzymywane łzy. Nie chciała mu mówić, co się stało. Nie chciała go ranić bolesnymi szczegółami. - On nie żyje. Co za różnica, kto to zrobił i jak?

- Przekłęci. - Zgarbił się i przycisnął zbiełałą pięść do twarzy.

- Niech ich piekło pochłonie.

Wyczuwała jego ból i gniew. Było to dla niej torturą. A więc dlatego miała stąd wyjechać.

- Kipp ostrzegał mnie, ale ja...

- Wiedziałaś. - Zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Wiedziałaś i pozwoliłaś, by go zamordowali.

- Nie, ja... - Puścił ją gwałtownie i wstał. Kiedy podniosła się, zobaczyła krew na swoim ręku, krew Shawano. - ...nie wiedziałam.

Mówiła prawdę. Nie domyśliła się, dlaczego Kipp tak bardzo chciał, żeby odwiedziła ojca. Nie przypuszczała, że chciał jej tego oszczędzić.

Gdyby wiedziała, jak by postąpiła? Shawano złamał prawo. Jego śmierć była nieunikniona. Czy wiedząc o tym, co ma się zdarzyć, zachowałyby milczenie? Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Przypuszczała, że nie milczałaby, lecz czy mogła mieć pewność?

Błede podszedł do konia i zebrał wodze. Patrzyła zaskoczona, jak wkłada stopę w strzemień.

- Dokąd jedziesz?

Spojrzał na nią zimnym wzrokiem.

- Nie dam się tak łatwo złapać tym mordercom. Długo będą musieli mnie szukać.

Chyba nie myśli, że go zdradziłam, przemknęło jej przez głowę. Jednak tak było. Dostrzegła w jego oczach oskarżenie. Wskoczył na siodło i zniknął w lesie.

Mogłaby przestać płakać - mruknął półgłosem Will, kiedy pochlipująca Phoebe wyszła z saloniku. Przyjechali do Stuartów wczoraj po południu i od wczoraj pokojówka nie przestawała płakać i wycierać nosa.

- Martwi się o Deu - szepnęła Eliza, starając się, by Temple nie posłyszała jej słów. - Pojechał z Blade'em.

- Wiem - westchnął Will.

Nie miał pretensji, że ciężarna kobieta martwi się o swego męża, lecz jej łzy przypominały Temple o wczorajszym wydarzeniu.

Nie skończyło się na śmierci jego starego przyjaciela Shawano Stuarta. Wczoraj o świcie John Ridge został wyciągnięty z domu i na oczach rodziny zadźgany nożem. Eliasa Boudinot wywabili z domu mężczyźni prosząc o lekarstwo dla chorego. W połowie drogi do misji otrzymał cios w plecy, a głowę rozłupano mu tomahawkiem. Ciało majora Ridge'a trafione pięcioma kulami znaleziono przy Long Road na terytorium Arkansas.

Blade'owi, Standowi Watie i innym sygnatariuszom traktatu udało się zmylić tropy i uciec w góry. Niektórzy z nich grozili, że zabiją Johna Rossa i pomścą śmierć swoich towarzyszy. On sam był przerażony, kiedy dowiedział się o tych morderstwach i twierdził, że nic go nie łączy z przestępcami.

Wiadomości o śmierci rozchodziły się niczym pożar traw, roz-

dmuchiwany przez wiatry. Wśród Czirokezów zawrzało. Will wiedział, że na tej zbrodni się nie skończy i był przekonany, że jego córka też o tym wie.

Stała w oknie saloniku, patrząc na pokryty świeżą darnią grób Shawano Stuarta. Jej blada twarz nie wyrażała żadnych uczuć, jakby Temple na coś czekała. Jakby czekała na wiadomość o śmierci Blade'a. Przeraziło go to. Jego córka była teraz cieniem dawnej silnej, porywczej kobiety. Pełna wdzięku sylwetka była sztywna z napięcia, a ciemne błyszczące oczy pozbawione łez.

Eliza ścisnęła lekko jego dłoń.

- Poproś ją, by przeniosła się do nas - szepnęła. - Nie powinna tu teraz zostawać.

Kiwnął głową i podszedł do córki. Nawet jeśli wyczuła jego obecność, nie dała tego po sobie poznać.

- Eliza i ja chcemy, byś zamieszkała z nami.

- Nie. - W jej odpowiedzi nie było cienia emocji, jedynie prosta odmowa.

- Nie proponowałbym tego, ale uważam, że nie powinnaś tu zostawać.

- Nie - powtórzyła jeszcze bardziej zdecydowanie. - Nie odejdę stąd. To jest dom mego syna. I mój dom. Trzeba dopilnować budowy, doglądać prac w polu i we młynie. Bez względu na to, co się stanie, zostaniemy.

Powiedziała to z takim przekonaniem i determinacją, że Will przestał wątpić, że mówi szczerze. Poczul wzbierającą w piersi dumę dla tej stanowczej i odważnej kobiety, która była jego córką. Tyle stracił, lecz patrząc na Temple, zdał sobie sprawę, iż wciąż ma bardzo wiele.

- Skoro tego właśnie chcesz, zrobię wszystko, by ci pomóc. Ale wolałbym, żebyś nie mieszkała tu sama. Kipp mógłby...

- Nie!

Zaskoczył go ten ostry ton. Przypomniał sobie teraz nienawiść Kippa do tych, którzy podpisali traktat. Jakże mógł zapomnieć o błysku satysfakcji w jego oczach, kiedy przyjechał do domu powiadomić ich o śmierci majora Ridge'a, jego syna, Boudinota i — no tak - Shawano? W duchu przyznał Temple rację. Kipp nie byłby dla niej najlepszym towarzyszem.

Kiedy wracali do domu, okoliczne wzgórza skapane były w krwistoczerwonej poświacie zachodzącego słońca. Czerwień stała się nieodłączną barwą Czirokezów. Była także w sercach wielu ludzi. Will w milczeniu obserwował Kippa, który dołączył do nich na drodze i jechał obok pary koni ciągnącej wóz. W dłoni trzymał broń. Długa lufa tkwiła w zgięciu ramienia.

Czemu młodzi zachowują się tak nierozważnie? - pomyślał Will. Wokół teraz tylko strach i nienawiść. Jednak nie mógł winić za wszystko młodych. Plotki głosiły, że wśród zabójców byli też i starsi, skądinąd odpowiedzialni ludzie.

W jakim stopniu jego syn się w to zaangażował? Jak bardzo go to obciążało? Czy był członkiem grupy egzekucyjnej, czy tylko biernym obserwatorem? Te pytania nie dawały Willowi spokoju, lecz nie chciał znać odpowiedzi. Kipp był przecież jego synem.

Kiedy dowiedział się o podpisaniu traktatu, ubolewał nad tymi, którzy przyłożyli do tego rękę. Ich motywów nie miały tu znaczenia. Złamali prawo. Lecz podobnie jak John Ross Will rozumiał, że wykluczenie ich ze społeczności podzieliłoby naród. Potwierdzała to obecna sytuacja. Podczas sesji Zgromadzenia okazało się bowiem, że Czirokezi z Zachodu i sygnatariusze traktatu sprzymierzyli się. John Ross miał nadzieję na połączenie wszystkich frakcji, lecz do głosu doszli zwolennicy ukarania zdrajców, czyniąc w kruchej jedności rozłam, który mógł doprowadzić do wybuchu wojny domowej. A jego rodzina - syn i córka - znaleźli się w samym sercu tego konfliktu.

Kiedy dotarli do pogrążonego w ciszy domu, Will zatrzymał konie przed chatą, owinał lejce wokół dźwigni hamulca i zeskoczył na ziemię. Potem obszedł wóz, by pomóc zsiąść Elizie. Kątem oka zauważył, że Kipp nadal siedzi na koniu.

Chwycił Elizę w talii i postawił na ziemi. Wyczuł przy tym, że jej brzuch zdażył się już nieznacznie zaokrąglić. Pochwycił spojrzenie jej piwnych oczu. Przyszło mu na myśl, czy ich dziecko również będzie miało takie złote plamki w oczach. Skonstatował ze zdziwieniem, że po raz pierwszy pomyślał o dziecku rosnącym w jej łonie jako o żywej istocie, odległej jeszcze i ukrytej, lecz mimo to będącej częścią ich samych.



- Przygotuję kolację, kiedy będziesz wyprzągał konie - powiedziała Eliza.

Już chciał ją zawołać i podzielić się z nią swoimi myślami. Od tak dawna ze sobą nie rozmawiali. Ale nie chciał przy Kippie.

- Pomóż mi wyprząc konie — zwrócił się do syna.

- Zawołaj Shadracha. Gdzieś tu musi być. - Koń Kippa zatańczył w miejscu, jakby czekając na znak jeźdźca. - Wyjeżdżam. Nie będzie mnie kilka dni.

- Dokąd? - Zauważył, że Kipp unika jego wzroku.

- Do Park Hill, do domu Johna Rossa. Podobno Stand Watie zebrał grupę ludzi. Uważa, że Ross jest odpowiedzialny za śmierć jego brata, i chce się na nim zemścić.

- Więc jedziesz go ochraniać.

- Tak. Domu pilnuje już dwudziestu ludzi, ale nie wiemy, jaką siłą dysponuje Watie. Generał Arbuckle odmówił przysłania oddziałów z Fortu Gibson. Chce, by Ross przyjechał do fortu, ale wtedy natychmiast go aresztują.

- Ross nigdy nie poparł tych zabójców, prawda? - Było to jedyne pytanie, które mógł zadać Kippowi w tej sprawie.

- Nie.

Domyślił się, że Kipp wie o wiele więcej.

- Tak myślałem - powiedział i wszedł z powrotem na wóz.

Kipp odjechał ku zachodzącemu na purpurowo słońcu. Will cmoknął na konie i wprowadził je do małej zagrody przykrytej dachem.

Czarna Cassie wyłożyła na półmisek jajecznicę z cebulą. Eliza objęła wzrokiem nakryty do kolacji stół, na którym prócz nowych talerzy i sztućców czekał bochenek kukurydzianego gorącego chleba przykryty ściereczką i słoiki z melasą i miodem.

Stwierdziwszy, że wszystko już podała, podeszła do drzwi, by zawołać Willa na kolację. Siedział na schodkach i wpatrywał się w gwiazdę połyskującą na purpurowym niebie.

Miała ochotę się rozplakać. Kiedy wrócił z sesji Zgromadzenia, wydało się jej, że pozbył się wreszcie tego pancerza smutku i melancholii. Zaczęła mieć nadzieję, że Will Gordon, którego

kochała, wrócił do niej. Tymczasem on znowu wpatrywał się w przestrzeń. Śmierć Shawano i innych na powrót cofnęła go do świata czarnej rozpacz.

- Will, kolacja gotowa - oznajmiła, starając się mówić spokojnym głosem.

Kiedy wstał, odwróciła się w stronę drzwi.

- To wszystko? - zapytał.

Spojrzała na niego, zaskoczona dziwnym pytaniem. Wydało jej się, że dostrzega uśmiech na jego twarzy, lecz zapadający zmrok nie pozwalał widzieć wyraźnie. Postąpiła krok w przód. Jednak był to uśmiech.

- Will.

Wyciągnęła ku niemu rękę oszołomiona, bojąc się, że śni. On wziął jej rękę i przyciągnął do siebie.

- Już zapomniałem, jaka jesteś piękna - powiedział półgłosem, po czym przywarł do jej warg w pocałunku, który był jednocześnie delikatny i namiętny. Od miesięcy tak jej nie całował. Przytuliła się do niego, szczęśliwa i zmieszana, czując gwałtowne bicie serca i chaos w głowie.

- Nie rozumiem - wyszeptała, kryjąc twarz na jego piersi.

- Ja też nie - odparł, po czym wziął w dłonie jej twarz i przesunął ręką po włosach. - Gdzieś tam na szlaku straciłem wiarę w przyszłość. Teraz ją odzyskałem. Nie wiem gdzie i jak. Może odnalazłem ją w dziecku, które nosisz w swym łonie, może w determinacji Temple, pragnącej wybudować dom dla swego syna, a może obserwując zgubną nienawiść Kippa. Może sprawiła to twoja niecierpliwość i miłość. A może wszystko naraz. Nie mam zamiaru doszukiwać się w tym sensu. Wiem tylko, że przedtem było mi to obojętne, a teraz chcę, by nadeszło jutro.

- Ja również.

Uśmiechnęła się do niego przez łyzy, czując, że kocha go tak jak nigdy nikogo na świecie. Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, po czym objął ją i przytulił do swego boku, spoglądając na szarzejący krajobraz.

- Jest już za późno, by orać i siał. Ale mamy mnóstwo trawy. Możemy sprzedać wóz, kupić kilka sztuk bydła i paść je na tych łąkach. Umiem zbudować dom, chociaż nasza chata jest marnym

tego przykładem. Zaprojektowałem i zbudowałem większość budynków w Gordon Glen. Na budowę czeka mnóstwo domów, obór, młynów i szkół. Jeśli Temple wypożyczy mi do pomocy dwóch dobrych Murzynów, mogę sprostać wielu zamówieniom. Początkowo nie będzie to łatwe, ale damy sobie radę.

- Jestem tego pewna.

Już sobie wyobrażała, jak to będzie.

- Widzisz ten tam pagórek? - Wskazał na ciemniejące wznie-  
sienie na zachód od chaty. - Kiedy rząd wypłaci nam odszkodowa-  
nie za Gordon Glen, tam zbudujemy nasz nowy dom.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Proszę pani, jajecznicza zaraz wystygnie - powiedziała Cassie.

Eliza wybuchnęła radosnym śmiechem, a Will jej zawtórował.  
Cassie popatrzyła na nich i pokręciła głową.

Pierwsze dni po śmierci Shawano były dla Temple najtrudniejsze. Wciąż widziała przed oczami tę strasliwą scenę, a poszczególne jej fragmenty powracały w najmniej spodziewanych momentach. Już sam widok noża wprawiał ją w drżenie. Dochodził jeszcze niepokój o Blade'a. Nie wiedziała, gdzie się podziewa. Ktoś powiedział, że widziano go z ludźmi Watiego, lecz nikt nie był tego pewien. Pocięszała się jedynie tym, że złe wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Gdyby został zabity, natychmiast by jej o tym doniesiono. Rezultat był taki, że kiedy tylko widziała zbliżającego się jeźdźca, sztywniała ze strachu.

Nie mogła też sobie poradzić z Lije. Stale dopytywał się, kiedy tata wróci do domu i gdzie poszedł dziadzio Shawano. Jego dziecinny umysł nie potrafił jeszcze pojąć nieodwracalności śmierci.

Następne dni przyniosły chaos i zamieszanie. Jedna plotka goniła drugą. Mówiono, że Watie i jego ludzie przeczesują okolicę w poszukiwaniu zabójców, by wyrzec na nich pomstę. Inna zaś, że uzbrojone grupy krążą po okolicy w poszukiwaniu kolejnych zdrajców. Chaos powiększało jeszcze wojsko z Fortu Gibson, które sprawdzało każdą docierającą do nich plotkę i przepytывało wszystkich, by złapać morderców. Pomimo protestów Rossa, że jest to wewnętrzna sprawa Czirokezów, a nie wojska, Temple zaczęła się zastanawiać, czy nie zaaresztują Kippa.

Pierwszego lipca na specjalnym posiedzeniu zebrało się Zgromadzenie Narodowe z zamiarem zjednoczenia różnych frakcji i osiągnięcia kompromisu, jedną z pierwszych podjętych przez nie uchwał było objęcie amnestią wszystkich zbrodni, które popełniono po przybyciu do nowej ojczyzny, to znaczy od minionej zimy. Tym samym Kippowi został wybaczony udział w zamordowaniu Shawano Stuarta. Następnie rada ogłosiła, że zamordowani ludzie zostają wyjęci spod prawa, podobnie jak ci, którzy podpisali traktat.

Temple była teraz żoną przestępcy wyjętego spod prawa. Wprawdzie Zgromadzenie ogłosiło, że uniewinni wszystkich, którzy publicznie przyznają się do błędu, lecz Temple wiedziała, że Blade nigdy się na to nie zgodzi. Nadal uważał, że działał w słusznej sprawie, i jeśli ktoś tu zawinił, to Ross ze swoją taktyką uników.

Sytuacja była więc coraz bardziej skomplikowana. Żeby o tym nie myśleć, Temple rzuciła się w wir pracy, poświęcając jej cały czas i energię. Do dotychczasowych obowiązków doszły jej teraz nowe: budowa domu, nadzorowanie pracy we młynie i czarnych robotników w polu. Chcąc wszystkiemu podołać, doprowadziła się niemal do stanu kompletnego wyczerpania.

W drugim tygodniu sierpnia przed dom zajechał wóz wiozący białą rodzinę i cały jej dobytek. Z tyłu szło sześcioro Murzynów: czterech mężczyzn i dwie kobiety. Wyszycy byli młodzi, silni i w dobrej kondycji. Potrzebowała dobrych robotników do pracy na roli i zastanawiała się, czy ich właściciel by ich jej nie sprzedał.

- Czy pani Stuart? - zapytał mężczyzna.

- Tak.

Zanim zdążyła coś dodać, wyjął z kieszeni papier i podał jej.

- Nazywam się Harve Jacobs, a to jest moja żona Maudie i nasza trójka dzieciaków.

Temple rozpoznała pismo Bladea. Pospiesznie przebiegła treść listu, starając się ukryć drżenie rąk. Dowiedziała się z niego jedynie, że Blade zatrudnił Harvego Jacobsa na stanowisko zarządcy. Poza tym ani słowa dla niej.

- Czy mój mąż... dobrze się miewa? Czy wie pan, gdzie przebywa?

- Nie, proszę pani. Wynajął mnie w Arkansas i powiedział, żebym sprowadził tu moją rodzinę. Potem dał mi tych Murzynów i ich akt kupna. Nic więcej nie wiem.

- Rozumiem. - Starła się ukryć rozczarowanie. Sądziła... miała nadzieję, że może otrzyma od niego jakąś wiadomość. Jeśli nie ona, to może Lije.

Przez prawie dwa miesiące nic o nim nie wiedziała. To tak, jakby powtórzyła się ich poprzednia separacja. Starła się być mu wdzięczna za to, że zdjął z jej barków część obowiązków, lecz me mogła. Złożyła list i wsunęła do kieszeni sukienki.

W następnym tygodniu, w najgorętszym dniu sierpnia, Phoebe zaczęła rodzić. Temple siedziała przy jej łóżku, trzymała ją za rękę i wycierała z twarzy strugi potu. Po ośmiu godzinach wciąż nic się nie działo. Czarna akuszerka siedziała w bujanym fotelu i robiła na drutach skarpetki, zupełnie nie przejmując się tą zwłoką. Temple miała ochotę wrzasnąć na nią, żeby wreszcie się ruszyła, lecz była za bardzo zmęczona i zgrzana. Zmoczyła szmatkę w wodzie, wycisnęła i wytarła twarz Phoebe.

Przyszedł kolejny skurcz i Phoebe głośno jęknęła, ściskając rękę Temple tak mocno, że omal nie połamała jej kości. Temple zaczęła ją uspokajać, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi. W końcu skurcz minął i Phoebe opadła na materac, gwałtownie chwytając powietrze.

- Deu, ja chcę Deu - jęknęła. - Czemu go tu nie ma?

- Nie może tu z tobą być. Przecież wiesz, Phoebe.

Nie powinna była o nim wspominać. To nasunęło jej myśli o mężu i o tym, jak bardzo za nim tęskniła.

- Chcę, żeby tu był - załkała Phoebe. - Chcę mojego Deu.

- Wiesz, że nie może przyjść.

- Dlaczego? Przecież przychodził, kiedy pani i pan Błade byliście rozdzieleni.

- Wtedy było inaczej. Teraz mogliby go śledzić, gdyby stąd wychodził. Przecież wiesz.

- Ale będziemy mieć dziecko.

- Ty będziesz miała dziecko - warknęła Temple i dodała półgłosem: - I mogłabyś się z nim pospieszyć.

Dopiero po godzinie akuszerka odłożyła robótkę i podeszła do łóżka. Obejrzała wijącą się z bólu Phoebe i uśmiechnęła się.

- Teraz to już szybko pójdzie.

Po niecałych dwudziestu minutach Temple trzymała na ręku wrzeszczącego czarnego malca.

- To chłopiec, Phoebe. - Uśmiechnęła się, zapominając na chwilę o zmęczeniu. - Duży, silny chłopak.

Phoebe odetchnęła głęboko, uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

- Deu będzie z niego dumny.

Temple wykapała dziecko, owinęła w miękką pieluszkę i podała Phoebe. Przyglądała się przez chwilę, jak mały zachłannie ssie piersi matki.

- Jest taki duży. Nazwiemy go Ike, po twoim ojcu. Bardzo mi go przypomina - powiedziała, korzystając z przysługującego jej prawa do nadania imienia dziecku.

- Jest śliczny. - Phoebe spojrzała na synka i pogładziła go po puszystej główce. - Naprawdę śliczny.

Sierpniowy upał trwał. Po czterech męczących nocach Temple kazała przenieść łóżka dla siebie i dla Lijego na ganek. Nic to jednak nie dało. Nadal leżała złana potem, nie czując w powietrzu najbliższego podmuchu wiatru. Machnęła apatycznie ręką, by odgonić bzykającą jej przy uchu muchę. Była zmęczona, lecz sen nie przychodził. Przez chwilę obserwowała błyskawicę, która przecięła niebo, mając fałszywą obietnicą rychłego deszczu. Temple westchnęła, wsłuchując się z zazdrością w cichy oddech śpiącego syna.

Nagle dostrzegła jakiś ruch i błysk jasnych stóp na piasku. Uniosła się na łokciu. Zobaczyła zbliżającą się do niej ciemną postać.

- Kto tam?

- To ja, Dulcie, proszę pani - dobiegł ją szept kucharki. - Przyszyła mnie Phoebe. Prosi, żeby pani zaraz przyszyła.

Temple natychmiast wstała i narzuciła na siebie szlafrok.

- Czy mały Ike jest chory?

- Nie wiem. Prosiła tylko, żebym poszła po panią.

- Zostań z Lije, dopóki nie wrócę.

- Tak, psze pani.

Poruszając się tak szybko, jak tylko mogła, weszła do domu, wyjęła z szafki koszyk z medykamentami i pobiegła ku murzyńskim chatom. Drzwi do chaty Phoebe były zamknięte pomimo duszącego upału.

Otworzyła je niecierpliwie i wpadła do środka.

- Co się stało? Czy Ike... - Urwała i wszystko w niej zamarło, kiedy dostrzegła stojącego przy Phoebe mężczyznę, trzymającego w objęciach dziecko. Usiłowała wyciągnąć ku niemu rękę, lecz nie była w stanie.

- Blade - wyszeptwała. - Nie żyje, prawda?

- Żyje, proszę pani. - Deu uśmiechnął się łagodnie. - Żyje.

Przysięgam.

Zadrzała gwałtownie, po czym uświadomiła sobie, że drzwi są otwarte. Pospiesznie je zamknęła.

- Nie powinienes tu przychodzić, Deu. Mogą obserwować plantację.

- Nie ma nikogo, proszę pani. Sprawdziliśmy to, nim się tu zakradłem.

- My? A więc Blade tu jest?

- Obserwuje dom z bezpiecznego miejsca. Powiedział, żeby pani go nie szukała.

- Dlaczego... - Urwała. - Nieważne.

Nie przyjdzie, bo nie chce się z nią widzieć. Nadal uważa, że wiedziała o planowanym morderstwie i nie ostrzegła jego ojca.

- Chce wiedzieć, jak się sprawuje zarządca.

- Dobrze. - Nie chciała mówić o plantacji, zbiorach, nowym domu. - Chyba zna się na pracy w polu i uprawie zbóż. Jest surowy, ale nikt się nie skarży, że jest źle traktowany. Dom powinien być skończony we wrześniu.

- Kazał mi zapytać, czy czegoś pani albo Lijemu nie potrzeba.

Tak. Jego. Lecz nie mogła tego powiedzieć Deu.

- Nie. Oboje mamy się dobrze. Powiedz mu... - Urwała, połykając łzy. - Powiedz mu, że syn za nim tęskni. I ja również. Opiekuj się nim, Deu.

- Dobrze, proszę pani.

W oczach wezbrały jej łzy. Odwróciła się i wyszła z chaty, starając się iść spokojnym krokiem, na wypadek gdyby ktoś prócz Blade'a ją obserwował.

Czy on ją widzi? Chyba tak. Na pewno wybrał miejsce, z którego mógł obserwować chatę Deu i ścieżkę doń prowadzącą. Z prawej strony było zadrzewione wzniesienie. Stąd mógł widzieć



nie tylko chaty Murzynów, ale także i ich dom. Powiodła wzrokiem po wzgórzu, lecz cienie drzew i zarośla zlały się w ciemną masę.

Przez chwilę patrzyła prosto na niego. Błede cofnął się instynktownie i przykrył dłonią pysk konia. Dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że nie może go zobaczyć. Było zbyt ciemno, a on bardzo starannie wybrał swoją kryjówkę. Lecz skąd wiedziała, że on tu jest? Do diabła, zabronił przecież Deu mówić jej o tym. Powinien go za to wychłostać.

Po chwili jednak gniew minął. Temple wyglądała jak duch w bladym świetle księżyca. Biała koszula nocna na ciemnym de sprawiała wrażenie, jakby dziewczyna płynęła w powietrzu. Czarne długie, sięgające talii włosy wyglądały niczym peleryna z kapturem. Była w Temple jakaś samotność i smutek. Już chciał wyjść z ukrycia. Powstrzymał się jednak.

Nie był tu bezpieczny. Zresztą nigdzie nie był bezpieczny. Bez względu na to, jak bardzo nienawdził siebie za takie myśli, nie miał pewności, czy może całkiem ufać Temple. Wiedział, że nie wydałaby go, ani nie powiadomiła brata o jego obecności, lecz co by zrobiła, gdyby dokonano zamachu na jego życie? Był przestępcą. Każdy mógł go bezkarnie zabić. Jak daleko Temple by się posunęła, by go chronić, jeśli uważa, że jest winny i że musi umrzeć za to, co zrobił?

Czy pozwoliła, aby ojciec wpadł w zasadzkę? „Kipp ostrzegął mnie”, powiedziała, a potem oświadczyła, że o niczym nie wiedziała. Gdzie leżała prawda? Kipp był jednym z morderców. Tyle to wiedział. Lecz to zdanie Temple... Za każdym razem, kiedy już miał uwierzyć, że o niczym nie wiedziała, przypominał sobie ciało ojca całe we krwi, słyszał jej głos mówiący „Kipp ostrzegął mnie” i wątpliwości powracały.

- Dlaczego, Temple? - wyszeptał ochrypłym głosem. - Dlaczego?



*Fort Gibson,  
Terytorium Indiańskie.  
20 stycznia 1840*

Jed Parmelee podszedł do wozu i uśmiechnął się uspokajająco do żony. W odpowiedzi uniosła lekko kąciki ust, przez co jej wargi stały się jeszcze węższe, a wyraz twarzy bardziej zdecydowany. Aksamitna zielona budka odpowiadająca odcieniem futrzanej pelisie skrywała jej blond włosy, zostawiając jedynie po bokach długie anglezy.

- Dowódca kompanii, kapitan Collins, wraz żoną zaprosił nas do siebie na herbatę, póki nie przygotują naszej kwatery. Zaraz tu przyjdzie.

- Teraz? Jestem brudna po podróży i mam pogniecioną suknię - zaprotestowała Cecylia. - Jeśli mamy iść do niego na herbatę, to może najpierw poszlibyśmy do siebie, bym mogła się odświeżyć.

- Niestety jeszcze naszej kwatery nie zwolnił podporucznik, który dotąd w niej mieszkał.

- Chcesz powiedzieć, że my kogoś wyrzucamy?

- On też kogoś wyrzucił. To normalne w wojsku. Jest to tak zwane przeszeregowanie - wyjaśniał cierpliwie Jed, wiedząc, że Cecylia nie bardzo jeszcze orientuje się w zasadach rządzących w wojsku, choć była jego żoną już od dziewięciu miesięcy. - Miejmy nadzieję, że nam to przez jakiś czas nie grozi.

Przesunęła wzrokiem po nie ociosanych belkach podtrzymują-

cych zadaszone przejście i drewnianych nierównych ścianach budynków stojących wzdłuż palisady fortu.

- Nie przypuszczałam, że tak to będzie wyglądać.

Na próżno starała się ukryć wstęt i przerażenie na widok trzech żołnierzy zakutych w dyby.

- To pogranicze, Cecylia. Ostrzegałem cię, że może nie być tu najpiękniej.

Zdawał sobie sprawę, że to, co jej przedstawił, było jedynie zarysem rzeczywistości. W tym momencie rozległ się dźwięk bębna i pojawił się kapral piechoty. Za nim szedł żołnierz, niosący beczkę, a do pleców miał przyczepiony napis „szmugler whisky”.

Oficerowie nazywali Fort Gibson „kostnicą”, to znaczy miejscem, gdzie przechowuje się ciała. Ale tu, w tej odległej placówce, Jed miał większą szansę awansu niż na Wschodzie. Większość kolegów, którzy ukończyli z nim West Point, nadal było podporucznikami. Jemu udało się awansować na porucznika, lecz nie miał zamiaru czekać kolejnych dziesięciu lat na szlify kapitana. Poza tym porucznik nigdy nie zostanie kapitanem, dopóki jego zwierzchnik nie dostanie awansu na podpułkownika lub dopóki nie zasłuży się na polu walki. Jed zamierzał sięgnąć jeszcze wyżej.

Właśnie dlatego przyjechał tu po ośmiu miesiącach kompletnej nudy, kiedy na stanowisku kwatermistrza zajmował się papierkową robotą. Po uczestniczeniu w wojnie z Semołami i eskortowaniu Czirokezów do ich nowej ojczyzny nie mógł znieść beczynności i czegoś tak ogłupiającego jak liczenie gwoździ i podków. Przemęczył się przez te pół roku dla dobra Cecylii, po czym złożył podanie o przeniesie do zachodniej placówki.

Miał do wyboru albo wyjazd na Zachód, albo wystąpienie z armii i pracę w sektorze prywatnym. Budująca się szybko kolej na Wschodzie potrzebowała wychowanków z West Point. Jed mógł otrzymać wysokie stanowisko i sam wyznaczyć wysokość pensji. Tego właśnie pragnęła Cecylia. Która kobieta nie wolałaby, żeby jej mąż zarabiał więcej niż dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, które otrzymywał porucznik, nie mówiąc już o prestiżu, jaki dawała wysoko płatna praca? Ale Jed pragnął wojskowej kariery. Cecylia wiedziała o tym, zanim wyszła za niego za mąż. Ich ślub odbył się w kwietniu zeszłego roku. Jednakże mimo zgody żony na

ten wyjazd, Jed widząc ją w tym prymitywnym otoczeniu i wiedząc, że za dwa i pół miesiąca ma przyjść na świat ich pierwsze dziecko, poczuł wyrzuty sumienia.

- Dobrze się czujesz? Na miejscu jest doktor...

- Nic mi nie jest.

Kiwnęła zdecydowanie głową, lecz w jej oczach czaił się strach. Westchnął.

- Żałuję, że nie zostałeś w Bostonie z rodzicami do czasu rozwiązania, jak początkowo planowaliśmy.

- Jestem twoją żoną - oświadczyła. - A miejsce żony jest przy mężu.

Zarówno Jed, jak i jej rodzice gorąco odradzali tę podróż, lecz nie chciała ich słuchać. Kiedy dowiedziała się, że jej mąż otrzymał przydział do placówki na Terytorium Indiańskim, postanowiła mu towarzyszyć.

Wiedziała, że tu jest ta kobieta. Zadrżała z gniewu, przypominając sobie owe letnie dni, kiedy *Jed* rozchorował się na malarię. Siedziała przy nim całą noc, kiedy leżał trawiony gorączką, której, zdaniem doktora, nabawił się przed trzema laty na bagnach Florydy. Trzymała go za rękę, ocierała pot z czoła i słuchała w niemej furii, jak bez końca mamrocze o swojej miłości do tej kobiety.

Temple.

Cecylia nienawidziła tego imienia i kobiety, która ukradła miłość jej męża. Jeśli ma umrzeć w tej zapomnianej przez Boga i ludzi placówce, wydając na świat dziecko, to niech tak się stanie. Ale nikt i nic nie skłoni jej do zostawienia tu Jeda samego, nawet na kilka miesięcy. Nie będzie ryzykować jego utraty, a z pewnością nie z powodu Indianki. Już sama myśl była poniżająca. Modliła się, żeby Temple Stuart zmieniła się w grubą i brzydką squaw. Słyszała, że Indianki brzydną z wiekiem. Miała nadzieję, że to prawda.

- Nie zimno ci?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, czemu Jed o to pyta. Dzień był ciepły, świeciło słońce. Potem zauważyła, że patrzy na jej dłonie, i domyśliła się, że ich drżenie wywołane kipiącym w niej gniewem bierze za objawy zmarznięcia.

- Nie - zapewniła i wsunęła ręce w mufkę.

Pragnąc uniknąć dalszych pytań spojrzała w bok, udając, że przygląda się nadjeżdżającej właśnie bryczce. Drobne obciążone rękawiczkami dłonie ściągnęły lejce, zatrzymując pojazd tuż przy wozie. Cecylia natychmiast rozpoznała tę twarz. To była ona.

Poczuła, jak wzbiera w niej uczucie zazdrości, dziwiąc się jednocześnie, że tak dobrze zapamiętała tę kobietę. Pełne zmysłowe wargi, diabelska czern włosów i oczu i ten egzotyczny rys w klasycznie pięknej twarzy. Skąd ona wiedziała, że Jed tu jest? Może pisał do niej, że przyjeżdża?

- Przepraszam, może mogliby mi państwo pomóc? Jestem...

- Temple?!

W głosie Jeda brzmiało zaskoczenie. Czy udawane?

- Jed? To ty? - Kobieta wyskoczyła z bryczki z wyrazem zdumienia na twarzy, a on obszedł wóz, by ją powitać. - Co tu robisz?

Pochwycił obie jej ręce, patrząc na nią z nie ukrywanym zachwytem.

- Dostałem przydział do oddziału kawalerii w Fort Gibson. Jutro mam się zgłosić u komendanta. - Tu spojrział zmieszany na Cecylię. Teraz już była pewna, że ich spotkanie jest przypadkowe. - Chciałbym ci przedstawić moją żonę.

- Już miałyśmy okazję się poznać z panią Stuart - powiedziała Cecylia, dostrzegając z bólem, że jej mąż wciąż ściska dłonie tej kobiety. - Spotkałyśmy się przed kilkoma laty na akcji dobroczynnej w Bostonie.

Temple zmarszczyła lekko brwi, po czym uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Tyle się od tego czasu wydarzyło. - Twarz jej posmutniała, lecz zaraz się rozjaśniła. Nieszczercze, pomyślała Cecylia. - Proszę przyjąć najlepsze życzenia, pani Parmelee. I ty również - powiedziała, odwracając się w stronę Jeda.

- Jak ci się wie? - spytał.

- Doskonale.

Cecylia zauważyła nie bez złośliwej satysfakcji, że nie jest tak dobrze ubrana jak w Bostonie. Okrywająca ją peleryna uszyta była z grubej wełny, a materiał sukni został zapewne utkany na domowych krosnach.

- Przed rokiem o tej porze przekraczaliśmy Missisipi - przypomniał sobie Jed. W jego oczach dostrzegła żal. - Nie miałem okazji się wtedy z tobą pożegnać.

- Wiem.

Zakłopotana wysunęła dłonie z jego uścisku.

- Nie powiedziałaś jeszcze, co robisz wforcie.

- Dowiedziałam się, że mój mąż tu się schronił. Ostatnio mieliśmy... kłopoty. Pewnie słyszałeś o nich?

- O zamordowaniu majora Ridge'a, jego syna i Boudinota? Tak, słyszałem o tym.

- Na szczęście, wszystkie te kłopoty wkrótce się skończą.

Lecz czy na pewno? Miała co do tego wątpliwości. Pragnienie zemsty było zbyt głębokie. Nie da się go pogrzebać. Nigdy nie nastanie pokój. Wiedziała o tym, lecz miała nadzieję, że może uda się zawrzeć rozejm, choć nie będzie to łatwe.

- Nasz nowy dom w Grand View już stoi. Musicie z żoną nas odwiedzić któregoś dnia.

- Z przyjemnością przyjadę... przyjedziemy. Obawiam się jednak, że będziemy musieli z rym poczekać do lata. Cecylia jest... przy nadziei.

- To wspaniale. - Temple odwróciła się w stronę żony Jeda.

Cecylii wcale nie obchodziło, co ta kobieta o tym myśli. Była wściekła i zdenerwowana. Z trudem powstrzymywała się, by nie krzyknąć na męża, że muszą jechać. Pomógł Temple wsiąść do bryczki, a Cecylia z niecierliwością czekała, kiedy ta kobieta zniknie jej z oczu.

- Chyba nie mówiłeś poważnie o złożeniu wizyty w jej domu? - syknęła gniewnie, kiedy Temple odjechała. - Może to i pogranicze, lecz ja nie mam zamiaru utrzymywać znajomości z Indianami. Czy to jasne?

Zesztywniał i już chciał ostro zareagować, lecz po chwili skinął głową.

- Jasne.

Temple podjechała pod sklep, który był miejscem spotkań wszystkich przyjeżdżających do fortu. Zauważyła stojącego w po-

blizu Deu i kazała mu zawołać Blade'a. Na szerokiej werandzie przed sklepem siedziała grupa mężczyzn. Starła się nie zwracać uwagi na ich zaciekawione spojrzenia, jak i na nerwowe skurcze żołądka.

Po chwili pojawił się Blade. Wysoki i szczupły, wyglądał niczym górski kot w zimie. Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek, lecz jednocześnie czujnie śledził każdy ruch wokół siebie. Przez trzema miesiącami dotarła do niej wiadomość, że został ugodzony nożem w czasie bójki z jednym z ludzi Rossa w faktorii w pobliżu Webber Falls. Udało mu się uciec tylnymi drzwiami. Nigdy się nie dowiedziała, jak poważnie został ranny.

Spojrzał na powozik należący niegdyś do jego ojca i cały nagromadzony w nim gniew natychmiast się ulotnił.

- Deu powiedział, że chcesz się ze mną widzieć.

- Powinniśmy porozmawiać. Na osobności - dodała, patrząc na siedzących na werandzie ludzi.

- Możemy pójść nad rzekę - zaproponował po chwili wahania.

Nie zrobił jednak najmniejszego ruchu, by pomóc jej wysiąść z powoziku. To unikanie wszelkiego z nią kontaktu uświadomiło Temple przepaść, jaka między nimi powstała. Kiedyś szukali każdej okazji, by być blisko siebie. Teraz dzieliło ich skrupowanie i nienaturalna rezerwa. Czy tę barierę da się zburzyć za pomocą słów?

Ruszyła ku rzece, czując, że Blade idzie pół kroku za nią. Od czego zacząć? Tyle razy to sobie przepowiadała, a teraz miała pustkę w głowie.

- Jak Lije? - zapytał, przerywając dzwoniącą w uszach ciszę.

Rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

- Dobrze. Przeprowadziliśmy się do nowego domu w październiku.

- Słyszałem.

- Wciąż brakuje nam mebli, by wypełnić puste pokoje. - I ciebie, by wypełnić pustkę mojego łóżka, pomyślała. - Podpisałam z ojcem kontrakt na wybudowanie dwóch dodatkowych magazynów. Zbiory w tym roku były wyjątkowo obfite i cena, jaką za nie uzyskałam, wykraczała daleko poza przewidywania pana Jacobsa.

- Słyszałem.

- Opracowałam plany rozbudowy młyna. Już teraz mamy tyle

zamowień, że nie jesteśmy w stanie ich zrealizować. Obecne zyski dowodzą, że warto rozszerzyć interes. — Mówiła o sprawach, o których chciała powiedzieć, lecz nie była w stanie się zatrzymać. - I mam przyrodną siostrę. Eliza urodziła w grudniu dziewczynkę. Dali jej na imię Susannah.

- Słyszałem.

- Nie przyjechałam tu, by z tobą o tym rozmawiać. - Utkwiła wzrok w zimowym krajobrazie, jałowym jak ich małżeństwo. Jałowym? Nie, musiała wierzyć, że można zacząć od nowa. - Chciałam porozmawiać z tobą o śmierci twego ojca. - Ja... naprawdę o niczym nie wiedziałam. Pamiętam, co powiedziałam o Kippie. Zjawił się nagle poprzedniego dnia i nalegał, abym tego ranka pojechała odwiedzić mojego ojca. Wydało mi się dziwne, że tak nalega. Nie powiedział, czemu to takie ważne. Ale martwił się o mnie. Wiedział, co się stanie, i nie chciał, bym była tego świadkiem. - Umilkła, ponownie czując ból na wspomnienie tamtego dnia. - Już miałam wyjechać. Powóz czekał przez domem. Wtedy jedna z pomocnic kuchennych została obłana wrzątkiem. Kiedy opatrywałam jej oparzenia, Lije się ubłocił i w końcu nie pojechałam. Dopiero jak napadli na powozik, wszystko zrozumiałam.

- Stałaś tam i patrzyłaś.

- Nie! - Kiedy odwróciła się twarzą do niego, ujrzała w jego oczach ból i natychmiast zapanowała nad gniewem. - Nie. Tam był Lije. Myślałam jedynie... Nie mogłam pozwolić, by widział, jak dziadek umiera. Nie mogłam. Twój ojciec również by tego nie chciał.

- Nawet nie starałaś się go ostrzec.

- O niczym nie wiedziałam, dopóki nie zobaczyłam tych mężczyzn - powtórzyła. - Zawołałam, lecz było za późno. Już się na niego rzucili.

Nie prosiła, by jej uwierzył. Widząc to dumne i lekko wyzywające uniesienie głowy, zrozumiał, że nigdy nie poprosi. Opowiedziała mu swoją wersję i mógł ją zaakceptować lub nie.

Wydawała się blada i spięta. Cierpiał męki przez te ostatnie miesiące, nie przestając o niej myśleć, zastanawiając się, podając w wątpliwość jej lojalność i miłość. Doznał satysfakcji uświadamia-



jąc sobie, że ona również cierpiała. Do licha, kochał ją. Czuł się tak, jakby szalejąca burza wciąż na nowo szarpała mu wnętrzności.

- Gdybyś wiedziała, gdyby Kipp ci powiedział, co byś zrobiła? Ostrzegłabyś mojego ojca?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - przyznała. - Często o tym myślałam. Gdyby Kipp mi powiedział, byłabym w rozterce. Nie lubię takich sekretów... wykonywania wyroków pod osłoną nocy. Shawano miał prawo wiedzieć, dlaczego musi umrzeć. Zasługiwał na to.

- Tak.

Po raz pierwszy poczuł spływającą na niego ulgę. Temple również była przeciwna poniżającej formie śmierci Shawano. Oboje wiedzieli, za co zginął. Blade jednak nigdy nie wybaczy mordercom sposobu, w jaki zabili jego ojca.

- Przed kikiemoma dniami w Tahlequah, naszej nowej stolicy, odbyła się sesja Zgromadzenia - powiedziała Temple patrząc na niego z powagą. Nie było w jej spojrzeniu błagania czy prośby. - Unieważniono dekret uznający za przestępców tych, którzy podpisali traktat. Wróc do domu... jeśli możesz.

Spuściła głowę i odwróciła się. Całe opanowanie Blade'a gdzieś się ulotniło. Po tylu miesiącach rozłąki miał ją tak blisko siebie, mógł patrzeć na te usta, które wypowiadały słowa prawdy. To było ponad jego siły.

- Temple.

Pochwyił ją za ramię i zadrżał, czując pod palcami jej ciało. Przyciągnął ją do siebie i spojrzał na zwróconą ku niemu twarz i żyły błyszczące w czarnych oczach.

- Nie mogę już dłużej być z dala od ciebie - powiedział ochrypłym głosem. - Wracam do domu.

Słońce odbijało się w wodach Grand River, gdy przywarli do siebie w pocałunku, który rozwiewał wszelkie ich wątpliwości i łagodził różnice. Byli razem. I tylko to się liczyło.